Mieczysław Zając

DZIEJE JANKA STAWARZA KADETA Z KRAKOWSKIEGO PROKOCIMIA

Towarzystwo Przyjaciół Prokocimia
Kraków Prokocim 2006

Podgórska
Biblioteka Publiczna
2020-013579-00

13579
2007 -02- 01
BIBLIOTEKA KRAKÓW
FILIA nr 43
30-815 Kraków,
ul. Gen. J. Jasińskiego 32
2007 -06- 05
2008 -10- 22
23. 11. 2018
26. 05. 2020

DZIEJE JANKA STAWARZA
KADETA
Z KRAKOWSKIEGO PROKOCIMIA

Pani Kamili Stawarz - żonie Janka, dzięki której finansowemu wsparciu mogła się ukazać ta książka, Towarzystwu Przyjaciół Prokocimia im. Erazma i Anny Jerzmanowskich oraz Pracownikom Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Prokocimiu ratującym życie polskich dzieci

autor

Mieczysław Zając

DZIEJE JANKA STAWARZA KADETA Z KRAKOWSKIEGO PROKOCIMIA

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ PROKOCIMIA
KRAKÓW – PROKOCIM 2006

Copyright © by Mieczysław Zając, Kraków 2006.

Materiały zebrali: Mieczysław Zając
Kamila Stawarz
Zenon Malik
Jerzy Wiśniewski
Jan Banaś

Konsultacje: Kamila Stawarz
Kazimierz Balog
Zenon Malik

Opracowanie komputerowe: Jacek Zając
Krzysztof Zając
Ryszard Zając
Wojciech Zając

Redaktor: Roman Rozlachowski

BIBLIOTEKA KRAKÓW
FILIA
43

Podgórska Biblioteka Publiczna w Krakowie
FILIA
2

prococimiana

S 13579

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Prokocimia im. Erazma i Anny Jerzmanowskich ul. Górników 29, 30-808 Kraków
e-mail: tpp@vistula.vis.pk.edu.pl

Druk: Drukarnia TECHNET
ul. Biskupińska 3A, 30-732 Kraków, tel. 012 656 21 11

ISBN 83-920955-4-5

Akc. 3/'07 1)

Słowo wstępne

Autorem książki pt. „Dzieje Janka Stawarza, kadeta z krakowskiego Prokocimia" jest Mieczysław Zając, przyjaciel Janka. Zbliżyło ich podobieństwo losów w czasie okupacji. Obaj należeli do tego pokolenia Polaków, których patriotyzm wyniesiony z domu i ze szkoły wspierały przed wojną „Trylogia" Sienkiewicza oraz treści harcerskich i wojskowych piosenek. Charakteryzowało ich przywiązanie do rodzinnego Krakowa, a w szczególności do jego przedmieść, na których przed rokiem 1939 spędzali młode lata.

Życie Janka splatało się od wczesnego dzieciństwa z rodzinnymi wspomnieniami o tych mieszkańcach Prokocimia, którzy pod dowództwem stryja Antoniego Stawarza brali w 1918 roku czynny udział w wyswobodzeniu Krakowa spod austriackiego jarzma. Potem w szkole średniej los związał go ze środowiskiem kadetów II Rzeczypospolitej, stanowiącym bazę zawodowej kadry wojska polskiego, przed studiami w szkołach oficerskich. Corocznie spędzał część wakacji w Prokocimiu, imponując miejscowej młodzieży mundurem i rogatywką z kadeckim słońcem. Wychowany w duchu patriotycznym, zdawał w 1939 roku maturę w Korpusie Kadetów w Rawiczu.

We wrześniu brał udział w wojnie obronnej, a w czasie okupacji był uczestnikiem ruchu oporu. Aresztowany przez gestapo, znalazł się w 1942 roku w KL Auschwitz. W tym czasie z więzienia na Montelupich wywieziono w ramach akcji odwetowo-represyjnej, w dwóch transportach, około trzydziestu mieszkańców Prokocimia. Większość z nich zmarła w obozie w czasie epidemii tyfusu plamistego.

Na podkreślenie zasługują dwie kwestie związane z pobytem prokocimian w lagrze. Pierwsza to ich wzajemna pomoc, a druga – działanie pewnej, dzisiaj już anonimowej grupy miejscowych kolejarzy, którzy potajemnie przewozili nieoficjalną korespondencję między więźniami a ich rodzinami w Krakowie

i w Prokocimiu. Byli wśród nich i tacy, którzy narażając własne życie nie wahali się uczestniczyć w organizowaniu ucieczek więźniów z obozu.

Należy jeszcze zaznaczyć, że bohater książki, po powrocie do domu, mimo przeprowadzki na teren Krakowa, utrzymał trwały kontakt z rodzinnym osiedlem. W dalszym ciągu należał i działał w lokalnym oddziale prokocimskiego ZBOWiD-u, występując z wieloma inicjatywami. Przykładowo w roku 1977 obok Szkoły Podstawowej nr 61 odsłonięto z inicjatywy Jana Stawarza pomnik upamiętniający tych mieszkańców Prokocimia, którzy zginęli podczas drugiej wojny światowej.

Autorowi tej książki należy się szczególne uznanie i podziękowanie za to, że dzięki jego opracowaniu pozostanie znaczący ślad nie tylko po osobie Janka Stawarza, ale także po żyjących w tym okresie mieszkańcach naszej małej ojczyzny.

Grażyna Fijałkowska

Od autora

Na treść tego opracowania złożyły się wspomnienia o moim przyjacielu Janku Stawarzu, kadecie z Prokocimia. Powstały one w oparciu o długie rozmowy, które prowadziliśmy w czasie naszych spotkań, następnie o relacje jego żony Kamili, przyjaciół i kolegów, a także o fragmenty pisanych przez niego biogramów absolwentów kadeckich korpusów II Rzeczpospolitej. Wspomnienie przedstawia życie i losy Janka w dwudziestoleciu międzywojennym, potem w czasie drugiej wojny światowej oraz w okresie powojennym.

Ciekawostką wydaje mi się to, że nasze losy połączył na początku przypadek. Obaj mogliśmy być zaliczani do pokolenia Kolumbów, urodzonych w tym samym 1919 roku, a krakowskie gestapo aresztowało nas wprawdzie jako członków dwóch różnych tajnych organizacji, ale za to w tym samym miesiącu, w czerwcu 1942 roku. Niemniej jednak nie zetknęliśmy się wtedy osobiście ani w więzieniu na Montelupich w Krakowie, ani potem w hitlerowskich obozach. Z Jankiem spotkaliśmy się i poznaliśmy bliżej dopiero po wojnie, na zebraniach członków klubu byłych więźniów obozów Buchenwald-Dora oraz na posiedzeniach Komisji Historycznej Związku Inwalidów Wojennych, której byliśmy członkami. Właśnie wtedy miałem okazję przekonać się o tym, że Stawarz miał wspaniałą pamięć, zwłaszcza do nazwisk kolegów, z którymi los zetknął go w obozach, a także do szczegółów związanych z ich przeżyciami. Pamiętał doskonale wszystko. Mogłem to niejednokrotnie sprawdzić.

Stawarz miał zwyczaj w rozmowach z obozowymi kolegami Polakami powracać do tematu przedwojennych kadetów i w związku z tym nazywano go „Stawarz-kadet", zapominając o imieniu. Właśnie z tym określeniem wiąże się pewien fakt z życia Janka dotyczący niezwykłego, wręcz niesamowitego zdarzenia, które miało miejsce już po wojnie, a z którego on po

powrocie do rodzinnego domu w Prokocimiu nie zdawał sobie sprawy. Jednak potem, w latach siedemdziesiątych, wyjeżdżał dwukrotnie do NRD i tam, na niewielkim cmentarzu we wsi Sundremda, modlił się nad zbiorowym grobem. Na nagrobku widniał napis, że obok swoich obozowych kolegów spoczywa tam „Stawarz-kadet". Wyjaśnienie znajdzie czytelnik w tym opracowaniu.

Będąc już w wieku dojrzałym, Stawarz – poza pracą zawodową – wykazywał szczególną skłonność do angażowania się w pracy społecznej. Mówiąc krótko, lubił tę pracę. Natomiast na emeryturze zdecydował się na podjęcie działalności mającej na celu ocalenie od zapomnienia nazwisk tych przyjaciół i znajomych z rodzinnego Prokocimia oraz tych kolegów, absolwentów kadeckich korpusów, którzy w czasie wojny wyróżnili się w walkach czy w ruchu oporu, a także tych, którzy zapłacili za to długoletnimi cierpieniami w więzieniach i w obozach, jakże często cenę najwyższą.

Z pewnością na te decyzje Janka miały wpływ wzory wyniesione z jego własnego domu. Należy tu wymienić zasługi ojca Stefana, mieszkańca Prokocimia, członka Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) w ostatnich latach pierwszej wojny światowej, stryja Stanisława Stawarza, który w wieku 16 lat uciekł z domu do Legionów Piłsudskiego i odznaczył się w walkach na Wołyniu oraz przede wszystkim stryja Antoniego Stawarza, dzięki którego działaniom Kraków zerwał pęta niewoli w końcowych dniach października 1918 roku. Miasto uczciło pamięć kapitana A. Stawarza nadaniem jego nazwiska ulicy na Krzemionkach w Podgórzu, gdzie niegdyś mieszkał.

Natomiast swoich kolegów z kadeckich korpusów, którzy stracili życie w czasach pogardy, zdecydował się Janek Stawarz uczcić w inny sposób. Wraz z dwoma kolegami kadetami postanowili spisać możliwie jak najwięcej biogramów absolwentów kadeckich korpusów II Rzeczypospolitej. Liczyli na to, że może w przyszłości ktoś wykorzysta ich pracę na przykład w Księdze Pamięci, a przez to ocali od zapomnienia pamięć o tych

kolegach w kadeckich mundurach, którzy oddali swe życie w czasie największej próby. Księga taka ukazała się w roku 2001. Niestety oni nie doczekali tej chwili. Kolejno odeszli na wieczną wartę. Janek Stawarz zmarł 3 lipca 1990 roku.

Maszynopis pierwszej wersji wspomnień o Janku Stawarzu był gotowy w 1987 roku. Wspomina o tym między innymi pani Bożena Raus w „Gazecie Rawickiej" nr 9 z września 1995 roku. Janek otrzymał kopię maszynopisu. Niestety, nie było wtedy możliwości wydania tej książki.

Mieczysław Zając

Patriotyczne wzory w rodzinie Stawarzów

Rodzina Stawarzów wywodziła się z Wierzchosławic pod Tarnowem. Dziadek Janka Tadeusz osiedlił się początkowo w Tuchowie, gdzie był budnikiem kolejowym. Potem pracował jako dróżnik w miejscowości Strzeszyn, położonej między Zagórzanami a Bieczem. Tam wychowywało się dziewięcioro jego dzieci, między innymi ojciec Janka Stefan, stryjowie Feliks, Antoni, Ludwik i Stanisław oraz ich siostry Emilia, Julia, Franciszka i Helena. Dwaj stryjowie Feliks i Antoni ukończyli szkoły średnie w Nowym Sączu, a Stefan i Ludwik zdobyli zawód terminując u miejscowych ślusarzy.

Stefan Stawarz, ojciec Janka

Ojciec Janka otrzymał potem pracę w płaszowskiej parowozowni, którą przed 1939 rokiem nazywano najpierw „Hajcem", a potem prokocimską ogrzewalnią. Ożenił się z Anielą z Klimków, pochodzącą z bocheńskiego; osiedli w Prokocimiu,

niewielkiej wówczas kolonii kolejarzy. Początkowo zamieszkali jako lokatorzy w domu kupca Pitucha, a następnie już we własnym domu przy ul. J. Piłsudskiego 77, przemianowanej w czasie okupacji na Lange Strasse 77, a po wojnie na ul. Bieżanowską 77. Tu przychodziły kolejno na świat ich dzieci: Stefania, Jan i Maria. Janek Stawarz urodził się 24 września 1919 roku.

W tym czasie, w niewielkiej odległości od ich domu na tak zwanych „Szutrach" (obecnie ul. Gierymskich 8) zamieszkała siostra Stefana Stawarza, Franciszka, ze swym mężem Wojciechem Cholewą, który był ślusarzem w ogrzewalni, a potem także maszynistą kolejowym.

Dla Janka Stawarza wzorami patriotów byli:

- ojciec Stefan Stawarz, jako członek Polskiej Organizacji Wojskowej (POW)
- stryj Antoni Stawarz, polski patriota w austriackim mundurze (podgórski Wallenrod)
- stryj Stanisław Stawarz, legionista marszałka Józefa Piłsudskiego.

Ojciec – Stefan Stawarz

Ojciec Janka był od roku 1917 członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej (POW)[1]. Jako jej członek zaangażował się

[1] Była to tajna organizacja powstała w Warszawie już na początku pierwszej wojny światowej, w sierpniu 1914, roku z inicjatywy Józefa Piłsudskiego. Oparta na bazie Polskich Drużyn Strzeleckich oraz Związku Strzeleckiego, działała w Królestwie Polskim i początkowym jej celem była walka z carską Rosją. Potem działała także w Galicji, na terenie Rosji i Ukrainy. Komendantem głównym POW do chwili aresztowania przez Niemców w lipcu 1917 roku był Józef Piłsudski a następnie Edward Rydz-Śmigły. W pierwszej fazie wojny POW prowadziła na tyłach wojsk rosyjskich wywiad i akcje dywersyjne. Po zajęciu Królestwa Polskiego przez wojska niemieckie i austriackie, część peowiaków zasiliła I Brygadę Legionów Polskich. Jednak od czasu, kiedy Niemcy i Austro-Węgry nie chciały uznać niezależności formacji legionowych,

Legitymacja Stefana Stawarza, członka Związku Peowiaków

pod wpływem swego brata Antoniego w działalność tajnej organizacji dywersyjnej w Prokocimiu kierowanej przez miejscowego robotnika Józefa Badziocha. Z czasem przyjął funkcję łącznika między Badziochem a bratem Antonim, który

---

Piłsudski wstrzymał nabór peowiaków do oddziałów. Nakazał POW zejście do podziemia i prowadzenie tam intensywnego szkolenia wojskowego. Po kryzysie przysięgowym POW zeszła do konspiracji. Powstały cztery komendy tej organizacji, dla Warszawy, Krakowa, Kijowa i Lublina. W roku 1918 brała ona czynny udział w rozbrajaniu Niemców w Królestwie Polskim i Austriaków na galicyjskiej prowincji. W Krakowie organizowała swoje oddziały głównie wśród młodzieży szkolnej i akademickiej. Powstało wtedy dużo rozmaitych kół i kółek. Podjęcie przewrotu przez POW nie było w tym czasie możliwe ze względu na aresztowanie przez Niemców jej kuriera Stanisława Burharda-Bukackiego, przy którym znaleziono listę członków POW. Nastąpiły aresztowania wśród młodzieży, organizacja została rozbita. Ostrzeżony wcześniej płk Rydz-Śmigły opuścił Kraków i uniknął aresztowania. Niemniej jednak miejscowi członkowie POW zgłaszali się w początkowych dniach listopada w olbrzymiej większości do rozmaitych komend wojskowych i brali tam indywidualny udział w przewrocie, nie żałując ani czasu, ani swych sił.
Źródła: *Wielka Encyklopedia Powszechna PWN*, t. 9, s. 232;
dr Jan Czapliński, wstęp do książki *Gdy Kraków kruszył pęta* Antoniego Stawarza, s. 11-13.

będąc porucznikiem armii austriackiej rozpoczął przygotowania do militarnego przewrotu w Podgórzu i w Krakowie, skierowanego przeciw austriackiemu zaborcy. Potem wraz z członkami prokocimskiej organizacji brał czynny udział w tym przewrocie, w dniu 31 października 1918 roku.

Przynależność Stefana Stawarza do POW potwierdza zaświadczenie podpisane przez Szefa Wojskowego Biura Historycznego majora doktora Wacława Lipińskiego. Czytamy w nim: „Stwierdza się, niniejszym, iż p. Stawarz Stefan pełnił czynną służbę w Polskiej Organizacji Wojskowej od września 1917 do 31 października 1918." (L 276 - 5/V/8835). Potem, w latach trzydziestych, Stefan Stawarz był członkiem Związku Peowiaków (patrz legitymacja). W tym okresie Komitet Krzyża i Medalu Niepodległości w Warszawie wystosował do niego pismo z dnia 9 maja 1932 o następującej treści: „Pan Stawarz Stefan został Zarządzeniem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 9 maja odznaczony Medalem Niepodległości nr 17/254."

Stryj – Antoni Stawarz[2]

Rok 1918, ostatni rok pierwszej wojny światowej, zapisał się znacząco nie tylko w dziejach rodziny Stawarzów, ale także zaznaczył się udziałem mieszkańców Prokocimia w akcji uwalniania Krakowa spod austriackiego panowania.

---

[2] Był najbardziej cenionym i najczęściej wspominanym przez bratanka wzorem postawy patriotycznej. O jego roli w wyzwoleniu Krakowa spod władzy austriackiego zaborcy napisał Janek kilka artykułów wspomnieniowych z okazji rocznic tych wydarzeń. Drukowano je między innymi w takich czasopismach jak tygodniki „Wrocławski Tygodnik Katolików" – rok 1978, „Wieści" – rok 1988 oraz dzienniki „Gazeta Krakowska" i „Echo Krakowa" – rok 1988. Treść tego rozdziału, związana z działalnością austriackiego Oberleutnanta Antoniego Stawarza na terenie Podgórza, Płaszowa i Prokocimia, stanowi chronologicznie uporządkowaną relację Janka na temat przygotowania i przeprowadzenia przez stryja przewrotu w Krakowie w 1918 roku.

Antoni Stawarz, Leutnant armii austriackiej

Centralną postacią w tym historycznym wydarzeniu był Antoni Stawarz, brat Stefana, ojciec chrzestny jego pierwszej córki Stefanii, wtedy już Oberleutnant armii austriackiej. Urodził się 4 stycznia 1889 roku w Tuchowie. Jego droga do stopnia porucznika nie była łatwa. Po otrzymaniu w roku 1910 świadectwa dojrzałości w II Gimnazjum w Nowym Sączu zgłosił się na ochotnika do wojska, aby odbyć jednoroczną służbę w pułku piechoty w Grazu. Zrobił to celowo, ponieważ po ukończeniu 24 lat musiałby zgodnie z przepisami służyć w wojsku przez trzy lata. Na razie jako rezerwista otrzymał przydział służbowy do 57. Pułku Piechoty w Tarnowie, który stał się dla niego pułkiem macierzystym. Potem zapisał się na wydział prawa UJ. Studiów jednak nie udało się kontynuować.

W 1914 roku wybuchła wojna i Antoni jako kadet 57. Pułku Piechoty wziął udział w walkach na froncie serbskim. Otrzymał tam postrzał w nogę. Ranę leczył w szpitalu w Zagrzebiu. Od czerwca 1916 roku walczył na froncie włoskim.

Tu otrzymał awans na Leutnanta (podporucznika) z ważnością od 1 maja 1915 roku. W roku 1917 awansował na stopień Oberleutnanta (porucznika). Te dwa awanse zawdzięczał przede wszystkim znakomitemu wyszkoleniu podwładnych żołnierzy oraz utrzymaniu wśród nich wzorowej dyscypliny. Pozostałą część 1917 roku spędził w Przerowie na Morawach, a potem we Frysztacie na Śląsku Cieszyńskim. Otrzymał wtedy sześciotygodniowy urlop, który spędził u rodziny pod Bieczem.

Wracając z urlopu odwiedził krewnych w Prokocimiu. Tu, w domu swego szwagra Cholewy, poznał inteligentnego, sprytnego i zaradnego robotnika Józefa Badziocha, który przewodził miejscowej bandzie złożonej z dezerterów, byłych legionistów ukrywających się przed aresztowaniem i lokalnych typów z marginesu społecznego. Od czasu do czasu urządzali napady rabunkowe na pociągi towarowe, przewożące między innymi materiały wojskowe. Z bandą współpracowali także miejscowi kolejarze. Po dokładnym rozeznaniu lokalnych stosunków porucznik Stawarz postanowił wpłynąć na Badziocha, aby zmienił charakter bandy – miała się stać organizacją dywersyjną skierowaną przeciw austriackiemu zaborcy. Przypuszczał, że jej członkowie mogą być przydatni w końcowej fazie wojny. W spotkaniu, które odbyło się 17 stycznia 1918 roku wzięli udział – oprócz Antoniego Stawarza – jego brat Stefan, Badzioch, Piotr Dudek i szwagier Cholewa. Porucznik Stawarz przekonał wszystkich do działalności dywersyjnej, głównie do zdobywania i magazynowania broni i amunicji. Wyjaśnił obecnym, że gdy powstanie wolna, niepodległa Polska, to członkowie bandy będą traktowani jak zwyczajni bandyci. Badzioch jako dowódca przyjął propozycje porucznika.

Stawarz wrócił po urlopie do 57. Pułku Piechoty w Przerowie. Na przełomie marca i kwietnia został skierowany na kurs szkoleniowy pod Pragę w zakresie dowodzenia jednostkami obsługi ciężkich karabinów maszynowych (cekaemów).

Pod koniec kwietnia wysłano go, jako dowódcę oddziału cekaemów, na asystencję do Frysztatu na Śląsku Cieszyńskim.

Oddział miał ochraniać dobra niemieckiego obszarnika ze względu na powstające w okolicy wśród robotników i górników rozruchy głodowe. W czasie tej służby Stawarz dał się poznać swym żołnierzom jako oficer dobrze dbający o podwładnych. Nabrali do niego pełnego zaufania, ponieważ porucznik, omijając niektóre przepisy, dołożył starań, aby wszyscy mogli wykorzystać od miesięcy odkładane urlopy. Na szczęście w tym rejonie panował do końca czerwca całkowity spokój. Wtedy odwołano ich oddział do Przerowa. Po miesiącu kadra 57. Pułku Piechoty w Przerowie otrzymała rozkaz przekazania jednej kompanii piechoty i jednego plutonu cekaemów do tworzonego w tym czasie z różnych jednostek asystencyjnego batalionu IR nr 93 w Krakowie (Infanterie Regiment nr 93). Na dowódcę plutonu cekaemów wyznaczono Oberleutnanta Stawarza. Mieli zacząć służbę w Krakowie od 1 września. Porucznik otrzymał wtedy dwutygodniowy urlop liczony od 15 sierpnia. Postanowił go spędzić u rodziny pod Bieczem.

Wspomniane wyżej bataliony asystencyjne były jednostkami powoływanymi z różnych pułków armii austriackiej w końcowej fazie pierwszej wojny światowej. Stacjonowały przeważnie we wszystkich większych ośrodkach administracyjnych monarchii. Ich zadaniem było: pełnienie służby policyjno-wojskowej, utrzymanie mieszkańców w posłuszeństwie wobec władzy, tłumienie rozruchów i buntów ludności, ściganie i wyłapywanie dezerterów i żołnierzy przedłużających pobyt na urlopie, ochrona magazynów, patrolowanie ulic oraz dworców kolejowych, a także służba wartownicza w więzieniach. Bataliony asystencyjne składały się z kilku kompanii piechoty, każda z własnym plutonem cekaemów. Z reguły były rekrutowane z głównych narodowości monarchii: Niemców austriackich, Czechów, Polaków i Rusinów. Pełniący w nich służbę oficerowie i żołnierze otrzymywali wyżywienie takie samo jak oddziały frontowe. Dodatek asystencyjny sprawiał, że uposażenie było w sumie lepsze od frontowego. Natomiast ludność miejscowości, w których jednostki asystencyjne były zbyt aktywne, odnosiła się

do nich negatywnie, a nawet wrogo, ponieważ nierzadko podczas okolicznościowej strzelaniny przy ściganiu dezerterów dochodziło do ofiar w postaci zabitych i rannych. Władze państwowe, przekonane o tym, że służba w tych jednostkach była lekka i całkowicie nieporównywalna ze służbą na froncie oraz o tym, że służyli w nich ludzie zdyscyplinowani, o najlepszych kwalifikacjach, były pewne lojalności oficerów i żołnierzy tych jednostek. Jakże jednak myliły się one co do osoby Oberleutnanta Antoniego Stawarza i jego podkomendnych z 57. Pułku Piechoty. Stąd też nie może dziwić fakt, że ówczesne postępowanie i działalność porucznika Stawarza sprawiły, że jego bratanek Janek Stawarz nazwie go potem w prowadzonych na ten temat rozmowach „podgórskim Wallenrodem".

Od 1 września 1918 roku kompania 57. Pułku Piechoty oraz należący do niej pluton cekaemów Stawarza, składające się z chłopów z podtarnowskich wsi, znalazły się w składzie batalionu asystencyjnego IR nr 93 w koszarach artylerii przy ul. Kalwaryjskiej w Podgórzu (tu, gdzie znajduje się obecnie hotel Korona). Drugą była kompania i jej pluton cekaemów, złożone z Niemców morawskich (Mährisch Schönberg). Trzecią, mieszaną i jej pluton stanowili Rusini, Niemcy, Czesi i nieco Polaków ze Śląska Cieszyńskiego. Czwarta kompania i jej pluton cekaemów kwaterowały w tym czasie w koszarach przy ul. Warszawskiej. Składały się z samych Czechów. Porucznik Stawarz sprawował w tym batalionie funkcję dowódcy kompanii karabinów maszynowych, złożonej z czterech plutonów przyporządkowanych poszczególnym kompaniom piechoty.

Już na początku pobytu w Krakowie Stawarz odwiedził rodzinę brata w Prokocimiu. Badzioch złożył mu wtedy raport z działalności swojej organizacji dywersyjnej. Informował w nim, że jego oddział liczący do 80 ludzi, karny, zdyscyplinowany, uzbrojony i zaprowiantowany, prowadzi regularne ćwiczenia wojskowe w lasku położonym za stacją przetokowo-towarową w Prokocimiu, nazywanym tu „Olszynką"[3]. Badzioch

[3] Obecnie są tu stawy zwane Bagrami.

Biblioteka Jagiellońska w Krakowie

poinformował również, że w Prokocimiu, w stodole i brogu słomy należących do Piotra Dudka, zgromadzono i ukryto 120 karabinów typu Manlicher, 4 karabiny typu Werndl, 40 austriackich rewolwerów bębenkowych (służbowych), 2 skrzynie granatów ręcznych i kilka skrzyń amunicji do Manlicherów. Zawartość tego „magazynu" mogłaby posłużyć do uzbrojenia oddziału liczącego 160 ludzi. Podkomendni Badziocha spisali się w tym przypadku na medal. Porucznik polecił mu wtedy kontynuować ćwiczenia i czekać na dalsze rozkazy. Łącznikiem między nimi pozostał brat Stefan.

Józef Badzioch, dowódca prokocimskiej organizacji

Drugi batalion asystencyjny IR nr 1 (Infanterie Regiment nr 1) stacjonował także w Podgórzu, w koszarach przy ulicy Wielickiej. Analogicznie jak ten przy Kalwaryjskiej, składał się z czterech kompanii piechoty liczących po 180 żołnierzy. Każda z nich miała swój pluton cekaemów złożony z 40 żołnierzy, którzy stanowili obsługę czterech „maszynek". Jedną z tych kompanii oraz związany z nią pluton cekaemów tworzyli żołnierze z wadowickiego 56. Pułku Piechoty. Drugą stanowili Czesi, trzecia była mieszana – w jej składzie znajdowali się Rusini, niewielka

ilość Czechów i Niemców. Czwarta, złożona z samych Niemców (osławionych Deutschmeistrów), stacjonowała wtedy w koszarach na Prądniku Czerwonym. Jedynym oficerem Polakiem był w tym batalionie dowódca kompanii z 56. Pułku Piechoty, podporucznik Franciszek Pustelnik. Zdaniem Stawarza był to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności.

W swoim batalionie przy ul. Kalwaryjskiej rozpoczął działalność konspiracyjną, która miała ściśle militarny charakter. Bez trudności pozyskał do realizacji swego zasadniczego planu, którym było odebranie Austriakom władzy w Krakowie, dwóch oficerów: podporucznika Ignacego Śnigowskiego, dowódcę kompanii z 57. Pułku Piechoty oraz Jana Banacha, porucznika z 13. Pułku Strzelców Polnych.

Podobnie łatwo zwerbował wszystkich podoficerów z tej kompanii, z plutonowym Zapartem, chłopem spod Dąbrowy, na czele. Z rozmów wykluczył jedynie szefa kompanii, zawodowego sierżanta, ponieważ nie miał do niego zaufania. Przez plutonowego Zaparta, który wkrótce stał się jego prawą ręką w pracy konspiracyjnej, Stawarz poznał i zapewnił udział w przewrocie podporucznika Pustelnika i wszystkich podległych mu podoficerów Polaków z 56. Pułku Piechoty z ul. Wielickiej. Wiedział, że może na nich liczyć.[4] W ten sposób porucznik Stawarz mógł przy końcu października dysponować dwoma kompaniami piechoty, po 180 żołnierzy każda, dwoma plutonami obsługi cekaemów po 40 żołnierzy i około 80 uzbrojonymi cywilami z prokocimskiej organizacji dywersyjnej.

Taki stan zgłosił Stawarz podpułkownikowi Bolesławowi Roji, przewidywanemu przez Polską Komisję Likwidacyjną na

---

[4] Dowodem na to mogło być między innymi następujące wydarzenie: w połowie października 1918 roku wracała z ćwiczeń kompania 15. Pułku Strzelców z Opawy. Przed koszarami przy ul. Wielickiej, w których stacjonowała także wadowicka kompania z 56. Pułku Piechoty, Niemcy zaśpiewali „Die Wacht am Rhein". Polacy uznali to za prowokację i żądali zaprzestania śpiewu. Ponieważ tamci nie chcieli ustąpić, doszło do awantury. Wadowiczanie chwycili za karabiny ręczne i maszynowe. Tylko dzięki interwencji oficerów obu kompanii nie doszło do strzelaniny.

dowódcę sił zbrojnych, przejmujących od Austriaków obiekty wojskowe w Krakowie. Roja nie podjął wtedy żadnej decyzji, a ze Stawarzem kontaktował się potem podporucznik Stanisław Tęcza z 13. Pułku Piechoty, przyboczny oficer Roji.

Dwa najważniejsze dni w życiu porucznika Stawarza

Pierwotny plan przewrotu, nazywanego przez Stawarza rewolucją, przewidywał rozbrojenie załogi austriackiej w Podgórzu w południe 31 października, a następnie przeniesienie całej akcji na teren Krakowa.[5]

Przed południem miała wrócić na ul. Kalwaryjską jego kompania tarnowiaków z 57. Pułku Piechoty. Pełniła ona służbę wartowniczą wokół więzienia na Montelupich i sąsiednich budynków wojskowych. W koszarach przy ul. Kalwaryjskiej pozostało tylko 27 żołnierzy tej kompanii. Stawarz pełnił w tym czasie funkcję oficera inspekcyjnego w batalionie, a plutonowy Zapart funkcję podoficera inspekcyjnego.

Rankiem dnia 30 października jeden z czeskich żołnierzy, który akurat wrócił z urlopu, pokazał Stawarzowi najnowszą czeską gazetę, która zawierała proklamację niepodległościową oraz opis przewrotu w Czechach i na Morawach. Stawarza poruszyło to, że tym razem Czesi wyprzedzili polskie działania rewolucyjne. Pożyczył od żołnierza gazetę i poszedł pokazać ją Roji. Prosił o podjęcie decyzji. Pułkownik kazał nadal czekać. Wtedy właśnie Stawarz, Śnigowski i Zapart zdecydowali o podjęciu działań w terminie powrotu kompanii ze służby na ul. Montelupich. Sam porucznik rozpoczął gromadzenie symboli narodowych. Miały one posłużyć do oznaczania żołnierzy oraz

[5] Należy pamiętać, że dowodzący w mieście generałowie austriaccy dysponowali wtedy 12 tysiącami żołnierzy, wśród których były także oddziały złożone z Niemców austriackich i oddziały węgierskie.

osób cywilnych, które wezmą bezpośredni udział w przewrocie. W związku z tym poprosił swoją gospodynię, panią Wisłocką, o zakupienie dużej ilości biało-czerwonych kokardek i szpilek. Równocześnie zamówił dla siebie zakup legionowej czapki maciejówki z polskim orzełkiem. Przekazał na to kwotę około 200 koron z pożyczki od swej bratowej Anieli. Pani Wisłocka wykupiła w sklepie wszystkie kokardki oraz dużą ilość białych i czerwonych wstążeczek, z których można było w domu wykonać resztę potrzebnych kokardek. Wraz z córką Hanusią zwerbowały do tej pracy swoje sąsiadki: Cecylię Knausową, Jadwigę Dobrowolską, panią Kryłowską oraz jej córki Nusię i Oleńkę. Razem przystąpiły do sporządzania tych kokardek i pracowały do północy. Stawarz w tym czasie obmyślał plany w swoim pokoju.[6] Nieoczekiwanie około godziny 19 zadzwoniło do furtki kwatery Stawarza trzech oficerów w mundurach austriackich, ale w maciejówkach z polskimi orzełkami. Przyprowadził ich sierżant z jego batalionu na ul. Kalwaryjskiej. Porucznik poznał jednego z oficerów. Był to jego znajomy z 57. Pułku Piechoty, porucznik Ludwik Iwaszko. Stawarz poprosił ich do siebie. Wzbraniającemu się przed wejściem sierżantowi, który przyprowadził oficerów do jego kwatery w willi pani Wisłockiej, zagroził po cichu śmiercią w przypadku ewentualnej zdrady. Pozostali dwaj podporucznicy, Wilhelm Stec i Jan Gawron z 13. Pułku Strzelców, przynieśli dla Stawarza rozkaz od adiutanta Roji – podporucznika Stanisława Tęczy, że ma na jutro, to jest na czwartek 31 października przygotować na godzinę 11 oddział trzydziestu żołnierzy z bronią i amunicją do obsadzenia odwachu na Rynku krakowskim, po przejęciu go z rąk Austriaków. Oddziałem tym mieli dowodzić wysłani podporucznicy Stec i Gawron. Stawarz był nie tylko zaskoczony nieoczekiwaną wizytą, ale także mocno przeraziła go

[6] Niezależnie od inicjatywy Stawarza w Podgórzu, także w Krakowie w tym czasie o wykonanie takich kokardek zwrócił się do znajomych, państwa Bojarskich z ul. Floriańskiej, podporucznik Stanisław Tęcza, przyboczny oficer brygadiera Roji.

zaistniała sytuacja. Dotychczas wystrzegał się, jak mógł dawania powodów do dekonspiracji planowanego przewrotu. A tu trzech oficerów w legionowych czapkach z polskimi orzełkami dopytuje się o jego kwaterę w koszarach batalionu. Czy powiadomione o tym dowództwo IR nr 93 nie zechce go wcześniej wyeliminować z gry?

Równocześnie, przekazany rozkaz zmieniał ustalony termin rozbrojenia Niemców nie tylko na ul. Kalwaryjskiej, ale także w całym Podgórzu. W aktualnej sytuacji nie można było czekać na powrót kompanii z ul. Montelupich. Stawarz zrozumiał, że musi przeprowadzić rozbrojenie dwóch kompanii batalionu oraz dwóch plutonów cekaemów następnego dnia, wczesnym rankiem 31 października, przy pomocy 27 tarnowiaków z 57. Pułku Piechoty oraz przy wykorzystaniu najlepszego sprzymierzeńca, jakim będzie zaskoczenie.

Poinformował gości o tej decyzji, jak również o współdziałaniu z podporucznikiem Pustelnikiem i wykorzystaniu organizacji prokocimskiej oraz o planowanych marszach przez Kraków. Wyznaczył zbiórkę na godzinę 7 rano na Rynku Podgórskim. Wszyscy trzej oficerowie oddali się pod jego komendę. On sam musiał pojechać na kwaterę Pustelnika a potem do Prokocimia. W związku z tym zaprowadził gości do pań zatrudnionych przy wytwarzaniu kokardek. Zabrał odpowiednią ilość przygotowanych kokardek i udał się dorożką na kwaterę podporucznika Pustelnika.[7]

Zastał go w domu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności gościł u niego porucznik Hustak, Słowak z Moraw, oficer z kompanii czeskiej w koszarach przy Wielickiej. Po przedstawieniu sprawy przez Stawarza Hustak zobowiązał się przygotować Czechów do pomocy Pustelnikowi w rozbrajaniu

[7] Oficerowie obu batalionów asystencyjnych w Podgórzu mieszkali w kwaterach prywatnych położonych niedaleko koszar. W koszarach przebywali jedynie w czasie pełnienia służby wewnętrznej lub szkolenia żołnierzy. Wojskowo-policyjny charakter służby umożliwiał oficerom poruszanie się po całym mieście bez wzbudzania specjalnych podejrzeń.

tamtejszego batalionu. Rozbrojenie to musi nastąpić przed pobudką i zakończyć się internowaniem niemieckich żołnierzy i oficerów. Po internowaniu Polacy z wadowickiego 56. Pułku Piechoty mają zmienić na swych czapkach austriackie „bączki" na narodowe kokardki. Wyposażeni w nabite karabiny i po 120 naboi, z kilkoma granatami za pasem, utworzą trzy kolumny i uzupełnieni przez żołnierzy czeskich przejdą ulicami Józefińską, Lwowską i Rękawka na Rynek Podgórski. Po drodze mają rozbrajać napotkanych Austriaków, zrywać im „bączki" z czapek, a oficerom – ozdoby szabli w postaci frędzli wykonanych ze złotego sznurka, zwane *porte-épée*. Z budynków rządowych mają zrywać i niszczyć orły austriackie i inne wrogie napisy i emblematy, a w drodze wznosić okrzyki na cześć Polski i jej wolności oraz na zagładę Austrii. Ma to na celu przyłączanie się ludności cywilnej do pochodu. Po przyjęciu tych ustaleń Stawarz wraz z Pustelnikiem pojechali dorożką na dworzec kolejowy w Płaszowie, gdzie pełnili służbę żołnierze z polskiej kompanii z ulicy Wielickiej.

Tu porucznik Stawarz, wyprzedzając nieco przyszłe wypadki, poinformował obecnych żołnierzy i kolejarzy, że w Krakowie wybuchła rewolucja i rozbrojono część austriackiej załogi. Rozdał im biało-czerwone kokardki. Wywołał tym ogólny entuzjazm. Kolejarze podpowiedzieli mu, że celowe byłoby telegraficzne powiadomienie o tym wszystkich stacji kolejowych na terenie Galicji oraz na terenach zaboru rosyjskiego, które aktualnie okupują Austriacy. Przekazano wiadomość następującej treści:

„Rewolucja w Krakowie. Rząd polski objął władzę. Wstrzymać wszystkie transporty, które by chciały wyjechać poza granice kraju. Kierować je na Kraków."

W ten sposób pierwszym wolnym skrawkiem polskiej ziemi stał się dworzec kolejowy w Płaszowie. Miało to miejsce dnia 30 października 1918 roku o godzinie 9 wieczorem. Potem okazało się, że treść tego telegraficznego powiadomienia miała znaczące następstwa, ponieważ wywołała w niektórych

miejscowościach efektywne wystąpienia przeciw austriackiemu zaborcy.

Po pożegnaniu Pustelnika Stawarz pojechał z płaszowskiego dworca do Prokocimia. Tu polecił Badziochowi ogłoszenie alarmu po to, żeby nazajutrz rano o godzinie 7 większość organizacji stawiła się w pełnym uzbrojeniu na Rynku Podgórskim. Pozostała część ludzi Badziocha miała próbować zdobyć pociąg pancerny stojący na bocznicy. Gdyby okazało się to niemożliwe, mieli nie dopuścić do jego wyjazdu z torowisk Prokocimia i Płaszowa. Kolejarze z płaszowskiej ogrzewalni zapewnili, że nie wpuszczą ewentualnych transportów wojskowych na teren Krakowa. Zaproponowali także udział kolejarskiej orkiestry w marszach po mieście.

Tymczasem mieszkańcy Prokocimia nie kładli się do snu. Dwaj gimnazjaliści, bracia Piekarczykowie, powtarzali sygnał umówionego alarmu, wygrywając go na swych trąbkach. Rozległy się okrzyki: 'Rewolucja! Polska powstała!' Cieszono się. Wiwatowano. Strzelano z broni wszelkiego rodzaju. Nie zapominano o odpowiedniej rozgrzewce, bo wieczór był zimny. Ochotnikom mającym wziąć udział w porannej zbiórce w Podgórzu wydano broń i amunicję z zapasów przechowywanych u kolejarza Dudka. Od razu rozbrojono miejscowy posterunek żandarmerii. A jeszcze niespełna dwie godziny wcześniej jego komendant w restauracji Jana Bączka groził pistoletem Stefanowi Stawarzowi za to, że ten z wielką pewnością przekonywał obecnych tam gości, że dzisiaj w nocy 'Polska powstanie'.

Była godzina 23:30, gdy porucznik Stawarz wrócił na Krzemionki. Kobiety kończyły swą pracę, na stołach leżały stosy kokardek. Mijała środa 30 października, ostatni dzień niewoli Krakowa. Porucznik poprosił panią Wisłocką, żeby go zbudziła wczesnym rankiem o godz. 4:30. Jednak nie mógł zasnąć. Analizował szczegóły planu działania na dzień jutrzejszy. Miał rozbroić dwie kompanie piechoty i dwa plutony obsługi cekaemów składające się w połowie z zażartych Niemców austriackich. Dysponował na wykonanie tego zadania niespełna trzydziestoma

ludźmi. Równocześnie nie mógł i nie chciał dopuścić do rozlewu krwi. Do tego musiałoby dojść w przypadku, gdyby podporucznik Pustelnik był zmuszony pomóc jego ludziom w rozbrajaniu Niemców z ul. Kalwaryjskiej. Jakże przydałby mu się w tym położeniu sienkiewiczowski pan Zagłoba z jego fortelami! Tu mógł liczyć tylko na siebie i na tych 27 podtarnowskich chłopów z Zapartem i Śnigowskim.

Rankiem wstał, ubrał austriacki mundur i czapkę z cesarskim „bączkiem". Do kieszeni płaszcza włożył legionową maciejówkę z polskim orzełkiem, a do drugiej – pakiet biało-czerwonych kokardek. Ruszył do koszar. Tego dnia pełnił funkcję oficera inspekcyjnego. Mógł wydawać polecenia i rozkazy obowiązujące w całym batalionie.

Dzień przewrotu

Stawarz wzywa do bramy koszar komendanta warty, Czecha. Przekonuje go, że podobnie jak polskie pułki w Czechach pomogły jego rodakom uwolnić się spod jarzma austriackiego, tak Czesi w Krakowie powinni pomóc Polakom chcącym się uwolnić spod tego samego jarzma. Czech zgadza się od razu. Na rozkaz Oberleutnanta rozbraja dwóch Niemców wchodzących w skład warty i zamyka ich w areszcie. Następnie wzmacnia wartę kilkoma Czechami, których zwalnia z tego samego aresztu. Wzmocniona warta wokół koszar otrzymuje rozkaz: 'Nie wypuszczać nikogo na zewnątrz. Wpuszczać można tylko pojedyncze osoby, przy czym Niemców rozbrajać i osadzać w areszcie.' Porucznik przekazuje kapralowi biało-czerwone kokardki dla całej warty. Jednak Czesi nie przypinają ich w miejsce bączków - rozetek, tak jak to robili Polacy, tylko po rozwiązaniu kokardek owijają wstążeczkami bączki na swych czapkach. Robili to wszyscy Czesi, którzy brali udział w krakowskim przewrocie. Widocznie takie polecenie otrzymali od swych oficerów.

Potem, wspólnie ze spotkanym na podworcu koszar plutonowym Zapartem pełniącym wtedy funkcję podoficera inspekcyjnego, udał się Stawarz do podporucznika Śnigowskiego. Obu poinformował o wypadkach na dworcu w Płaszowie, o alarmie ludzi Badziocha w Prokocimiu, a także o spodziewanym udziale pułkownika Roji, na czele POW. Ta ostatnia uwaga miała chyba na celu podniesienie na duchu obu słuchaczy. W końcu zapoznał ich ze szczegółami własnego planu przyśpieszonego opanowania miejscowych koszar.

Przystąpili do działania. Zachowując ciszę, obudzili swoich żołnierzy z 57. Pułku Piechoty. Było ich tylko 27, reszta kompanii wraz z plutonem karabinów maszynowych pełniła służbę w więzieniu na Montelupich oraz w sąsiadujących budynkach i magazynach. Żołnierze szybko się ubrali, pobrali z magazynu ostrą amunicję do karabinów ręcznych i maszynowych. Stawarz przemówił do nich krótko. Zaapelował do ich uczuć patriotycznych. Z entuzjazmem przyjęli jego słowa; wierzyli swojemu porucznikowi. Natychmiast zmienili zerwane z czapek bączki na narodowe kokardki. Stchórzył jedynie sztabowy sierżant, który pozorując niedomogi żołądkowe, przesiedział potem całą akcję w ubikacji.

Przygotowani żołnierze wypili poranną kawę, załadowali karabiny, nasadzili na nie bagnety, a za pasy wsadzili po kilka granatów ręcznych. Komendę nad nimi przejął podporucznik Śnigowski. Kryjąc się między barakami czekali na sygnał.

Zbliżała się godzina szósta. Było jeszcze ciemno, zimno, zaczął siąpić jesienny deszcz. Pod kuchnią Stawarz z Zapartem nadzorowali wydawanie porannej kawy pobieranej przez dyżurnych. Nagle porucznik, jako oficer inspekcyjny, przerwał wydawanie kawy i po niemiecku ogłosił alarm całego batalionu bez broni. Miały być podane żołnierzom do wiadomości specjalne informacje i rozkazy związane z niedawno zaszłymi wypadkami.

Żołnierze opuścili powoli swoje ciepłe pomieszczenia i bez karabinów ustawili się na placu. Po raporcie złożonym porucznikowi, ten stanął na przyniesionej skrzyni i zaczął

przemawiać po niemiecku: wiadomości, które ma przekazać żołnierzom mają bardzo duże znaczenie. W związku z tym, żeby być lepiej zrozumianym przez przedstawicieli różnych narodowości, będzie przemawiał po niemiecku i po czesku. Dlatego konieczny jest podział batalionu na dwie grupy: niemiecką i słowiańską.

Żołnierze posłusznie podzielili się na dwie grupy: większą – niemiecką i mniejszą, złożoną z Rusinów, Czechów i Polaków pochodzących z cieszyńskiego Śląska. Po ustawieniu się obu grup w pewnej odległości od siebie, Oberleutnant Stawarz dał umówiony sygnał służbowym gwizdkiem. Na jego ostry dźwięk wypadła zza baraków uzbrojona po zęby grupa podtarnowskich wiarusów z podporucznikiem Śnigowskim na czele i otoczyła zbrojnym kordonem ogłupiałą grupę Niemców austriackich. Polscy żołnierze z 57. Pułku Piechoty umieli doskonale izolować pojedyncze grupy ludzkie. Przecież jeszcze nie tak dawno szkolono ich intensywnie w batalionie asystencyjnym, jak należy realizować podobne polecenia.

Wtedy porucznik Stawarz ponownie zabrał głos. Mówił w dalszym ciągu po niemiecku: stara Austria wali się w gruzy. Zgodnie z zasadami prezydenta Wilsona powstają w Europie państwa narodowe. Galicyjscy Polacy musieli zrobić to siłą, ponieważ nie mogli się tego doczekać ze strony władz. Wasi dotychczasowi dowódcy przestali nimi być. Ja obejmuję władzę w Podgórzu i okolicy. Odeślę was do domu w odpowiednim czasie. Nie radzę uciekać, bo ludność Krakowa, pamiętająca wasze postępki w okresie służby asystencyjnej rozedrze was na kawałki. Tu, w koszarach, zaręczam wam życie i zdrowie. Mówię do was ja – oficer polski, nie austriacki, ponieważ rzucam czapkę austriacką w błoto, a ubieram czapkę polską, maciejówkę z polskim orłem i kokardką w narodowych barwach.

Na zakończenie swego przemówienia porucznik wzniósł okrzyk w języku niemieckim: '*Polnische Republik soll leben! Hoch!*' (Niech żyje Republika Polska!) Całkowicie zaskoczeni Niemcy, trzykrotnie powtórzyli słowo '*hoch*'. Następnie Stawarz

zaapelował do Czechów, żeby pomogli tutaj Polakom tak, jak polskie pułki pomogły Czechom w czasie przewrotu w Czechach i na Morawach. Cieszyńskim Ślązakom przypomniał, że zgodnie z zasadami Wilsona stali się obecnie obywatelami Polski. Teraz mają przenieść broń z pomieszczeń niemieckich i umieścić ją w zabezpieczonym pomieszczeniu w pobliżu bramy do koszar. Niemcom kazał wracać do sal i wydawać kawę. Dla pełnego zabezpieczenia ustawiono naprzeciw ich pomieszczeń dwa karabiny maszynowe z celowniczymi. Miejscem internowania oficerów była po ich rozbrojeniu jadalnia oficerska. Zabezpieczono także telefon batalionu, który dotychczas obsługiwał adiutant komendanta.

W taki właśnie sposób, dnia 31 października o godzinie 6:30 zakończyło się bezkrwawe, dokonane bez jednego wystrzału przejęcie koszar artyleryjskich przy ulicy Kalwaryjskiej w Podgórzu. Żołnierze Polacy zerwali dwugłowego orła austriackiego znad bramy koszar i w jego miejsce zawiesili biało-czerwoną flagę przyniesioną z pobliskiego gimnazjum ogólnokształcącego, z ulicy Zamojskiego.[8]

W tym czasie porucznik Stawarz na czele patrolu swoich żołnierzy dokonał internowania dowódcy batalionu asystencyjnego IR nr 93 kapitana Smekala w jego kwaterze przy ulicy Długosza. Natomiast zastępujący go wtedy w koszarach podporucznik Śnigowski rozbroił i internował kilkunastu Niemców - oficerów, przybywających na zajęcia w koszarach. Pomagał mu w tym podporucznik Banach.

W tym czasie podporucznik Pustelnik na czele swej wadowickiej kompanii i przy pomocy Czechów porucznika Hustaka dokonał przewrotu w koszarach przy ulicy Wielickiej.

Po internowaniu austriackich Niemców, wyruszyli zgodnie z planem trzema podgórskimi ulicami na rynek. Po drodze

[8] Jako ciekawostkę należy podać, że kobiety wiejskie noszące mleko przez Podgórze do Krakowa, przechodząc obok koszar w drodze do mostu na Wiśle widziały tę polską flagę i o przewrocie w Podgórzu opowiadały potem w mieszkaniach w śródmieściu.

rozbroili kompanię wartowniczą z 49. Pułku Piechoty stacjonującą w gmachu podgórskiego sądu oraz komendę powiatową żandarmerii przy ulicy Rękawka. Jeden z plutonów podporucznika Pustelnika zapędził się wtedy nawet w głąb ulicy Kalwaryjskiej, aż do wylotu ulicy Długosza i napotkał Stawarza i jego żołnierzy, konwojujących internowanego kapitana Smekala.

Zbiórka na Rynku Podgórskim i wymarsz na Kraków

Zgodnie z ustalonym terminem wszystkie grupy wojskowe i cywilne stawiły się około godziny 7 na rynku w Podgórzu. Brakowało jedynie podporuczników Steca i Gawrona. Prawdopodobnie, zgodnie z rozkazem brygadiera Roji przekazanym przez podporucznika Tęczę, mieli zgłosić się przed południem po pluton żołnierzy mający zastąpić wartę austriacką na odwachu.

Z organizacji prokocimskiej zgłosiło się 32 jej członków. Wszyscy po cywilnemu, ale z karabinami Manlichera i amunicją do nich. Uzbrojona grupa prokocimska miała stanowić dowód, że nie tylko wojsko, ale także ludność cywilna chwyciła za broń, żeby zrzucić austriackie jarzmo i doprowadzić do przejęcia władzy przez Polaków. Oprócz Badziocha i Stefana Stawarza stawili się między innymi: bracia Dudkowie, Jan i Leon Kowalikowie, Jan i Władysław Krzysicowie, Franciszek i Cyryl Magierowie, bracia Piekarczykowie oraz Więcek, Stokłosa, Kowalski, Golonka, Brożyna, Solarz i Siedleczko. Część pozostałych w Prokocimiu członków organizacji miała pod dowództwem Wojciecha Marszałka przeprowadzić próbę opanowania stojącego na bocznicy pociągu pancernego; reszta miała pozostawać w odwodzie.

W uzgodnieniu ze Stawarzem zestawiono dwie kolumny wojskowo-cywilne. Jedna, dowodzona przez podporucznika Pustelnika, zawierała jego wadowicką kompanię piechoty,

uzbrojoną grupę prokocimskich cywili oraz część tych okolicznych mieszkańców Podgórza, którzy – zaalarmowani porannym przemarszem wojska – zgromadzili się na rynku. Druga, polsko-czeska, obejmowała Polaków z pułków 57 i 5, żołnierzy ze Śląska Cieszyńskiego, Czechów z obu batalionów asystencyjnych oraz część ludności Podgórza. Dowodzili nią podporucznik Śnigowski i porucznik Hustak.

Stawarz umówił się z prowadzącymi, że będą go przez gońców informować o przebiegu rozbrajania, aby w przypadku wystąpienia jakichkolwiek zagrożeń mógł wysłać do nich pomoc. Umówili się, że maszerujący przez Kraków nie będą próbowali obsadzać odwachu. Miało to – jako symbol oficjalnego przejęcia władzy w Krakowie – pozostać w rękach brygadiera Roji i jego oficerów.

Już wczesnym rankiem pojawiły się wśród zgromadzonych na rynku panie z Krzemionek i rozdawały kokardki wykonane ubiegłej nocy. Mówiono wtedy w Podgórzu, że nie brakowało wśród cywili chętnych, którzy chcieli zapłacić 10 koron za taką kokardkę.

Trasa pochodu prowadzonego przez ppor. Śnigowskiego

Część wojskową pochodu tworzyli Polacy oraz Czesi. Pod dowództwo podporucznika Śnigowskiego oddał Stawarz oddział złożony z żołnierzy 57. Pułku Piechoty oraz 13. i 5. Pułku Strzelców Polnych a także Polaków ze Śląska Cieszyńskiego, którzy znajdowali się w rozbrojonym batalionie. Maszerujących bez broni żołnierzy Czechów z obu batalionów (tego z Wielickiej i z Kalwaryjskiej) prowadził porucznik Hustak. Oddziałom wojskowym towarzyszył tłum mieszkańców Podgórza i okolicy. Trasa przemarszu wiodła przez drewniany most na Wiśle, ulicę Mostową, Plac Wolności i ulicę Krakowską na Stradom. Pochodowi towarzyszyły pieśni i okrzyki. Śpiewano „Jeszcze

Polska nie zginęła", a melodii hymnu towarzyszyły okrzyki: 'Niech żyje Polska', 'Niech żyje wolna ojczyzna'. Czesi śpiewali: '*Kde domov moj*' i krzyczeli '*Na Zdar*'. Mieszało się to z okrzykami skierowanymi przeciw austriackim zaborcom i ich panowaniu.

Na Stradomiu pochód dotarł pod Militärkommando czyli Komendę Wojskową, siedzibę głównych austriackich władz wojskowych przy ul. Stradomskiej 12-14. Najwyższą władzę sprawował tutaj generał hr. Zigismund Benigni ze swoim sztabem. Aktualnie nie byli obecni w gmachu, ponieważ udali się na spotkanie z prezydium Polskiej Komisji Likwidacyjnej w krakowskim magistracie. W oknach komendy widać było przerażone twarze żołnierzy i oficerów. Jedynie w jednym z okien pojawił się Polak, generał brygady Karol Piasecki, który machał rękami i krzyczał 'Niech żyje Polska!', 'Niech żyje wojsko polskie!' Żołnierze Śnigowskiego wdarli się do budynku. Austriacy poukrywali się w biurach komendy. Generał Piasecki zapobiegł wtedy niszczeniu biur i ich wyposażenia. Miały się przydać dla tworzącego się wojska polskiego.[9]

Cywile zadowolili się niszczeniem austriackich napisów i emblematów, młodzi chłopcy przynieśli z sąsiedztwa drabinę i zerwali znad bramy wielkiego, dwugłowego austriackiego orła. Tłum podeptał go z pasją.

Następnie pochód dotarł ulicą Grodzką na plac św. Magdaleny. Tu, pod numerem 2 na pierwszym piętrze mieściła się Komenda Miasta (Stadtkommando)[10]. Była to najwyższa lokalna władza wojskowa w Krakowie, którą kierował generał dywizji Mieczysław Zaleski. Przebywał w tym czasie na urlopie.

---

[9] Tego samego dnia po południu gen. Piasecki wprowadzał do tego gmachu brygadiera Roję jako komendanta polskich sił zbrojnych w Krakowie, który przejmował tu dowództwo w imieniu Rządu Polskiego. Roja powierzył wtedy generałowi pełnienie służby w biurze w charakterze zastępcy dowódcy. (Adam Chmiel, *Oswobodzenie Krakowa*, s. 58)

[10] Zastąpiła ona dawną Festungskommando – Komendę Twierdzy.

W tym samym budynku mieściła się także Komenda Placu (Platzkommando) dowodzona przez pułkownika Prokopa. Stanowisko dyrektora kancelarii w tej komendzie od roku 1915 pełnił kapitan Mieczysław Łasiński, były dowódca batalionu 20. Pułku Piechoty.[11] Podobnie jak na Stradomiu, tłum niszczy emblematy i zrywa austriackie napisy. Przystawiono drabinę i strącono dwugłowego orła.

Pochód idzie dalej ulicą Grodzką w kierunku Rynku. Tu spotyka ich brygadier Roja. Pyta żołnierzy: 'Chłopcy, skąd wy jesteście?' 'Z Podgórza od porucznika Stawarza!' 'Dobrze chłopcy, róbcie dalej to samo. Jestem pułkownik Roja, wasz komendant. Porucznik Stawarz mi podlega.' Idą dalej w kierunku odwachu. Służbę pełni tu chorąży i 15 żołnierzy z 33. Pułku Strzelców. Ogłaszają alarm, warta staje pod bronią. Zgodnie z rozkazem Stawarza Śnigowski mija odwach nie zaczepiając nikogo. Ruszają dalej w kierunku uniwersytetu. Wchodzą do sal wykładowych i krzyczą: 'Rewolucja! Polska powstała! Przerwać wykłady! Zwolnić słuchaczy!' Umożliwia to udział młodzieży akademickiej w pochodzie. Przed opuszczeniem gmachu żołnierze wyjmują portret cesarski z ram i wynoszą go przed budynek. Tu młodzież rwie go na drobne kawałki i zabiera je na pamiątkę. Następnie grupa Śnigowskiego wraca na Rynek i przez ulice Floriańską, Basztową, Potockiego (obecnie Westerplatte), Starowiślną, III. Most, Salinarną i Lwowską wraca do koszar na Kalwaryjską. Po drodze Czesi odłączają się do swoich koszar na Wielickiej. Powrót nastąpił około godziny dziesiątej.

[11] Przez kilka dni po przewrocie kapitan Łasiński kierował obu komendami: Miasta i Placu. Dopiero po mianowaniu generała Mandziary Komendantem Miasta, dnia 3 XI 1918 roku kapitan Łasiński oficjalnie objął Komendę Placu. (Chmiel, *Oswobodzenie Krakowa*, s. 59)

Trasa pochodu prowadzonego przez ppor. Pustelnika

Kolumna wojskowo-cywilna wyszła z Rynku Podgórskiego pod wodzą podporucznika Pustelnika około godziny 7:45. Trasa prowadziła przez ulicę Lwowską (obecnie Limanowskiego), Salinarną (obecnie Lwowską) i przez III. Most na ulicę Starowiślną. Praktycznie nie napotykano nigdzie na opór czy przeszkody, nawet ze strony austriackiej policji złożonej głównie z Czechów i Rusinów. Rozbrajano napotykanych w drodze żołnierzy i oficerów, zdzierano im „bączki", różyczki z czapek i *porte-épée* z szabel, niszczono wszystkie oznaki austriackiego panowania na ścianach budynków. Następnie przez ulicę Sienną, Mały Rynek i ulicę Mikołajską kolumna wyszła na Floriańską. Gromadzący się w otwartych oknach mieszkańcy powiewali chusteczkami i chorągiewkami wiwatując na cześć Polski, polskiego wojska i uczestników pochodu. W połowie ulicy Floriańskiej manifestujący spotkali orkiestrę kolejarzy zamówioną poprzedniego dnia przez Stawarza. Po zbiórce i pobraniu instrumentów maszerowała ona od strony ulicy Basztowej w kierunku Rynku. Jej kapelmistrz, konduktor kolejowy Antoni Urbański, złożył wtedy meldunek najwyższemu rangą oficerowi w pochodzie, porucznikowi Iwaszce, zgłaszając, że orkiestra przystępuje do wspólnej manifestacji. Postanowiono udać się na plac Matejki. Orkiestra szła na czele grając marsza „Polskie dźwięki". Pod Pomnikiem Grunwaldzkim wygłoszono okolicznościowe przemówienia. Między innymi poseł do parlamentu austriackiego Zygmunt Klemensiewicz rzucił hasło marszu pod wojskowe więzienie na Montelupich celem uwolnienia więźniów. Niektórzy poparli ten projekt. Śniła im się paryska Bastylia z czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej, ale w krakowskim wydaniu. Kubeł zimnej wody wylał na rozpalone głowy porucznik Iwaszko. W swoim wystąpieniu powtórzył przekazane mu przez Stawarza fakty: w więzieniu wojskowym na Montelupich znajdują się nie tylko więźniowie polityczni ale także

zwyczajni przestępcy kryminalni, złodzieje, bandyci i mordercy. Ich równoczesne wypuszczenie z więzienia może wywołać zamęt i niepokoje w mieście. O segregacji więźniów i wypuszczaniu ich na wolność będą decydować władze polskie.

Projekt oswobodzenia więźniów Montelupich upadł, lecz – jakby dla rekompensaty – pochód skierował się przez ulicę Basztową, Dunajewskiego i Karmelicką pod koszary Landwehry (Obrony Krajowej) przy ulicy Siemiradzkiego. Również tu były więzienia. Austriacy przetrzymywali w nich, obok członków POW, także tych legionistów, którzy po kryzysie przysięgowym z 9 lipca 1917 roku nie tylko odmówili złożenia przysięgi wojskowej, lecz zdołali uniknąć internowania w Beniaminowie (oficerowie) czy w Łomży i Szczypiornie (żołnierze i podoficerowie). Więziono tu też osoby, które brały udział w uwalnianiu tych legionistów z transportów kolejowych zdążających do miejsc internowania. Na ulicy Siemiradzkiego przetrzymywani byli także ci, którzy ukrywali uciekinierów przed władzami.

Do koszar wkroczyła część żołnierzy Pustelnika i uzbrojeni prokocimianie. Z nieskrywaną radością powitali ich Polacy z miejscowego pułku Obrony Krajowej. Otworzono cele, wypuszczono więźniów. Zapanował ogólny entuzjazm. Jednak do koszar wdarli się także cywile, wśród nich sporo młodzieży, zaczęto wynosić broń. Doszło do bezmyślnego niszczenia wyposażenia koszar, mundurów i uzbrojenia. Obecni w koszarach oficerowie dobrze zdawali sobie sprawę z tego, czym grozi taka sytuacja. Podporucznik Pustelnik, jako dowodzący, powołał na stanowisko komendanta koszar jednego z uwolnionych legionistów, kapitana Dostala. Sytuacja została opanowana.

Pochód ruszył dalej w kierunku gimnazjum Sobieskiego. W szkole przerwano naukę, z budynku zerwano dwugłowego orła, orkiestra zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła". Uczniowie gimnazjum przyłączyli się do pochodu, który przez Karmelicką i Szewską dotarł na Rynek. Przed odwachem odbyła się pokojowa manifestacja. Następnie pochód podążył ulicą Grodzką na

Stradom. Po drodze zerwano austriackiego orła z gmachu sądu karnego na Kanoniczej. Orkiestra zagrała hymn narodowy. W gmachu Komendy Miasta i Placu władzę sprawowali już polscy oficerowie. Na rogu ulicy Dietla znajdowała się mała komenda wojsk pruskich zajmująca się ochroną grobów wojennych. Budynku pilnowali uzbrojeni żołnierze niemieccy. Zostali rozbrojeni, zabrano im broń i pikielhauby. W gmachu komendy wojskowej na Stradomiu porządku pilnował już generał Piasecki z podległymi mu oficerami.

Przez ulicę Krakowską, Wolnicę i Stary Most na Wiśle pochód podporucznika Pustelnika z orkiestrą kolejową na przedzie przeszedł przed Koszary Artyleryjskie na Kalwaryjskiej. Pustelnik zdał tutaj raport Stawarzowi z wykonania zadania i wrócił ze swymi ludźmi do koszar na Wielickiej.

Dalsze działania por. Stawarza po opanowaniu koszar

Po internowaniu szeregowych z niemieckiej kompanii asystencyjnej oraz oficerów z dowództwa batalionu Stawarz zdał władzę w koszarach podporucznikowi Banachowi, a sam udał się na Rynek Podgórski dla przyspieszenia wymarszu kolumn Śnigowskiego i Pustelnika na Kraków. Po ich odejściu, które nastąpiło między 7:45 a 8:00 ostatniego dnia października 1918 roku, porucznik wrócił do koszar. Ze zgłaszających się ochotników zaczął organizować nieduże oddziały, po dwudziestu uzbrojonych ludzi, które miały stanowić obronę obiektów wojskowych i magazynów przejmowanych przez polskie władze. Pomagali mu w tej pracy podporucznicy Banach i Słowiński oraz mieszkający w Podgórzu były działacz POW i legionista Zygmunt Honkisz, wtedy – aspirant kadet. Nosił jeszcze austriacki mundur, ale z biało-czerwoną kokardką na piersi.

W tym czasie miało miejsce wydarzenie, które mogło zniweczyć dotychczasowe osiągnięcia i plany. Oto internowani

Niemcy opuścili swe pomieszczenia i gromadą zaczęli się wolno zbliżać do tymczasowego magazynu broni przy wartowni. W pobliżu stały dwa rosyjskie karabiny maszynowe typu Maxim, załadowane, gotowe do użycia. W jednej chwili Stawarz był na stanowisku. Głośnym niemieckim rozkazem wymusił zatrzymanie falangi kroczących żołnierzy pod groźbą wystrzelania wszystkich, co do jednego. Ostry, zdecydowany ton głosu świadczył, że nie zawaha się, jeśli będzie taka potrzeba. Równocześnie zaalarmował wartę. Zbliżający się Niemcy przekonali się, że to nie przelewki i zawrócili. Więcej już nie usiłowali ponawiać takiej próby.

Porucznik zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że ma więcej broni niż ludzi. Ludzie byli bardzo potrzebni, szczególnie w przypadku zbrojnego wystąpienia jakiegoś oddziału z dwunastotysięcznej austriackiej załogi Krakowa. W związku z tym Stawarz wydał odezwę wzywającą Polaków zdolnych do noszenia broni, aby ochotniczo zgłaszali się do tworzonego właśnie w koszarach przy ulicy Kalwaryjskiej 8. Pułku Piechoty. Odezwę wydrukowano w kilkuset egzemplarzach w drukarni Poturalskiego w Rynku Podgórskim.

Przed godziną 9 zadzwonił do koszar major Schatz, referent do spraw asystencyjnych z Komendy Miasta. Spytał, czy w batalionie nr 93 nikt nie wie, że w mieście wybuchły niepokoje, po czym wydał rozkaz ogłoszenia alarmu w batalionie i rozpoczęcia działań przewidywanych obowiązującymi przepisami. Na zapytanie Stawarza, w czyim imieniu wydaje ten rozkaz, major odpowiedział, że w imieniu rządu austriackiego. Usłyszał wtedy od swego rozmówcy, że jego rozkaz nie może być wykonany, ponieważ batalion asystencyjny nr 93 wojsk austriackich już nie istnieje, a jego oficerowie i żołnierze zostali rozbrojeni i internowani. Podobnie stało się z batalionem asystencyjnym nr 1 z ulicy Wielickiej. W ich miejsce stacjonują w tych koszarach bataliony 8. Pułku Piechoty wojska polskiego.

Prawdopodobnie wiadomość ta ścięła z nóg majora Schatza: austriackie bataliony asystencyjne w Podgórzu, na które tak liczono w Stadtkommando, już nie istnieją, a więc nie można

ich użyć do stłumienia rozruchów w mieście. Niewykluczone, że ta wiadomość rozniosła się szybko w budynku Komendy Miasta i Komendy Placu, ułatwiając polskim oficerom przejęcie w nim władzy.

W międzyczasie podporucznicy Śnigowski i Pustelnik przekazali przez gońców informację, że w Krakowie panuje spokój, a ich działania nie napotykają na żaden zbrojny opór. Przez tych samych gońców porucznik polecił im kontynuować zadania.

Około godziny 10 zjawił się w koszarach przyboczny oficer Roji, podporucznik Stanisław Tęcza. Tak Tęcza, jak i Roja słyszeli już o działaniach oddziałów Stawarza w Krakowie, ale nie znali szczegółów związanych z opanowaniem koszar. Tęcza miał o tym meldować Roji, który w tym czasie udał się na spotkanie prezydium Polskiej Komisji Likwidacyjnej z austriacką generalicją. Stawarz zaprowadził wtedy Tęczę do pomieszczenia, w którym przebywali internowani oficerowie austriaccy. Przedstawił go jako delegata Naczelnej Komendy Wojska Polskiego. Tęcza oznajmił internowanym, że mają zapewnione bezpieczeństwo, wypłatę poborów za listopad oraz rychły powrót do ojczyzny.

Po odejściu Tęczy wróciły do koszar oddziały Śnigowskiego i Hustaka. Niebawem podporucznicy Stec i Gawron zgłosili się po oddział żołnierzy do obsadzenia odwachu na Rynku w Krakowie. Stawarz przekazał im oddział *30 żołnierzy pochodzących głównie z 57. Pułku Piechoty i po kilku z 5. oraz 13. Pułku Strzelców. Każdy z nich miał karabin, bagnet i 300 naboi, a na czapce biało-czerwoną kokardkę. Kilka minut po ich odejściu zameldował się do pomocy w koszarach porucznik Czesław Zajączkowski, kolega Stawarza z 57. Pułku Piechoty. Ze względu na ranę, którą odniósł na froncie, został bezterminowo urlopowany z wojska i właśnie rozpoczął studia na Akademii Ekonomicznej w Krakowie. Na wiadomość o wyjściu oddziału Steca i Gawrona pod odwach, poprosił Stawarza o zezwolenie na dołączenie do tego oddziału. Po uzyskaniu zgody, dzięki

komunikacji tramwajowej dołączył do oddziału na ulicy Grodzkiej. Zastąpił w nim trębacza, który nie znał polskich marszów. Krakowianie entuzjastycznie witali i pozdrawiali ich przemarsz. Widzieli na mundurach oficerów odznaki 13. Pułku Piechoty i myśleli, że to żołnierze ich ulubionego pułku „Dzieci Krakowa". Tak, wśród wiwatów doszli pod odwach. Tu o godzinie 11:25 nastąpiło uroczyste przejęcie warty od Austriaków. Przekazującym był komendant warty austriackiej chorąży Alois Mosler. Przejmującymi byli podporucznicy Wilhelm Stec i Jan Gawron w obecności porucznika Czesława Zajączkowskiego.

W międzyczasie w koszarach na ul. Kalwaryjskiej zameldował swój powrót podporucznik Pustelnik z wadowickim oddziałem i z orkiestrą kolejarzy. Ci, na wiadomość, że na Rynku odbywa się przekazanie warty, postanowili natychmiast tam pojechać. Pomógł im w realizacji tego zamiaru energiczny krakowski kupiec Franciszek Terakowski. W pochodzie towarzyszył orkiestrze od początku, a do Podgórza doszedł z pruskim bagnetem na pasie. Teraz, na pierwszym przystanku tramwajów przy ulicy Mostowej zarekwirował trzy wozy tramwajowej „jedynki", zapakował orkiestrę i bez zatrzymywania się na przystankach dowiózł ją na krakowski rynek.

Pod odwachem trafili akurat na moment przekazywania polskiej warcie w osobach podporuczników Steca i Gawrona pamiątkowego sztandaru. Osobami przekazującymi byli wiceprezesi Stowarzyszenia Młodzieży Rękodzielniczej „Gwiazda" Antoni Stróżyński i złotnik Franciszek Zając, u którego ten sztandar był przechowywany (Rynek Główny 46). Na jednej stronie sztandaru widniał biały orzeł na czerwonym polu, obramowany 10-ramienną gwiazdą. Na drugiej stronie znajdował się na białym tle obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a obok napisy: „W jedności z Bogiem" i „W pracy z narodem". W momencie zatknięcia drzewca sztandaru w otwór stojaka orkiestra zagrała hymn „Boże, coś Polskę". Wokół odwachu zapanował wśród tłumu podniosły nastrój. Krakowianie śpiewali, orkiestra grała.

W tym samym czasie w krakowskim magistracie generalicja austriacka, a w niej główny komendant – generał hrabia Benigni, szef sztabu generalnego pułkownik Ludwik Grimm, generalny intendent Zaretzky i podpułkownik Morawski przekazali swoją władzę cywilną przedstawicielom prezydium Polskiej Komisji Likwidacyjnej, a władzę wojskową brygadierowi Bolesławowi Roji. I w ten sposób, dnia 31 października 1918 roku, Kraków stał się pierwszym wolnym miastem wśród wszystkich dużych miast w kraju, a przejęcie władzy odbyło się pokojowo, bez rozlewu krwi.

Należy tu jeszcze wspomnieć, że żołnierze Stawarza pełnili wtedy służbę na odwachu przez 76 godzin, do godziny szesnastej 3 listopada. Wartę przejęli od nich legioniści z 4. Pułku Piechoty Wojska Polskiego. Potem podporucznicy Stec i Gawron uroczyście, ze sztandarem odprowadzili tarnowiaków do koszar w Podgórzu.[12]

W tych dniach żołnierze porucznika z 57. Pułku Piechoty pełnili jeszcze służbę wartowniczą na Montelupich. Stawarz nie zapomniał o tym, co mówił do krakowian porucznik Iwaszko na placu Matejki. Telefonicznie polecił komendantowi więzienia zwolnić wszystkich więźniów politycznych. Ten przyrzekł wykonać rozkaz niezwłocznie.

Podpułkownik Roja, aktualnie brygadier, naczelnik siły zbrojnej PKL powiadomił Stawarza o swej funkcji i polecił mu przysłać silny oddział żołnierzy do ochrony Komendy Wojskowej na Stradomiu. Nieco mniejszy oddział miał być przekazany do dyspozycji Komendy Miasta. Równocześnie Roja oddał mu pod nadzór i osłonę cały południowy brzeg Wisły oraz dzielnice

[12] Uczestniczący w warcie żołnierze 57. Pułku Piechoty chwalili się potem swoim kolegom, że takiego wyżywienia, jakie mieli przez te kilka dni na odwachu, nie mieli nigdy wcześniej. Właściciele sklepów i firm, między innymi Andrzej Różycki, Bolesław Górski, p. Kisielewski – właściciel restauracji Grand Hotelu, p. Noworolski z Sukiennic, uważali za największy zaszczyt to, że mogą żywić pierwszych żołnierzy Wolnej Polski.

Kazimierz, Stradom i Grzegórzki, z odpowiedzialnością za utrzymanie tam porządku publicznego.

W tym okresie żołnierze czescy z batalionów asystencyjnych 1 i 93 udali się bez broni do koszar przy ulicy Warszawskiej. Tam był ich punkt zborny z całego garnizonu. Natomiast Rusini zachowywali się cały czas biernie i chcieli tylko jak najszybciej wrócić do domu.

Brygadier Roja mianował osobiście porucznika Antoniego Stawarza kapitanem Wojska Polskiego już 2 listopada 1918 roku. Ta nominacja była potem kilkakrotnie powtarzana w rozkazach.

Kapitan Wojska Polskiego Antoni Stawarz

3 listopada otrzymał Stawarz z Polskiej Komendy Wojskowej rozkaz dostarczenia żołnierzy do obsady pociągu pancernego „Śmiały", który miał być wysłany pod Przemyśl. Był to ten sam pociąg, którego nie udało się rozbroić ludziom Badziocha dowodzonym przez W. Marszałka, a który przeszedł potem w polskie ręce. Do obsady pociągu zgłosił się plutonowy

Zapart, a wraz z nim jego ludzie z plutonu cekaemów 57. Pułku Piechoty. Początkowo „Śmiały" zaprowadzał porządek w okolicach Oświęcimia i Mysłowic, gdzie grasowały liczne bandy dezerterów i zdemobilizowanych żołnierzy, a potem pojechał na odsiecz Przemyśla i Lwowa. Stawarz otrzymał w tym czasie dwa tygodnie urlopu. Spędził go u rodziców pod Bieczem. W czasie tego urlopu zebrał w okolicach Jasła kompanię piechoty. Na jej czele zameldował się w kwaterze Roji we Lwowie 22 listopada 1918 roku.

Kapitan Antoni Stawarz z rodziną

Po powrocie do Krakowa zawarł w roku 1919 związek małżeński z Marią Torańską, mieszkanką Podgórza, córką pracownika sądowego. Stąd został przeniesiony służbowo do Grodna, a w listopadzie 1920 roku, po wojnie z bolszewikami, znalazł się w Tarnowie, w swoim dawnym, macierzystym 57.

Pułku Piechoty. Tu służył do przewrotu majowego zorganizowanego przez Marszałka Józefa Piłsudskiego. W czasie przewrotu opowiedział się po stronie prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Konsekwencje były oczywiste: służba w garnizonach przy granicy z ZSRR – Baranowicze i Bereza Kartuska, a w końcu przeniesienie na emeryturę w wieku 40 lat. Miało to miejsce w roku 1929. Kapitan Stawarz osiadł wtedy z rodziną na kilka lat w podkrakowskim Prokocimiu, a potem przeprowadził się do Krakowa, gdzie podjął pracę jako urzędnik kontraktowy w krakowskim magistracie. Pracował tutaj także w czasie okupacji, aż do 1945 roku.

Antoni Stawarz był przed wojną członkiem Stronnictwa Pracy. Zapisał się do niego w roku 1934 pod wpływem gen. Mariana Kukiela. Pełnił w nim między innymi funkcję wiceprezesa. Napisał wtedy swoje wspomnienia, którym dał tytuł „Gdy Kraków kruszył pęta". W podtytule widnieje napis: „Kartki z pamiętnika oswobodzenia Krakowa w 1918 r." Wstępem i objaśnieniami opatrzył tę książkę dr Jan Czapliński. Została wydana w 1939 roku nakładem krakowskiej księgarni „Nauka i Sztuka". Po wojnie pracował Antoni Stawarz w różnych zakładach ubezpieczeniowych, zmarł w Krakowie w wieku 69 lat na zawał serca.

Pochowano go na Cmentarzu Rakowickim. Na skromnym nagrobku znajduje się napis: „*Tu spoczywa Antoni Stawarz kpt WP. Dowódca oswobodzenia Krakowa w roku 1918 – Przeżył lat 69. Zmarł 19. 10. 1955.*"

Kraków uczcił pamięć Antoniego Stawarza nadając jego nazwisko w roku 1991 jednej z ulic na Krzemionkach, która od roku 1952 nosiła nazwę Marcina Radockiego, ściętego tu za aktywny udział w buncie Kostki-Napierskiego.

Stryj – Stanisław Stawarz

Stanisław Stawarz miał 16 lat, kiedy uciekł do Legionów Piłsudskiego z rodzinnego domu w Strzeszynie pod Bieczem. W okresie 31 X 1915 – 7 VII 1916 brał czynny udział w walkach tej formacji z oddziałami rosyjskimi w rejonie wsi Kostiuchnówka na Wołyniu, zakończonych odwrotem nad rzekę Stochód. Właśnie tam uratował życie ówczesnemu porucznikowi-lekarzowi, późniejszemu premierowi Drugiej Rzeczypospolitej, generałowi Felicjanowi Sławoj-Składkowskiemu. To wydarzenie opisał generał między innymi w książce „Moja służba w Brygadzie", wydanej w Warszawie w 1935 roku. Na stronie 287 swoich wspomnień generał Sławoj-Składkowski pisze:

„Pobiegłem na prawe skrzydło, krzycząc (do swoich) że z rozkazu Lisa mają zmienić front jednym plutonem. Już wykonują rozkaz, gdy widzę, że biegnie na mnie jakiś 'mołodiec' podoficer z jednym żołnierzem moskiewskim. Walą na 'ura!' ostro i ogniście. Reszta ich kolegów stoi w zagajniku i wtóruje im słabym głosem. Podoficer jest już o jakie dwadzieścia kroków ode mnie, podnoszę więc pistolet i walę w niego. Nie słyszę czy pistolet wystrzelił, czy nie, w tym piekielnym hałasie walki. Podoficer i jego kompan niestety biegną dalej w moim kierunku. Myśl straszna, że może zapomniałem przed strzelaniem odbezpieczyć mój browning! Walę drugi raz, mam wrażenie, że pistolet drgnął od wystrzału ale podoficer wciąż biegnie. Bagnet jego jest już przede mną... Chcę walić jeszcze raz, a potem... wiać, gdy widzę jakiś nieznaczny ruch ręki stojącego obok mnie po prawej stronie naszego maleńkiego żołnierza. Bokiem oka widziałem zbawczy jego ruch, jak trzymając karabin na 'gotuj broń', nie składając się bronią, wygarnął karabinem z pod pachy wprost w Moskala. Podoficer w jednej chwili zmienił się na twarzy, rzucił karabin i trzymając się za brzuch począł się czołgać w krzaki za sągi zrąbanego drzewa. Towarzysz jego też zwiał. Oglądam się i widzę, że zarówno ja, jak i mój zbawca zostaliśmy

około dwudziestu kroków przed dwurzędem kompanii... W rejwachu bitwy nawet nie stwierdziłem, który z żołnierzy ocalił mi życie i gdzie się podział."

Należy jednak zaznaczyć, że w końcowej części opisu tego wydarzenia zawiodła nieco pamięć generała Składkowskiego. Linie obronne legionistów były wtedy o wiele bardziej oddalone. W związku z tym, droga ucieczki porucznika-lekarza i jego wybawcy była o wiele dłuższa, a obaj – chcąc uniknąć dostania się do niewoli – musieli bardzo szybko dotrzeć do swoich.

Potem, już po wojnie, Staszek ciągle wspominał tę wołyńską przygodę. Niemniej jednak, treść tych wspomnień była bardziej związana z zawartością własnego plecaka, niż z osobą tego oficera. Jego plecak był wtedy zapełniony czekoladą zdobytą w taborach oficerskich, słoikami z marmoladą oraz zawierał jakże cenny dla niego aparat fotograficzny. Ze względu na to, że ciężar plecaka utrudniał szybkie poruszanie się w terenie, musiał porzucić go w drodze. Oficer kilkakrotnie wydał mu taki rozkaz, a w końcu zagroził, że zastrzeli go za niewykonanie. Nie miał wyjścia i w końcu rzucił plecak w krzaki. Z trudną do ukrycia urazą rozstał się potem z tym oficerem, kiedy dotarli do swoich.

Należy jednak podkreślić, że oficer ten, już jako generał i premier II Rzeczypospolitej, zdołał ustalić pod koniec roku 1938 tożsamość swego, jak go nazywał, „wybawcy" i doprowadził do spotkania z nim po latach.

Dalsze wojenne losy Staszka Stawarza były ściśle związane z historią Polskich Legionów. 20 września 1916 roku przemianowano je na Polski Korpus Posiłkowy (PKP), natomiast 10 kwietnia 1917 roku Austriacy przekazali je dowództwu niemieckiemu, które organizowało wtedy na terenach okupowanych przez siebie w Kongresówce Polską Siłę Zbrojną (Polnische Wehrmacht). Właśnie wtedy, z inspiracji Józefa Piłsudskiego i jego zwolenników, nastąpił tzw. kryzys przysięgowy, ponieważ 9 lipca 1917 roku ogromna większość I i III Brygady Legionów odmówiła złożenia przysięgi na wierność Niemcom. W konsekwencji, legioniści pochodzący z Królestwa

Kongresowego zostali internowani – oficerowie w obozie w Beniaminowie, a podoficerowie i żołnierze w Łomży i Szczypiornie. W dniu 21 lipca 1917 roku aresztowano także Piłsudskiego, który przebywał w twierdzy magdeburskiej do dnia 8 listopada 1918 roku. Legioniści pochodzący z Galicji zostali częściowo wcieleni do armii austriackiej, a częściowo pozostali w Polskim Korpusie Posiłkowym, zredukowanym do 8 tysięcy żołnierzy, pod dowództwem gen. Józefa Hallera. Znalazł się wśród nich także Staszek Stawarz. Jedyną wiadomość od niego z tego okresu rodzina otrzymała z Żurawicy pod Przemyślem. Stawarz przebywał tam czasowo w jednym z oddziałów Polskiego Korpusu Posiłkowego.

Korpus pod wodzą gen. Hallera znalazł się na froncie rosyjskim pod miejscowością Rarańcza położoną na północny wschód od Czerniowiec. Tam pozostawali aż do przełomu lat 1917/1918. Na wiadomość, że 9 lutego 1918 roku Niemcy i Austria podpisały odrębny traktat w Brześciu z Ukraińską Radą Centralną, na mocy którego przyłączono Chełmszczyznę do Ukrainy, 15/16 lutego na znak protestu gen. Józef Haller podjął decyzję przebicia się przez front na czele Polskiego Korpusu Posiłkowego na Ukrainę. Tam połączył swoje siły z jednym z Polskich Korpusów Wschodnich, powstających wówczas w Rosji. Był to 2. Korpus Polski, tworzony pierwotnie (od grudnia 1917 roku) na terenach Rumunii i Besarabii, a później skoncentrowany w rejonie Sorok nad Dniestrem.

Na czele połączonych sił generał Haller rozpoczął marsz na północ, w głąb Rosji. W czasie tego marszu, 11 maja 1918 roku jego oddziały zostały otoczone przez Niemców pod Kaniowem. W trakcie bitwy, która tam się rozegrała, część żołnierzy dostała się do niewoli, a część uległa rozproszeniu. Właśnie podczas tej bitwy oddział legionistów, w którym znajdował się Staszek, został otoczony na miejscowym cmentarzu i będąc w sytuacji bez wyjścia poddał się. Ze względu na to, że Stawarz miał wtedy na sobie mundur rosyjski i fałszywe dokumenty osobiste, Niemcy potraktowali go jak jeńca rosyjskiego. Przewieziono go do obozu

Poschim w Meklemburgii. Bawił tam jednak krótko. Jeńców przeniesiono do pracy w kopalniach na Górnym Śląsku, skąd Staszek postanowił za wszelką cenę uciec.

Jednak pierwsza ucieczka w cywilnym ubraniu otrzymanym od Polaka spod Częstochowy – Sokołowskiego, nie powiodła się. Stawarz został złapany, a podczas przesłuchań bito go, chcąc go zmusić do wydania wspólników, którzy pomagali mu w ucieczce. Przestano go bić dopiero wtedy, gdy przyznał się, że był legionistą Polakiem, a nie jeńcem rosyjskim. Zabrano mu jednak cywilne ubranie, odziano w robocze łachy z „ersatztkaniny", obuto w paskowe sandały, zwrócono mocno już zużytą rosyjską rubaszkę i pognano z powrotem do pracy w kopalni węgla. Po kilku dniach postanowił uciekać po raz drugi. Tym razem zrobił jednak dokładne rozeznanie sytuacji. Wiedział już, że stosunkowo niedaleko leży „trójkąt trzech cesarzy", że za graniczną Przemszą znajduje się były zabór rosyjski, a ta jego część jest aktualnie pod austriacką okupacją. W końcu uciekł, ale przez dwa dni kluczył i mylił pościg. Wreszcie przebył mocno zabrudzoną Przemszę i znalazł się na terenie Kongresówki. Był wyczerpany ostatnimi przeżyciami i głodem, mokry, brudny, obszarpany i zmarznięty. Musiał strasznie wyglądać, skoro mijający go, zdążający do pracy górnicy nie zatrzymywali się słysząc jego prośby o pomoc. Bali się.

Wreszcie jeden się odważył. Zabrał uciekiniera do swego domu, umył, przebrał w ubranie zdjęte ze stracha na wróble, nakarmił tym, co miał, bo bieda była tam straszna. Po wysłuchaniu opowiadania byłego legionisty dał o nim znać miejscowej placówce Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). Jej ludzie ukryli go w szybie pobliskiej kopalni „Kazimierz". Jakby tego było mało, niedawny uciekinier zachorował na tyfus brzuszny. Dopiero po powrocie do zdrowia mógł poinformować swoich opiekunów o rodzinie w Galicji. Wtedy przesłano do rodziców pod Bieczem kartkę pocztową o następującej treści: „Szanowni Państwo! Proszę przywieźć dla Staszka pieniądze i ubranie." Podpisał ją inżynier, zawiadowca kopalni „Kazimierz".

Ze względu na wiek i stan zdrowia obojga rodziców, na Śląsk udał się brat Staszka – Antoni, który przebywał wtedy w domu rodziców na okolicznościowym urlopie, udzielonym przed przeniesieniem na służbę asystencyjną do Podgórza. Zawiózł bratu ubranie, buty, bieliznę i pieniądze, a także odpowiednią „wałówkę", ponieważ wiedział o biedzie, jaka tam w tym czasie panowała.

Niedługo potem Staszek wrócił do rodzinnego domu. Po drodze odwiedził brata w Podgórzu. Krótko przebywał w Strzeszynie pod Bieczem. Już 1 listopada zjawił się w Krakowie na czele zwerbowanego przez siebie plutonu żołnierzy i zameldował się w koszarach przy ulicy Grodzkiej, gdzie formowano wówczas czwarty pułk legionowej piechoty. Wysłano go wtedy pod Czernichów koło Krakowa celem zlikwidowania bandy rabunkowej. Po wykonaniu tego zadania został skierowany wraz z innymi na odsiecz Lwowa. Potem brał udział w wojnie z bolszewikami w 1920 roku.

Stanisław Stawarz z żoną

Po zakończonej wojnie Stanisław Stawarz osiadł wraz z rodziną na Wołyniu, w powiecie Dubno. Osada, w której

prowadził gospodarstwo rolne nazywała się Bortnica. Poza pracą na roli zajmował się były legionista także działalnością społeczną. Brał czynny udział w różnych organizacjach zawodowych i kulturalnych, między innymi był wiceprezesem Związku Legionistów w Dubnie. Pod koniec lat trzydziestych wpadły mu w ręce wspomnienia generała Sławoj-Składkowskiego „Moja służba w I Brygadzie". Autor opisał w niej między innymi bitwę pod Kostiuchnówką i wspomniał o dramatycznym momencie, którego przeżycie zawdzięczał pomocy pewnego legionisty. Nazwał go tam swoim wybawcą. Po przeczytaniu wspomnień generała Stawarz utwierdził się w przekonaniu, że to on udzielił wtedy pomocy panu generałowi. W związku z tym, w jednym z numerów pisma „Żołnierz Legionów" ukazało się na początku grudnia 1938 roku uzupełnienie Stawarza do wspomnień premiera, w którym podał on dodatkowe szczegóły związane z tamtym wydarzeniem. Niedługo po ukazaniu się tego uzupełnienia, starosta z Dubna przekazał Stawarzowi wezwanie do stawienia się w Prezydium Rady Ministrów w Warszawie na koszt ministerstwa. Wezwany wykonał posłusznie polecenie i stanął w Warszawie przed obliczem premiera. Generał Składkowski poznał od razu swego wybawcę. Długo i serdecznie z nim rozmawiał. W końcu spytał swego gościa, co może dla niego prywatnie zrobić. Ten podrapał się w głowę, był zaskoczony. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Wreszcie wyjąkał, że przydałaby się utwardzona droga do jego osady, bo wozy łamią koła na wybojach. I jeszcze, że przydałyby się maszyny do mleczarni, która już od dawna wymaga mechanizacji. No dobrze, odpowiedział premier. Ale co ja dla was prywatnie mogę zrobić? Kilkakrotnie powtarzane przez premiera pytanie wciąż otrzymywało tę samą odpowiedź: droga utwardzona i zmechanizowana mleczarnia. Uparty był ten Stawarz. Pod koniec rozmowy premier poinformował go, że kazał szukać jego plecaka porzuconego w 1916 roku i że plecak został znaleziony! Po tym oświadczeniu generała Stawarz chyba nie miał zbyt mądrej miny i wyglądał tak pociesznie, że premier i obecny przy rozmowie radca ministerstwa Kornowski parsknęli głośnym

śmiechem. Premier wręczył swemu „wybawcy" nowiutki plecak, a w nim dużo czekolady (z pewnością lepszej od tej austriackiej z okresu wojny), słoik marmolady domowej roboty od pani premierowej oraz najnowszy model aparatu fotograficznego marki „Kodak" i 50 klisz do niego.[13]

Po wybuchu wojny Stawarza z rodziną deportowano w głąb ZSRR. Potem wraz z armią generała Andersa znalazł się na Bliskim Wschodzie, a po wojnie osiadł z rodziną w Anglii.

Na zakończenie przedstawionych powyżej w skrócie przeżyć ojca i obu stryjów Janka Stawarza w okresie pierwszej wojny światowej należy podkreślić, że stanowiły one dla dorastającego w dwudziestoleciu międzywojennym Janka wspaniały wzór patriotycznego wychowania i piękny przykład oddania wszystkich sił walce o wolność ojczyzny.

[13] Informacje na temat „Jak premier gen. Składkowski znalazł plecak legionisty porzucony pod Kostiuchnówką" pochodzą z artykułu pod tym tytułem, zamieszczonego w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym" nr 27, z dnia 27.01.1939 roku.

Nauka i wychowanie Janka Stawarza

Podobnie jak jego dwie siostry, Janek Stawarz zdobywał wiedzę początkowo w szkole powszechnej w Prokocimiu. Gdy skończył cztery klasy tej szkoły, dalszymi jego losami pokierowali rodzice. Zdał wtedy egzamin wstępny do pierwszej klasy gimnazjum klasycznego Collegium Marianum prowadzonego przez księży Palotynów w Kleczy Dolnej koło Wadowic. Mieszkał tam w internacie. Już jako mały chłopiec zapoznał się tutaj z pracą fizyczną, ponieważ uczniowie musieli sami sprzątać internat i pomagać w pracach kuchennych. Tak upłynęły mu trzy lata nauki. Wakacje spędzał w domu.

W międzyczasie przypadek sprawił, że jego ojciec, maszynista kolejowy, przewoził na Śląsk pociągiem batalion kadetów z Korpusu Kadetów 1 Lwów. Miał wtedy okazję bliższego zapoznania się z rolą i organizacją tej formacji, która przygotowywała swych elewów do studiów w szkołach oficerskich. Seniorowi Stawarzowi spodobał się sposób nauczania i wychowywania uczniów w szkołach kadeckich.

Janek Stawarz, uczeń szkoły powszechnej w Prokocimiu

Ich organizacja była ściśle wojskowa. Po reformie nauki w dotychczasowych gimnazjach przeprowadzonej przez ministra Jędrzejewicza w 1932 roku, batalion szkolny Korpusu Kadetów dzielił się na 6 kompanii, odpowiadających sześciu klasom szkoły średniej ogólnokształcącej (4 gimnazjalne i 2 licealne). Każda kompania (klasa) dzieliła się na trzy plutony (oddziały klasowe a, b, c) po około 35 kadetów każdy. W okresie międzywojennym Korpusy Kadetów istniały przez krótszy lub dłuższy czas w takich miejscowościach jak Łobzów (przedmieście Krakowa), Lwów, Modlin, Chełmno i Rawicz. Zależnie od potrzeb zmieniano siedziby korpusów, a ich elewów przenoszono do innych. Nazwy poszczególnych korpusów kadeckich II Rzeczypospolitej zawierały dwie duże litery K oznaczające słowa Korpus Kadetów, jedną arabską cyfrę (np. 1, 2, 3) oznaczającą numer kolejny korpusu w danym okresie II RP oraz nazwę miejscowości, siedziby korpusu.

Ojciec Janka przypomniał sobie wtedy, że w czasie, gdy wraz z bratem Antonim Stawarzem uczestniczył w krakowskim przewrocie w październiku 1918 roku, w Łobzowie powstała Szkoła Podchorążych. Mówiono wtedy, że dnia 31 października, kiedy władzę cywilną w Krakowie przejęła Polska Komisja Likwidacyjna, nastąpiło między innymi przejęcie z rąk austriackich Wyższej Wojskowej Szkoły Realnej (Militäroberrealschule), która mieściła się w dawnej rezydencji królewskiej w Łobzowie. Popadającą w ruinę posiadłość wykupił w latach sześćdziesiątych XIX wieku rząd austriacki i po przebudowie przeznaczył na potrzeby szkolenia kadr wojskowych. W końcowym okresie zaboru dowódcą szkoły był pułkownik Angelo de Fabris. Uczyło w niej 19 profesorów – oficerów, a 50 podoficerów i żołnierzy stanowiło personel pomocniczy.

Ogółem uczono tu w ostatnim roku wojny 152 kadetów pochodzących z różnych narodowości monarchii austriackiej. W kadrze nauczycielskiej było tylko dwóch oficerów Polaków: major Stanisław Hlavaty i podporucznik Franciszek Warzel, a wśród kadetów jedynie 26 miało polskie pochodzenie. Gdy do

szkoły dotarła wiadomość, że w mieście następuje rozbrajanie wojska austriackiego, korpus kadetów stanął pod bronią. Starsi kadeci, austriaccy Niemcy, rozważali wtedy zdemolowanie szkoły i wystrzelanie uczących się tu Polaków.[14] Natomiast dowódca wszystkich wojsk austriackich, hrabia Benigni, zapytany przez komendanta szkoły pułkownika de Fabris o dalsze rozkazy, odpowiedział mu krótko: 'Panie pułkowniku, musisz pan zrobić to, co ja już zrobiłem. Oddaj pan dowództwo szkoły najstarszemu rangą oficerowi Polakowi, nasza władza się skończyła.' Było to rozwiązanie narzucone Austriakom przez pułkownika Bolesława Roję.

W oparciu o polecenie generała Benigni, de Fabris przekazał władzę nad korpusem majorowi Hlavatemu. Ten zaś mianował swym adiutantem profesora podporucznika Warzela. Na rozkaz majora Warzel rozbroił kadetów Niemców i niemiecki personel szkoły, a potem zadbał o to, aby 5-6 listopada wszyscy Niemcy opuścili Kraków pociągiem transportowym zdążającym w kierunku Wiednia. Do szkoły kadeckiej w Łobzowie, zwanej także szkołą podchorążych, zgłaszali się potem Polacy ze wszystkich austriackich szkół wojskowych.

W ten sposób w listopadzie 1918 roku rozpoczęła się w Krakowie epopeja Kadeckich Korpusów II Rzeczypospolitej. Wprawdzie major Hlavaty, mianowany w roku 1918 podpułkownikiem, nazwał tę placówkę Szkołą Podchorążych, to jednak nazwa ta nie utrzymała się długo i szkole nadano historyczną nazwę Korpus Kadetów Nr 1 w Łobzowie. Ze względu na szczupłość pomieszczeń, już w marcu 1921 roku przeniesiono ją do Lwowa. Tu zaadaptowano na potrzeby szkoły dawne austriackie koszary po Korpusie Kadetów Piechoty na Wzgórzach Wuleckich, w okolicy Parku Stryjskiego. Otrzymała ona nazwę Korpus Kadetów nr 1 we Lwowie. Właśnie wtedy ojciec zdecydował, że Janek powinien zdawać egzamin wstępny do tej szkoły i zostać kadetem.

[14] Adam Chmiel, *Oswobodzenie Krakowa*, s. 79.

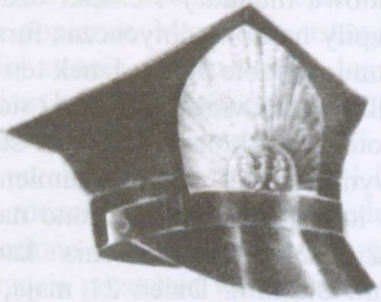

Czapka kadecka wg tableau z 1939 roku

Janek ukończył trzecią klasę gimnazjalną w Kleczy Dolnej. Odpowiadało to ukończeniu siedmiu klas szkoły podstawowej. Pojechał z ojcem do Lwowa, zdał egzamin wstępny do KK 1 Lwów i we wrześniu 1933 roku rozpoczął swoją kadecką przygodę życiową. Szkoła ta od 17 marca tego roku nosiła nazwę Korpus Kadetów nr 1 Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Kadet Janek Stawarz

Po upływie miesięcy rekruckich, w dniu 11 listopada Janek i jego koledzy z tego samego rocznika składali ślubowanie.

Otrzymali wtedy galowe mundury i czapki ozdobione kadeckim słońcem, które zastąpiły noszone dotychczas furażerki. Z wielkim wzruszeniem przypominał sobie potem Janek ten moment. W maju 1934 roku odwiedzili go we Lwowie rodzice i siostry. Oprowadzał ich po szkole i jej otoczeniu kolega, kadet ze starszego rocznika. W parku korpusowym pokazał pomnik kamienny z rzeźbą orła zrywającego się do lotu. Pomnik wzniesiono na wprost budynku głównego w roku 1922 dla uczczenia kadetów poległych w Trzecim Powstaniu Śląskim. Dzień 21 maja, w którym miały miejsce najcięższe walki w rejonie Góry św. Anny, uznano decyzją władz wojskowych za święto Korpusu nr 1. Po zatwierdzeniu tej decyzji przez Marszałka Piłsudskiego, dzień 21 maja obchodzono we wszystkich korpusach II Rzeczypospolitej jako święto kadeta. W dni uroczyste przy pomniku orła pełniono wartę honorową, a corocznie w dzień 21 maja po żałobnym nabożeństwie za poległych cały batalion lwowski stawał przy nim, oddając cześć pamięci kolegów, którzy zginęli na Śląsku.

Kadet Janek Stawarz w galowym mundurze podczas urlopu w Krakowie

W holu budynku szkolnego oprowadzający pokazywał odlane w brązie popiersie Marszałka ustawione na kamiennym cokole. Na drugiej stronie cokołu wyryto jego słowa: „Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi".

Niedługo przebywał Stawarz w KK 1 Lwów. W roku 1934 podzielono jego rocznik na trzy grupy. Jedną z nich, a w niej Stawarza, przeniesiono do KK 3 Rawicz, drugą do KK 2 Chełmno na Pomorzu, a trzecia pozostała we Lwowie. W szkole kadeckiej w Rawiczu obowiązywał program matematyczno-przyrodniczy. Ten profil nauczania sprawiał Jankowi pewne trudności, jednak szybko zaadaptował się w nowym środowisku. Korpus rawicki był zlokalizowany w byłych poniemieckich białych koszarach. W roku szkolnym 1934/35 weszła już w życie reforma ministra Jędrzejewicza i objęła także Korpusy Kadetów, w których powstało czteroletnie gimnazjum z małą maturą i dwuletnie liceum. Każdy korpus miał od tego roku sześć kompanii, z których pierwsza i druga realizowały już nowy program, a pozostałe – ten stary, z dawnymi klasami gimnazjalnymi.

Rodzice i siostry Janka podczas odwiedzin w KK 1 Lwów (towarzyszy im kadet oprowadzający)

Janek Stawarz miał wtedy 15 lat i wraz z kolegami ze swojej kompanii dnia 11 listopada w rocznicę odzyskania niepodległości otrzymał pierwszą broń – karabin typu Mauser oraz bagnet. W zakresie przedmiotów wojskowych obowiązywał program specjalny. Jeden dzień w tygodniu poświęcano ćwiczeniom w terenie oraz wykładom przedmiotów wojskowych. Podobne zadania były realizowane w czasie corocznie prowadzonych letnich obozów wojskowych. Kadeci mieli w obozach ćwiczenia z bronią, dzienne i nocne marsze oraz zapoznawali się z topografią terenu. Półtora miesiąca wakacji spędzali na urlopach w rodzinnych domach. W roku 1935 kadeci w Rawiczu brali czynny udział w budowie na piaszczystym dziedzińcu dużego stadionu sportowego. Współdziałali także w przebudowie nieużywanej ujeżdżalni na nowoczesne kino z estradą.

Kadet Janek Stawarz w okresie sypania kopca ku czci Marszałka Józefa Piłsudskiego na krakowskim Sowińcu

W roku 1936 nastąpiło przeniesienie korpusu KK 2 Chełmno do KK 3 w Rawiczu. Oba korpusy połączono w jeden i nadano mu numer 2. W ten sposób KK 3 Rawicz zmienił się na KK 2 Rawicz. W związku z tą decyzją korpus w Rawiczu przejął tradycję po korpusie w Modlinie, który jako pierwszy miał numer

2, natomiast odznakę po korpusie w Chełmnie. To właśnie kadeci z Modlina brali czynny udział w wojnach o wolność i granice w latach 1920 i 1921. W nawiązaniu do tego, w podstawę pomnika Marszałka Piłsudskiego wmurowano tablicę zawierającą nazwiska kadetów z KK 2 poległych w latach 1920/21. Dnia 25 września 1937 roku nadano korpusowi z Rawicza imię Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Kadeci zamienili wtedy cyfrę „2" na swych naramiennikach na emblemat „RS" z buławą marszałkowską.

W związku ze wspomnianą już zmianą profilu nauczania w Rawiczu zdarzyło się Jankowi potknięcie i musiał jedną klasę powtarzać. Ale – jak to się mówi – przypadki chodzą po ludziach, a nie po ziemi. Z okresu pobytu w rawickim korpusie Janek wspominał swego dowódcę kompanii, kapitana Roberta Herolda, który cieszył się opinią najlepszego wychowawcy młodych kadetów. Stawarz wspominał też niektórych podoficerów, wyszkolonych jeszcze w armii cesarskiej, którzy zapoznawali swych wychowanków z tajnikami boksu, szermierki i posługiwania się różnego rodzaju bronią.

Wreszcie dobiegł końca rok szkolny 1938/39. Janek Stawarz zdał w Rawiczu egzamin dojrzałości. Jednak zadowolenie po zdaniu matury i radość z wakacji spędzanych w domu rodzinnym w Prokocimiu zmąciło mu zagrożenie związane ze zbliżającą się nieuchronnie wojną.

Wojna i okupacja

Wraz z kolegami powołano Stawarza 13 sierpnia 1939 roku do odbycia służby w 13. Junackim Hufcu Pracy w Nowogrodzie nad Narwią, niedaleko granicy z Prusami Wschodnimi. Powołanie to było oparte na zarządzeniu z roku 1938, które przewidywało, że absolwenci szkół średnich, łącznie z absolwentami korpusu kadetów, są zobowiązani do odbycia 6-tygodniowej służby w Junackich Hufcach Pracy na budowach mających znaczenie ogólnopaństwowe. Tam, nad Narwią, wspólnie z absolwentami

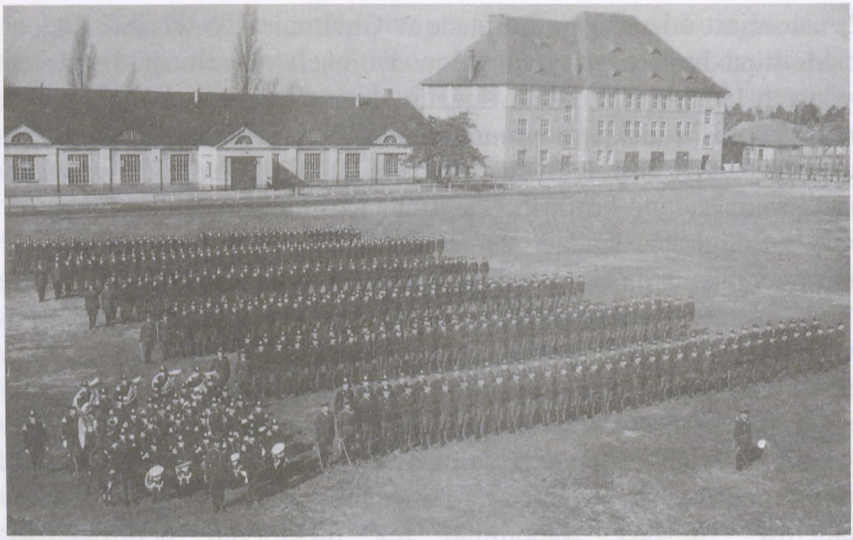

Batalion szkolny KK 2 Rawicz – apel na stadionie

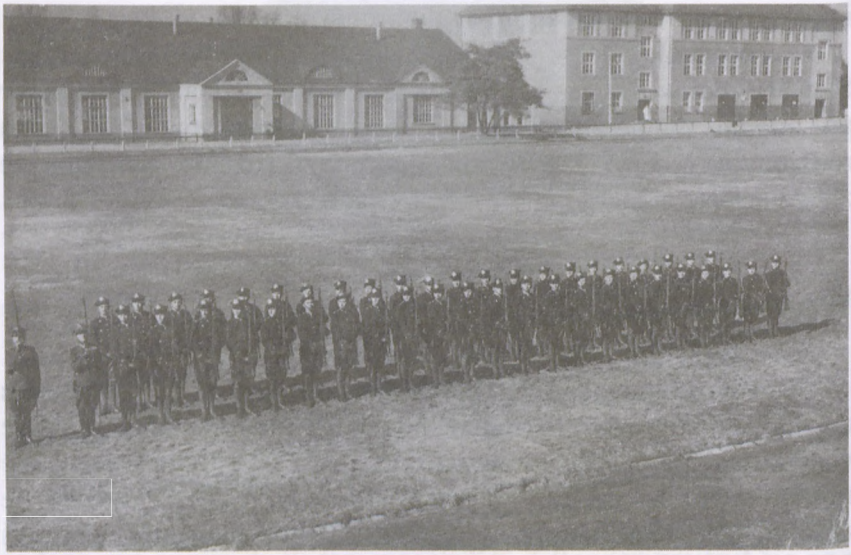

6. Kompania Kadecka KK 2 Rawicz (matura 1939) prezentuje broń na stadionie

liceów melioracyjnych, mierniczych i budowlanych z Zagłębia oraz z kilkunastoma absolwentami krakowskich szkół średnich budował Stawarz schrony bojowe i umocnienia. Z Krakowa byli tam między innymi Zdzisiek Maciejasz, Teofil Kwieciński, Jerzy Panek i Lucjan Wójcik. W dzień brali udział w ćwiczeniach wojskowych, a wieczorem – gdy nie groziły im już loty zwiadowcze samolotów wroga – pracowali przy umocnieniach. I tak mijał dzień za dniem. Pod koniec drugiej dekady sierpnia, powołana pod broń część kadry wojskowej hufca odeszła do swych macierzystych jednostek. W związku z tym kadet Stawarz, mający za sobą kilkuletnie szkolenie w Rawiczu, awansował na zastępcę dowódcy junackiej kompanii. Dowódcami plutonów mianowano dwóch absolwentów korpusu z Rawicza: Staszka Murzyna z Krakowa i Romana Radzikowskiego z Dąbrowy Górniczej.

Wybuch wojny zastał Janka nad Narwią. Wchodził teraz w skład obsady jednego ze schronów bojowych i tam, w dniu 4 września, został awansowany na stopień kaprala z cenzusem. Do 5 września, w ramach 33. Pułku Piechoty, wraz ze swymi junakami bronił linii Nowogród-Łomża. W tym dniu batalion hufca pracy został wycofany. Pomaszerowali do Białegostoku, gdzie załadowano ich do wagonów pociągu towarowego. Pociąg – bombardowany po drodze przez niemieckie lotnictwo – dotarł pod Brześć. W twierdzy brzeskiej junacy otrzymali żywność na dalszą drogę i – po załadowaniu do innego pociągu towarowego – przez Kowel dojechali do Zdołbunowa nad granicą z ZSRR. Pod Zdołbunowem zostali otoczeni przez żołnierzy wkraczającej Armii Czerwonej i dostali się do niewoli. Jeszcze tej samej nocy Jankowi udało się uciec wraz z kilkunastoma kolegami. Przez Dubno i Równe, w mundurze kolejarza otrzymanym od polskiej dróżniczki dostał się do Lwowa. Potem przez San, ciągle w kierunku na zachód, wrócił pod koniec października do rodzinnego Prokocimia.

Radość w domu ogromna. Ale Jankowi nie dawał spokoju brak odpowiedzi na dwa zasadnicze pytania: dlaczego tak się stało

i co robić dalej. Wtedy niespodziewanie otrzymał odpowiedź na drugie pytanie. Zgłosił się do niego znajomy, młody podchorąży ze szkoły artylerii, Henio Bryniarski z Prokocimia. W czasie dłuższej rozmowy uzgodnili, że wieczorem Henio przekaże Jankowi na przechowanie trzy karabiny piechoty oraz amunicję do nich. Bez wiedzy rodziców Janek ukrył ten niebezpieczny ładunek między deskami poddasza rodzinnego domu. To był ten pierwszy znak: trzeba się przygotować do walki z okupantem.

Na przełomie lat 1939/40 Janek Stawarz wstąpił do tajnej organizacji KOP (Komenda Obrońców Polski). Używał tam kolejno pseudonimów „Staw" i „Kadet". Była to organizacja wojskowa. Bazowała głównie na byłych członkach POW i różnych organizacji paramilitarnych. Właściwie wszystko zaczęło się za sprawą starszego kolegi z korpusu kadetów z Rawicza, podporucznika piechoty Stefana Piwowarczyka, mieszkającego w dwupiętrowej kamienicy przy ulicy Krótkiej 6 w Krakowie. W domu jego ojca, kolejarza Józefa Piwowarczyka, poznał Stawarz dwóch sublokatorów – Mariana Dzikowskiego zatrudnionego w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych i jego kuzyna Włodzimierza Ilińskiego. Potem poznał na ul. Krótkiej Henryka Frankiewicza, także z tego samego Zakładu Ubezpieczeń. Obaj kuzyni pochodzili z Kalisza. Iliński, znany pod pseudonimem „Józef" lub „Tułacz", wprowadził Janka do organizacji. To od niego Stawarz otrzymywał prasę podziemną. Były to organy KOP: ogólnokrajowy „Polska Żyje" i lokalny „Polski Dzwon". Gazetki przekazywał Edkowi Kwaśnemu i Mieczysławowi Pietrasowi prowadzącemu sklep spożywczy w Prokocimiu.

W tym okresie od znajomej z Prokocimia, Zosi Chmury, dowiedział się, że jej brat Tadek, absolwent podgórskiego gimnazjum, za przynależność do tajnej organizacji został wraz ze swym kolegą Zygmuntem Ślęzakiem i innymi wywieziony do Auschwitz. W obozie miał pracować jako kucharz.[15]

[15] Obaj wywiezieni – Chmura i Ślęzak – byli także moimi kolegami z VI Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki przy ul. Zamojskiego. Chodziliśmy do tej samej klasy (przyp. autor – M. Z).

Janek rozpoczął wtedy pracę w Krakowskiej Fabryce Kabli w charakterze pracownika fizycznego. Pod okiem majstra Wrony prasował kształtki elektroizolacyjne z proszku bakelitowego w oddziale „Gumon". Praca w krakowskim „Kablu" nie była lekka, a równocześnie była niezdrowa. Po kilku miesiącach zrezygnował z niej i przeniósł się do szkoły technicznej przy placu Matejki, gdzie miał się uczyć projektowania.

W międzyczasie, pod koniec 1940 roku, dotarła do niego szokująca wiadomość. Mówiono wtedy w Krakowie, że gestapo aresztowało wielu młodych oficerów, wychowanków szkoły artylerii w Toruniu. Wśród aresztowanych znajdowali się znani Jankowi podchorążowie Władysław Dadał i Henryk Bryniarski, którego karabiny i amunicję przechowywał na poddaszu rodzinnego domu. Niewesoło było Stawarzowi po usłyszeniu tej wiadomości. Szok był tak ogromny, że nie wiedział, co ma z tym fantem zrobić. Nie wiedział, czy na Pomorskiej albo na Montelupich nie wyjdzie na jaw sprawa broni i czy nie padnie jego nazwisko. Bał się bardzo. Przez kilka dni nie nocował w domu, ale dzięki Bogu, nic się nie wydarzyło. Widocznie na gestapo nie padło jego nazwisko. Po aresztowaniu artylerzystów krążyła po Krakowie wieść, że wsypa była skutkiem akcji prowokacyjnej zorganizowanej przez ich znajomego ze szkoły artylerii, będącego aktualnie na usługach gestapo. Jedynie trzeci kolega aresztowanych, także znajomy Janka – podporucznik Eugeniusz Sidor miał szczęście, bo akurat nie było go w domu w chwili, gdy przyszło gestapo.

Będąc uczniem szkoły przy placu Matejki, Stawarz odwiedzał często rodzinę Piwowarczyków mieszkających przy ulicy Krótkiej. Tam od Ilińskiego dowiedział się, że ich odgałęzienie KOP zostało włączone do Związku Walki Zbrojnej. W dalszym ciągu odbierał prasę podziemną. Na polecenie organizacji odkładał po jednym numerze do tymczasowego archiwum, którym była skrzynka w ojcowskiej szopie. Resztę egzemplarzy kolportował. Przenosił je na brzuchu pod paskiem i w drodze powrotnej między ulicą Krótką a Prokocimiem zawsze

nerwowo przeżywał moment przejazdu tramwaju przez getto. Miał do wyboru dwie możliwości. Albo mógł wysiąść przed gettem, obejść je ulicami Kącik i Tarnowskiego, a potem już poza jego granicami wsiąść do następnego tramwaju w kierunku ulicy Wielickiej, albo przejechać tramwajem przez getto narażając się na rewizję niemieckich żandarmów konwojujących pasażerów na tym odcinku. Podczas przejazdu przez getto pilnowano bowiem, aby nikt nie wyrzucił z tramwaju paczki dla jego mieszkańców. Z reguły wybierał Janek tę drugą możliwość. Nie bardzo mu się uśmiechała piesza wędrówka wokół getta.

Gdy pewnego dnia na początku października 1941 roku chciał wejść do dwupiętrowego budynku przy ul. Krótkiej, zatrzymała go dozorczyni zamiatająca chodnik przed domem. Znała go już dobrze. Trzymając palec przy ustach ostrzegła go, żeby nie wchodził na górę, ponieważ w mieszkaniu Piwowarczyków może być kocioł. Natychmiast zrobił w tył zwrot i klucząc po ulicach miasta wrócił do domu. Po kilku dniach dowiedział się, że gestapo aresztowało Ilińskiego, Dzikowskiego, oraz czworo Piwowarczyków – ojca Józefa, matkę Krystynę, córkę Władysławę i najmłodszego syna, 16-letniego Janka. Dwaj starsi synowie, Stefan i Tadeusz, uniknęli aresztowania, ponieważ przebywali wtedy poza Krakowem. I znowu Janek przeżywał straszne chwile. Przez kilka dni nie spał w domu. Nie wiedział, czy w czasie śledztwa nie wyjdzie na jaw jego przynależność do organizacji i kolportaż prasy podziemnej. Przeżywał ten strach i niepewność już po raz wtóry. Ale znowu nie ominęło go szczęście. Widocznie na Montelupich nie padło jego nazwisko.

W tym czasie, już od 22 czerwca 1941 roku, trwała wojna Niemiec ze Związkiem Radzieckim i nic nie wskazywało na szybkie jej zakończenie. Rozbicie organizacji, obawa przed aresztowaniem przez gestapo i niepowodzenia na frontach spowodowały, że Janek postanowił przerwać uczęszczanie do szkoły przy placu Matejki i wraz z dwoma kolegami, absolwentami gimnazjum Józkiem Zlatnikiem i Mietkiem Rewilakiem z Prokocimia podjęli decyzję rozpoczęcia studiów

wyższych we Lwowie. Jak się dowiedzieli, istniały tam możliwości studiowania medycyny, weterynarii i specjalności politechnicznych. Nie namyślali się długo. Plik niemieckich marek wszyli pod podszewkę Jankowego płaszcza, zabrali zapasy żywności na drogę i wsiedli do pociągu. Nie był to pociąg relacji Kraków – Tarnów – Przemyśl – Lwów. Ta linia była bowiem stale przeciążona transportami wojskowymi zdążającymi na front wschodni i – co najważniejsze – udając się w tamtym kierunku trzeba było mieć specjalne przepustki od władz niemieckich. Otrzymanie takich przepustek przekraczało możliwości trzech żądnych wiedzy mieszkańców Prokocimia. Na zasadzie powiedzenia, że młody Polak się nie łamie, postanowili dojechać do Lwowa podkarpacką drogą kolejową. Prowadziła ona przez Tarnów, Jasło, Krosno, Sanok, Ustrzyki Dolne i Sambor. Szczęśliwie udało im się dotrzeć do Sambora. A tu nic. Mała stacja, na której rolę poczekalni pełnił zimny, nieopalony wagon. Czekali jeden dzień i drugi. Pociągu do Lwowa nie było. Nikt z pytanych nie umiał im powiedzieć, kiedy będzie możliwość kontynuowania podróży. Trzej prokocimiacy coraz bardziej tracili ochotę na studia i w końcu postanowili wrócić do domu. Ale i to nie było proste. Z braku pociągu osobowego, zmarznięci i głodni wsiedli w końcu ukradkiem do pociągu towarowego, który dowiózł ich do Ustrzyk. Niestety, pociąg nie dojechał do stacji, tylko stanął obok jakichś dużych zbiorników, prawdopodobnie zawierających ropę naftową. Gdy wysiedli z pociągu, była noc. Nie wiedzieli, w którym kierunku mają się udać i wkrótce wpadli w łapy ukraińskiej policji. Zamknięto ich na miejscowym posterunku. Podejrzewano, że mieli złe zamiary co do tej ropy w zbiornikach. Niedługo potem ukraińska policja pozbyła się kłopotu, oddając ich w Ustrzykach Dolnych w ręce miejscowego Kripo (Policja Kryminalna).

Wpadli jak przysłowiowe śliwki w kompot. Sytuacja była niewesoła. Janka wsadzono do odrębnej celi. Wiedział, że musi się trzymać jednej wersji w czasie przesłuchań, a jedyną wersją było mówić prawdę o tym, co ich zagnało z Krakowa do Ustrzyk. Toteż

zbierał baty, gdy nie chciał się przyznać do zamiaru ucieczki za granicę z Węgrami, do sabotażu z ropą, do przynależności do tajnej organizacji i do czytania tajnej prasy. Bity, powtarzał w kółko to samo. Prawdopodobnie tak samo postępowali jego dwaj koledzy, bo w końcu policjanci spasowali i po zakończeniu przesłuchań umieścili ich w jednej celi. Było w niej i głodno, i chłodno. Czasem przebywała w niej piątka, czasem szóstka aresztowanych. Jeden z tych współwięźniów okazał się szczególnie cenny. Znał drogę i sposób, w jaki można było wydostać się z rąk miejscowego Kripo. W czasie rozmów padło nazwisko człowieka, którego Janek znał jeszcze przed wybuchem wojny. Okazało się, że siostra tego znajomego miała jakieś powiązania z niemiecką policją i bywały przypadki, że za odpowiednią łapówkę załatwiała zwolnienia z więzienia. Niewiele się zastanawiając, młodzi krakowianie napisali grypsy i wysłali je przy najbliższej sposobności do Prokocimia. Zgodnie z wytycznymi z grypsów, rodziny odszukały wskazanego człowieka i przez jego siostrę przekazały łapówkę, która trafiła do rąk właściwego pracownika ustrzyckiej policji. Dzięki niej cała trójka opuściła więzienie i wróciła do Krakowa po około trzech miesiącach nieobecności. Mieli przy tym wszystkim dużo szczęścia. Po pierwsze, nie przepadły pieniądze zaszyte w płaszczu Janka, bo strażnicy ich nie wymacali, a po drugie, cała wyprawa po wiedzę do Lwowa mogła się łatwo zakończyć w KL Auschwitz.

Po powrocie do domu usłyszał Janek tragiczną wieść, że Henio Bryniarski, aresztowany 18 października 1940 roku (w Auschwitz miał numer 9179), po dziesięciomiesięcznym pobycie w lagrze został rozstrzelany w rocznicę odzyskania niepodległości, w dniu 11 listopada 1941 roku.[16] Wraz z nim zginął jego kolega Władek Dadał. W związku ze śmiercią

[16] Nazwisko podchorążego Henryka Bryniarskiego znajduje się na pamiątkowej tablicy poświęconej wychowankom VIII Gimnazjum im. A. Witkowskiego (obecnie V LO), którzy zginęli z rąk hitlerowskiego okupanta w latach 1939 – 1945 walcząc o wolność Ojczyzny.

Bryniarskiego pojawił się dylemat: co zrobić z karabinami ukrytymi pod dachem ojcowskiego domu? Janek zdecydował, że muszą one pozostać w schowku i czekać na odpowiednią okazję. W roku 1942 przestał uczęszczać do szkoły i chcąc zarobić na swe utrzymanie rozpoczął pracę na dworcu kolejowym w Płaszowie w charakterze praktykanta w nastawni w kierunku Prokocimia. Był to okres, kiedy w Krakowie zaczęły się mnożyć akty sabotażu. Szczególnie zdarzały się one na terenie Płaszowa i Prokocimia, natomiast w Borku Fałęckim spalono zapasy zmagazynowanego siana. Stawarz przywykł powoli do swej pracy na dworcu kolejowym, ale po jakimś czasie zaczął odnosić wrażenie, że jest śledzony.

Fatalne lato 1942

Wydarzenia, które miały miejsce w czerwcu i lipcu 1942 roku, były szczególnie groźne nie tylko dla mieszkańców Prokocimia, ale także dla innych dzielnic i osiedli położonych po tej samej stronie Wisły. Oprócz aresztowań członków różnych tajnych organizacji, gestapo przeprowadziło tam kilkakrotnie masowe aresztowania w ramach akcji represyjno-odwetowych. Równocześnie przeprowadzano je także w centrum Krakowa. W efekcie tych działań przewieziono na Montelupich kilkudziesięciu mężczyzn. Dziesięciu z nich zastrzelono na więziennym podworcu, natomiast na przełomie czerwca i lipca powieszono osiemnastu więźniów przy ulicach: Wielickiej i Wodnej. Oto wydarzenia, jakie miały miejsce po podgórskiej stronie Wisły w czerwcu i lipcu 1942 roku oraz ich konsekwencje:

10 czerwiec – Pierwsze masowe aresztowania w Prokocimiu.
10/11 czerwiec – Nocne rozstrzelanie więźniów na Montelupich.
15 czerwiec – Prokocimianie aresztowani 10 czerwca jadą w transporcie do KL Auschwitz.

17 czerwiec – Aresztowanie członków tajnej organizacji „Białe Orły" w Płaszowie.
24 czerwiec – Grupa wypadowa GL z Płaszowa pod dowództwem Leonida Czetyrki (Kolki) wykoleiła na stacji Płaszów pociąg niemiecki z materiałem wojennym. 40 żołnierzy niemieckich zostało zabitych lub rannych, a część pociągu uległa zniszczeniu. Przerwa w ruchu trwała 12 godzin.[17]
24 czerwiec – Kolejne masowe aresztowania w Prokocimiu.
26 czerwiec – Na ulicy Wodnej w Płaszowie koło dworca kolejowego powieszono 7 osób.[18]
1 lipiec – Przy ulicy Wielickiej 157 powieszono 11 Polaków, rzekomo w odwet za zabicie policjanta w Prokocimiu.[19]
13 lipiec – W transporcie do KL Auschwitz wywieziono część aresztowanych z płaszowskiej tajnej organizacji.
20 lipiec – W transporcie do KL Auschwitz wywieziono następnych członków tajnej organizacji z Płaszowa.
24 lipiec – W transporcie do KL Auschwitz wywieziono prokocimian aresztowanych miesiąc wcześniej, 24 czerwca. Dwóch ostatnich przewieziono do tego obozu następnego dnia, 25 lipca.[20]

Zanim Janek Stawarz podjął decyzję o ucieczce z domu i ukrywaniu się, został aresztowany przez gestapo 10 czerwca 1942 roku, w czasie pracy na drugiej zmianie. Gestapowcy przyjechali po niego autem osobowym, ale towarzyszyła im 'buda' z esesmańską eskortą i do niej go wsadzono. Gestapowcy jechali przodem, 'buda' – za nimi. Jednak z ulicy Dworcowej w Płaszowie nie skręcili w stronę miasta. Auta pojechały w lewo.

---

[17] Tadeusz Wroński, *Kronika okupowanego Krakowa*, zapis nr 1281.
[18] T. Wroński, *op.cit.*, zapis nr 1283.
[19] T. Wroński, *op.cit.*, zapis nr 1297.
[20] Należy tu przypomnieć fakt, że więźniom przywożonym w tym okresie do KL Auschwitz bardzo zagrażała szalejąca w obozie epidemia tyfusu plamistego, która pochłonęła wiele ofiar.

'Jedziemy do Prokocimia' – pomyślał Janek. 'Pewnie na rewizję.' Poczuł ostry skurcz serca... Przypomniały mu się karabiny pod dachem... Jednak 'buda' zatrzymała się przy Bieżanowskiej, na „Mycie". Auto osobowe zniknęło między domami – zanosiło się na większe aresztowania. Wkrótce do siedzącego w budzie Janka pilnowanego przez umundurowanego gestapowca, doszlusowali przywiezieni osobowym autem Edek Kwaśny i Pietras, a potem następni mieszkańcy Prokocimia. Byli wśród nich Jan Bałdyga, Józef Babicki, Bolesław Cygankiewicz, Bronisław Dubiel, Michał Fesiak, Jan Jaglarz, Józef Kowalski, Leon Rewilak, Piotr Samek, Tadeusz Szwed, Franciszek Zagól, Jan Zaręba i inni, których nazwiska nie utrwaliły się Stawarzowi w pamięci. Aresztowanych przewieziono do więzienia na Montelupich. Po zarejestrowaniu w kancelarii i odebraniu wszystkich rzeczy osobistych, umieszczono ich w dużej celi na parterze, która miała numer 55 i nazywała się Transportzelle (cela transportowa). Używano jej także do przetrzymywania cugangów czyli nowo przywożonych po masowych aresztowaniach lub łapankach w Krakowie. Niebawem znaleźli się w niej dalsi aresztowani. Kilku z nich grało w karty obok mostu w Płaszowie, reszta kibicowała grającym. Stąd zostali zabrani. Potem przywieziono dalszych, z łapanki na ulicach Szewskiej i Karmelickiej oraz z Rynku Głównego, przemianowanego na Adolf Hitler Platz. Ta grupa była najliczniejsza. Wyglądało na to, że była to typowo odwetowa akcja. Może za te sabotaże w mieście? Było ich w sumie ponad trzydzieści osób w celi. Innych aresztowanych w tej łapance umieszczono w sąsiednich celach.

Pomieszczenie, w którym znalazł się Janek, było dość duże. W kącie widać było kilka stert ułożonych jeden na drugim sienników przykrytych kocami. Duże, zakratowane okna celi miały założone od zewnątrz blaszane „kosze" bez przykrycia. Dochodzące do uszu wyraźne odgłosy przejeżdżającego od czasu do czasu tramwaju pozwalały przypuszczać, że okna tej celi wychodzą na ulicę Kamienną. Strażnik wprowadzający więźniów pouczył ich w kilku zdaniach, jak się mają zachowywać w celi

i wyznaczył komendanta. Był to więzień o nazwisku Wójcik, który znał język niemiecki. Do jego obowiązków należała dbałość o porządek w celi oraz składanie meldunku o aktualnym stanie osobowym celi każdemu strażnikowi otwierającemu drzwi. Po wyjściu strażnika aresztowani rozłożyli na podłodze sienniki i przygotowywali się do spania.

Henryk Bryniarski,
podchorąży WP
Nr 9179, rozstrzelany
11 XI 1941 roku,
miał 22 lata

Ksiądz Wilhelm Gaczek

Nr 22401, zginął 14 XI 1941
w wieku 60 lat

Janek zauważył wtedy, że niektórzy więźniowie stają na kracie okiennej i usiłują kątem oka dojrzeć, czy ktoś z rodziny nie spaceruje po ulicy Kamiennej lub czy nie jedzie na nieosłoniętej platformie przyczepki tramwajowej, popularnej „trójki". Być może, w czasie takiego obciążenia kraty jeden z jej prętów oderwał się, a może był już wcześniej naderwany. Więźniów spoglądających ponad blachą kosza ktoś dostrzegł z zewnątrz. Po chwili wpadli do celi strażnicy. Byli to ci, którzy pełnili służbę wokół więzienia. Mieli w rękach karabiny. Zaczęli bić kolbami,

a zaskoczeni i przerażeni więźniowie zbili się w gromadę. Wtedy wachmani zobaczyli pręt kraty odczepiony od pozostałych. Przywołali silnego kucharza – esesmana. Ten, bez specjalnego wysiłku odgiął pręt. Znowu poszły w ruch kolby karabinów. Strażnicy krzyczeli przy tym, że to jest przygotowywana ucieczka i żeby się natychmiast zgłosili sprawcy. Jeśli tego nie zrobią, wszyscy więźniowie z tej celi zostaną rozstrzelani. Nikt się nie zgłosił. Więźniowie stali jak porażeni, ani jeden nie otworzył ust. Zbici w gromadę jak przerażone owce, trzęśli się ze strachu. Wreszcie oprawcy wyszli. W celi zapanowała taka cisza, że zdawało się, że da się usłyszeć przelatującą muchę. Ciszę przerwał dopiero dochodzący z ulicy Kamiennej dźwięk przejeżdżającego tramwaju. Więźniowie pomyśleli, że tamci już sobie odpuścili. Ale nie.

Po upływie dwóch godzin dał się słyszeć odgłos kroków na korytarzu. Odgłos niesamowity w tej ciszy. Podkute buty miarowo uderzające o kamienną posadzkę. Trzask klucza w zamku. Serca skaczą do gardła. Do celi wpadli ci sami, co poprzednio. Znowu kolby poszły w ruch. Więźniowie wycofali się pod ścianę i zbili w grupki, zasłaniając się rękami przed uderzeniami. I znowu wrzask o przyznanie się sprawców. I znowu nikt się nie zgłosił. Żaden z więźniów nie powiedział ani słowa, oprawcy wyszli. Przyszli powtórnie po północy, a potem jeszcze raz przed świtem. Bili i krzyczeli za każdym razem. Komendant celi coś do nich mówił, ale nie chcieli go nawet słuchać. Zapowiedzieli wszystkim rozstrzelanie za usiłowanie ucieczki z więzienia i wyszli. Po wyjściu jeden z nich uniósł blaszaną zasłonkę judasza i obserwował reakcje więźniów. Janek był przekonany, że gdyby którykolwiek ze współtowarzyszy niedoli świadomie wyginał pręty krat, to chyba nie mógłby znieść tego psychicznego nacisku wywołanego biciem, znęcaniem, tym niesamowitym odgłosem kroków dochodzącym z korytarza i oczekiwaniem na to, co się stanie. Ale nikt nie wystąpił, nikt się nie przyznał. W celi panowała cisza, więźniowie nie próbowali nawet rozmawiać.

Otępiali ze znużenia, ogłuszeni krzykami i biciem, siedzieli pod ścianami pogrążeni w jakimś nerwowym półśnie.

Wczesnym rankiem z korytarza znowu dobiegł odgłos kroków. Rozległ się trzask klucza w zamku: byli to gestapowcy z Pomorskiej. Jeden z nich, chyba najstarszy rangą, wysoki, w opiętym mundurze, stanął przed więźniami. Ustawieni przed nim w kilka rzędów, stali na baczność drżący z przerażenia i zdenerwowania do granic wytrzymałości. Przez chwilę była taka cisza w celi, że każdemu ze stojących przed gestapowcem więźniowi zdawało się, że słychać w celi głuchy łomot jego serca. Nagle ręka gestapowca uniosła się w górę i jego palec wskazał na jednego z więźniów. Z ust gestapowca padły tylko dwa słowa: '*Du weg!*' (Ty wyjdź!) Wskazany, w asyście dwóch mundurowych, opuścił celę. Poszli korytarzem w stronę bramy. I znowu ręka tego głównego znalazła się w górze. Palec wskazał następnego i znowu słowa '*Du weg!*' Wskazany wystąpił z szeregu i wtedy do uszu obecnych doszedł z podworca głuchy odgłos wystrzału. W ułamku sekundy więźniowie zdali sobie sprawę z tego, że to rozstrzeliwanie. Szczupły, niewysoki Janek poczuł się wtedy fatalnie. Czekał na moment, kiedy wzrok gestapowca spocznie na nim, kiedy zobaczy skierowany w jego stronę palec i usłyszy te dwa straszne słowa: '*Du weg!*' Te dwa króciutkie słowa, powodujące tak ostateczne skutki. Odczuł silny skurcz serca, mocne parcie na pęcherz moczowy i kurcze w żołądku. W głowie jak błyskawice przelatywały myśli. Straszny żal, że nie miał okazji pożegnać się z matką... Krótki rachunek sumienia... I w tym momencie poczuł jakieś odprężenie, uspokojenie i gotowość na wszystko. Nawet na to najgorsze. Przestał się bać. Było mu wszystko jedno, czy go gestapowiec wskaże, czy nie. Był to moment jakiegoś wewnętrznego zatracenia instynktu samozachowawczego. Przez chwilę zdawało mu się, że wzrokiem prowokuje decyzję esesmana. Czekał na wyrok tego, którego ostre spojrzenie spod daszka nasuniętej na czoło czapki z trupią główką, szukało następnej ofiary. Myślał, że go wskaże. Ale nie wskazał.

Gestapowiec wybrał wtedy w sumie dziesięciu więźniów, których rozstrzelano na podworcu więziennym, obok hałdy węgla. Był wśród nich komendant celi o nazwisku Wójcik, prawdopodobnie pochodzący z Płaszowa i Jan Zaręba, mieszkaniec Prokocimia. Nazwisk pozostałych Janek po wojnie już nie mógł sobie przypomnieć. Zdaniem gestapo, komendant celi był winien, gdyż jego obowiązkiem było powiadomienie dyżurnego wachmana o „planowanej ucieczce".

Po zabraniu dziesiątego więźnia ekipa gestapowców opuściła celę. Więźniowie stali dalej jak porażeni. Żaden się nie poruszył, nie wymówił słowa. Nikt z nich nie był pewien, czy tamci jeszcze nie wrócą po następne ofiary. Dzięki Bogu, nie wrócili. Dopiero po upływie kilkunastu minut więźniowie przyszli do siebie na tyle, że zaczęli rozmawiać. Śmierć otarła się o nich bardzo blisko. Ale na razie jeszcze żyli.

Tej sceny wybiórki na rozstrzelanie w więzieniu na Montelupich nie mógł Janek Stawarz długo zapomnieć. Przeżycia w celi nr 55 stanowiły przez dłuższy okres treść jego koszmarnych snów. A po wojnie pamiętał jeszcze, że wśród żywych pozostali wszyscy aresztowani w Prokocimiu oprócz Zaręby oraz Bolesława Cygankiewicza, który został zwolniony z więzienia. Z aresztowanych w czasie łapanki w mieście zapamiętał następujące osoby: Jerzy Gaj, Teodor Skoda, Zdzisław Walczak, Andrzej Węgiel, Henryk Zguda, Rafał Żuławski, Tadeusz Węgrzyn oraz Józef Orłowski.

Jeszcze jedno zaskoczenie przeżyli więźniowie po wybiórce. Oto podczas zaścielania sienników po tej strasznej nocy, wypadła z jednego z nich peruka. Patrzyli na siebie jak skamieniali. Należała do jednego z nich, czy leżała tam już wcześniej? Nie zastanawiali się nad tym długo. Wsunęli ją głęboko w siennik i usiłowali przestać o niej myśleć

Kiedy Janek opowiadał mi po wojnie o tym rozstrzelaniu, przypomniało mi się to, co o tym wydarzeniu słyszeliśmy w roku 1942 w więzieniu na Montelupich. Aresztowany kilka dni po Stawarzu dowiedziałem się w celi nr 150 o tej tragedii. Starsi

stażem więźniowie pokazywali mi wtedy przez szparę pod koszem okna tę hałdę węgla na podworcu, obok której rozstrzelano jedenastu więźniów. Nikt wtedy w naszej celi nie wiedział, co to byli za ludzie i za co ich rozstrzelano. Z poufnej informacji otrzymanej od fryzjera z II piętra wynikało, że dziesięciu zabitych przywieziono tego dnia z wolności, a jedenastym był Żyd doprowadzony z celi znajdującej się w piwnicy budynku. Już po wojnie okazało się, że to rozstrzelanie przy hałdzie węgla w czerwcu 1942 roku było jednym z największych, jakie gestapo krakowskie przeprowadziło w czasie wojny na terenie więzienia Montelupich.[21]

Z reguły wszystkie rozstrzeliwania, czy to na podstawie wyroków, czy jako zakładników albo doraźne – represyjne, odbywały się najczęściej na terenie Krzesławic, w Przegorzałach na „Gliniku" lub w niepołomickim lesie. Tam stoją dzisiaj pomniki ku czci rozstrzelanych.

Po dwóch dniach wzięto Stawarza na przesłuchanie. Starano się go zastraszyć i zmusić do przyznania, że brał czynny udział w sabotażu z podpaleniem siana. Do niczego się nie przyznał – akurat w tej sprawie był czysty. Prowadzony potem przez wachmana w kierunku celi zobaczył na korytarzu córkę Piwowarczyka, Władzię. Poznała go. Na jej twarzy odbiło się wyraźne zaskoczenie i przerażenie. Na pewno pomyślała wtedy, że ich sprawa się rozszerza, a może nawet zaczyna się od nowa.

[21] Drugim aktem zbiorowego rozstrzelania było wydarzenie z listopada 1943 roku, kiedy to zastrzelono kilkunastu więźniów na korytarzu i w małych celach drugiego piętra, znajdujących się za małą kratą wewnętrzną. Więźniowie ci, będący zakładnikami skazanymi na karę śmierci, podnieśli bunt. Beznadziejny w ich położeniu. W czasie otwierania cel obezwładnili strażnika, zabrali mu klucze i zamknęli go w celi. Następnie pootwierali kilka małych cel i wypuścili na korytarz zamkniętych w nich więźniów. Jednak zanim zdążyli sforsować dużą kratę od klatki schodowej, zostali w ciągu kilku minut wystrzelani przez zaalarmowanych wachmanów, którzy przybiegli z parteru. Strzelaninę tę przeżył w celi nr 150 znajdującej się tuż przy małej kracie kolega krakowianin Adam Gatty-Kostyal.

Siedziała na Monte już od ponad dziewięciu miesięcy. Na korytarzu wykonywała jakąś pracę jako sprzątaczka.

Janek Stawarz, podobnie jak reszta więźniów z jego celi, niedługo przebywał w więzieniu na Montelupich. W dniu 15 czerwca 1942 zabrano ich na transport. Opuścili tę celę, w której kilka dni wcześniej przeżyli tak straszne chwile. Szli tym samym korytarzem więziennym, którym wyprowadzano na rozstrzelanie ich towarzyszy niedoli. Na obszernym podworcu więziennym spoglądali z trwogą na hałdę węgla, niemego świadka niedawnej tragedii. Wywołani po nazwisku kolejno wsiadali do starego autobusu, którego szyby zamalowane były ciemnym lakierem. Jeszcze nie wiedzieli, dokąd ich wywożą. Niedawne wydarzenia wskazywały, że wszystko jest możliwe. Może to wyjazd na zbiorową rozwałkę? Takie niedobre myśli przychodziły Jankowi do głowy. Do pojazdu wsiadło także dwóch esesmanów uzbrojonych w pistolety maszynowe, byli to konwojenci. Z urywków ich rozmowy więźniowie zaczęli się domyślać, że to wyjazd do Auschwitz. Dał się słyszeć zgrzyt żelaznej bramy i autobus wyjechał na ulice Krakowa. Przez niewielkie „dziury" na szybach powstałe w miejscach, gdzie odpadł złuszczony lakier, mogli więźniowie spoglądać ukradkiem na ulice miasta. Jakże zazdrościli tym ludziom, tam na chodnikach. Oni byli wolni. Zajęci swymi codziennymi sprawami, nie byli świadomi tego, co czuli ich rodacy wywożeni do Auschwitz. Do obozu, w którym człowiek przestawał nosić nazwisko, ponieważ stawał się numerem. Numerem, który przecież o wiele łatwiej było skreślić z ewidencji, niż imię i nazwisko.

Auschwitz – *Arbeit macht frei* – po raz pierwszy

Brama wejściowa do KL Auschwitz z napisem „Arbeit macht frei"

Tego dnia, 15 czerwca 1942 roku, przywieziono do KL Auschwitz dwa transporty więźniów: jeden z więzienia na Montelupich, drugi z więzienia w Tarnowie. Nowoprzybyłych było ogółem 132; otrzymali numery od 39421 do 39552. Trzynastoosobowa grupa prokocimian otrzymała następujące numery:

- Babicki Józef, nr 39421
- Bałdyga Jan, nr 39422
- Fesiak Michał, nr 39432
- Dubiel Władysław, nr 39427
- Jaglarz Jan, nr 39437

- Kowalski Józef, nr 39445
- Kwaśny Edward, nr 39449
- Pietras Mieczysław, nr 39530
- Rewilak Leon, nr 39533
- Samek Piotr, nr 39536
- Stawarz Jan, nr 39539
- Szwed Tadeusz, nr 39541
- Zagól Franciszek, nr 39548

Kwarantanna

Jak na jeden tydzień z życia młodego człowieka, nie brakowało Jankowi szokujących wrażeń. W upalne popołudnie 15 czerwca 1942 roku przekroczył on wraz z kolegami ze swojego transportu bramę z napisem „Arbeit macht frei" (Praca czyni wolnym). Zatrzymano ich przy Blockführerstubie (wartowni) obok kolczastych drutów, którymi był otoczony cały lagier. Tam dostali się od razu pod komendę jakiegoś funkcyjnego w pasiaku. Poddał on nowoprzybyłych ostrej musztrze, nie żałując szturchańców i kopniaków. Towarzyszył im potok wulgarnych wyzwisk w języku niemieckim. Wszystko to wprowadzało w wyśmienity humor obecnych przy tym esesmanów. Rechotali głośno jak na najlepszym przedstawieniu. Niewiele im trzeba było. Janek patrzył na to wszystko z największym zdumieniem.

Przyzwyczajony do karności w Korpusie Kadetów w Rawiczu, automatycznie wykonywał wszystkie rozkazy i polecenia. Nie mógł się nadziwić faktowi, że człowiek ubrany w pasiak, a więc więzień, wysługuje się esesmanom i znęca się nad takimi samymi – jak on – więźniami. Podobnie wielkie wrażenie wywarł na nim obrazek widziany kilkanaście minut wcześniej, kiedy jechali jeszcze autobusem drogą prowadzącą do bramy obozu. Przez szyby niezbyt dokładnie zamalowane lakierem zobaczył ludzi w pasiakach zaprzężonych do dużego wozu pełnego żwiru. Opasani przez ramiona i piersi pasami,

Zdjęcie obozowe Janka Stawarza w KL Auschwitz

głęboko pochyleni, z ogromnym wysiłkiem ciągnęli swój ciężar. 'Jak człowiek może zaprzęgnąć człowieka do tak obciążonego wozu?' – pomyślał wtedy. I nie wiadomo dlaczego, przypomniał mu się w tym momencie widziany przed laty, jeszcze w dzieciństwie, obraz „Burłacy na Wołdze". Stawarz nie wiedział jeszcze wtedy, czym jest i co robi z ludzi hitlerowski kacet. Był dopiero cugangiem – nowo przybyłym.

Po tym „powitaniu" cugangi mieli przedsmak tego, co ich czeka w lagrze. A w dodatku, cały transport, po oficjalnym zarejestrowaniu, wydaniu numerów, strzyżeniu i kąpieli, skierowano na ogrodzony siatką blok 11. Na szczęście, na jego pierwsze piętro, gdzie nowoprzybyli mieli przebyć okres kwarantanny. Już pierwszego dnia przyszedł pod ogrodzenie bloku pracujący w kuchni krakowianin, kolega Janka z czasów szkolnych – Edek Liszka. Chciał się dowiedzieć, czy w transporcie z Montelupich nie przyjechał ktoś z jego krewnych lub znajomych. W czasie rozmowy nie omieszkał podzielić się z wystraszonymi cugangami informacją, że niedawno rozstrzelano tu ponad 160 ludzi z Krakowa, w większości byłych oficerów. W momencie, kiedy Janek opowiadał mi o tym, przerwałem mu i przypomniałem, że wydarzenie to było na pewno związane z aresztowaniami przeprowadzonymi w kwietniu 1942 roku

w krakowskiej „Kawiarni Plastyków". Aresztowanych przewieziono do Auschwitz jako zakładników i w odwet za zamach dokonany na wyższego oficera Luftwaffe rozstrzelano dnia 27 maja. Wśród 168 rozstrzelanych znajdowali się byli polscy oficerowie, aktorzy i artyści. Była to typowa akcja odwetowa za działalność ruchu oporu w miejscu zamieszkania zakładników. Edek niewiele mógł powiedzieć wtedy o przyczynach tego rozstrzelania, ale zażartował makabrycznie, że mogą to być przyczyny podobne do tych, jakie spowodowały obecnie skierowanie tego transportu na blok nr 11. Po tym uzupełnieniu cugangi poczuli się jeszcze bardziej nieswojo. Janek domyślał się, że Liszka żartuje. Poprosił go, aby powiadomił Tadka Chmurę, że znajduje się na „jedenastce". Tadka znał jeszcze z Prokocimia, a od jego siostry dowiedział się, że brat jest w lagrze kucharzem.

A na kwarantannie tak blokowy, jak i jego sztubowi zaczęli „tresować" cugangów i pokazywać, czym jest obóz koncentracyjny. Blokowy nie potrzebował nawet powodów do maltretowania. Bił o byle głupstwo, kopał bez opamiętania każdego, kto mu się nie spodobał. Podobne metody stosowali wobec więźniów jego sztubowi. Przez cały ten czas Janek wysilał inteligencję i dokładał wszelkich starań, żeby nie podpaść blokowej władzy. Jego sytuacja zmieniła się na lepsze, gdy pod ogrodzenie bloku jedenastego przyszli Tadek Chmura i koledzy z rawickiego korpusu kadetów, starzy więźniowie. Władze blokowe innym okiem patrzyły na więźniów – protegowanych kucharzy. Ruchliwemu Jankowi było to bardzo na rękę, bo mógł się bezkarnie poruszać po całym bloku. Pewnego dnia w czasie pobierania obiadu na podworcu oparł się przypadkowo o obudowę piwnicznego okienka swego bloku i wtedy usłyszał cichą, błagalną prośbę o jedzenie. Spojrzał w dół, skąd dochodziły głosy. Zobaczył wychudzone, zarośnięte, szare twarze dwóch więźniów. Przerażony odskoczył od okienka. Nie miał żadnych możliwości udzielenia im pomocy. Obraz widziany tam w dole odebrał mu apetyt na kilka dni. Twarze tamtych nieszczęśników stały mu długo przed oczami. Modlił się w tym czasie gorąco, aby los

oszczędził mu podobnego doświadczenia z bunkrem. Niedługo potem, w godzinach przedpołudniowych, zarządzono w „jedenastce" blokszperę (zakaz opuszczania bloku). Cugangom zabroniono wychodzić na korytarz i spędzono ich na przeciwległą stronę sztuby, naprzeciwko tej ściany, której okna wychodziły na podworzec miedzy blokami 11 i 10. Stawarz nie potrafił wtedy opanować swojej ciekawości. Pewny swej mocnej pozycji u sztubowego, zabrał się do wynoszenia kubłów po kawie. Wyszedł na korytarz. Szybko spojrzał przez klatkę schodową w dół. Przed drzwiami wyjściowymi na dziedziniec zobaczył kilku nagich mężczyzn. Mieli oni wypisane na piersiach numery. Wśród nich mignęła mu twarz jednego z tych, którzy prosili o jedzenie przez okienko bunkra. Nagle z dziedzińca dały się słyszeć głuche odgłosy strzałów. Jak oparzony wskoczył Janek z powrotem do sztuby. Upomniał go wtedy sztubowy, że jeśli będzie za bardzo dociekliwy, to łatwo może podzielić los tamtych. I znowu przez kilka następnych dni Stawarz nie mógł przyjść do siebie. Nie miał apetytu na obozową zupę i nie mógł do tego wszystkiego przywyknąć.

Mijał dzień za dniem, głód coraz bardziej mu dokuczał. W końcu, chcąc nie chcąc, musiał się do wszystkiego przyzwyczaić.

W trzeciej dekadzie lipca krakowskie gestapo skierowało do KL Auschwitz dwa transporty więźniów z Montelupich (24 i 25 lipca). Znajdowało się w nich 94 więźniów. Grupa prokocimska otrzymała następujące numery:

- Boroń Stanisław, nr 51430
- Cendrowicz Józef, nr 51433
- Darowski Kazimierz, nr 51440
- Grausberg Bolesław, nr 51444
- Grzesiak Władysław, nr 51446
- Królas Karol, nr 51456
- Kubala Józef, nr 51460
- Kwieciński Antoni, nr 51461

- Kwieciński Józef, nr 51462
- Kwieciński Stefan, nr 51463
- Łaptaszyński Tadeusz, nr 51464
- Majcher Franciszek, nr 51468
- Rodzik Józef, nr 52316
- Ziętara Mieczysław, nr 52341

Była to grupa mieszkańców Prokocimia aresztowanych 24 czerwca 1942 roku. Po miesięcznym pobycie w więzieniu na Montelupich zwolniono jedynie najmłodszego z braci Kwiecińskich, Janka. Pozostałych wywieziono do obozu.

W garbarni

Po okresie kwarantanny przeniesiono Janka na blok 19 z przeznaczeniem do pracy w komandzie „Buna". Blokowym w „dziewiętnastce" był P., dobrze zbudowany, krępy więzień w wieku około trzydziestu lat, z czerwonym winklem na pasiaku. Mówiono, że z zawodu był policjantem. Blokowy – typowy „prominent" piastujący wysoką funkcję – nosił dopasowany, dobrze skrojony pasiak. Był to człowiek brutalny, okrutny, bił i kopał podległych mu więźniów, szczególnie na apelach. Odzywał się w sposób wulgarny i przeważnie krzyczał. Więźniowie jego bloku byli zatrudnieni w komandzie „Buna", które należało w tym okresie do najgorszych komand lagru. Byli wychudzeni, wyczerpani ciężką pracą, stale głodni. Blokowy stwarzał warunki nieustannego strachu i poniżenia ludzi słabych. Szczególnie negatywnie odnosił się do więźniów zaliczanych do inteligencji. Wobec Blockführera i innych esesmanów był uniżony, uległy i usłużny. W bloku chronił kilku piplów – młodych więźniów, których znajomi czy opiekunowie solidnie mu się za to wywdzięczali lepszym jedzeniem i papierosami. Całkowitym jego przeciwieństwem byli funkcyjni z „dziewiętnastki" – pisarz blokowy, sztubowi, nachtwachy (służby nocne) i szajsmajstrzy

(sprawujący dozór nad klozetami). Byli to dobrzy i uczynni ludzie. Duży wpływ na ich postawę miał pisarz blokowy, bardzo porządny człowiek. Protektorzy Janka spowodowali, że nie musiał wychodzić do pracy z komandem „Buna". Blokowy przez kilka dni zatrudniał go przy sprzątaniu bloku, a w razie kontroli kazał mu się chować pod łóżko. W końcu Stawarz otrzymał zmianę komanda i skierowano go do pracy w Bekleidungswerkstätte (warsztaty odzieżowe), gdzie zatrudniono go w obozowej garbarni. Niestety, komando „Bekleidungswerkstätte" zbierało się przy bloku nr 24. W związku z tym, gdy każdego ranka po apelu padała komenda '*Arbeit kommandos formieren!*', Janek musiał szybko biec na miejsce zbiórki swego nowego komanda i uważać po drodze, aby jakiś kapo nie zagarnął go do gorszej roboty. Raz mu się to przytrafiło. Złapał go Polak, vorarbeiter i zatrzymał siłą. Komando było malutkie – tylko pięcioosobowe. 'Nie bój się! Skąd jesteś?' – spytał. Gdy usłyszał odpowiedź, ucieszył się, bo większość jego komanda stanowili krakowianie. Zabrakło mu dziś jednego, bo zachorował na tyfus, a pozostali nie chcą, aby im dano kogoś niepewnego, bo komando jest dobre. Dlatego zatrzymał Stawarza.

Janek poszedł z nimi. Pracowali poza obozem, stosunkowo niedaleko od willi komendanta Hössa. Komando obsługiwało urządzenie oczyszczalni ścieków, skąd woda wypływała do Soły. Janka postawiono przy kracie, na której zatrzymywały się płynące szmaty, chusteczki, papier i tego typu przedmioty. Musiał je wyjmować przy pomocy drutu. Od czasu do czasu, gdy krata była całkiem czysta, mógł sobie zrobić przerwę. Wychodził wtedy z pomieszczenia oczyszczalni i z ciekawością obserwował, co się dzieje w pobliżu willi komendanta. Widział jakiegoś człowieka, który robił porządki wokół budynku, a potem dzieci Hössa z guwernantką. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, jak można żyć i wychowywać dzieci tak blisko tego makabrycznego miejsca, jakim był KL Auschwitz... Tuż w zasięgu bicia, katowania, mordowania tysięcy ludzi; tuż obok tego siedliska nędzy i chorób, w powietrzu zanieczyszczonym zawiesiną krematoryjnego dymu...

Nie mógł tego pojąć. Namawiany potem do zostania w tym komandzie, odmówił. Nie zachęciła go do pozostania nawet perspektywa zdobywania czegoś do jedzenia w kuchni czy rzeźni, gdzie komando czyściło studzienki ściekowe, ani to, że nie musi być fachowcem, bo w całym komandzie był nim tylko Ślązak, vorarbeiter. Wolał swoją pracę w garbarni, gdzie miał zapewnioną pomoc i opiekę Tadka Chmury.

Na czele całego komanda Bekleidungswerkstätte stał oberkapo, Niemiec z zielonym winklem, liczący około trzydziestu lat. Podlegli więźniowie unikali go jak ognia. Był to jeden z najgorszych funkcyjnych w lagrze. Niemcem był także kapo garbarni. Przed aresztowaniem był podobno zawodowym przestępcą, specem od otwierania kas i sejfów. Był bardzo życzliwie ustosunkowany do więźniów. Z tego powodu nazywano go „Kapo-mateczka", a więc mianem nieczęsto w lagrze spotykanym. W garbarni poznał Janek nowych kolegów: pułkownika Dziamę z Warszawy, Jasia Kiełba, urzędnika pocztowego z Krakowa, Henryka Bartosiewicza z Łodzi i innych. Jedynym może faktycznym garbarzem był wśród nich vorarbeiter bez bindy (bez opaski) o nazwisku Żmuda. Pochodził z kieleckiego. To on odpowiadał za pracę całej grupy. Był to człowiek prosty, solidny i koleżeński. Praca w komandzie polegała na donoszeniu z magazynu surowych skór zabezpieczonych przed działaniem pleśni i drobnoustrojów dużą ilością soli. Skóry te moczono w odpowiedniej kąpieli, a potem oczyszczano z sierści za pomocą specjalnych noży. Odwłosione skóry przekazywano następnie do dalszej obróbki w sąsiedniej hali. Po kilku dniach pracy w zespole garbarzy Żmuda poznał Janka na tyle, że wtajemniczył go w sposób zdobywania dodatkowego pożywienia. Polegał on na tym, że w czasie przenoszenia surowych, zasolonych skór z magazynu, w bezpiecznym miejscu Żmuda odcinał ze skóry od strony mizdry (wewnętrzna strona skóry) resztki mięsa, tłuszczu i żył. Tragarze skór ubezpieczali tę pracę. Obcięte resztki najpierw moczono w wodzie. Przy intensywnym mieszaniu woda rozpuszczała nadmiar soli i znowu, potajemnie, w pewnym

miejscu hali, Żmuda gotował w wiadrze zupę zwaną popularnie „rosołem". Vorarbeiter nie poprzestawał na tym „rosole". Był dobrym organizatorem.

Około dwadzieścia metrów od garbarni, na terenie komanda Bekleidungswerkstätte znajdowało się pomieszczenie przeznaczone do tresowania esesmańskich psów. Pod nadzorem esesmana tresurę prowadził więzień – Polak. W godzinach południowych ten sam transport przywoził pożywienie dla psów oraz zupę dla więźniów pracujących w garbarni. Zupa dla psów była specjalnie gotowana; gęsta, z kawałkami mięsa. Na pewno była o wiele bardziej kaloryczna od zupy więźniarskiej. Po „organizacji", polegającej na zamianie pojemników z zupami, garbarze stwierdzili, że tego dnia pieski były mniej pilne i pojętne w czasie tresury. Ujadały inaczej niż zwykle. Ale pies je trącał. Najważniejsze było to, że garbarze mieli w takim dniu coś lepszego do zjedzenia. Ten rodzaj „organizacji" był jednak bardzo ryzykowny. Konsekwencje po wpadce mogły być bardzo drastyczne, z katowaniem, bunkrem i SK (karną kompanią) włącznie. Przecież esesmani stawiali swoje psy o wiele wyżej od więźniów. Ale, kto w lagrze nie ryzykuje, ten nie je. A do bunkra czy karnej kompanii i tak łatwo się było dostać, jak nie za tą, to za inną przyczyną.

W rewirze

W trzeciej dekadzie lipca Janek zachorował na dur wysypkowy zwany w obozie tyfusem plamistym – był to okres epidemii tej choroby. Zmarli wtedy jego znajomi z Krakowa: Kwaśny i Pietras. Przez trzy tygodnie leżał w bloku nr 20. Położono go do jednego łóżka z drugim chorym, pochodzącym z okolic Brzeska Zbyszkiem Domasiewiczem, który od dawna już przebywał w lagrze. Z pierwszego okresu choroby Janek prawie nic nie pamiętał – tak bardzo był chory. Dopiero z późniejszego okresu zapamiętał dobrą opiekę lekarza, doktora Tadeusza

Szymańskiego z Krakowa. On to, w sposób rzadko w lagrze spotykany, troszczył się o Janka, pomagał mu i dodawał otuchy. Janek przetrwał kryzys i powoli powracał do zdrowia. Doktor Szymański powiedział mu wtedy: 'Będziesz żył. Polska potrzebuje takich jak ty, młodych, wyszkolonych żołnierzy' i zatrudnił go czasowo przy sprzątaniu bloku, podawaniu chorym „kaczek", rozdzielaniu jedzenia i wynoszeniu zmarłych. Chciał, żeby Stawarz wrócił do sił po ciężkiej chorobie. W czasie tych kilku dni Janek ze zdumieniem i najwyższym podziwem obserwował pracę lekarzy i personelu pomocniczego w bloku nr 20. Ci ludzie robili dla chorych wszystko, co było możliwe, żeby im pomóc, żeby ich ratować. Wstawali w nocy, by podać im coś do picia, omawiali poszczególne przypadki i najlepsze dla nich metody terapii, przy ograniczonych do minimum możliwościach. Widział, jak zbudzony przez nachtwachę w środku nocy lekarz siłą przytrzymywał w łóżku chorego Jugosłowianina, który w gorączce chciał wybiec ze sztuby i z bloku. Jankowi wydawało się to tym bardziej dziwne, że w więźniarskich blokach lagru czy w czasie pracy komand nikt się z więźniami nie cackał. Niektórzy funkcyjni bili i maltretowali więźniów bez litości. Wydawało mu się wtedy, że są to dwa różne światy. Nieoczekiwanie w dniu 27 sierpnia dr Szymański spowodował jednak wypisanie Janka z rewiru. Ten był chwilowo zawiedziony, nie spodziewał się tak szybkiego zwolnienia ze szpitala. Doktor Szymański przez Tadka Chmurę załatwił mu wtedy pracę w obozowej kartoflarni i zakwaterowanie w bloku 25 A. Dopiero dwa dni później Janek zrozumiał, dlaczego tak się stało.

Właśnie po upływie dwóch dni od zwolnienia Janka ze szpitala, 29 sierpnia 1942 roku odbyło się słynne „oczyszczenie" tyfusowego bloku numer 20. Wszystkich chorych na tyfus oraz rekonwalescentów, którzy tę chorobę przetrzymali, a jeszcze pozostawali w ewidencji bloku, wywieziono partiami do Birkenau i tam zagazowano. Było ich około 750. Wywożono ich z podworca między blokami 20 i 21. Mówiono im, że jadą do bloku ozdrowieńców w Brzezince. Stawarz znajdował się już wtedy na

Stefan Kwieciński nr 51463, wiek 23 lata, zginął w komorze gazowej w roku 1942 w Birkenau wraz ze swym bratem Antonim nr 51461

stanie bloku 25 A i powinien był pracować w kartoflarni. Jego protektorzy załatwili mu jednak jeszcze kilka dni „obijania" na bloku. Chcieli, aby przyszedł do siebie po chorobie. Między blokami 25 i 26 stał drewniany barak, w którym przechowywano jakieś więźniarskie rzeczy. Do jego wnętrza prowadziły drewniane schodki. Na nich przygotował sobie Janek jakąś lekką robotę i z ciekawością patrzył na to, co się rozgrywało na ogrodzonym siatką placu między blokami 20 i 21. Od strony bloków 25 i 26 była brama wjazdowa na ten plac. Zatrzymywały się przy niej auta ciężarowe i na nie ładowano partiami chorych i ozdrowieńców po wyczytaniu ich numerów z listy. Wśród nich zobaczył wtedy znajomych z Prokocimia, braci Antoniego i Stefana Kwiecińskich. Samochody odjeżdżały zapełnione i wracały puste. Ze zdumieniem stwierdził Janek obecność kucharza Edka Liszki wśród ozdrowieńców. Stał tam wraz z kilku innymi, wszyscy nerwowo dreptali w miejscu. Od czasu do czasu wyglądali przez siatkę na drogę prowadzącą pod kuchnię. Wydawało się, że niecierpliwie na coś czekają. Na co oni wtedy czekali, dowiedział się Janek dopiero po zakończeniu całej akcji, właśnie od Edka

Liszki. Wraz z Edkiem czekali na transport do Birkenau jego koledzy kucharze, którzy przetrzymali tyfus. Byli to Zygmunt Oliwa, Eugeniusz Cyba zwany Puzonem i Andrzej Rablin z Krakowa, więźniowie z długim stażem lagrowym. Oni dobrze wiedzieli, o co idzie gra. Gdy wyczytano ich numery, nie zgłosili się i nie weszli na podstawione samochody. Na szczęście dla nich, był to okres, kiedy jeszcze nie tatuowano więźniom numerów na rękach. Dlatego też nikt nie mógł sprawdzić ich tożsamości i mogli odwlec swój wyjazd do ostatniej partii wywożonych. Czekali wtedy na cud. Wiedzieli, że ich koledzy z kuchni, vorarbeiter Tadek Chmura i Augustyn Piotrowski interweniują w ich sprawie u kapo Franza Nierychły i u Kommandoführera kucharzy, Egersdorfera. Ale czy coś załatwią... Czy pomogą... Czy zdążą... Przecież decyzja nie zależała tylko od tych dwóch przełożonych kucharzy. Oni musieli w tej sprawie interweniować u kogoś jeszcze wyżej postawionego w hierarchii lagrowych władz. A tu samochody znowu wracają po nowy ładunek, po kolejne ofiary. Chorych i ozdrowieńców było coraz mniej między blokami 20 i 21. Boże! Żeby się pospieszyli... Żeby zdążyli... Zdenerwowanie dochodziło zenitu. Janek, obserwujący to wszystko ze swoich schodków, przestał nawet pozorować, że pracuje. Czuł, że tam za siatką oddzielającą lagrową drogę, dzieje się coś niedobrego. Widział to po zachowaniu Liszki i jego kolegów. Wreszcie zobaczył, że z daleka biegnie czterech ludzi. Poznał wśród biegnących Egersdorfera nazywanego przez kucharzy „wujkiem", Tadka Chmurę, kapo kucharzy Franza Nierychłę będącego równocześnie kapelmistrzem obozowej orkiestry i drugiego vorarbeitra kuchni, Szymanka. Biegli szybko. To był bieg o życie dla tamtych czterech. Przynosili decyzję o zwolnieniu kucharzy Liszki, Oliwy, Puzona i Rablina z transportu do Brzezinki. Zdążyli! Czterech kucharzy zwolniono wtedy na lagier. Janek zapamiętał, że kilka minut później podszedł do jego schodków chwiejący się na nogach i zdenerwowany do ostateczności kolega z czasów szkolnych, Edek Liszka i powiedział tylko jedno słowo: 'żyję'. Był kompletnie wykończony. Po chwilowym odpoczynku

spytał Janka, czy nie ma czosnku i cebuli. Akurat miał je w kieszeni i dał koledze. Ten jadł łapczywie i z wielkim apetytem. Jakby wierzył, że te dwa, podstawowe w lagrze naturalne środki lecznicze, pomogą mu odzyskać zdrowie i siły. Kilka dni później oddał Jankowi tę pożyczkę z nadwyżką.

W kartoflarni

Był już wrzesień 1942 roku. Stawarz zaczął pracę w kartoflarni, zakwaterowano go w bloku 25 A. Blokowym był tu Alojs – więzień z czerwonym winklem, bez litery P, a więc 'polityczny' Niemiec. Mówił po polsku ze śląskim akcentem. Był dobrze zbudowany, o regularnych rysach twarzy, miał niewiele ponad trzydzieści lat. Raczej nie miał wykształcenia. Był porywczy i brutalny. Zdarzało się, że bił i kopał podległych więźniów, najczęściej podczas formowania bloku na apelach, kiedy patrzyli esesmani. Ordynarnie przy tym przeklinał i każdemu przepowiadał opuszczenie lagru przez krematoryjny komin. Niewiele różnili się od Alojsa inni funkcyjni tego bloku. Tym ludziom władza uderzyła do głowy. Ta władza, którą dawała uprzywilejowana funkcja. Władza, której nigdy dotychczas nie posiadali, dawała im przynależność do tak zwanych prominentów, czyli arystokracji obozowej, chodzącej na co dzień w dopasowanych, szytych na miarę pasiakach, w jedwabnych koszulach i sypiających na prześcieradłach, pod wełnianymi kocami odbieranymi Żydom przy selekcjach. Zło udzielało się w lagrze i szerzyło jak zaraza. Podobnie jak najwyższa władza blokowa, reagowali szajsmajstrzy mający pod opieką ubikacje, którzy nogami i wymyślaniem „regulowali ruch" szykanując szczególnie muzułmanów[22] i więźniów należących do inteligencji.

[22] Młodszym pokoleniom czytelników należy wyjaśnić, że stosowane w języku obozowym (tak zwanym „Lagersprache") określenia typu *muzułman* w liczbie pojedynczej, *muzułmani* w liczbie mnogiej oraz pochodzące od nich formy *muzułmanieć*, *zmuzułmaniały* czy *zmuzułmanienie*, nie odnosiły się do

Nawet fryzjer blokowy należał do fanatyków zasady '*Ordnung muss sein*' (porządek musi być). Właśnie ci, piastujący niższe funkcje w bloku, nie mogąc dorównać swoim bezpośrednim przełożonym w przywilejach, stroju i wyglądzie zewnętrznym, usiłowali im dorównać w szykanach stosowanych wobec więźniów zwyczajnych i muzułmanów. Władza uderzała w lagrze tym małym ludziom do głowy i zmieniała ich charaktery. Mieszkańcy bloku 25 A mieli wprawdzie nieco więcej do jedzenia niż przeciętny więzień, ale byli to przeważnie ludzie starsi, schorowani, którzy przez protekcję swych lagrowych przyjaciół czy znajomych dostali się do pracy w kartoflarni. W tym bloku nie brakowało także muzułmanów.

Na początku swej pracy w kartoflarni był Janek świadkiem następującego wydarzenia. W czasie porannego apelu blokowy Alojs polecił pozostać na miejscu dwóm więźniom, którzy niedawno zostali skierowani na jego blok i od kilku dni pracowali w kartoflarni. Jednym z nich był ksiądz o tuszy nieczęsto spotykanej, drugim – braciszek zakonny, niski, utykający na jedną nogę. Obaj mieli pochodzić z okolicy Limanowej. Wśród więźniów, którzy orientowali się co do ich profesji, jaką sprawowali na wolności, krążyła wieść, że obaj jako duchowni mają być skierowani transportem do Dachau. Oni sami także byli o tym przekonani. Po godzinie oczekiwania blokowy zaprowadził ich do krematorium. Po powrocie miał się wyrazić, że obaj są już na pewno załatwieni i do tego czasu na pewno zostali rozstrzelani. Jak było naprawdę – nie wiadomo. W każdym razie, do bloku już nie powrócili.

Kapo komanda kartoflarzy był liczący około 60 lat Niemiec z zielonym winklem na pasiaku, który na lewej ręce nosił żółtą bindę kapowską. W okresie, w którym Janek był zatrudniony w tym komandzie, kapo ten niewiele interesował się pracą

---

wyznawców islamu. Lagrowi esesmani i niemieccy funkcyjni określali w ten sposób, niezależnie od wiary i narodowości, wszystkich więźniów słabych, wychudzonych, skrajnie wyniszczonych pod względem fizycznym i psychicznym.

podwładnych więźniów. Godzinami prowadził jakieś światopoglądowe dyskusje z zatrudnionym w kartoflarni młodym polskim księdzem Wdowiakiem. Obserwowali to kartoflarze i ze zdziwieniem stwierdzali, że ksiądz Wdowiak z uporem godnym większej szansy nawraca starego kryminalistę na dobrą drogę.

Właściwym kierownikiem komanda, takim kapo bez bindy (opaski) był Polak Tadeusz Lisowski, mający około trzydziestu lat. Przed wojną był podobno oficerem wojska polskiego. Był to człowiek inteligentny, rzetelny, dobry, a równocześnie bardzo energiczny. Dbał o podległych mu więźniów i w miarę możliwości pomagał przetrwać kolejne dni w lagrze. Pomoc ta polegała na tym, ze Lisowski zatrudniał w kartoflarni więźniarskiej większą ilość więźniów niż przewidywały to limity władz oraz na organizowaniu dla więźniów dodatkowego pożywienia. Janek widział podczas pracy w tym komandzie, jak Lisowski zwiększał ilość kartoflarzy niemal dwukrotnie w stosunku do limitu. Obierali oni wtedy więcej kartofli. Nadwyżki „organizowano" z kopców stanowiących zimowe zapasy. Kopce te usypano jeszcze w jesieni obok rampy bocznicy kolejowej głównego obozu Auschwitz. Zupy lagrowe w takich dniach były gęściejsze. Wśród kartoflarzy najbardziej denerwowali Lisowskiego ci, których nazywano „politykami". Byli to starsi panowie, zwracający się do siebie nawet tu, w lagrze, z wyszukaną kurtuazją i z użyciem wszystkich zawodowych i niezawodowych tytułów. W rozmowach prowadzonych w czasie obierania kartofli na wszystkie sposoby omawiali aktualną sytuację wojenną, przewidywali dalsze posunięcia na frontach oraz przyszłe warunki i stosunki w kraju po wojnie. Przymierzali się do podziału stołków poselskich i senatorskich, a nawet stanowisk rządowych. Dużo gadali, a równocześnie obierali za mało ziemniaków w porównaniu z innymi. Kartoflarnia była w tym okresie wylęgarnią różnych paroli. Polityków rugał od czasu do czasu rozgniewany Lisowski słowami 'Pieprzeni politycy, języki strzępicie, a obranych kartofli jak nie było, tak nie ma!' Do grupy polityków należeli między innymi redaktor Włodzimierz Długoszewski, mecenas Wacław

Szumański z Warszawy, mecenas Targalski i pułkownik Stamirowski.

W kartoflarni było wtedy trzech vorarbeitrów. Ich zachowanie różniło się diametralnie od zachowania Lisowskiego i od jego podejścia do więźniów. Ich agresywność uwidaczniała się zwłaszcza w tych momentach, kiedy Lisowski przebywał poza kartoflarnią. Pierwszy z nich, Marian, był Polakiem z czerwonym winklem, niskiego wzrostu, garbatym, o słabym wzroku i noszącym z tego powodu szkła. Drugi, „Niku", najczęściej z błahych powodów kopał swoją ofiarę, przy czym bardzo się zacietrzewiał i wulgarnie wymyślał. Ofiary wybierał najczęściej spośród więźniarskiej inteligencji. Natomiast Franz wyładowywał swoją agresję na muzułmanach usiłujących „organizować" obierki z kartofli lub brukwi, składowane koło kartoflarni. Urządzał tam na nich przemyślne zasadzki. Schwytaną ofiarę ujmował za pasiak pod szyją i zadawał jej uderzenie pięścią w twarz. Wszystkich tych trzech funkcyjnych należało się wystrzegać. Wszyscy trzej, zdaniem Janka, mieli wrodzoną predyspozycję do zła i sadyzmu. Cechy te znajdowały swe uzupełnienie w szytych na miarę pasiakach i dopasowanych czapkach. W dwóch komandach lagru zatrudniano wtedy muzułmanów. Jednym z nich była kartoflarnia. Z reguły pracowali w niej muzułmani protegowani przez krewnych lub znajomych, którzy mieli w lagrze jakieś znaczenie. Drugim komandem typowo muzułmańskim był Holzhof (plac drzewny). Po wymarszu komand do pracy esesmani i dozór lagrowy wygarniali muzułmanów ze wszystkich zakątków i kryjówek w obozie. Wyłapani szli na plac przed kuchnię suwając trepami po ziemi. Tam formowano ich w piątki nie żałując bicia, przekleństw i kopniaków. Potem kolumna wlokła się na plac drzewny. Na placu więźniowie cięli lub udawali że tną drzewo, rąbali i składali je w sterty. Gdy było zimno, wpychali pod bluzy „ogrzewacze" wykonane z tekturowych czy papierowych opakowań albo z worków po cemencie. Jeśli taki ocieplacz został znaleziony przez kogoś z dozoru, więźnia maltretowano bez

litości. Toteż, gdy nadeszły słoty i zimno, muzułmani marli jak muchy.

Blok 25 A ustawiony był obok drutów ogrodzenia będącego pod prądem. Te druty były jednym z miejsc, gdzie więźniowie nie widzący szans przeżycia popełniali samobójstwo. Szli – jak to się mówiło w obozie – na druty. Janek widywał takie wypadki, ale jego samego nigdy nie nachodziły myśli o samobójstwie. Najczęściej można było widzieć więźniów na drutach w okresie Świąt Bożego Narodzenia. Widocznie rozłąka z rodziną była najgorsza do zniesienia właśnie w tym czasie. Samobójstwu „na drutach" towarzyszył zawsze strzał strażnika z wieżyczki. Był to strzał przeważnie już do trupa, ale porządek musiał być: więzień zbliżył się do drutów, przekroczył strefę zakazaną, więc jako podejrzany o usiłowanie ucieczki musiał być zastrzelony – nawet „po śmierci". A po usłyszeniu strzału więźniowie w bloku 25 mówili do siebie: 'Znowu ktoś poszedł na druty...'

Początkowo Stawarz obierał ziemniaki. Praca ta była nudna, monotonna i niezbyt odpowiadała jego ruchliwemu usposobieniu. Toteż z wielką radością przyjął polecenie Lisowskiego, żeby się zająć opróżnianiem pełnych beczek z obranymi kartoflami. Wysypywano je z beczek na „tragi" i przenoszono do wypłukania w basenie z wodą. Tymczasem kartofelträgerzy donosili obierającym nowe porcje ziemniaków z magazynu. Ten rodzaj pracy umożliwiał Jankowi swobodne poruszanie się po wszystkich pomieszczeniach kartoflarni a nawet „wypady" na lagier. W tym czasie Tadek Chmura poznał go z sanitariuszem Zygmuntem Ślęzakiem, z którym kończył podgórskie gimnazjum. Zygmunt, zatrudniony jako pflegier w bloku nr 28, nadzorował między innymi naświetlanie chorych lampami nagrzewającymi w tak zwanej heizkiście (urządzenie do nagrzewania). Niejednokrotnie w czasie zimy Janek urywał się z kartoflarni i wygrzewał przez kilkanaście minut pod lampami heizkisty. Lubił te nagrzewania nie tylko dlatego, że dobrze mu robiły na jego reumatyzm, ale także z tego powodu, że zawsze

mógł usłyszeć dobry dowcip od nie tracącego nigdy humoru Zygmunta.

Pewnego dnia przyszedł do Stawarza pod kartoflarnię Janek Michalec, jego kolega z Prokocimia. Gestapo aresztowało go w kwietniu 1942 roku za kolportaż tajnej prasy. Najpierw wpadła – zupełnie zresztą przypadkowo – jego sympatia, a potem on sam. W więzieniu na Montelupich mądrze tłumaczył się w czasie przesłuchań i przez cały czas uparcie trzymał się pierwotnie obranej wersji. Chodziło o pytanie, skąd miał te gazetki. Twierdził, że wsunął mu je pod pachę w zatłoczonym tramwaju jakiś nieznajomy młody człowiek, który potem wyskoczył w biegu. Opisywał jego zmyślony wygląd – stale tak samo. Taką wersję utrzymywał w czasie wszystkich przesłuchań. W efekcie znalazł się w Auschwitz, a jego dziewczyna w Ravensbrück. Z początku pracował w ciężkim komandzie i zaczął muzułmanieć. Ciągle myślał o swojej matce i chorej siostrze, dla których miał być podporą na starość, a teraz siedzi w lagrze i nie ma dla niego żadnego ratunku. Widział, jakie panują tu warunki i raczej wątpił w możliwość doczekania wolności i powrotu do domu. Znajdował się w stanie takiego właśnie psychicznego załamania, gdy po raz pierwszy spotkał się z Jankiem. Ten zabrał się energicznie do ratowania kolegi. Od razu wspomógł go jedzeniem i przez swoje znajomości spowodował zmianę komanda. Michalca, jako muzułmana, przyjęto do kartoflarni. Miał teraz pracę pod dachem, dość prostą. Obieranie ziemniaków nie wymagało wielu sił fizycznych. W kartoflarni pracowała przecież większość muzułmanów. Niestety, załamanie psychiczne kolegi postępowało. Mimo większych i raczej dostatecznych ilości jedzenia, mimo opieki i dość dobrych perspektyw, w dalszym ciągu palił papierosy i nie zdobył się na wewnętrzny wysiłek wyrwania się z marazmu i na pozbycie się obsesji winy wobec bliskich, którym miał być podporą. Dalej chudł i prawie zasypiał z obieranym kartoflem w ręce. Janek na wszelkie sposoby starał się go zdopingować do aktywności i do przeciwdziałania otępieniu, które go ogarniało. Ale wszystko na

nic. Widząc, że sam już niewiele pomoże, spowodował przez znajomości z Zygmuntem Ślęzakiem przyjęcie kolegi na rewir. Odwiedzał go tam kilkakrotnie. Przy każdej nadarzającej się okazji przynosił mu jarzyny i coś lepszego do jedzenia, ale niewiele to pomagało. Michalec zachorował na krwawą biegunkę i zmarł w szpitalu. Przed śmiercią mówił do Janka, że nie ma do nikogo żadnych pretensji za swój los i swe życie. Żal mu było jedynie matki. Janek zastanawiał się potem nad tą śmiercią kolegi. Dotychczas myślał, że powodem zmuzułmanienia jest głód i towarzyszące mu choroby. Na przykładzie bliskiego kolegi stwierdził dopiero, jak duże znaczenie ma odporność psychiczna na to wszystko, czym jest lagier i na to, co się w tym lagrze dzieje.

Stawarz dokładał starań, aby się od czasu do czasu wyrwać z kartoflarni do Effektenkammer (depozyt odzieżowy), gdzie można było porozmawiać z cugangami. Stale szukał znajomych wśród nowoprzybyłych. Pewnego razu znalazł tam swego krewnego, Władysława Stawarza, którego dotychczas nigdy w życiu nie widział. Był to jego brat stryjeczny, dyżurny ruchu z Nowego Sącza. Wspomógł go wtedy chlebem, gotowanymi ziemniakami, dał mu skarpetki i obiecał dalszą pomoc w lagrze. Niestety, krewniak niedługo przebywał w Auschwitz Centralnym. Wywieziono go gdzieś, a Janek nigdy się nie dowiedział, kiedy i dokąd wyjechał ten transport.

Mniej więcej od połowy 1942 roku zaczął się okres olbrzymiego napływu nowych więźniów do KL Auschwitz. Zaczęły przybywać także transporty Żydów. Ludzie ci przywozili bardzo dużo wszelkiej żywności, szczególnie chleba i masła. Odbierano im je i przeznaczano dla kuchni. Kucharze zaczęli wtedy gotować tzw. chlebówkę, w której zresztą oprócz chleba znaleźć można było rozmaite przedmioty, nawet prezerwatywy. Kucharze przeznaczali zawsze kilka pojemników tej zupy dla kartoflarni. Pojemniki ukrywano pod obierkami, a kartoflarze zasiadali do jedzenia dopiero po pracy, po uprzątnięciu całego pomieszczenia. Niezależnie od tego, kartoflarze otrzymywali także swoją przydziałową zupę w bloku nr 25, a chlebówkę zajadali od

czasu do czasu także koledzy i znajomi Stawarza. Jako pracownik kartoflarni miał on zawsze więcej zupy oraz większe możliwości organizacji. Podobnie jak inni kartoflarze, organicznie nie znosił zupy brukwiowej gotowanej z brukwi ciętej w okrągłe plastry, którą nazywali zupą z płyt gramofonowych. Przychodzili pod kartoflarnię jego koledzy i znajomi z Prokocimia i z okresu nauki w gimnazjum. Byli to między innymi Bolek Grausberg, Józek Krzemień, Mieczysław Gaczoł, Majek, Kyrcz, Żemojtel, a także Frankiewicz i Piwowarczyk. Ci dwaj ostatni przyjechali do Auschwitz później od Janka. Od Piwowarczyka dowiedział się Stawarz, że jego córka Władzia i najmłodszy syn Jasiek zostali zwolnieni po dziesięciomiesięcznym pobycie w więzieniu na Montelupich, a ich matkę wywieziono do Birkenau. Piwowarczyka wywieziono później do Buchenwaldu, a stamtąd na jakąś komenderówkę na zachód. Janek dawał znajomym i kolegom czasem zupę, czasem trochę marchwi czy kiszonej kapusty. Wszystko musieli zjadać na miejscu, nie wolno było niczego wynosić na lagier. Od czasu do czasu zabierał ich do sprzątania kartoflarni. Wtedy mogli się pożywić lepszą zupą, „chlebówką" lub „kartoflanką". Znajomym z Prokocimia pomagał także brotauflader (ładowacz chleba) Józek Kwieciński, który przed aresztowaniem mieszkał na terenie tego samego przedmieścia. Dożywiał ich okruchami, które powstawały przy transporcie chleba i przy jego przerzucaniu w magazynach.

W Auschwitz spotkał Janek także kilku absolwentów Korpusu Kadetów. Jednemu z nich, pochodzącemu z Ostrowa Wielkopolskiego Zygmuntowi Motyl-Motylewskiemu, pomógł zmienić trudne komando. W Rawiczu Zygmunt grał w orkiestrze korpusu na trąbce. A tu, w Auschwitz w orkiestrze lagrowej, zastępcą kapelmistrza Franza Nierychły był profesor Janka, nauczyciel śpiewu w korpusie lwowskim, Mieczysław Krzyński. Stawarz poszedł do niego. Przypomniał się swemu dawnemu profesorowi śpiewu jako jeden z członków zespołu rewelersów. Krzyński poznał go. Nie było żadnych trudności z przeniesieniem ostrowianina do lagrowej orkiestry.

W tym okresie byli jeszcze w Auschwitz: Bolek Grzyb z korpusu lwowskiego, stary oświęcimiak, Zygmunt Dębiński – podporucznik saperów z korpusu w Chełmnie, Zbyszek Goszczyński zwany „Gackiem" z Rawicza, Bronek Miszewski ze Lwowa, który tu w lagrze był woźnicą, a także szef kompanii z Rawicza, starszy sierżant Maćkowiak. Tego ostatniego wspomina Janek ze wzruszeniem i rozrzewnieniem. Ten niemłody już przecież człowiek traktował ich, byłych kadetów, a teraz bądź co bądź dorosłych już ludzi tak, jak ich traktował niegdyś w Rawiczu, gdy mieli po kilkanaście lat. Tam, w ciężkich dla tych młodych ludzi chwilach, gdy po jakichś intensywnych ćwiczeniach lub wyczerpujących marszach mieli wszystkiego dość i chętnie rzuciliby całą służbę w korpusie 'do wszystkich diabłów', żeby się tylko nie męczyć, przychodził szef. Jak najlepszy opiekun, jak najlepsza matka pocieszał, namawiał do zaciśnięcia zębów, mówił, że wszystko minie i następny raz będzie już mniej wyczerpujący. I wtedy człowiekowi robiło się lżej. Podobnie tu, w lagrze, Maćkowiak czuł się w jakiś szczególny sposób odpowiedzialny za nich, za tych kadetów, nad którymi miał pieczę przez kilka lat. Wiedział, że nie może im nic dać, bo sam nic nie miał. Ale dawał z siebie to, co miał najlepszego: optymizm, dobrą radę i podtrzymanie na duchu. 'Chłopcy, trzymajcie się', mawiał. 'Nam, kadetom, nie wolno się poddawać, to się musi wcześniej czy później skończyć. A my musimy wytrzymać. Oni i tak przegrają tę wojnę'. Apelował do nich, żeby się trzymali razem i jeden drugiemu pomagał w potrzebie. Taki był ten prosty, twardy poznaniak, były szef kompanii KK 2 w Rawiczu. Zastanawiał się nad tym Janek... Przecież to oni – dwudziestokilkuletni wychowankowie Maćkowiaka – powinni byli starać się pomagać swemu niemłodemu już wychowawcy. Tymczasem było odwrotnie. Janek nie mógł znaleźć odpowiedzi na pytanie, skąd się biorą tacy ludzie i co decyduje o ich charakterze. Ogólnie rzecz biorąc, byli kadeci – podobnie jak byli wojskowi – dobrze trzymali się w lagrach. Stawarz tłumaczył to tym, że niektóre elementy codziennego życia w koszarach i w lagrze wykazywały

pewne podobieństwo. Na pewno ścięcie włosów „do gołej pały" nie było dla byłego kadeta czy wojskowego tak przykre, jak dla cywila. Podobne było wstawanie na pobudkę, spanie w koszarach i blokach, jedzenie z kotła, zbiórki, marsze i dyscyplina. Kadecka przeszłość na pewno pozwalała na szybsze aklimatyzowanie się w kacetach. Mimo pewnych analogii, dużo było jednak różnic między życiem w lagrze a życiem w koszarach. Tu, w lagrze, panowały przede wszystkim: głód, bicie i nieustanny strach przed tym, co przyniesie jutro. Tu liczył się każdy przeżyty dzień. Wspominając po wojnie obozowe przeżycia Janek stwierdzał, że w czasie jego pobytu w lagrze nie zdarzyło mu się widzieć kadeta, który by zginął śmiercią muzułmana. Niemało kadetów poniosło śmierć, ale na przykład – wskutek rozstrzelania. Tu, w Auschwitz, rozstrzelano między innymi znanych mu podporuczników: Jerzego Lisa z KK Lwów i Władysława Dadała z KK Rawicz.

Oprócz więźniów politycznych, w Auschwitz siedzieli także więźniowie Polacy z zielonymi winklami. Niewielu ich było. Byli to przeważnie ludzie notowani w bogatych rejestrach granatowej policji jako notoryczni przestępcy. Oni także byli głodni i szukali pomocy. Jeden z nich, wysoki, smukły mieszkaniec Podgórza, przychodził pod kartoflarnię. Janek widywał go przed wojną w Prokocimiu w czasie swoich urlopów, w latach nauki w Korpusie Kadetów w Rawiczu. Człowiek ten był słynnym kasiarzem. Opowiadano o nim legendy. Można go było spotkać z wędką nad Wisłą, jako że był zamiłowanym wędkarzem, bywał także w restauracji babci Opidowiczowej w Prokocimiu, gdzie popijał piwo z miejscowymi kolejarzami. Często grywał z nimi w karty. Kiedy widywano go w futrze, w meloniku na głowie i z teczką pod pachą, mówiono, że 'J. udaje się na występy'. Po każdym większym lub mniejszym włamaniu policja go aresztowała, ale po kilku dniach opuszczał więzienie. Zawsze miał żelazne alibi. Mieszkał z przyjaciółką, młodą blondynką. Był bardzo grzeczny, pierwszy kłaniał się znajomym. Po udanym skoku popijał w restauracji i chętnie stawiał wszystkim obecnym. W Auschwitz przyznał się do Janka. Mówił, że doskonale go

pamięta jeszcze z Prokocimia i powoływał się też na znajomość z jego ojcem. Janek pomógł mu kilka razy. Dał zupę, zatrudnił przy sprzątaniu kartoflarni. W zamian za to usłyszał pewnego razu od kasiarza opowiadanie o „rozpruciu" kasy PKO w Zakopanem i deklarację rewanżu za pomoc w lagrze. Zapewniał Janka, że nie ma sejfu ani kasy, której on by nie otworzył, a za pomoc w lagrze obiecał mu ni mniej ni więcej, tylko sfinansowanie studiów z pierwszego „skoku" po wojnie. Ma się rozumieć, Janek z humorem potraktował tę obietnicę, stwierdzając, że najpierw trzeba przeżyć lagier i wojnę, a to wcale nie będzie łatwe. Wyraził również zdziwienie, dlaczego tamtemu odpowiadał taki styl życia. Dlaczego po jednym udanym opróżnieniu kasy nie usiadł spokojnie na „czterech literach" i nie zaczął prowadzić trybu życia takiego, jaki prowadzili inni obywatele. Usłyszał wtedy odpowiedź, że w takim przypadku były kasiarz wiele by stracił. Po pierwsze, jaka to frajda, móc rozpruć kasę, którą wszyscy wokół uważają za dostatecznie chronioną! Po drugie, jaka to szczególna chwila, gdy człowiek z otwartej już kasy przekłada do swojej teczki równiutko ułożone stosy banknotów, które w tym momencie zmieniają właściciela. Rozmówca Janka nie chciał zbyt otwarcie podkreślać faktu, jaką satysfakcję sprawiało mu zawsze doprowadzenie do tego, że ludzie na stanowiskach, uważani potocznie za „bardzo porządnych", w zamian za pieniądze fałszywie poświadczali jego alibi.

Więzień ten przeżył lagry i wrócił do Krakowa. Skończył z przedwojennym stylem życia. Żadnych „skoków" już nie robił i na zawsze pozostał wdzięczny Jankowi za pomoc, jaką od niego otrzymywał w obozie.

W bloku 25 A odwiedzali Janka od czasu do czasu także jego znajomi z okresu konspiracji, Włodzimierz Iliński i Marian Dzikowski. Opowiedzieli mu o okolicznościach aresztowania. Obaj podnajmowali jeden z trzech pokoi w mieszkaniu Piwowarczyków w dwupiętrowej kamienicy przy ulicy Krótkiej 6. Mieszkanie to było na drugim piętrze. Od strony podwórza biegła wzdłuż murów domu galeryjka – ganek, na który wychodziło się

z kuchni. Na tym ganku znajdowały się drzwi do wspólnej ubikacji oraz drzwi prowadzące na strych budynku. Gdy gestapowcy zaczęli dobijać się do drzwi, a potem łomotać w nie kolbami karabinów, Iliński przebiegł szybko przez kuchnię na ganek, stamtąd na strych, ze strychu na dach, a potem dachami uciekał w stronę ulicy św. Filipa. Z dachu kamienicy przy Filipa zszedł na jej strych i przez klatkę schodową do bramy. Niestety, w tej bramie czekali już gestapowcy. Być może wszystkie domy wokół ulicy Krótkiej były wtedy obstawione. Swoją opowieść o aresztowaniu Dzikowski uzupełnił jeszcze informacją, że nikt z pozostałych w mieszkaniu nie kwapił się do otworzenia drzwi. Dobijający się gestapowcy najpierw uszkodzili je kolbami karabinów, a w końcu wyłamali. Aresztowali wszystkich obecnych, a wśród nich także młodą znajomą, która często wyjeżdżała do Wiednia. Wywieziono ją potem wraz z Piwowarczykową do Birkenau. Będąc jeszcze na wolności Janek podejrzewał, że jest ona kurierem; łączniczką między Ilińskim a zagranicą.

Do kartoflarni wpadał od czasu do czasu szef Arbeitsdienstu (służby zatrudnienia), którego nazywano w lagrze „Żelaznym Gustawem". Esesman ten wybierał wtedy spośród kartoflarzy więźniów dobrze odżywionych i dobrze wyglądających (vollgefressene). Przenosił ich do innych komand roboczych. Dostawało się wtedy Lisowskiemu. Za zawyżanie limitu więźniów został kilkakrotnie pobity, ale niewiele się tym przejmował i po kilku dniach wracał do poprzednich praktyk. W czasie jednego z nalotów „Żelaznego Gustawa" na kartoflarnię także i Janek został wybrany jako „vollgefressen". Sześćdziesięciu podobnie „nażartych" jak on kartoflarzy popędzono wtedy z łopatami do pracy w Birkenau. Kopali tam rowy odwadniające. W głębokim wykopie pracowali razem z więźniarkami z kobiecego lagru. W odległości co jeden metr ustawiono na przemian więźnia i więźniarkę, a kapówki Niemki poganiały do roboty. Więźniarkami były młodziutkie, kilkunastoletnie polskie Żydówki z Białegostoku, ubrane w stare mundury wojskowe po

zamordowanych jeńcach radzieckich. Janek miał wtedy okazję porozmawiać z jedną z nich. Miała może 17 lat. Niedawno przywieziono ją do lagru z całą rodziną. Rodziców i młodsze rodzeństwo pognano do gazu. 'Być może dzisiaj ich palą' – powiedziała. Dzień był ponury i mokry. Nisko nad ziemią snuł się po okolicy dym ze spalonych ciał, o duszącym, słodkawym zapachu i posmaku. Smak ten na chwilę pozostawał w ustach, ale na całe życie w pamięci człowieka. 'Mnie przeznaczono do pracy' – mówiła dziewczyna. Była psychicznie załamana. Nie widziała możliwości przeżycia lagru. Wiedziała dobrze, że jak wyczerpią się jej siły żywotne lub jeśli zachoruje, to nic jej nie uratuje od komory gazowej. Jak mógł, pocieszał Janek biedną więźniarkę. Starał się ją podnosić na duchu, wskazywał przykłady kolegów, którzy żyją w tym piekle od 1940 roku, opowiedział jej kilka aktualnie krążących w lagrze paroli. Chciał, żeby otrząsnęła się z marazmu, żeby zaczęła mieć nadzieję, żeby się nie poddała. Janek nie wiedział, co się potem z tą dziewczyną stało. Dzięki pomocy kolegów po kilku dniach uwolnił się od kopania rowów i wrócił do pracy w kartoflarni, a nerwus Lisowski przyjął go bez jednego słowa. Potem „Żelazny Gustaw" jeszcze raz wybrał Stawarza do pracy, tym razem do komanda brukującego drogę w lagrze. Był w nim tylko jeden dzień. Ale zapamiętał dobrze ten dzień, bo był wtedy siarczysty mróz, a kapo komanda, zielonowinklowiec, zabrał mu dobry, wełniany sweter.

W bloku 25 A przyjaźnił się Janek z niektórymi kucharzami, kartoflarzami i ładowaczami chleba. Szczególnie lubiany był w tym bloku kolega Dobrowolski. Jego imienia Stawarz nie mógł sobie po wojnie przypomnieć. Pochodził z Lublina lub województwa lubelskiego. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, brunet, mocno zbudowany, miał ładne, zdrowe zęby. Był to człowiek o bardzo dobrym charakterze. Miał piękny, męski, tenorowy głos. Często śpiewał, a lubił śpiewać przede wszystkim sentymentalne piosenki, których z przyjemnością słuchano. Niektóre przypominały Stawarzowi wolność i niezapomniane chwile młodości. Do żelaznego repertuaru

Dobrowolskiego należały przedwojenne przeboje takie jak „Jaka miła jest moja dziewczyna", „Jesienne róże", „Ta ostatnia niedziela", „Niebieskie oczy". Bardzo często śpiewał także sugestywną pieśń obozową „Druty, druty, bezlitosne druty". Jakże wdzięczni byli koledzy za ten śpiew. Jankowi szczególnie utkwił w pamięci ostatni występ Dobrowolskiego w nocy z 27 na 28 października 1942 roku. Śpiewał tak, jakby w sentymentalne słowa przebojów chciał przelać wszystkie swe uczucia, całą swoją duszę. Szczególnie dało się to odczuć w piosence „Jaka miła jest moja dziewczyna", którą prawdopodobnie dedykował swojej żonie. Tej nocy słuchacze w bloku 25 A długo nie mogli zasnąć. A następnego dnia, w trakcie porannego apelu, pisarz blokowy wyczytał kilkanaście numerów, między innymi numer Dobrowolskiego. Polecił, aby wyczytani pozostali na placu. Wszyscy wiedzieli dobrze, że w warunkach lagrowych nie wróżyło to nic dobrego. Stojący akurat obok Dobrowolskiego Janek usłyszał z jego ust tylko dwa słowa – 'Pewno rozwałka.' W oczach śpiewaka ukazały się łzy. Przed rozejściem się więźniów Dobrowolski zwrócił się do kolegów z prośbą, żeby przekazali jego żonie ostatnie pozdrowienie i życzenie, aby wychowała córkę na dobrą Polkę. Wyczytanych zaprowadzono pod blok nr 11. Tego dnia we wszystkich blokach wyczytano na porannym apelu około 280 więźniów. Pochodzili z Lublina lub z jego okolic. Widocznie gestapo lubelskie nie oszczędzało na aktach swoich więźniów sygnatur „Rücker unerwünscht" (powrót niepożądany). Niejednokrotnie Janek i jego koledzy wspominali tę ostatnią noc Dobrowolskiego i jego trudne do wytłumaczenia przeczucie tego, co nieuchronnie miało nastąpić i co zostało wyrażone głębią uczucia zawartą w treści i tonie słów śpiewanych przez niego piosenek.

Na apelach bloku 25 A stawał obok Stawarza niewysoki więzień Polak z czerwonym winklem, w wieku ponad 50 lat. Lubił opowiadać, a Janek lubił słuchać. To słuchanie pozwalało mu zapomnieć o przedłużających się apelach. Jego rozmówca był z zawodu ni mniej ni więcej tylko lokajem. Żeby było jeszcze

śmieszniej, był on lokajem Japończyka. Nigdy, ani razu w czasie tych rozmów nie powiedział o Japończyku inaczej, tylko „mój jaśnie pan". On sam znalazł się w Japonii po pierwszej wojnie światowej, w której brał udział jako żołnierz rosyjski. Ożenił się z Japonką. Jaśnie pan był bardzo bogatym człowiekiem. Oprócz fabryk w Japonii miał duże udziały w zakładach przemysłowych zachodniej Europy. Jego bazą była jednak Japonia. Wielokrotnie wraz ze swym lokajem przemierzał całą Syberię i europejską część Związku Radzieckiego w ekspresie transsyberyjskim. W czasie tych podróży tęsknie spoglądał jego lokaj na mazowieckie równiny, gdy przejeżdżali przez Polskę. Wreszcie pewnego dnia nie wytrzymał, poprosił jaśnie pana, żeby pozwolił mu wysiąść w Warszawie i odwiedzić rodzinne strony, gdzieś pod Sochaczewem. Wysiadł, ale już do jaśnie pana nie wrócił, bo akurat w okresie jego urlopu wybuchła wojna z Niemcami. Potem była okupacja. Nie wiadomo, w jakich okolicznościach i za co został aresztowany. Wywieziony do Auschwitz, wylądował w kartoflarni i w bloku 25 A. Stale wspominał swojego jaśnie pana i żonę, filigranową Japonkę. Potem zginął gdzieś Jankowi z oczu. Nigdy nie dowiedział się Janek, co się z tym człowiekiem stało. Podziwiał jego bezgraniczne przywiązanie do – bądź co bądź – obcego człowieka, jakim był ten jaśnie pan z kraju kwitnącej wiśni. Nawet tu, w lagrze, nie mógł go zapomnieć i stale o nim mówił.

Z okresu pobytu w oświęcimskiej kartoflarni pamiętał Janek Stawarz charakterystyczną sylwetkę niemłodego już górala o nazwisku Paudyn i jego żelazne taczki. Stale można go było spotkać obok kuchni. Wywoził na swych taczkach żużel i popiół z kuchni oraz wszelkie śmieci i nieczystości. Zawsze kroczył powoli i spokojnie popychał swoje taczki, obojętnie, czy były puste, czy napełnione. Nigdy nie odpoczywał, nigdy nie stał w miejscu. Mówiono w tym okresie, że należał do najlepszych organizatorów w lagrze, że pod warstwą popiołu wywoził w taczkach zorganizowaną żywność.

W czasie swej pracy w kartoflarni miał Janek okazję oglądania przez okna „defilad" Rapportführera Palitzscha. Bał się tego człowieka jak najgorszej zarazy. Już przed wojną pełnił Palitzsch służbę wartowniczą w różnych kacetach, między innymi w Buchenwaldzie i Sachsenhausen. W tym ostatnim był Blockführerem, a potem Rapportführerem[23]. W maju 1940 roku przeniesiono go do Auschwitz wraz z trzydziestoma Bevauerami – zawodowymi przestępcami, którzy otrzymali numery od 1 do 30 i stali się założycielami nowego lagru. To oni przecież nosili na lewych rękawach swoich marynarek czarne opaski z napisami Lagerältester (starszy obozu), Lagerschreiber (pisarz obozowy), Arbeitsdienst (służba pracy), czerwone opaski blokowych i żółte opaski kapów. A ich wódz, Rapportführer Gerhard Palitzsch o rudych włosach i bezbarwnych oczach, stał się wkrótce postrachem i katem Oświęcimia. Odznaczał się szczególnym sadyzmem. Nie było takiego rozkazu władz SS, którego Palitzsch nie mógłby wykonać. Z jego nazwiskiem łączy się nierozerwalnie czarna ściana śmierci, zwana także przez więźniów ścianą straceń lub ekranem. Początkowo, wyroki śmierci wydawane przez władze poza obozem lub w samym obozie, wykonywano w Kiesgrube (żwirowni). Niektórzy nazywali ją Kiesgrube Palitzsch (żwirownią Palitzscha). Odgłosy tych masowych rozstrzeliwań słychać było daleko, tym bardziej, że żwirownie były zlokalizowane w pobliżu drogi Oświęcim – Rajsko, biegnącej z drugiej strony muru za aleją Brzozową. Po jakimś czasie stało się to niewygodne dla kierownictwa obozu. W związku z tym, a być może także w związku z kosztami, właśnie Palitzsch miał wprowadzić w Auschwitz tzw. Genickschuss, czyli strzał w potylicę z broni

[23] Rapportführerem w lagrze był esesman w randze odpowiadającej z reguły starszemu podoficerowi. Prowadził on apele i odpowiadał za stan liczbowy więźniów. Blockführer był to esesman nadzorujący więźniów określonego bloku. Blockführerstube (wartownia) było pomieszczeniem dla esesmanów z nadzoru przy bramie wejściowej do lagru. Lagerführer był kierownikiem obozu więźniów, a Lagerkommandant – najwyższym zwierzchnikiem władz obozowych, komendantem lagru. Lagerkommando było komandem zatrudnionym na terenie obozu.

małokalibrowej. To on postarał się o małokalibrowy karabinek i polecił zaopatrzyć go w tłumik. A potem rozstrzeliwał masowo swoje ofiary właśnie pod ścianą śmierci obok bloku nr 11. Przyjmuje się, że zginęło tam około 20 tysięcy ludzi. Niemały jest w tym udział Palitzscha. Reszta zginęła z rąk Stiewitza, Clausena, Starka, Lachmana czy Dylewskiego.

Już od początku otaczała Palitzscha zła sława. Więźniowie bali się go bardzo i unikali, jak mogli. Zresztą on sam lubił, kiedy się go bano, lubił wzbudzać strach. Zdawał sobie sprawę, że wywołuje wśród więźniów nietajone przerażenie i sprawiało mu to przyjemność. Jeszcze długo po wojnie stawał Jankowi przed oczami, jak kroczy spokojnym, równym krokiem drogą obozową obok kuchni i kartoflarni w kierunku bloku 11, z karabinkiem na pasie zarzuconym przez ramię, tak jakby szedł na polowanie. Wraz z kolegami z kartoflarni Janek nieraz miał okazję oglądać Rapportführera w dopasowanym do figury mundurze esesmana z dystynkcjami SS-Oberscharführera. Kartoflarze wiedzieli, że jak Palitsch idzie sam w kierunku bloku 11, to będzie rozwałka więźniów z bunkra. Czasem prowadził swoje ofiary przywiezione z zewnątrz. Byli to przeważnie skazani na śmierć przez różne sądy specjalne. Ci ludzie szli przed swym katem, często może nieświadomi losu, jaki ich czeka za chwilę. Efekt był zawsze taki sam – wiezione przez leichenträgerów (nosicieli zwłok) na rollwadze (obudowana platforma na kołach) w kierunku krematorium zwłoki rozstrzelanych, często wciąż jeszcze ociekające krwią, która kapała na drogę przed kartoflarnią. Janek zapamiętał dzień z listopada lub grudnia 1942 roku, kiedy to jego kolega z kartoflarni, pochodzący z Żabna Wiesiek Witek, bardzo zresztą ruchliwy i operatywny, zwrócił mu uwagę na przechodzącego lagrową drogą Palitzscha z nieodłącznym karabinkiem na pasie przewieszonym przez ramię. Przed nim szły, trzymając się za ręce, kobieta w wieku około 25 lat oraz mała dziewczynka, może 4-letnia, zapewne jej córeczka. Kobieta, niewysoka brunetka, była bardzo starannie ubrana. Obie niosły w rękach swoje torebki. Po jakimś czasie obaj kartoflarze

zobaczyli Palitzscha wracającego spod bloku nr 11. Za chwilę przemknęła rollwaga z ciałami ofiar. Ta scena i to, co sobie wyobrażali o wydarzeniu na dziedzińcu bloku 11, wstrząsnęło kartoflarzami, mimo że w zasadzie przywykli już do takich widoków. Zastanawiali się, co mogło być powodem tej egzekucji. Kiedy wieczorem Wiesiek sobie tylko znanym sposobem zdobył i przyniósł do sztuby torebkę dziewczynki, jeszcze raz zaczęli się zastanawiać, co mogło być winne to małe, bezbronne dziecko.

Wydarzenie to opisane jest w książce „Oświęcim" wydanej przez Interpress. Franciszek Gulba opisuje tam przebieg kilku egzekucji przeprowadzonych przez Palitzscha. Oto cytat: „Egzekucję wykonywał Rapportführer Palitzsch. W przerwach, nim doprowadzano następną grupę, zarzucał karabinek na ramię, zachowując całkowity spokój palił papierosy, przechadzając się po dziedzińcu. Na koniec przyprowadzono kobietę z dzieckiem, przypuszczaliśmy, że była to matka z córką. Matka trzymała córkę za rękę. Obie były rozebrane do koszuli. Palitzsch najpierw rozstrzelał matkę. Kiedy ta obsunęła się na ziemię, dziecko rzuciło się z płaczem na ciało leżącej i rozpaczliwie wołało Mamo! Mamo! Palitzsch strzelił do dziewczynki, lecz widocznie chybił, bo dziecko nadal obejmowało ciało leżącej i potrząsało nim. Nadbiegł blokowy, który przytrzymał dziewczynkę, aby Palitzsch mógł swobodnie wycelować. Za chwilę dziecko było martwe."

Być może chodziło tu o te same osoby, które Janek widział przez okno kartoflarni. Prawdopodobieństwo było duże.

O dalszych losach kata Oświęcimia, Rapportführera Palitzscha mówi fragmentarycznie literatura obozowa. Od 26 lutego 1943 roku w Brzezince na odcinku B II e zaczęto organizować familijny obóz cygański. Rapportführer Palitzsch, SS-Oberscharführer, został w tym obozie Lagerführerem (kierownikiem obozu). Podlegał tylko komendantowi KL Auschwitz. W Brzezince przywłaszczył sobie masę pieniędzy, kosztowności, ubrań itp., po ludziach skazanych na zagładę. Gdy w czeskim mieście Brno został utworzony podobóz, a raczej komenderówka (Ausenkommando) Auschwitz - Monowitz,

przeniesiono do niego dwustu pięćdziesięciu więźniów. Komando przeznaczone było do pracy przy budowie gmachu Technicznej Akademii SS i Policji. Na kierownika obozu wyznaczono Palitzscha, byłego Lagerführera obozu cygańskiego. Osobiście wybrał więźniów, z którymi wyjechał do Brna. Na Lagerältestera wyznaczono więźnia kryminalnego Aloisa Treiselsena. Wartownikami byli tam niemieccy policjanci. Po przeniesieniu na Lagerführera do Brna Palitzsch został aresztowany i oddany pod sąd SS. Dalszy jego los nie jest znany. Mówi się jednak, że Palitzscha wywieziono wtedy karnie na front wschodni i już nie wrócił. Taka jest w pewnym sensie wersja półoficjalna.

Istnieją jeszcze uzupełnienia bądź niepotwierdzone wersje dalszych losów Palitzscha. 4 listopada 1942 roku zmarła na tyfus jego żona Luiza. Według wypowiedzi kolegów, którzy mieli z nim bezpośrednią styczność, żonę swoją Palitzsch bezgranicznie kochał, podobnie jak dwoje dzieci. Mieszkał z rodziną na terenie obozowym. Jak fama głosi, do śmierci jego żony przyczynili się więźniowie z obozowego ruchu oporu. Wyhodowali na bloku nr 20 tyfusową wesz. Przeniesiona na odzież Palitzscha, zaraziła tyfusem nie jego, ale osobę mu najdroższą. Jeżeli wersja ta jest prawdziwa, to lepszej zemsty nie można sobie wyobrazić. Według następnej wersji, Palitzsch w czasie pobytu w Brzezince miał romans z Żydówką i nie bardzo ukrywał ten związek. Za Rassenschande (zhańbienie rasy) miał być aresztowany. Siedział w bunkrze bloku nr 11 i tam – jako więzień – miał prosić häftlingów z obsługi o chleb i papierosy. *Sic transit gloria mundi...* Czy tak było w rzeczywistości, nie wiadomo.

Jeszcze inną, choć podobną wersję, podaje Pery Broad w swoich wspomnieniach. Jako pracownik Politische Abteilung (obozowego gestapo w Auschwitz I), został przedstawicielem jej ekspozytury w „Cygańskim Lagrze Familijnym" właśnie wtedy, gdy Palitzsch pełnił tam funkcję Lagerführera. Potem prowadził dochodzenie w jego sprawie. Otóż Broad pisze: „Molla i Palitzscha należy zaliczyć do największych rzeźników minionej wojny. Kariera Palitzscha zakończyła się w Matzkau (obóz karny

dla członków SS koło Gdańska). Dokonane przezeń masowe mordy, oczywiście tylko dla dobra Wielkich Niemiec i wynikające z najgłębiej odczutego światopoglądowego i rasistowskiego przekonania – nie przeszkadzały mu w nawiązywaniu intymnych stosunków z wrogami państwa, między innymi z żydowskimi, o ile ci wrogowie byli rodzaju żeńskiego, młodzi i ładni. Nie pomogły późniejsze pogróżki, że wykończy je, o ile by „sypały". Jego los był przypieczętowany. Stosunek z pewną Żydówką, co prawda na jego szczęście, nie wyszedł na jaw. Natomiast jego stosunek miłosny z łotewską więźniarką Verą Lukans oraz bardzo rozpowszechniony w Oświęcimiu zwyczaj odkładania sobie części odebranych przybyłym więźniom przedmiotów wartościowych dla zabezpieczenia starości, skończyły się dlań wieloletnią karą pozbawienia wolności."[24]

Tyle o Palitzschu napisał Broad. Może tak było... A może w rzeczywistości dalsze losy Palitzscha, tego robota do zabijania przy użyciu małokalibrowego karabinka, były jednak inne...

Selekcja

Było to pod koniec 1942 roku. Chcąc lepiej poznać teren obozu Janek wybrał się w charakterze jednego z „koni pociągowych" przy rollwadze po kartofle. Były one zakopcowane od strony zachodniej przy rampie położonej między dwoma torami bocznicy kolejowej obozu centralnego. Kartofle w kopcach były wtedy w dyspozycji więźniarskiej kartoflarni. Aby się do nich dostać, należało przejechać rollwagą przez całą rampę aż do końca. Obsługą rollwagi kierował vorarbeiter kartoflarni, Franz. Przypadek zdarzył, że akurat w tym dniu przywieziono dwa transporty Żydów. Wyładowano ich z dwóch pociągów na jedną, położoną między nimi rampę i przeprowadzano selekcję.

[24] *Zeznanie Pery Broada SS-mana Oddziału Politycznego w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu*, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, 1963.

Rozbudowa Birkenau nie była jeszcze wtedy ukończona i transporty przychodziły na bocznicę obozu centralnego. To, co ujrzeli i usłyszeli kartofelträgerzy było tak straszne, że przypominało piekło. A oni musieli przejechać przez sam środek piekła, bo innej drogi nie było. Rampa między dwoma stojącymi pociągami towarowymi była szczelnie otoczona przez esesmanów z psami, które niesamowicie ujadały. Przed grupką oficerów SS przechodził szeregiem tłum mężczyzn, kobiet i dzieci. Jeden z esesmanów, prawdopodobnie lekarz, ruchem ręki wskazywał odpowiednią grupę dla każdego selekcjonowanego. Nie zdawali sobie oni wtedy sprawy z tego, co ich czeka; nie wiedzieli, po co się to wszystko robi. Jednak rozdzielanie rodzin, odłączanie kalek, dzieci i osób starszych powodowało głośny lament, płacz, jęki i zawodzenie. Nad tym wszystkim górowało ujadanie psów i wrzaski esesmanów, którzy popychaniem i biciem starali się zmusić rozdzielanych do posłuchu. Rampa była zasłana torbami, walizkami, pakunkami, porzuconymi rzeczami osobistymi, a nawet pieniędzmi i cennymi drobiazgami. Z wysiłkiem ciągnęli kartoflarze pełną rollwagę. Opięci pasami przerzuconymi przez ramię i piersi, ciągnęli. Nie patrzyli na nic. Nie chcieli widzieć, ani słyszeć. Byli jak ogłuszeni, otępiali, ale równocześnie rozdrażnieni, bo wiedzieli, jaki będzie koniec tych ludzi. Chcieli się tylko jak najprędzej wyrwać z tego piekła i wrócić do domu. Do domu, którym był Centralny KL Auschwitz, a w nim kartoflarnia. Janek wrócił z tej wyprawy z silnym bólem głowy, zdenerwowany i roztrzęsiony do ostatnich granic. Przyrzekł sobie wtedy solennie, że już nigdy nie zdecyduje się dobrowolnie na wzięcie udziału w takiej wyprawie.

Janek przywykł do pracy w kartoflarni. Cenił swojego kapo Lisowskiego, którego szanował przede wszystkim za to, że przymykał oczy, gdy tragarze kartofli dożywiali kolegów z lagru zupą czy jarzynami. Ostrzegał ich zawsze, żeby zachowali maksimum ostrożności, ponieważ koło kuchni krążyło wielu Blockführerów, kapów, a także zwykłych kapusiów. Lisowski był nerwowy. Potrafił często wielokrotnie przemierzać pomieszczenie

kartoflarni tam i z powrotem, pogrążony w głębokim zamyśleniu. Niejednokrotnie nie zauważał wtedy, co się wokół niego działo. Często opuszczał kartoflarnię i przepadał w jednym z bloków w obozie lub rewirze. Spotykał się tam ze znajomymi, wielu z nich pomagał.

'A wiesz, co się potem z nim stało?' – spytałem raz Janka. Słyszałem o tym, że Tadeusz Lisowski przebywał w Auschwitz pod zmienionym nazwiskiem. W rzeczywistości nazywał się Tadeusz Paolone i był kapitanem WP. Jeszcze jako porucznik brał udział w walkach z Niemcami we wrześniu 1939 roku. Był dowódcą 8. Kompanii 3. Pułku Strzelców Podhalańskich wchodzącego w skład 21. Dywizji Piechoty Górskiej dowodzonej przez generała Kustronia. Aresztowany w czasie okupacji, dostał się do lagru. Obecnie, w oparciu o dane z „Zeszytów Oświęcimskich" oraz wydawnictwo Interpressu „Oświęcim" można prześledzić dalsze jego losy. W dniu 16 września 1943 roku oddział polityczny przystąpił do akcji mającej na celu zdławienie obozowego ruchu oporu oraz sterroryzowanie więźniów Oświęcimia. Aresztowano i osadzono w bunkrze bloku nr 11 więźniów rekrutujących się spośród wojskowych, lekarzy, działaczy politycznych, adwokatów i artystów, podejrzanych o utworzenie w obozie tajnej organizacji wojskowej. Aresztowania trwały od 16 do 29 września. 11 października 1943 roku przeprowadzono w bunkrach bloku nr 11 selekcję, podczas której wybrano 54 więźniów osadzonych tam na polecenie oddziału politycznego, Lagerführera lub Rapportführera. W tym dniu rozstrzelano ich na dziedzińcu bloku 11 pod ścianą śmierci. Zostali straceni wówczas między innymi znani adwokaci Józef Woźniakowski z Krakowa i Wacław Szumański z Warszawy, którego Janek poznał w kartoflarni, przedwojenny polityk konserwatywny, publicysta Jan Mosdorf, były zastępca dowódcy 1-go Pułku Lotniczego podpułkownik Teofil Dziama, którego Janek znał z lagrowej garbarni, pułkownik Juliusz Gilewicz i kapitan Tadeusz Paolone (Lisowski). Jako pierwsi, jak pisał były więzień Ludwik Rajewski, szli pod ścianę pułkownik Dziama

i kapitan Paolone (Lisowski). Szli, jak przystało na żołnierzy. Gdy doszli pod ścianę, Dziama zwrócił się do katów wykonujących wyrok śmierci, Stiewitza i Clausena, z prośbą o nie strzelanie w tył głowy, lecz jak do żołnierzy – prosto w twarz. Lisowski krzyknął jeszcze: 'Niech żyje wolna i niep....' To było jego ostatnie słowo. Tak zginął kapo bez bindy, kapitan Tadeusz Paolone (Lisowski).

A w lagrze dalej wymierali więźniowie. Na ich miejsce przywożono nowych. Wiele ofiar kosztowało przeprowadzone przy końcu roku odwszenie obozu, słynny Entlausung. Nagich, bosych i rozgrzanych po kąpieli pędzono na zimnie biegiem do bloków. Ale ich bloki były puste. Czekały na nich tylko mokre od lizolu sienniki i gołe ściany. Bielizna, ubrania i koce były jeszcze w dezynfekcji. Więźniowie skupili się w gromadę i ogrzewali ciepłem własnych ciał. Szczękając zębami przetrwali noc. Ale nie wszyscy doczekali rana. Rankiem wynieśli ciała zmarłych przed blok i ubierali na siebie mokre, zaparzone pasiaki. A do rewiru powlekli się chorzy z wysoką gorączką. Tam, wielu z nich wykończyło zapalenie płuc. Kończący się rok 1942 należał do najgorszych w Auschwitz. Bloki były pełne insektów: były wszy, pluskwy i pchły w strasznych ilościach. Najniebezpieczniejsze były wszy, ale najbardziej dokuczały pchły. Gryzło to draństwo, że wytrzymać było trudno. Wybuchła epidemia tyfusu plamistego, zmarło wtedy bardzo dużo więźniów, nawet ozdrowieńców. Były masowe rozstrzeliwania i wielu muzułmanów wybrano na „szpilę fenolu" lub do gazu. Rozpoczęło się masowe przenoszenie więźniów do innych lagrów, a do obozu przywożono bardzo dużo cugangów. Panował straszny głód. Dopiero pod koniec roku zaczęły przychodzić pierwsze paczki. Ileż to razy widział Stawarz muzułmanów podążających śladami nosicieli zupy do bloków. Czasami zdarzało się, że któryś z niosących pośliznął się i trochę zupy wychlapało się na ziemię. Rzucali się na nią muzułmani i skrzętnie zbierali zupę łyżkami. Zjadali nie patrząc na zanieczyszczenia. A każdą beczkę po wydaniu obiadu wyskrobywali do czysta. Pod koniec zimy w lutym 1943 roku rozeszła się w kartoflarni wieść, że na przeciwległy blok nr 20

przywieziono z Birkenau około czterdziestu chłopców, którzy w Auschwitz Centralnym mieli się uczyć na sanitariuszy. Chłopcy ci, w wieku 13-17 lat, zostali wraz z rodzicami wysiedleni z Zamojszczyzny i przywiezieni dwa miesiące wcześniej do Brzezinki. Janek i Wiesiek, kręcąc się koło drzwi wejściowych bloku, widzieli stojącą na korytarzu grupkę tych chłopców. Na drugi dzień dowiedzieli się od leichenträgerów, że już nie żyją. Poprzedniego dnia wieczorem zostali zamordowani dosercowymi zastrzykami fenolu. Tak dobiegała końca ta pierwsza zima Janka Stawarza w lagrze.

Ze względu na to, że nasz bohater w najbliższym czasie będzie przeniesiony do innego obozu koncentracyjnego na terenie Rzeszy i tam zdecyduje się pod koniec wojny na ucieczkę, celowym wydaje się przedstawienie historii ucieczek kilku więźniów pochodzących z Prokocimia, ucieczek właśnie z obozu oświęcimskiego.

Ucieczki prokocimskich więźniów z KL Auschwitz

Nieudana ucieczka w roku 1942

Franciszek Majcher był z zawodu stolarzem. Urodził się w Kosocicach 17 lipca 1890 roku. W czasie wojny mieszkał z rodziną w Prokocimiu przy ulicy Wiejskiej 4 (obecnie ul. Jesienna). Jego rodzice, Józef Majcher i Katarzyna z domu Korba, także mieszkali w Prokocimiu. Franciszek został aresztowany przez gestapo w akcji represyjno-odwetowej 24 czerwca 1942 roku. Po miesięcznym pobycie w więzieniu na Montelupich trafił do KL Auschwitz. Jechał tam w transporcie z grupą mieszkańców Prokocimia, w której znajdowali się znani bracia Kwiecińscy. Transport przybył do obozu 24 lipca 1942 roku. Majcher otrzymał tu numer 51468.

Nie upłynęły nawet dwa tygodnie pobytu w lagrze, jak Franciszek Majcher miał się zdecydować na ucieczkę. Nieznane są przyczyny jego decyzji. Znamy jedynie jej tragiczne skutki. Wiadomo, że 6 sierpnia 1942 roku Franciszek Majcher został zastrzelony w trakcie ucieczki.[25] Nie dysponujemy bliższymi danymi na jej temat. Bardzo dziwnym wydaje się fakt podjęcia próby ucieczki zaraz na początku pobytu w obozie... Oto próba jej wyjaśnienia.

Już na wstępie należy przypomnieć, że ucieczkę z terenu Obozu Centralnego przez podkop uniemożliwiały wkopane do głębokości jednego metra płyty betonowe, a obserwowanie tego, co się dzieje w lagrze, od strony rzeki Soły i ulicy Topolowej uniemożliwiał mur betonowy wysokości 3 metrów. Zaskakującym

[25] Powyższą informację podaje *Księga Pamięci – Transporty Polaków do KL Auschwitz z Krakowa*, tom II, s. 1260.

wytłumaczeniem tego wydarzenia (ucieczki po zaledwie 13 dniach pobytu w obozie) może być zbieżność faktów opisanych już po wojnie w literaturze obozowej.[26]

Franciszek Majcher nr 51468, zginął zastrzelony w czasie ucieczki w sierpniu 1942 roku

Na podstawie korespondencji prowadzonej między komendanturą KL Auschwitz a sądem policyjnym SS w Breslau (Wrocławiu) obliczono, że w okresie od czerwca do października 1942 roku esesmani zastrzelili podczas ucieczki 142 więźniów. Średnio przypadło więc trzydziestu na miesiąc. Umownie można podzielić zastrzelonych na dwie grupy.

Do pierwszej można zaliczyć tych więźniów, którzy chcąc popełnić samobójstwo w obozie centralnym, „szli na druty" ogrodzenia, przez które płynął prąd trójfazowy o napięciu 220 volt. Chcąc do tych drutów dojść, musieli przekroczyć strefę ochronną oznakowaną tablicami ostrzegawczymi z napisami w języku niemieckim: „Stój", „Niebezpieczeństwo dla życia", „Uwaga wysokie napięcie". Przekroczenie tej strefy sprawiało, że wartownik pełniący służbę na najbliższej wieżyczce, jednej z tych,

[26] Tadeusz Iwaszko, *Ucieczki więźniów z obozu koncentracyjnego Oświęcim* [w:] „Zeszyty Oświęcimskie" nr 7, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, 1963, s. 22.

które w odległości 80 m od siebie otaczały obóz, strzałem z karabinu zabijał „uciekiniera".

Drugą grupę zabijanych „podczas ucieczki" stanowili więźniowie z grup roboczych zwanych komandami. Pozbawiano ich życia w drodze do pracy lub do obozu, głównie jednak w miejscu pracy. Można przypuszczać, że podstawową przyczyną rozstrzeliwań więźniów – „uciekinierów" podczas pracy było udzielanie przez komendanturę obozu specjalnych urlopów i pochwał dla esesmanów zasłużonych w zapobieganiu ucieczkom więźniów. W związku z tym strażnicy zaczęli szukać sposobów zasłużenia sobie na taką nagrodę. Najprostszym sposobem było zmuszenie więźnia do kontrolowanego opuszczenia terenu otoczonego łańcuchem straży i następnie zastrzelenie go pod zarzutem ucieczki. Z reguły odbywało się to w ten sposób, że strażnik stojący w postenkecie przywoływał do siebie jednego z więźniów. W lagrze obowiązywała żelazna zasada, że więzień mijający w drodze esesmana musiał zdejmować czapkę, a tym bardziej musiał to robić przed rozmową z esesmanem. Z reguły, nowo przybyli do lagru zapominali o tym obowiązku i wtedy strażnik zrywał wezwanemu czapkę z głowy i rzucał poza linię posterunków. Biegnącemu po czapkę więźniowi strzelał w plecy i już miał zasługę u komendanta. Przecież zabił więźnia w trakcie ucieczki. Kommandoführer, przełożony esesmana, robił meldunek dla lagrowych władz, a sprawca czekał na pochwałę lub urlop.

Być może Franciszek Majcher zginął w KL Auschwitz właśnie w taki sposób. Był wtedy jeszcze cugangiem. Zaliczył dopiero 13 dni pobytu w lagrze. Bardzo tanie było wtedy ludzkie życie w KL Auschwitz. Natomiast w sporządzonym w obozie w języku niemieckim akcie zgonu (nr 18664/1942) znajduje się, obok danych o więźniu i jego rodzinie, informacja oparta na pisemnym oświadczeniu doktora medycyny Meyera, że przyczyną śmierci więźnia Majchera był zawał serca (Plötzlicher Herztod).[27]

[27] Należy podkreślić, że dorabianie fikcyjnej choroby i związanego z nią fikcyjnego zaświadczenia wysyłanego rodzinie więźnia, było metodą stosowaną przez cały okres istnienia KL Auschwitz. Tego rodzaju procedurę przygotowano

Udana ucieczka dwóch przyjaciół w 1943 roku

Ta ucieczka ma dla mnie, autora tego opracowania, szczególne znaczenie. Po pierwsze dlatego, że miałem szansę wziąć w niej udział. Wspólną ucieczkę proponowali mi jej organizatorzy, dwaj moi obozowi przyjaciele, z których jeden był mieszkańcem Prokocimia. Po drugie dlatego, że w zorganizowaniu samej ucieczki pomagali prokocimscy kolejarze.[28]

Było lato 1943 roku. W drugiej połowie czerwca przetransportowano z Krakowa do KL Auschwitz kolejne grupy mężczyzn i kobiet.[29] Trzeba tu zaznaczyć, że już od początku tego roku zaprzestano w KL Auschwitz fotografowania nowoprzybyłych w trzech ujęciach i wprowadzono tatuowanie numerów niezmywalnym tuszem na lewej ręce cuganga, poniżej łokcia.

W transporcie z dnia 23 czerwca obejmującym trzydziestu więźniów znalazł się mieszkaniec Prokocimia Stefan Skowron, 30-letni ślusarz mechanik mieszkający przed aresztowaniem z żoną Genowefą i dzieckiem przy ulicy Piłsudskiego 28, zmienionej przez okupantów na Lange Strasse (obecnie Bieżanowska). Do lagru skierowało go krakowskie gestapo pod zarzutem prowadzenia sabotażu na kolei. W tym samym transporcie znaleźli się także Stanisław Wcisło z Bieżanowa, przodownik policji

---

w lagrze w ten sposób, że na polecenie Lagerarzta (niemieckiego lekarza obozowego) sporządzono listę kilkunastu chorób, które musiały być wybiórczo wpisywane do akt urzędowych jako przyczyna śmierci więźnia, niezależnie od tego czy został rozstrzelany, zagazowany, uśmiercony zastrzykiem fenolu, zabity w obozie czy w czasie pracy przez esesmana czy funkcyjnego, czy też zmarł własną śmiercią. W związku z powyższym, najczęstszymi przyczynami zgonów więźniów spotykanymi na lagrowych zaświadczeniach były: zawał serca, ostra niedomoga krążenia, obrzęk płuc, ogólne zakażenie, nieżyt jelit lub odpowiednie kombinacje tych chorób.

[28] O tej ucieczce pisałem w moich wspomnieniach *Powrót niepożądany* (s. 177-179) wydanych przez Wydawnictwo Literackie w roku 1986 (przyp. M.Z.).

[29] Oto ilościowe zestawienie grup męskich: 16 VI 1943 – 29, 17 VI 1943 – 25, 23 VI 1943 – 30, 26 VI 1943 – 24, 28 VI 1943 – 54, 30 VI 1943 – 39.

Mieczysław Tyrkiel z Krakowa oraz moi dwaj koledzy Kazek Piekutowski i Staszek Rogoż. Stefan Skowron miał wytatuowany na ręce numer 125371.

Następny transport mężczyzn z Krakowa przybył do KL Auschwitz 26 czerwca. Zawierał 24 cugangów, których oznakowano numerami 126803 – 126826. W tym transporcie znalazłem się także i ja, po rocznym pobycie w więzieniu na Montelupich. Więźniowie z tych czerwcowych transportów znali mnie dość dobrze z okresu, kiedy pełniłem funkcję komendanta arbeitceli na II piętrze Montelupich. W moim transporcie był między innymi policjant Kazimierz Fita. Pochodził z położonej za Wieliczką wsi Zborczyce, podległej urzędowi pocztowemu w Brzeziu. W Zborczycach mieszkał wraz z żoną Barbarą i dwojgiem dzieci. Miał wtedy około 40 lat. Oznakowano go w obozie numerem 126810.

Było to w okresie, kiedy władze SS nadrzędne nad obozami koncentracyjnymi III Rzeszy zdecydowały, że należy maksymalnie wykorzystać siłę roboczą lagrów w przemyśle zbrojeniowym. Z tego powodu, z końcem lipca 1943 roku zorganizowano pieszy transport około tysiąca więźniów obozu KL Auschwitz I (Obóz Centralny), głównie Polaków, do podobozu zwanego „Buna" (potem KL Auschwitz III). Mieli być zatrudnieni przy budowie i rozbudowie zakładów chemicznych „Buna Werke".[30]

W tym pierwszym transporcie znalazła się większość więźniów przybyłych ostatnio z więzienia na Montelupich. Między innymi byliśmy tam: ja, Stefan Skowron i Kazek Fita. W upalne popołudnie dotarł nasz transport na plac apelowy obozu „Buna". Lagrowi funkcyjni, nie chcąc dopuścić do tego, żeby nowoprzybyli porozłazili się po obozie opuszczonym przez fabryczne komanda robocze, zorganizowali dla nich mecz piłki nożnej na placu apelowym. Brałem udział w tym meczu. Miał on dla mnie kapitalne znaczenie, ponieważ poznałem wtedy jednego

[30] Nazwa pochodziła od skrótu nazwy syntetycznego kauczuku, którego produkcję tam uruchamiano.

z najważniejszych funkcyjnych w obozie, jakim był Paweł Stolecki, pełniący funkcję Bekleidungskammerkapo (kapo magazynów odzieżowych). Ten Ślązak z pochodzenia, w obozie nazywany był popularnie „Paulkiem". Przed wojną był kibicem chorzowskiego „Ruchu". Dzięki jego znajomościom, po kwarantannie zatrudniono mnie w szpitalu więźniarskim jako sanitariusza. Z pewnością nie zawdzięczałem tego awansu swoim umiejętnościom piłkarskim, które nie były zbyt wysokiego lotu, tylko świetnej znajomości zespołów tworzących przedwojenną polską ligę piłkarską. Natomiast Skowrona i Fitę los zetknął nie tylko w tym samym bloku, ale i w tym samym „Flakkommandzie", budującym obok zakładów stanowiska obrony przeciwlotniczej i lotnisko polowe. Okazało się potem, że w czasie pracy mieli możliwość zetknięcia się z polskimi kolejarzami, którzy z terenu Generalnego Gubernatorstwa prowadzili pociągi z potrzebnymi do budowy materiałami. W obsłudze pociągów byli także ich znajomi, kolejarze z Prokocimia.

Tak się zaczęło. Wkrótce zrodził się w tych okolicznościach sprytny i pomysłowy plan ucieczki. W tym planie koledzy uwzględnili także mój udział. Zdecydowano, że trzej uciekinierzy, ułożeni obok siebie w płaskiej drewnianej skrzyni z otworami wywierconymi w ściankach bocznych dla umożliwienia dopływu powietrza, zostaną przysypani w tendrze lokomotywy węglem przeznaczonym do spalania pod kotłem. Wywiezieni tym pociągiem, opuszczą okolice Oświęcimia przyłączone do Rzeszy i po przejechaniu granicy w Dulowej zostaną wysadzeni w dowolnym miejscu na trasie pociągu, w Generalnym Gubernatorstwie.

Plan był rzeczywiście bajecznie prosty. Tylko jakiś całkowicie niespodziewany zbieg okoliczności lub zdrada mogłyby go uniemożliwić. Wtedy właśnie Stefan i Kazek zaproponowali mi udział w ucieczce. O jej dokładnym terminie mieli mnie powiadomić. Początkowo byłem tak zauroczony możliwością opuszczenia lagru, że zaakceptowałem współudział. Jednak już następnego dnia pojawiły się wątpliwości. Musiałbym

wcześniej, pod jakimś pretekstem, zrezygnować z pracy w szpitalu i postarać się o przeniesienie do „Flakkommando". Ponieważ miałem przyjaciół w obozie, nie stanowiłoby to specjalnych trudności. Niemniej jednak, istniało wtedy dla mnie inne, o wiele ważniejsze zastrzeżenie. Była to obawa o rodziców, którym w razie mojej udanej ucieczki groziło wywiezienie do lagru. Nawet w przypadku mego schwytania pozostaliby w nim – gdyby w ogóle przeżyli – do końca wojny. Równocześnie, ze względu na wiek i brak odpowiednich możliwości, wykluczone było w ich przypadku opuszczenie domu i ukrywanie się. W związku z tym, kiedy obaj koledzy przyszli do mnie już przed konkretnym terminem ucieczki, odmówiłem. Życzyłem im z całego serca powodzenia.

Uciekli 16 października 1943 roku pociągiem, który odjechał zapewne w początkowych godzinach dnia pracy, a w południe zawyły w lagrze syreny alarmowe i zobaczyłem pościg esesmanów na motorach, jadących po drodze wzdłuż drutów obozowych. Pomyślałem wtedy z jakąś pełną ironii, mściwą satysfakcją: 'Możecie ich gonić do maja – oni są już w GG. Ja wiem, jak uciekli, a wy nie.'

Nie słyszałem potem, żeby po tej ucieczce były w lagrze jakieś represje ze strony SS. Niemniej jednak, ucieczka dwóch Polaków z „Buny", podobozu KL Auschwitz, wprawiła w niemałą irytację komendanta tego lagru, SS-Obersturmbannführera Rudolfa Hőssa. Świadczy o tym treść telegramu w tej sprawie, wysłanego następnego dnia po ucieczce do najwyższych władz SS w Rzeszy.[31] Oto tłumaczenie treści telegramu na język polski:

KL Auschwitz 17.10
1. Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) Berlin
2. Grupa Urzędów D – Głównego Zarządu Gospodarki i Administracji SS w Oranienburgu (SS WHV)[32]

[31] *Księga Pamięci – Transporty Polaków do KL Auschwitz z Krakowa*, tom III, s. 1905.
[32] Grupie urzędów D podlegały sprawy obozów koncentracyjnych.

3. Wszystkim placówkom kierowniczym Gestapo i Kripo na wschodzie, zwłaszcza w Krakowie
Pilne – natychmiast przedstawić
Dotyczy polskich więźniów ochronnych
1. SKOWRON STEFAN ur. 23.12.12 w Czarnowie, 23.6.1943 dostawiony do tego obozu przez KDR.D SIPO u SD. Kraków
2. FITA KAZIMIERZ ur. 5.5.02 w Zborczycach, 26.6.1943 dostawiony do tego obozu przez KDR.D SIPO u SD. Kraków
Wyżej wymienieni uciekli 16.10.1943 w godzinach wieczornych z podobozu Buna. Przeprowadzona natychmiast akcja poszukiwawcza pozostała dotychczas bez rezultatu. Uprasza się o przeprowadzenie dalszych akcji poszukiwawczych, a w przypadku osiągnięcia pozytywnego efektu o natychmiastowe powiadomienie KL Auschwitz.
- *uzupełnienie dla Krakowa. Proszę spowodować wpisanie wyżej wymienionych do specjalnej księgi poszukiwań*
- *uzupełnienie dla SS WHV. Meldunek dla Reichsführera wysłany. Dalsze informacje nadejdą. Przewinienie strażnika nie zostało dotychczas stwierdzone.*

Podpisał Höss – Obersturmbannführer – Komendant

Z tekstu telegramu i z urzędów, do których był skierowany, wynika jasno, jak dużą wagę przywiązywały władze SS do tej ucieczki. Nawet sam Himmler otrzymał o niej informację. Jedno jest tylko niezrozumiałe: skoro ucieczka więźniów miała miejsce wieczorem, to dlaczego syreny alarmowe uruchomiono dopiero w południe i wtedy ruszył pościg na motorach i to w kierunku przeciwnym od Zakładów Chemicznych „Buna". Uciekinierów nie złapano, udało im się doczekać końca wojny w ukryciu.

Z tekstu telegramu Hőssa wynika, że ta udana ucieczka dwóch więźniów postawiła władze lagrowe w trudnej sytuacji i zmusiła do intensywnej akcji poszukiwawczej. Przecież uciekinierzy znali położenie stanowisk obrony przeciwlotniczej oraz polowego lotniska, co dla wrogich samolotów i dla bezpieczeństwa zakładów miało wielkie znaczenie. O pośpiechu

i pewnej nerwowości władz obozowych świadczy fakt, że w treści tego telegramu nie podano numerów uciekinierów, które mieli wytatuowane na rękach. Z pewnością podano je w uzupełnieniu.

Bezpośrednio po wojnie nie miałem możliwości spotkania się z tymi kolegami. Dopiero w latach sześćdziesiątych spotkałem przypadkowo Kazka Fitę na odpuście w Brzeziu koło Niepołomic. Byłem tam w odwiedzinach u mojego wuja, miejscowego sołtysa. Fita mieszkał w pobliskich Zborczycach. Można sobie tylko wyobrazić naszą radość. Cieszył się z tego, że udało mi się przeżyć lagry i że nie było w obozie represji po ich ucieczce. Ta przebiegła zgodnie z planem: szybko i sprawnie. Kolejarze spalili ich pasiaki pod kotłem, ubrali ich w cywilne ciuchy, ułożyli w pace i ruszyli. Bez przeszkód przejechali przez granicę GG, gdzie uciekinierzy wysiedli. Ukrywali się oddzielnie. Fita nie wiedział, jakie były dalsze losy Stefana. Nie spotkał go po wojnie, ani ja go nie znalazłem, choć pytałem o niego w Prokocimiu.

Udana ucieczka w roku 1944

Kolejna udana ucieczka prokocimiaka z KL Auschwitz miała miejsce w lecie 1944 roku. Dokonał jej Franciszek Nowak (nr 137243) mieszkający w czasie wojny w Prokocimiu przy ulicy Krakowskiej 46. Gestapo aresztowało go w lecie 1943 roku. Miał wtedy 19 lat. Do KL Auschwitz skierowano go z więzienia na Montelupich w transporcie liczącym 23 więźniów w dniu 19 sierpnia tego roku. Transport ten otrzymał numery 137231 - 137263. Przywieziono ich do lagru samochodem ciężarowym. Po dwutygodniowej kwarantannie w bloku 8a, skierowano Nowaka do pracy w obozie dla pracowników cywilnych zwanym Gemeinschaftlager, położonym między obozem centralnym a Birkenau. Robotnicy cywilni mieszkający w barakach tego lagru wykonywali specjalistyczne prace budowlane i montażowe na terenie obozów KL Auschwitz i KL Birkenau dla firm, które podpisały z kierownictwami tych obozów specjalne umowy.

Komando Nowaka sprzątało pomieszczenia w barakach mieszkalnych pracowników cywilnych i gotowało dla nich jedzenie. Praca odbywała się pod dozorem obozowych esesmanów. Bezpośrednie kontakty z pracownikami cywilnymi były zabronione.

Nowak pracował w tym komandzie przez kilkanaście miesięcy. Pilnie obserwował miejscowe warunki i stosunki. Stwierdził, że istnieje możliwość przygotowania i przeprowadzenia ucieczki, która ma wszelkie szanse powodzenia. Zaczął się systematycznie przygotowywać do ucieczki i gromadzić konieczną odzież cywilną. Na lagrowej giełdzie kupił za chleb spodnie od dresu i sweter. Ze względu na to, że był ostrzyżony na zero, musiał mieć czapkę. Nie mógł jej kupić na lagrowej giełdzie, bo nie było tam takiego towaru, więc ukradł ją jakiemuś cywilowi. Przygotowaną odzież ukrył w piwnicy upatrzonego już wcześniej baraku dla robotników cywilnych.

Na termin ucieczki wybrał niedzielę, ponieważ w tym dniu tygodnia apel odbywał się stosunkowo wcześnie, bo około dwunastej w południe i właśnie wtedy miała miejsce zmiana wartowników i związane z nią osłabienie czujności. Ucieczka nastąpiła 18 czerwca, a jej przebieg tak relacjonuje sam uciekinier:

„Jak zwykle nastąpiła zmiana wartowników. Obserwując ich zachowanie wykorzystałem stosowny moment i przekroczyłem pilnowany odcinek, po prostu wskoczyłem do budynku, a następnie przedostałem się do piwnicy jednego z baraków dla robotników cywilnych. Tam dosłyszałem po pewnym czasie wycie syreny, która obwieszczała o mojej ucieczce. Nocą przeczołgałem się z kryjówki na rampę kolejową, na której stały wagony z jakimś wojskowym wyposażeniem. W takich warunkach wyjechałem z Oświęcimia. Niestety, po drodze miałem pecha, bo w Dulowej, tuż przed stacją, a może na samej stacji, nastąpiło zderzenie dwóch pociągów. Tego, którym jechałem w kierunku Krakowa z pociągiem nadjeżdżającym z przeciwnej strony, wyładowanym wermachtowcami i różnym sprzętem. Przez pewien czas nie wiedziałem co robić, więc siedziałem w wagonie. Dopiero

z rozmów kolejarzy, którzy mieli zamiar dodatkową lokomotywą odciągnąć tylny skład do Trzebini domyśliłem się, że należy działać, bo w przeciwnym razie znów znajdę się w Rzeszy. Nie namyślając się zbyt długo uchyliłem okienko w wagonie i wyskoczyłem na zewnątrz. Szczęśliwie przedostałem się do Prokocimia i od tego czasu ukrywałem się do końca okupacji." [33]

Natomiast w obozie, dnia 19 czerwca 1944 roku, ówczesny komendant KL Auschwitz Richard Baer podpisał telegram o ucieczce Nowaka i polecił go wysłać do różnych placówek SS (tłumaczenie na język polski):

Adresaci:

1. *RSHA – IV C2*
2. *SS VWH, Amtsgruppe D – Oranienburg*
3. *Do wszystkich wschodnich placówek kierowniczych Gestapo, Kripo, Greko* (policja graniczna – przyp. M.Z.) *zwłaszcza w Katowicach i Krakowie*

Dotyczy: Polskiego więźnia ochronnego
Nowak Franciszek, urodzony 11.9.24 w Kłaju. Ostatnio zamieszkały w Krokocim okr. Krakau (błąd: winno być Prokocim – przyp. M.Z.) *ulica Krakowska 46. Dostawiony do lagru 19.8.43 przez KDR.D Sipo i SD*
Dane osobowe: wysokość 162, włosy – blond, ostrzyżony, mówi po polsku, oczy niebieskie. Znaki szczególne – ma na lewej ręce wytatuowany numer 137243. Nowak uciekł 18.6.1944. z KL AUSCHWITZ Gemeinschaftslager. Przeprowadzona natychmiast akcja poszukiwawcza pozostała dotychczas bez efektu. Uprasza się z tego miejsca o dalsze prowadzenie akcji poszukiwawczej i w razie ujęcia o odwrotne powiadomienie KL Auschwitz.
Uzupełnienie dla Katowic: w okolicy powiadomiono telefonicznie o ucieczce wszystkie placówki.

---

[33] *Księga pamięci – Transporty Polaków do KL Auschwitz z Krakowa*, t. III, s. 1976.

Podobnie podano to do wiadomości wszystkim głównym urzędom celnym w Katowicach, Bielsku i Cieszynie. Jednak nie pomogły nawet tak szczegółowe dane. Zbiega nie schwytano.

Udana ucieczka z transportu ewakuacyjnego w roku 1945

Tadeusz Chmura, mieszkaniec Prokocimia, należy do grupy nielicznych więźniów KL Auschwitz, którym udało się przeżyć w obozie ponad cztery lata. Przebywał tam od października 1940 do stycznia 1945 roku, w sumie 4 lata i 4 miesiące. Urodził się 31 sierpnia 1919 roku. Do obozu trafił 8 października 1940 roku po trzech miesiącach pobytu w więzieniach w Krakowie i Tarnowie. Otrzymał numer 5633. Do połowy 1942 roku pracował w różnych komandach. Bywał bity, poniżany, często był głodny. Na szczęście nie zachorował i nie zmuzułmaniał. Potem zaczął pracować w kartoflarni, a następnie w obozowej kuchni. Z czasem, dzięki znajomości języka niemieckiego, awansował w kuchni na stanowisko vorarbeitera. Pełniąc tę funkcję mógł pomagać kolegom i znajomym z Prokocimia, a także organizować pomoc dla chorych w szpitalu. Pomógł między innymi Jankowi Stawarzowi przeżyć początkowe trudne tygodnie i otrzymać pracę w dobrych komandach. Podobnie pomagał prokocimianom w lagrze Józef Kwieciński, zatrudniony jako ładowacz chleba.

W kwietniu 1943 roku oddelegowano Tadka i siedmiu kolegów kucharzy na miesięczny kurs gotowania do KL Dachau. Spotkał tam dwóch znajomych księży: proboszcza z Prokocimia ks. Bonifacego Woźnego i ks. dr Stanisława Szwaję. Księdza Woźnego przywieziono do KL Auschwitz 4 listopada 1941 roku wraz z czterema innymi augustianami. Trzech z nich zginęło w obozie. Byli to Wilhelm Gaczek nr 22401, Józef Gociek nr 22402 i Kazimierz Lipka nr 22407. Natomiast Bonifacy Woźny nr

22414 i Adam Olszewski nr 22408 zostali przeniesieni w roku 1942 do KL Dachau.

Ks. dr Stanisław Szwaja był przed wojną katechetą Tadka Chmury w VI Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Podgórzu. Do KL Auschwitz trafił w transporcie z 18 listopada 1942 za pomoc, jakiej udzielał Żydom. Otrzymał tu numer 75913. Przeniesiony do Gross-Rosen, a potem do Sachsenhausen, trafił w końcu do Dachau. Tu spotkał go Tadek. Obaj wymienieni księża przeżyli wojnę.

Jednak kucharze z Auschwitz niewiele nauczyli się w Dachau. Głównym tematem kursu było dodawanie ziół do lagrowej zupy, zwłaszcza większej ilości pokrzywy. Z tą wiedzą wrócili do Auschwitz.

W drugiej połowie 1943 roku przeniesiono Tadka do podobozu Eintrachthűtte w Świętochłowicach (Huta Zgoda). Tutaj także był kucharzem. W hucie produkowano działa przeciwlotnicze i duże ilości różnych części zamiennych. Do huty przyjeżdżały pociągi z surowcami i materiałami, a stamtąd wywoziły jej wyroby. Bywały wśród nich także pociągi z GG, z załogami z płaszowskiej parowozowni. Niektórzy z kolejarzy znali starego Wojciecha Chmurę, ojca Tadka, mieszkającego w Prokocimiu. Wozili potem 'lewe' listy syna do rodziców. Przewieźli także jego portret lagrowy, namalowany pastelami przez obozowego artystę oraz kilka zdjęć. Nie było mowy o ucieczce.

Mijał powoli kolejny rok z życia „Tadka z kuchni". Tak go nazywano w tym obozie. Jednak pod koniec roku 1944 zdał sobie sprawę z tego, że wojna zmierza ku końcowi, że Kraków znajduje się w zasięgu najbliższej ofensywy Armii Radzieckiej i ewentualne zagrożenie rodziców ze strony gestapo coraz bardziej maleje. Zaczęto mówić w obozie o wywiezieniu więźniów z Eintrachthütte do Mauthausen w Austrii. Tadek postanowił przygotować się do ucieczki. Wymagała ona zorganizowania odpowiedniego ubrania i skontaktował się w tej sprawie ze znajomym krawcem.

W obozach podległych KL Auschwitz, obok pasiaków były w tym czasie używane także odpowiednio przystosowane ubrania po transportach żydowskich. Spodnie miały szerokie, barwne lampasy, malowane kolorowym lakierem lub wszywane z innej tkaniny. Natomiast marynarki i płaszcze miały wycięte na plecach kwadraty i wszyte w to miejsce kawałki innego kolorowego materiału. Specjalnie dla Tadka przerobione spodnie miały w szwach bocznych wszyte odpowiednio szerokie, zaprasowane lampasy z innej tkaniny. W przyszłości można je było usunąć i przez ponowne zszycie przywrócić spodniom ich pierwotny stan. Natomiast na plecach marynarki i płaszcza krawiec przeciął tylko trzy boki kwadratu, odgiął tkaninę pod podszewką wzdłuż czwartego boku i od strony zewnętrznej wszył prowizorycznie kwadrat z kolorowego materiału, tak aby w przyszłości można było go usunąć i zszyć lub zacerować przecięte trzy boki. W tym celu Tadek nosił w kieszeni odpowiednie igły i nici. Nakrycie głowy, czarna kapowska czapka noszona przez Tadka w lagrze, mogła po nadaniu odpowiedniego fasonu upodobnić się do beretu.

Mając tak przygotowane ubranie, Tadek postanowił uciekać w czasie transportu. Nadszedł styczeń 1945 roku. Więźniów obozu Eintrachthütte wywożono w krytych wagonach towarowych z zasuwanymi drzwiami. W jednym z nich znalazł się Tadek w swym przerobionym ubraniu a wraz z nim kolega Burkacki. Mieli uciekać razem. Dwaj koledzy zajęli miejsca przy odsuwanych drzwiach. W każdym wagonie pilnował więźniów esesman z karabinem.

Pociąg ruszył na południe, przez Śląsk. Jednak od czasu do czasu zatrzymywał się i na pewien okres przystawał. W wagonie było duszno i przy dłuższych postojach konwojent pozwalał odsunąć drzwi i wpuścić trochę świeżego powietrza. Odsuwanie drzwi regulowali Tadek i Burkacki. Czekali na odpowiedni moment. I właśnie ten moment nadszedł. Pociąg zatrzymał się. Burkacki odciągnął drzwi nieco więcej niż poprzednio. Świeże powietrze napływało do wnętrza. Za chwilę pociąg ruszył w dalszą drogę, powoli nabierał prędkości. Tadek zaczął udawać, że usiłuje

zasunąć oporne drzwi, a Burkacki niby mu pomagał. Czekali, aż pociąg nabierze prędkości. '*Mach zu!*' (Zamknij!) – wrzasnął wartownik. Odpowiedział mu głos Tadka 'Skacz!' Kolega wyskoczył w kierunku biegu, a za nim natychmiast Tadek. Potoczyli się w głęboki, kopny śnieg i od razu pobiegli w kierunku przeciwnym do biegu pociągu. Z otwartych drzwi wagonu posypały się strzały wartownika. Były nieskuteczne. Nie miał szans trafić, tym bardziej, że pociąg nabrał już dużej prędkości. Pędził na południe w kierunku KL Mauthausen w Austrii, ale już bez Tadka Chmury, który w najbliższym polskim domu zabawił się w krawca, a po pieszej wędrówce przedostał się przez front do Prokocimia, gdzie zapłakani rodzice powitali niewidzianego od pięciu lat syna.

Tyle na temat ucieczek więźniów – prokocimiaków z Auschwitz.

KL Buchenwald – *Jedem das seine*

Tragiczna w skutkach ucieczka Jana Stawarza i jego kolegów miała miejsce na terenie Niemiec Środkowych w roku 1945, niewiele tygodni przed zakończeniem wojny. Jej opis znajdzie czytelnik na dalszych stronach opracowania. Tymczasem Janek dokładał starań, aby przeżyć kolejne tygodnie i miesiące. Czekał na to, co przyniesie los.

Fragment bramy wjazdowej do KL Buchenwald z napisem „Jedem das seine"

Nagła, niespodziewana zmiana w lagrowym życiu Janka nastąpiła przy końcu pierwszej dekady marca 1943 roku. Na wieczornym apelu wyczytano wtedy wiele numerów, a między nimi także jego własny oraz numery kilku kucharzy i kartoflarzy. Byli wśród nich Wacek Malinowski, Tomek Klus, Zygmunt Oliwa (Orski), Tadek Sobolewicz, Mietek Uznański, Mietek Wolwowicz, Leszek Werwicki, Władek Wenc i Heniek Zguda. Podobnie i w innych blokach wybrano wielu więźniów. Wszystkich pognano do kąpieli. Tam odebrano im rzeczy osobiste, pozostawiając tylko paski do spodni. W jednej chwili każdy z nich stracił cały

skrzętnie zbierany dobytek więźniarski: łyżkę, mydło, szczoteczkę do zębów, chusteczkę i pozostawiony w bloku zapas chleba, nie mówiąc już o skarpetkach, butach, bieliźnie, pasiaku oraz dopasowanej czapce. Po kąpieli przeprowadzono ich do bloku transportowego przy Birkenallee (Alei Brzozowej). Tam otrzymali świeżą bieliznę, czyste pasiaki, czapki i drewniane saboty zwane dłubankami lub holendrami. Apel mieli obok bloku. Obowiązywała blokszpera (zakaz opuszczania bloku) i w związku z tym wychodzenie na lagier było zabronione. Następnego dnia sformowano kolumnę marszową. Wiadomo już było, że jest to transport do innego obozu. Przybiegli wtedy znajomi kucharze z Tadkiem Chmurą na czele i przynieśli trochę jedzenia. W końcu poprowadzono ich na stację i wraz z grupą więźniów przybyłych z Birkenau załadowano do krytych wagonów towarowych. Było to 11 marca 1943 roku. Transport liczył około 1000 osób. Mieli żywność na drogę: dostali chleb i margarynę. Pociąg ruszył. Jechali na zachód przez Katowice, Opole, Wrocław. Drogę uprzyjemniali sobie śpiewaniem ludowych i lagrowych piosenek. W transporcie tym było kilku dobrych śpiewaków. Kolega Kazimierz Jaremkiewicz pięknie śpiewał piosenkę „Santa Madonna, poratuj". Gdy eskorta pootwierała drzwi wagonów na dworcu we Wrocławiu, jeden z więźniów, Witold Myszkowski, zaśpiewał znaną niemiecką piosenkę „Mamaczi schenk mir ein Pferdchen" (Mamusiu, podaruj mi konika). Wokół gromadzili się Niemcy czekający na swoje pociągi i słuchali. Przyglądali się ze zdziwieniem tym ludziom '*in Zebraanzüge*' (w pasiastych ubraniach). W końcu drzwi wagonów znowu zamknięto i transport ruszył w dalszą drogę. Część więźniów Auschwitz ze starymi numerami odczuwała przyspieszone bicie serc w miarę zbliżania się do Drezna. Pamiętali oni dobrze ten transport do „sanatorium" w Dreźnie w roku 1941. Wyjechało do tego „sanatorium" kilkuset chorych więźniów, a wraz z nimi jako „opiekunowie" dwaj znani kapo: jednoręki Siegruth i osławiony Krankenmann – ten, który lubił zaprzęgać do walca drogowego księży i Żydów. Dwaj mordercy jako opiekunowie... Po kilkunastu dniach do Auschwitz

wróciły po tym transporcie pasiaki i kartoteki więźniów. Wszyscy zostali wtedy zagazowani w ośrodku eutanazji w Sonnenstein koło Drezna. Podobno „opiekunowie" zginęli wcześniej z rąk więźniów.

Transport Janka minął wreszcie Drezno, potem Lipsk i w końcu pociąg dojechał do stacji w Weimarze. Na peronie czekała już na cugangów z Auschwitz obstawa złożona z buchenwaldzkich esesmanów. W stosunkowo krótkim czasie i w dobrej kondycji przebyli słynną drogę z Weimaru do Buchenwaldu zwaną Blutweg (drogą krwi). Potem, maszerując wzdłuż słynnej drogi Caracho, około 500 metrów przed bramą zobaczyli 'kamienie milowe' wyliczające cnoty więźnia, znane im dobrze z dachu oświęcimskiej kuchni. Były tam: posłuszeństwo, porządek, uczciwość, trzeźwość, pilność, czystość, ofiarność, prawdomówność i miłość ojczyzny. Tę ostatnią cnotę mogli sobie Niemcy darować. O ile miało to jeszcze jakiś sens w Dachau przed wojną w odniesieniu do więźniów Niemców, to w Auschwitz założonym w 1940 roku, gdzie przeważali więźniowie Polacy, trudno było doszukać się tego sensu. Przecież to właśnie miłość ojczyzny spowodowała, że olbrzymia większość z nich znalazła się w lagrze.

Wreszcie transport oświęcimski przeszedł przez bramę z napisem „Jedem das seine" czyli 'Każdemu to, co mu się należy'. Byli w Buchenwaldzie. Tutejsi esesmani z zainteresowaniem przyglądali się temu tysiącowi häftlingów, dość dobrze wyglądających, w czystych pasiakach. Żaden z nich nie wyglądał na muzułmana, raczej można ich było zaliczyć do gatunku vollgefressene. W Buchenwaldzie wiedziano, jaki był cel wysyłania tych więźniów z Auschwitz. Zgodnie z wydanym miesiąc wcześniej zarządzeniem Reichsführera Heinricha Himmlera mieli oni wziąć udział w budowie nowej trasy kolejowej między Weimarem a zbudowanymi obok lagru zakładami zbrojeniowymi „Gustloff Werke" produkującymi szybkostrzelne karabiny oraz zakładami „Mitteldeutsche Bauwerke" zwanymi w skrócie „Mi-Bau", wytwarzającymi części do pocisków

sterowanych i rakiet V-1 i V-2. Cugangom z Auschwitz ostrzyżono głowy i wystrzyżono wszystko, co było do wystrzyżenia. Potem zdezynfekowano ich w kadzi zawierającej roztwór lizolu, następnie wykąpano i umieszczono w blokach w tzw. małym lagrze, gdzie mieli odbyć kwarantannę. Janek Stawarz otrzymał wtedy numer 10944. Ale nie wszystko poszło gładko. Okazało się, że ci „vollgefressene häftlinge" przywlekli ze sobą z Auschwitz jakąś chorobę i – jako zagrażający wybuchem epidemii – musieli przebywać w blokach kwarantanny około półtora miesiąca. Nie można powiedzieć, że nie byli z tego powodu zadowoleni. Dzięki temu mieli dość czasu, żeby się bliżej poznać i zawiązać nowe lagrowe przyjaźnie. Jeszcze podczas kąpieli mignęła Jankowi znajoma twarz. Był to P. – jego były blokowy z bloku nr 19 z Auschwitz. Stawarz zdziwił się bardzo, że taki prominent nie dał rady wykręcić się od tego transportu. W Buchenwaldzie panowała wtedy zupełnie inna atmosfera niż w Oświęcimiu. Nikt tu nikogo nie bił, nie katował. Starzy, funkcyjni więźniowie lagru z czerwonymi winklami powtarzali stale słowo Kameradschaft (koleżeństwo) i z przerażeniem słuchali opowiadań o biciu, zabijaniu, gazie i fenolu. Szybko wypytali cugangów, kto z ich transportu należał do znęcających się nad więźniami, kto był gorliwym i usłużnym wykonawcą zaleceń SS. Wskazano wtedy czterech. Za chwilę, za cichym przyzwoleniem blokowej władzy, nowoprzybyli w ramach samosądu zatłukli drewniakami sztubowego z bloku karnej kompanii Mitasa, blokowego P. z bloku 19, schreibera „Kanady" i konfidenta K. Ciała ich przeniesiono potem do rewiru i tam, jako zmarłych, zdjęto z lagrowej ewidencji. Bardzo szybko i sprawnie to poszło.

Był wtedy w historii lagrów okres, w którym między poszczególnymi obozami koncentracyjnymi miały miejsce przerzuty więźniów. Całe transporty szły do innych obozów. Wieść o dokonanym w marcu 1943 roku samosądzie w Buchenwaldzie rozeszła się po lagrach. Toteż cugangi, którzy przybyli do Buchenwaldu w następnych transportach opowiadali, że ten akt samosądu był dla niektórych funkcyjnych potrzebnym

sygnałem ostrzegawczym. Dotarło do nich bowiem, że ich wielka władza nad więźniami sięga tylko drutów w jednym obozie, a w innym lagrze mogą źle skończyć. Tam nie powinni spodziewać się litości, a jedynie strasznej, usprawiedliwionej zemsty.

Na kwarantannie poznał Janek nowych kolegów. Byli to między innymi: Mietek Albin, Staszek Benda, Władek Czajkowski, Janek Chrząszcz, Kazek Denker, Leon Dynda, Piotr Filipowicz, Mietek Garlicki, Edek Günthner, Artur Karpik, Stefan Kluska (Boratyński), Staszek Kozłowski (Taubenschlag), Mietek Kowalski – nauczyciel z Lublina, Olek Leja, Julek Leszczyński, Jan Majek, Bogdan Marchwicki, Janek Olszański, Olek Pietracha, Tadek Podoba, Janusz Pokrzywnicki, Staszek Prorok, Tadek Przybyłowicz, Kazek Sanecki, Władek Szczerba, Bolek Trombala, Andrzej Węgliński, Kazek Wilamowski, Józek Walas, Władek Wójtowicz, Zygmunt Ziembicki i Janek Ziemba. Więźniów kwarantanny nie pędzono wtedy do pracy, toteż całymi dniami wygrzewali się w ciepłym wiosennym słońcu, a w blokach śpiewali ludowe i harcerskie piosenki. Szczególne powodzenie miały „Czerwony pas" i „Góralu, czy ci nie żal", a swego rodzaju hymnem stała się dla nich popularna pieśń „Choć burza huczy wkoło nas". Powstała wtedy na kwarantannie grupa estradowa, w skład której wchodzili między innymi śpiewak Opery Śląskiej Witold Myszkowski, Mieczysław Czamara, Kazimierz Nowicki, Józef Kropiński, student AGH Kazimierz Tymiński oraz poeta Edmund Polak. Konferansjerem był Czesław Ostańkowicz, dziennikarz. Występy tej grupy podnosiły wszystkich na duchu. W tzw. małym lagrze, który obejmował bloki 51-68 przypominające szopy czy raczej stajnie (Pferdebaracken), nie pojawiali się wtedy esesmani. Pewnie bali się tej przywleczonej przez cugangów zarazy. Natomiast dość często przychodzili starzy buchenwaldczycy, siedzący w tym obozie jeszcze od czasów przedwojennych. Byli to ludzie lewicy. Wyjaśniali poznanym już lepiej Polakom konieczność przeciwstawiania się wszelkim poczynaniom SS, znaczenie wzajemnej pomocy i poszanowania

innych więźniów. Twierdzili, że za złe zachowanie się w lagrach winowajcy winni być karani. Stale eksponowali znaczenie koleżeństwa między więźniami. Często rozmawiał z nimi Teofil Witek, którego Janek pamiętał jeszcze z Korpusu Kadetów ze Lwowa. W korpusie znany był z poglądów lewicowych oraz z tego, że jako początkujący literat stawiał pierwsze kroki poetyckie w kadeckim kwartalniku „Orlęta". Wyższe studia prawnicze kończył potem w Wilnie. Aresztowano go na Rzeszowszczyźnie podczas własnego ślubu. Razem z nim uwięziono podobno cały orszak weselny. Z Teofilem Witkiem przyjaźnił się Janek w czasie swego pobytu w Buchenwaldzie.

Budowa torowiska Weimar – Buchenwald

Wreszcie skończył się okres kwarantanny. Część byłych oświęcimiaków wyjechała na komenderówkę Wernigerode. Byli wśród nich Kazek Denker, Staszek Prorok, Tadek Przybyłowicz i Michał Żychowski. Zatrudniono ich w odlewni „Rautalwerke". Pozostałych przeniesiono do murowanego bloku nr 44 w starym lagrze. Pisarzem blokowym został w nim Teofil Witek. Ponad 60 procent więźniów zatrudniano w komandzie „Eisenbahnbau" przy budowie linii kolejowej łączącej Weimar z obozem w Buchenwaldzie. Odległość między nimi wynosiła około 12 kilometrów, a różnica wzniesień na górę Ettersberg – około 460 metrów. Pozostałych więźniów z tego transportu porozrzucano po różnych komandach pracujących w niedawno uruchomionych zakładach „Gustloff Werke" i po komandach „Mi-Bau". Kilkunastu zabrano do „Steinmetzerkommando" (komanda kamieniarzy). Byli wśród nich Gunia, Kazek Wilamowski, Mietek Kowalski, Janek Kiełb i Zygmunt Oliwa (Orski). Brat tego ostatniego zginął w Auschwitz, a siostra siedziała w kobiecym lagrze. On sam wyjechał potem we wrześniu do nowo założonej

komenderówki Buchenwaldu, która nosiła kryptonim „Laura" i mieściła się w Oertelsbrück koło Saalfeld w Turyngii.

Następnego z kolegów, Tadka Sobolewicza z Poznania, wywieziono do komenderówki Buchenwaldu „Thekla" koło Lipska.[34] Nosiła ona kryptonim „Emil", a więźniowie pracowali dla zakładów Messerschmitta „Erla Werke". Opodal znajdowała się druga komenderówka Buchenwaldu, w której więźniarki pracowały w fabryce amunicji „Hasag" (Hugo Schneider AG).

Niedługo przebywał Stawarz w bloku nr 44. Wraz z innymi przeniesiono go do drewnianego bloku nr 16, także w starym obozie i zatrudniono w komandzie „Mutterboden" (komando „gleba") w ramach zespołu komand budujących torowisko Weimar-Buchenwald. Zatrudnieni w nim więźniowie usuwali łopatami warstwę ziemi z podłoża na głębokość jednego „sztycha" i przenosili ją w miejsca leżące w pobliżu planowanego nasypu. Po wykończeniu torowiska przez inne drużyny robocze, zebrana gleba miała być rozrzucona po poboczach nasypu, a na warstwie przez nią utworzonej planowano zasiać trawę. Komando liczyło około sześćdziesięciu więźniów. Jednego z kolegów Janka, Piotra Filipowicza, awansowano na stanowisko kapo, a Józek Wojnicki z Krynicy został vorarbeitrem. Pracowali tam także Staszek Benda, Janek Chrząszcz, Tadek Dworakowski, Edek Günthner, Władek Hoffman, Mietek Wolwowicz i inni. W komandzie „Mutterboden" pracowali przez cały maj i połowę czerwca. Janek zapamiętał z tego okresu nadzorcę – cywilnego majstra o pokrytej bliznami twarzy, z pokiereszowanym uchem, który stale się wściekał, nawet często bił, gdy więźniowie niezbyt aktywnie ruszali łopatami. Esesmani szczuli ich wtedy psami, ale na szczęście utrzymywali je na smyczach w bezpiecznej odległości. Byli oświęcimiacy pamiętali dobrze przestrogi i nauki więźniów z buchenwaldzkiej lewicy o tym, że w lagrze pracuje się oczami, a nie mięśniami. Od czasu do czasu szukali pod wiekowymi

[34] Ojciec Tadeusza Sobolewicza zginął w 1942 roku w Auschwitz, a matkę wywieziono wcześniej do Ravensbrück. Sam Tadek miał w chwili aresztowania 17 lat.

bukami na stokach góry Ettersberg zeszłorocznych orzeszków buczyny. Czasem, gdy pilnował ich dobry Kommandoführer (kierownik komanda), zapalali ognisko i piekli ziemniaki w popiele, a nawet smażyli placki kartoflane z tartych ziemniaków. Jako tarka służyła blacha podziurawiona gwoździem. Koledzy mianowali kucharzem Janka Stawarza. Jednym z najlepszych jego osiągnięć kulinarnych była w tym czasie zupa grzybowa, ugotowana z grzybów znalezionych w lesie przez vorarbeitra Józka Wojnickiego. Był to bardzo dobry kolega. Dbał o swoje komando, a ponieważ znał dobrze niemiecki, od czasu do czasu zagadywał pilnującego ich esesmana po to, żeby koledzy mogli trochę zwolnić tempo pracy i odpocząć. Często potrafił zorganizować jakieś dodatkowe jedzenie. Nie zawsze uchodziło mu to na sucho. Zdarzyło się w czasie gotowania zupy, że rozwścieczony majster cywilny pobił go i rozkopał ognisko. Ale Józek i tak nic sobie z tego nie robił.

Młody Stawarz, chciwy wiedzy i świata, zawsze dokładał starań, aby w czasie pracy znaleźć się obok więźnia mającego bogaty życiorys i umiejącego opowiadać. Pracowali wolno. Powoli wbijali ostrza swych łopat w tę buchenwaldzką glebę i gadali. To znaczy, mówił kolega, a Janek słuchał. Słuchał o życiu, pracy, podróżach, przygodach, żonach, dzieciach i o wszystkich ciekawych przeżyciach rozmówcy. A kiedy ten był już dostatecznie „wypompowany" i nie miał więcej nic ciekawego do powiedzenia, przyczepiał się Stawarz nazajutrz do następnego. I znowu słuchał i słuchał.

Wiele godzin przegadał z Jankiem Chrząszczem, który przed wojną był nadleśniczym koło Worochty na Huculszczyźnie. Ten opowiadał o swej młodości górnej i chmurnej. Po zdaniu matury uciekł z domu z dwoma kolegami i zaczęli wędrówkę po zachodniej Europie. W końcu znaleźli się we Francji. Mieli już bardzo mało pieniędzy, a pracy nie mogli nigdzie znaleźć. Rozmawiali o swoich problemach w przedziale podmiejskiej kolei w Paryżu. Ich rozmowie przysłuchiwał się przypadkowy współpasażer. Nie sądzili, że rozumie ich mowę. Za chwilę

odezwał się do nich w ojczystym języku. Jego zdaniem, zrobili źle wybierając się w świat bez posiadania konkretnych zawodów. W czasie tej rozmowy wypowiedział znamienne zdanie: 'Najpierw studia, potem zagranica i Bliski Wschód, który was tak pociąga'. Spotkany rodak wysłał wtedy telegram do rodzin i za przesłane z domu pieniądze niefortunni globtrotterzy zakupili bilety powrotne do kraju. Chrząszcz zaczął potem studia leśne we Lwowie. Po ich ukończeniu dostał posadę nadleśniczego koło Worochty. Wiodło mu się tam bardzo dobrze. Gajowymi mianował najbardziej znanych okolicznych kłusowników. Ci najlepiej wiedzieli, jak należy pilnować lasów i zwierzyny. Hodował tam słynne huculskie konie, chętnie kupowane przez Anglików. Często odwiedzali te okolice zagraniczni myśliwi, dla których pobudował w lasach chatki myśliwskie. Były w nich meble z czarnego dębu, który jego gajowi umieli w lasach wyszukać. Bardzo tęsknił Janek Chrząszcz do tych zielonych, górskich lasów. Niestety, nie dożył końca wojny. Zachorował i w następnym roku zmarł w buchenwaldzkim rewirze na nieuleczalną chorobę żołądka.

Z innych rozmów zapamiętał Stawarz opowiadanie jednego z krakowskich kieszonkowców. Ze swadą właściwą temu środowisku, przy użyciu odpowiednich wyrażeń, relacjonował on sposoby opróżniania kieszeni bogatych handlarzy bydłem. Żeby było jeszcze śmieszniej, opowiadający seplenił. Brak mu było przednich trzech zębów, które jakoby miał utracić w czasie przesłuchania. Podstawą jego działalności był kalendarz. Miał w nim zaznaczone terminy wszystkich najważniejszych zjazdów, masowych imprez czy uroczystości w Krakowie oraz nazwy miejscowości i terminy, w których odbywały się w województwie wszelkie targi, odpusty, pielgrzymki itp. Opowiadający miał wspólnika. Pracowali zawsze we dwójkę. Przebierali się w odpowiednie stroje zależnie od okoliczności. Nie chcąc się odróżniać od innych, raz byli ubrani jak typowi handlarze bydła, innym razem jak pątnicy. Na targach bydła i świń współpraca przebiegała w następujący sposób: najpierw obaj kolesie szli na

rozeznanie i każdego handlarza z grubszą gotówką znakowali kredą. Umówiony znak robili w stałym miejscu na marynarce, płaszczu czy kożuchu przyszłej ofiary. Potem przystępowali oddzielnie do działania i „pracowali" na własną rękę. U każdego handlarza pozbawionego już gotówki przekreślali poprzedni znak. Chodziło o to, żeby tego samego delikwenta nie obrabiać dwa razy i nie wpaść przy sposobności. Toteż raczej nie wpadali. Opowiadający wpadł dopiero za Niemców. Siedział w lagrze z zielonym winklem.

Całkowicie przeciwny świat reprezentował inny rozmówca Janka. Był on ni mniej ni więcej, tylko byłym nadkomisarzem policji państwowej w pewnym mieście na Podkarpaciu. Przed aresztowaniem należał do AK. Musiał się ukrywać, bo gestapo deptało mu po piętach. Aresztowano go w Swoszowicach, w drodze do Krakowa. Miał zamiar schronić się pod zmienionym nazwiskiem w grodzie pod Wawelem, licząc na to, że najciemniej jest pod latarnią. W czasie pierwszej wojny światowej był oficerem w wojsku austriackim. Miał wtedy ordynansa, który był do niego bardzo przywiązany. W nowopowstałym po wojnie państwie polskim został mianowany oficerem policji państwowej. Ścigał wszelkiego rodzaju przestępców i bandytów. Do służby w policji ściągnął swojego byłego ordynansa, który stał się najlepszym pomocnikiem nadkomisarza. Ten człowiek miał niesamowity węch w czasie tropienia bandytów. Opracował skuteczną metodę postępowania w trakcie poszukiwania groźnych przestępców. Przede wszystkim lokalizował ich miejsce urodzenia i zameldowania czy okresowego pobytu. Drugim punktem wyjścia dla niego było ustalenie nazwisk i miejsc zamieszkania kobiet najbliższych bandycie. Trzecim było wykorzystywanie odpowiednich informatorów. Ten pomocnik nadkomisarza miał wiele zawodowych sukcesów, które opowiadający skrzętnie wyliczał. Nic nie mówiły Jankowi ich nazwiska ani pseudonimy czy przezwiska, gdyż nigdy dotąd nie miał on styczności z marginesem społecznym.

W czasie pracy w komandzie „Mutterboden" młodzi więźniowie często droczyli się z kolegą Stanisławem Smoterem, właścicielem tartaku ze Skrzydlnej, wsi położonej na północny wschód od Mszany Dolnej. Miał on kilka córek i niektórzy koledzy zgłaszali swoje kandydatury na zięciów. Warunkowali jednak swoją ochotę do straty kawalerskiej wolności odpowiednimi, mniej lub więcej wygórowanymi wymaganiami i zastrzeżeniami, które „teściu" Smoter pomijał milczeniem, spoglądając krytycznie na przyszłego zięcia spod swoich grubych okularów.

Szybko minął Stawarzowi czas pracy w komandzie „Mutterboden". Planowany zakres robót został wykonany i więźniów zabrano na nowo powstający dworzec w Buchenwaldzie, do noszenia szyn kolejowych. Niezbyt dobrze wspomina Janek tę pracę. Był niski i zależnie od wzrostu pozostałych tragarzy niesiona szyna albo nadmiernie obciążała jego ramię, albo – spoczywając na ramionach wyższych kolegów – nie dotykała wcale jego ramienia. Stwierdził więc, że nie nadaje się na tragarza szyn ani tych kolejowych, ani żadnych innych i postanowił urwać się do lepszej pracy, jak tylko nadarzy się jakaś okazja.

Żwirownia Erfurt

Nie czekał długo na okazję zmiany pracy. Zaczęto szukać chętnych do „Kiesgrube Erfurt" (żwirowni Erfurt). Wprawdzie słowo „żwirownia" wywoływało u Janka niemiłe oświęcimskie skojarzenia, szybko jednak się zdecydował, tym bardziej, że była to praca daleko poza lagrem. Od następnego dnia był już w komandzie „Kiesgrube Erfurt", a wraz z nim koledzy: Benda, Chrząszcz, Możdżyński, Wołowicz, Ostańkowicz i inni. Okazało się, że nie wybrali źle. Komando należało do dobrych. Jego zadanie polegało na dostarczaniu kamieni i żwiru wykopywanego z dna dużego stawu w pobliżu Erfurtu, z przeznaczeniem na

podsypkę przy budowie toru. W komandzie było czterdziestu więźniów. Wczesnym rankiem, jeszcze przed apelem, zbierało się ono przy bramie wejściowej i po przeliczeniu opuszczało obóz. Autem ciężarowym wieziono więźniów na stację do Weimaru. Tam przesiadali się wraz z postami do wagonu osobowego specjalnego pociągu, w którego składzie było także dwanaście pustych lor na żwir. Napełniali je w czasie dnia, wieczorem wracali do Weimaru, a stąd samochodem do lagru. W następnym dniu czekał na nich w Weimarze rezerwowy skład. Kapo komanda, Niemiec Willi z czerwonym winklem, z twarzy podobny do małpy, nie był najgorszy. W gniewie zacietrzewiał się, krzyczał, klął, wrzeszczał, ale nie uderzył. Tu, w Buchenwaldzie, niedługo byłby kapo, gdyby bił. Buchenwald to nie Auschwitz. Tu „rządzili" w tym czasie więźniowie z czerwonymi winklami. Byli to w przeważającej ilości lewicowcy, a wśród nich dużo komunistów i socjaldemokratów niemieckich. W chwilach, gdy kapo Willi wybuchał gniewem, pies Kommandofűhrera naprężał linkę, na której trzymał go esesman i usiłował skoczyć sztorcowanemu więźniowi do gardła. Strach było myśleć o tym, co by się mogło stać, gdyby linka się zerwała.

Staw pod Erfurtem położony był między dwoma wysokimi nasypami kolejowymi. W miejscu, w którym boczna linia kolejowa odgałęziała się od głównej, utworzył się trójkąt, którego trzeci bok stanowiła droga publiczna. Wyloty tej drogi przebiegały pod wiaduktami powstałymi w nasypach odgałęzień obu linii kolejowych. W odległości około stu metrów za drogą znajdowały się ogródki działkowe, a w nich widać było domki i altany działkowiczów. Pociąg z więźniami zjeżdżał na boczny tor obok stawu i tam poszczególne wagony – lory przetaczano pod gumowy taśmociąg, na który więźniowie sypali łopatami żwir. Po napełnieniu wagonu odtaczano go spod wylotu transportera i podpychano wagon pusty. Tak komando w czasie zmiany roboczej napełniało wszystkie lory. Sama żwirownia znajdowała się jednak od strony drogi bitej i stamtąd kolejka wąskotorowa dowoziła urobek pod transporter.

Maszynistą lokomotywki na ropę był więzień z zielonym winklem. Był to Willi, sutener z Hamburga, obieżyświat jakich mało, zgrany dobrze z pozostałymi więźniami komanda. Skórę na całym ciele miał wytatuowaną, a sceny tatuażu nie nadawały się do pokazywania nieletnim. Miał chyba przed kilku laty szczęście, że nie widziała go rozebranego Ilse Koch – żona byłego komendanta zwana 'czarownicą Buchenwaldu', bo być może jego tatuaż, na wygarbowanej już skórze, stanowiłby aktualnie atrakcyjny abażur lampy pani komendantowej.

Więźniowie opróżniali wagoniki pod transporterem, a Willi opowiadał im od czasu do czasu o swoim hamburskim haremie, nie żałując pikantnych szczegółów. Potem wracał kolejką po nową dostawę żwiru.

Dwaj nie bici w ciemię koledzy, Janek Stawarz i Czesiek Ostańkowicz, od razu znaleźli sobie pracę bardziej zajmującą niż monotonne narzucanie żwiru na gumowy transporter. Praca ich polegała na konserwacji torowiska i wagoników kolejki. Dokręcali kluczami śruby przy torach i rozjazdach, smarowali towotem piasty kół wagoników i zaczęli dostarczać wodę do picia dla komanda, którą czerpali w ogródku działkowym. Także przy pomocy łomów podtaczali puste lory pod transporter i formowali nowy skład z wagonów napełnionych żwirem. W razie potrzeby pomagali przy ładowaniu żwiru, rozsypując go równomiernie po całej lorze.

Na działkach poznali panią Műller. Było upalne lato 1943 roku. Po wypiciu przez więźniów kawy przywiezionej z Buchenwaldu, wzięli za uchwyty pusty pojemnik i pod dozorem posta poszli po wodę na działki. Jak się okazało, wszystkie domki na działkach były zasiedlone. Część mieszkańców stanowili miejscowi, a część – wysiedleni z Zagłębia Ruhry bombardowanego przez aliantów. Podeszli do jednego z domków i tam po zwyczajowym '*Guten Tag*' (dzień dobry) poprosili o wodę. Ładna, niespełna 27-letnia Frau Műller pozwoliła im ją napompować. Towarzyszący im esesman był Reichsdeutschem mieszkającym przed wojną w Czechosłowacji, z zawodu

adwokatem. Jak trafił do SS – jego sprawa. Ale nie był zbyt wielkim służbistą. Obaj koledzy przed nabraniem wody najpierw sami się odświeżyli i napili starym, znanym z obozów wojskowych sposobem. Przy jego stosowaniu woda spływa do ust rowkiem utworzonym przez palce zaciśniętych dłoni. Podziękowali za wodę i ponieśli pełny pojemnik do spragnionych kolegów. To noszenie wody z działki pani Műller powtarzali potem kilkakrotnie każdego dnia. Poznali ją bliżej w czasie prowadzonych rozmów. Pani Műller wysyłała esesmana do ogródka na porzeczki, a sama rozmawiała z więźniami. Nie pozwoliła im już pić wprost spod pompy i przynosiła szklankę. Była bardzo zdziwiona, gdy po raz pierwszy zobaczyła, że Janek – napełniwszy szklankę – podał ją Cześkowi, który był nieco starszy. 'Widzę, że należycie do inteligencji', powiedziała pani Műller. Była zdumiona, gdyż dotychczas uważała – podobnie jak jej sąsiedzi – że w Buchenwaldzie siedzą sami przestępcy. W następnym dniu, podając więźniom szklankę, przekazała im ukradkiem zwiniętą karteczkę. Odczytali ją potem za jakimś wagonem. Było tam zdanie, które ich bardzo zaskoczyło: 'Czy Hitler, czy Stalin, czy Churchill – pisała Niemka – dla mnie jest to *ganz egal*, wszystko jedno. My, zwyczajni ludzie, musimy się wzajemnie kochać.' I pytała jeszcze: 'Kim jesteście z zawodu i za co cierpicie w lagrze?' Kartkę zniszczyli, a na drugi dzień – gdy esesman poszedł na porzeczki – otwarcie porozmawiali z panią Műller o wszystkim. Dowiedzieli się, że wysiedlono ją z Zagłębia wraz z dwiema córeczkami, 5 i 7-letnią. Przesiedlono ją tu, na działki pod Erfurtem, w miejsce względnie bezpieczne od nalotów. Jej mąż był aktualnie na froncie. Podobnie jak Frau Műller, inni mieszkańcy działek też powoli zmieniali swoje zdanie o więźniach. Ich nowa znajoma często jeździła na rowerze po drodze obok toru kolejki, a jej córeczki, siedząc na poboczu, grały na dziecinnym akordeonie ulubioną piosenkę o Mamaczi i koniku. Pani Műller nie tylko częstowała domowymi keksami obu Polaków, kiedy przychodzili po wodę, ale wysyłała ich nielegalne listy do rodzin. Zresztą, nie tylko ich listy, ale także ich kolegów

z lagru. Otrzymywali oni wtedy z domów fotografie osób najbliższych, a w lagrze byli artyści, którzy za chleb z paczek czy za papierosy malowali farbkami portreciki z tych fotografii. Janek wysłał wtedy do Krakowa przez panią Műller portrecik żony Mietka Uznańskiego, a także portrecik ślubny własnej siostry i szwagra. Poczta dostarczyła je do Krakowa bez przeszkód. Dla ochrony portrecików przed pognieceniem robiono w lagrze specjalne opakowania z dykty. Wieczorem, już po apelu, komando wracało do Buchenwaldu. Praktycznie było ono cały dzień poza obozem.

Pewnego dnia w czasie jazdy pociągiem do Erfurtu poznał Janek Polaka z zielonym winklem. Był to szczupły, wysoki więzień w wieku około 35 lat. W lagrze przebywał wtedy na jednym z czysto polskich bloków. Bloki te nosiły numery 15, 16, 21, 27 i 37. Pozostali Polacy, których było w lagrze w tym okresie około 5-6 tysięcy, mieszkali w blokach mieszanych 22, 26, 29, 30, 31, 32 i 44. Upór tego więźnia zaimponował Stawarzowi. Obserwował on pozytywny wpływ, jaki wywierało otoczenie na tego człowieka. Z czasów przedwojennych, gdy należał do przestępczego klanu, pozostały mu pod skórą dwa punkty, trwale oznaczone jakimś niezmywalnym tuszem. Jeden miał na policzku, drugi na dłoni między kciukiem a palcem wskazującym. Przebywając na polskim bloku stykał się na co dzień z Polakami – więźniami politycznymi, z których większość należała do inteligencji. Obserwował ich zachowanie w lagrze, wzajemną pomoc i koleżeństwo. Nie mógł się nadziwić, że tamci nie dawali odczuć swym towarzyszom w bloku wyższości intelektualnej, tej, którą daje wykształcenie. Byli po prostu kolegami, nie oglądając się na kolor winkla, różnice w pochodzeniu czy wykształceniu. Ten człowiek starał się im dorównać. Starał się być miły, pogodny, koleżeński i taktowny. Wtedy można było zauważyć, że zaczyna się wstydzić tak swojego zielonego winkla, jak i tych dwóch cholernych plamek. Próbował usunąć je siłą. Drapał paznokciem, skrobał nożem lub żyletką i tarł papierem ściernym. Powstawał potem w tym miejscu strupek, a gdy odpadł, plamka wychodziła

ponownie na światło dzienne. Odradzała się jak feniks z popiołów. A on uparcie ponawiał próby jej usunięcia. Janek zapamiętał tego kolegę zawsze z tym samym strupkiem na policzku. Na pewno zmienił się on wewnętrznie, dostosował do otoczenia, niczym się już od niego nie wyróżniał, tylko tą plamką i bandyckim kolorem winkla. W końcu koledzy z bloku doradzili mu wyjście z tej sytuacji: za wiedzą blokowego odpruł szmatkę z zielonym winklem i takim samym numerem. Pozostał mu jeszcze strupek na policzku.

Janek nie wiedział, jakie były dalsze losy tego kolegi, ponieważ wyjechał do którejś z komenderówek Buchenwaldu. Opowiadał o nim z uznaniem, podkreślając jego zmianę zachowania i uparte dążenie do celu.

Drugim ciekawym człowiekiem z komanda „Kiesgrube Erfurt" był Polak z czerwonym winklem w wieku około 50 lat. Mówił po polsku, ale jakimś archaicznym językiem, przeplatanym często rosyjskimi wyrazami. Był wnukiem Sybiraka wywiezionego za caratu na Syberię. Opowiadał o życiu zesłańców w dalekiej, syberyjskiej tajdze. Jego rodzina miała tam chatę zbudowaną specjalnym systemem, uodparniającym ją na działanie silnych wiatrów. Najbliższy sąsiad, także zesłaniec, mieszkał w odległości około 150 km. Żyli z polowania, zbierali miód leśny, zioła i grzyby. Raz w roku przyjeżdżali do nich kupcy. Prowadzono handel wymienny. Za skóry, grzyby, miód i zioła otrzymywali przedmioty potrzebne do życia w tajdze. W końcu kupili krowy i konie. Zwierzęta nie miały stajni. Stały zawsze za dużymi stogami siana od strony zabezpieczonej przed wiatrem. Gdy kierunek wiatru się zmieniał, zwierzęta same się dostosowywały do nowych warunków, a jedzenia miały pod dostatkiem. Stogi siana dawały im pożywienie i osłaniały przed silnymi wiatrami. Buchenwaldzki Sybirak był starym kawalerem. Ojciec chciał go żenić z córką najbliższego sąsiada i ciągle ponaglał syna do podróży po przyszłą synową. Ale zanim ten się namyślił, wybuchła wojna. Na wojnie trafił do niemieckiej niewoli i – podejrzewany o chęć ucieczki – został skierowany do

Buchenwaldu. Spotkanym tu rodakom imponował spokojem, odpornością psychiczną i twardością charakteru.

„Szyber Reschkego" [35]

Pewnej niedzieli Teofil Witek odszukał Janka Stawarza w bloku nr 16. Janek wiedział, że Witek ma bezpośredni kontakt z kierownictwem „Międzynarodowej Organizacji Więźniów". Teofil zaproponował mu przeniesienie do „Lagerkommanda". Lagerältester (starszy obozu) Erich Reschke potrzebował wtedy człowieka pewnego i sprytnego, który mógłby być vorarbeitrem bez bindy (opaski) w „Müllkolonne". Była ona czymś w rodzaju „przedsiębiorstwa wywożenia śmieci" czyli po prostu drużyną śmieciarzy. Ruchliwemu Jankowi bardzo odpowiadało takie stanowisko, tym bardziej, że jego kumpel Czesiek Ostańkowicz został wtedy torhüterem czyli odźwiernym przy jednej z bram łączących mały lagier z obozem głównym. Dla Reschkego spełniał Janek rolę „szybra" – człowieka szmuglującego przez lagrową bramę różne przedmioty lub materiały. Kierował on obsługą jednodyszlowego wózka złożoną z dwóch Francuzów, Rosjanina i Polaka. Dwóch z nich było dyszlowymi, a pozostała dwójka pchała, ciągnęła lub hamowała wózek w zależności od potrzeby. Do codziennych obowiązków śmieciarzy należało opróżnianie przyblokowych kubłów w obu lagrach – dużym i małym oraz w rewirze, a także spod budynków, w których mieszkali oficerowie SS z rodzinami. W kubłach znajdowały się różne śmieci z bloków, takie jak papiery i tektura z paczek oraz „zmiotki" zebrane przez komando „Strassenreinigung" czyli zamiataczy dróg, którzy także należeli do „Lagerkommanda". Śmieci i odpady zwozili na plac obok „Gärtnerei" (ogrodnictwo) poza małym lagrem, gdzie spalał je więzień Cygan oznaczony

[35] Określenie „szyber" pochodzi od niemieckiego słowa '*schieben*' (oszukiwać, prowadzić nieczyste interesy). Reschke, to nazwisko ówczesnego Lagerältestera Buchenwaldu.

czarnym winklem. Oprócz wywożenia śmieci, do obowiązków „śmieciarzy" należało odwożenie bielizny esesmanów do pralni i przywożenie upranej. Rodzaj pracy i możliwości poruszania się w obszarze dużej postenketty (łańcucha straży) umożliwiały „organizowanie" różnych rzeczy. Pełniący służbę na bramie przy Blockführerstubie (wartowni) esesmani z czasem zaczęli poznawać więźniów z „Müllkolonne" i przy przejeździe przez bramę nie robili specjalnych trudności. Ludzie Janka często sprzątali esesmańskie pomieszczenia i dostawali czasem kawałek chleba. Trafiało się to z reguły w poniedziałek po niedzielnych odwiedzinach esesmańskich rodzin. Niektórzy z wachmanów zajadali ciasto, a chleb im zostawał. Stawał się on już wtedy za suchy dla esesmana, ale dobry dla więźnia.

Obozowi śmieciarze mieli podobny wózek

Największą zdobyczą po takim sprzątaniu było jednak pół mycy (*Mütze* – czapka) petów z esesmańskich popielniczek.

Śmieciarze zawarli układ z Cyganem od spalania śmieci. Dostarczali mu resztki papierosów, on wykruszał z nich tytoń, trochę go doprawiał i solidarnie dzielił na sześciu.

W Buchenwaldzie był radiowęzeł, przez który Lagerälterster Reschke wzywał śmieciarzy do bramy przy Blockführerstubie. Często można było usłyszeć z radiowęzła zdanie '*Kapo von Lagerkommando schickt sofort Müllwagen zum Tor*' (Kapo komanda obozowego wyśle natychmiast wózek śmieciarzy do bramy). Gdy nie było roboty, obsługa śmieciarskiego wózka czekała w pogotowiu przy bloku. Po wezwaniu do natychmiastowego zjawienia się przy bramie, powoli się zbierali, pchali wózek i dopiero na terenie widocznym od strony bramy zaczynali biec truchcikiem. Kapo „Lgerkommanda", Niemiec z zielonym winklem, był cwaniakiem nie z tej ziemi i bardzo równym chłopem. Zresztą, gdyby taki nie był, to by go już dawno „czerwoni" wysłali na transport do jakiegoś podobozu czy komenderówki. Podobnie jak komando „Müllkolonne", wzywano do bramy jednego z vorarbeitrów bez bindy, Ociepko-Poznańskiego lub Hoffmana, z ilością więźniów potrzebną do wykonania prac nadzwyczajnych w ramach dużej postenketty. Więźniów tych zabierano z bloków kwarantanny w małym lagrze. W pewnych przypadkach mógł także zabierać tych więźniów Janek Stawarz i wzmacniać nimi załogę śmieciarskiego wózka. W razie pilnej potrzeby Erich Reschke wzywał „szybra" z jego śmieciarzami do bramy lagru. Pewnego razu polecił Jankowi podjechać pod wagon z odzieżą, bielizną, swetrami i skarpetami przeznaczonymi dla załogi SS i zorganizować tam określoną ilość swetrów i skarpet. Polecenie wykonano szybko i sprawnie, a przeszmuglowaną pod śmieciami zdobycz Stawarz przekazał na ręce kapo magazynu odzieżowego (Bekleidungskammer). Innym razem, zlecona przez Reschkego „organizacja" omal nie skończyła się fatalnie dla Stawarza. Reschke polecił zorganizować deski, papę i inne materiały budowlane, aby przy ich pomocy poprawić warunki bytowania więźniów w małym lagrze. Śmieciarze załadowali wózek na bauhofie położonym w granicach dużej

postenketty i ruszyli w drogę w kierunku głównej bramy lagru. Kapo od rozładunku na bauhofie, czerwonowinklowiec, połapał się, że materiały te są wiezione nie w tym kierunku, gdzie powinny. Dogonił „szybra", pobił go i skopał, nazwał złodziejem i odstawił pod ścianę bunkra przy Blockführerstubie. Ale tam czekał już Reschke. Wiedział, że musi wyrwać Janka z rąk esesmanów. Kopnął go i powiedział strażnikom, że go zabiera i odpowiednio ukarze. Ma się rozumieć, o żadnej karze nie było mowy. Natomiast ten kapo od wyładunku materiałów nie zagrzał długo miejsca w Buchenwaldzie. Najbliższym transportem wyjechał na jakąś komenderówkę, by tam rozmyślać nad swoją głupotą.

Polityczni rządzący obozem mieli w swych rękach broń, z którą musieli się liczyć wszyscy, zajmujący w nim jakiekolwiek stanowiska. Bronią tą była możliwość wpisania numeru każdego więźnia na listę transportową i wysłanie go do jednego z podobozów lub komenderówek podległych Buchenwaldowi. Było ich wtedy około 136. Komenderówki te bywały różne: lepsze lub gorsze, a nawet całkiem złe. Taką bardzo złą sławą cieszyła się wtedy „Dora", podobóz Buchenwaldu położony koło miasta Nordhausen, w którym większość więźniów była zatrudniona pod ziemią, w dwóch skalnych tunelach połączonych sztolniami. Do nich przeniesiono, po zbombardowaniu Peneműnde na wyspie Uznam, produkcję V-1 i V-2.

Podobnie jak te esesmańskie skarpety i swetry, organizował potem „szyber" dla Reschkego czekoladę, odżywki i konserwy przeznaczone dla spadochroniarzy, magazynowane w ujeżdżalni. Zdobycz przykryto skrzętnie stertą śmieci i przewieziono przez bramę, tuż obok stojących strażników. Do obowiązków śmieciarzy należało także zrzucanie do piwnic w oficerskich domach węgla przeznaczonego na zimowy opał. Janek był już wtedy dość znany w lagrze. Jako szyber „Műllkolonny" mógł w każdej chwili pójść do małego lagru, tym bardziej, że na przejściu pełnił tutaj „służbę" Czesiek Ostańkowicz. Zdarzało się często, że kapo „Lagerkommanda"

wzywał vorarbeitra i jego śmieciarzy do zjawienia się przy bramie z kilku lub kilkunastoma więźniami celem wykonania jakiejś specjalnej pracy. W takich przypadkach Janek musiał iść do małego lagru i po prostu dobierał odpowiednią ilość ludzi z bloku kwarantanny. Tamtejsi blokowi znali go już dobrze. Wiedzieli, że to człowiek Reschkego i nie robili żadnych trudności. Więźniowie z kwarantanny bardzo chętnie zgłaszali się do takiej pracy, ponieważ zawsze była tam większa szansa zdobycia czegoś do jedzenia lub palenia. Dwóch więźniów dobieranych do wykonania takich zadań jeszcze długo po wojnie Stawarz bardzo dobrze sobie przypominał. Jednym z nich był Jugosłowianin, wysoki, silnie zbudowany mężczyzna. Z zawodu był adwokatem. Niemcy aresztowali go za poglądy lewicowe, a dokładniej – za komunizm. Nie krył się w lagrze ze swymi przekonaniami. Zestawienie jego zawodu z wyznawanym światopoglądem, w monarchistycznym państwie jakim była Jugosławia, wydawało się Jankowi tak niecodzienne, że postanowił porozmawiać z tym więźniem. Tamten wyjaśnił bez ogródek, że jego wyższe wykształcenie pozwoliło mu na bardziej krytyczne spojrzenie na stosunki, jakie panowały przed wojną w ich kraju. Widział, jak olbrzymia przepaść dzieliła miliony prostych, ciemnych, bezrobotnych chłopów od właścicieli ziemskich. Podał Jankowi wiele przykładów ilustrujących wyzysk chłopów i ich straszne, wręcz beznadziejne położenie. Sam się z tych kręgów wywodził i dlatego został komunistą. Stawarz przestał się już wtedy dziwić i przez cały czas pobytu Jugosłowianina na kwarantannie brał go do tych dodatkowych robót.

Drugim więźniem, także dobieranym do pracy z małego lagru, był krakowski Żyd, który przed wojną zajmował się jako domokrążca obnośnym handlem w dzielnicach podmiejskich, między innymi w Prokocimiu. Rozpoznał Janka w lagrze i przypomniał się mu. Stawarz także go sobie przypomniał. Widywał go przed wojną, jak objuczony dwoma wałkami pościelowego płótna owiniętymi czarną ceratą wędruje od domu do domu i zachwala swój towar jako najlepszą „dymkę".

W Prokocimiu było osiedle kolejarzy i tam najczęściej – znając dobrze swych odbiorców – Żyd dawał towar „na kredę", to znaczy kredytował. Każdego miesiąca przychodził na pierwszego po raty i jakoś wychodził na swoje. Tu, w Buchenwaldzie, nurtowała go jedynie odpowiedź na pytanie: 'Panie Stawarz, czy my jeszcze wrócimy do Prokocimia?' Pomagał mu Janek w małym lagrze i często zabierał go wraz z innymi do dodatkowych prac. Mówił mu, że to dobrze dla niego, że trafił do Buchenwaldu, a nie do KL Auschwitz. Nie wiadomo, czy ten człowiek przeżył wojnę, Stawarz nigdy go potem nie spotkał.

Opowiadanie Stawarza o prokocimskim Żydzie i jego pościelowym płótnie przypomniało mi pewien epizod z życia jednego z oficerów wojska polskiego w czasie kampanii wrześniowej. Znaliśmy go dobrze obaj z Jankiem. Jako porucznik artylerii lekkiej walczył w 1939 roku w Armii Poznań. Jego jednostka prowadziła walki osłaniające, które miały umożliwić wycofanie się głównych sił. Od kilku dni w czasie ustawicznych starć i ciągłych marszów nie było czasu na sen, na odpoczynek, a nawet na to, żeby się porządnie umyć, a o zmianie bielizny nawet nie było mowy. Wreszcie przyszedł taki moment w czasie odwrotu, że natężenie walk zelżało i można było pomyśleć o sobie. Oddział znajdował się w tym momencie w małym, biednym miasteczku. Nazywało się Piątek; ten sam sienkiewiczowski Piątek koło Soboty. Wtedy to porucznik miał możliwość umyć się porządnie, pierwszy raz od kilku dni. Wszedł do najbliższego domu i poprosił o wodę. Okazało się, że było to mieszkanie ubogiej rodziny żydowskiej. Mieszkali wszyscy w jednej izbie. W kącie, na wysoko zasłanym łóżku, leżała stara Żydówka – chyba matka rodu. Jeden z mężczyzn nalał wodę do miski, podał mydło i przygotował ręcznik. Podporucznik zdjął bluzę, a potem koszulę przyciemniałą od kurzu i potu, a na dodatek rozerwaną przy jakiejś okazji. Mył się. Przez cały czas wszyscy znajdujący się w izbie przyglądali mu się z zaciekawieniem. Także i ta stara kobieta leżąca w swoim łożu, okrytym białą pościelą. Może w tym łóżku czekała na śmierć.

Może to była jej „śmiertelna pościel". Oficer skończył mycie, wytarł się ręcznikiem i wziął do ręki swoją koszulę. Wtedy stara kobieta podniosła się ze swego łoża, odrzuciła przykrycie i opuściła nogi na podłogę. Odezwała się do swoich: 'Patrzcie! Przecież on nie ma całej koszuli. Dajcie mu moją!' I zaczęła ją z siebie ściągać. W tonie tych słów i w geście starej Żydówki było coś, co wywołało u polskiego oficera nie tylko zaskoczenie, ale ogarnęło go także wielkie wzruszenie i poczuł ucisk w gardle. Oto ta biedna, stara, mająca już może niedługo umrzeć kobieta, chciała mu oddać to, co miała najcenniejszego, swoją ostatnią, śmiertelną koszulę. Jemu, którego prawdopodobnie traktowała jako obrońcę przed tym, co nieuchronnie miało przyjść na nią i na jej naród. Nawet po latach, ten człowiek – arystokrata z rodu, opowiadając nam powyższe zdarzenie nie potrafił opanować wzruszenia. Tym bardziej, że następnego dnia Niemcy zbombardowali miasteczko. Piątek stanął w ogniu. Nie wiadomo, co się wtedy stało z tą żydowską rodziną.

Wracając do Janka Stawarza, trzeba podkreślić, że w czasie tych krótkich pobytów w małym lagrze zawsze szukał wśród cugangów znajomych z Krakowa lub z kadeckich korpusów. Spotkał tam wtedy oficerów z oflagu 6 B Dössel, schwytanych przez gestapo w czasie tragicznej ucieczki z obozu. Wśród nich rozpoznał starszego kolegę z Korpusu Kadetów z Rawicza, pochodzącego z Jadownik podporucznika Jana Steca oraz porucznika saperów Kazimierza Łysaka z tego samego korpusu. Niestety, obydwaj wraz z towarzyszami ucieczki zostali powieszeni w bunkrze w dniu 6 października 1943 roku.

Podobnie, z obozu jeńców dostał się do kacetu znany wcześniej Jankowi major dr Julian Rekliński z Krakowa. Był już starszym człowiekiem. Stawarz poznał go jeszcze przed wojną w domu swej chrzestnej matki Marii Klockowej, w Krakowie przy ul. Topolowej. Jej zięciem był młodszy brat majora, Adolf Rekliński. Doktor był lekarzem wojskowym, majorem w 6. Pułku Strzelców Konnych w Żółkwi. Janek wspomógł go jedzeniem i zaopatrzył w potrzebne w lagrze drobiazgi. Potem dr Rekliński

został wywieziony do komenderówki „Malachyt" – Zwieberge, gdzie był obozowym lekarzem. Przeżył lagry i po wojnie wrócił do kraju. Stawarz pomógł też w małym lagrze jednemu z wychowawców z Korpusu Kadetów z Rawicza, kapitanowi Stefanowi Borkowskiemu. Prowadził on w korpusie lekcje wychowania fizycznego. Wywieziony z Buchenwaldu do jakiegoś podobozu, przeżył wojnę i wrócił do ojczyzny. Z innych wychowanków KK Rawicz w Buchenwaldzie byli: Jurek Latko, przebywający w obozach pod zmienionym nazwiskiem Sławiński, Ryszard Grosicki z Warszawy oraz Janusz Sopoćko z młodszego rocznika. Jego brat Eryk, także kadet, pływający w czasie wojny na „Orle" i „Orkanie", był dobrze zapowiadającym się oficerem marynarki oraz marynistą. Zginął w czasie zatopienia „Orkana" na wodach koło Islandii.

To poszukiwanie znajomych i kolegów z kadeckich korpusów spowodowało, że wszyscy koledzy i znajomi w lagrze nazywali Janka Stawarza „Kadetem". Dla nich w Buchenwaldzie, podobnie zresztą jak to było w Auschwitz, był to „Kadet z Krakowa" albo „Stawarz – Kadet". Znajomość z Witkiem i z innymi znaczącymi w lagrze Polakami spowodowała, że znalazł się on w składzie „konspiracyjnej wojskówki". W jej skład wchodzili byli oficerowie zawodowi, oficerowie rezerwy i podchorążowie. Z jego bliższych znajomych należeli do tej grupy porucznik Janusz Pokrzywnicki (właściwe nazwisko: Jan Krzywicki) z KK 3 Rawicz, zatrudniony w „Mi-Bau", podporucznik saper Dembiński z KK 2 Chełmno, porucznik Czesław Ostańkowicz z KK 2 Chełmno, podchorąży Bronisław Miszewski, Włodzimierz Patoczka, Bolesław Trombala, Wacław Malinowski i inni. Grupa ta, licząca około czterdziestu ludzi, miała być w razie potrzeby użyta jako siła uderzeniowa do walki z esesmańską załogą lagru. Byli to przecież wojskowi, odpowiednio wyszkoleni i przygotowani do akcji zbrojnych.

Janek przebywał w dalszym ciągu w czysto polskim bloku nr 16. Blokowym był tam niemiecki socjaldemokrata Kurt. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, zrównoważony, raczej

małomówny. W zarządzaniu blokiem pozostawiał swobodę swoim sztubowym – Polakom, do których miał pełne zaufanie. Dużo czasu spędzał na pogawędkach z kolegami, niemieckimi socjaldemokratami, których wielu odbywało kary w lagrze. Był tu między nimi także jego brat. Rozmowy te odbywały się w kajutce blokowego oddzielonej od reszty sztuby zawieszonymi kocami. Kurt znał dobrze Janka nie tylko jako „szybra" Reschkego, ale także jako organizatora mistrzostw bloku w grze w szachy. Do bloku 16, w odwiedziny do znajomych Polaków, przychodził od czasu do czasu więzień z czerwonym winklem, ale bez litery „P" na nim. Zdawać by się mogło, że był to Niemiec, więzień polityczny. Ale nie. Był to wprawdzie obywatel Rzeszy Niemieckiej, ale Polak: rolnik spod Strzelc Opolskich, przebywający w lagrze od 1939 roku. W Buchenwaldzie siedziało wielu jego ziomków, bojowników o polskość Śląska. Wielu z nich zginęło szczególnie w pierwszym okresie pobytu w lagrze. Jankowi imponowało przywiązanie do polskości tych prostych, twardych ludzi. Do końca życia pamiętał ich pytania zadawane w czasie pobytu na kwarantannie: 'Co słychać, Polusy?' Wielu z Opolan było potem w Lagerschutzu (policja lagrowa) i w Feuerwehrze (straż pożarna). Często gościli w polskich blokach. Ślązacy i Opolanie byli szczególnie bliscy Stawarzowi. Źródłem tej sympatii był pobyt Janka w Korpusie Kadetów nr 1 we Lwowie. Święto Korpusu ustanowione rozkazem marszałka Piłsudskiego, było obchodzone corocznie w dniu 21 maja, a obchodzono je na cześć tych wychowanków ze Lwowa i Modlina, którzy w liczbie około stu opuścili swe jednostki, by w 1921 roku wziąć czynny udział w III Powstaniu Śląskim. W walkach o przyłączenie Śląska do Macierzy zginęło wtedy siedmiu kadetów. Byli to: Zygmunt Toczyłowski, Henryk Czekaliński, Zygmunt Zakrzewski, Zbigniew Pszczółkowski, Zbigniew Zasczyński, Zbigniew Kuczyński i Karol Chodkiewicz. Wszyscy ci szesnasto-siedemnastoletni chłopcy zostali pośmiertnie odznaczeni Śląską Wstęgą Waleczności i Odwagi I Klasy, a Chodkiewicz – potomek sławnego hetmana, dodatkowo

Srebrnym Krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militari. W roku 1922 w Parku Kadeckim we Lwowie wystawiono pomnik dla uczczenia ofiary ich życia. Na cokole pomnika zrywał się do lotu orzeł, a pod nim na tablicy umieszczono nazwiska poległych. Janek nigdy nie zapomniał znamiennego zdania wypowiedzianego przez generała Sikorskiego, który w okresie III Powstania Śląskiego był ministrem spraw wojskowych, a równocześnie najwyższym przełożonym szkół kadeckich w kraju. Na zarzut, że kadeci opuszczający samowolnie swoje jednostki powinni byli zostać potraktowani jak dezerterzy, odpowiedział: 'Przy całej surowości dyscypliny w czasie wojny, jedna tylko dezercja może liczyć na łaskę – dezercja na front pod kule.' Wiele godzin spędził Janek na rozmowach z tym rolnikiem spod Strzelc Opolskich. Spotkał go potem, już po powrocie do kraju, w ośrodku wczasowym w Krościenku.

Polacy w bloku nr 16 byli dobrze zorganizowani. Janek pamięta, jak na wniosek Bolka Trombali ich grupa gościła w bloku alianckich lotników. Byli to Anglicy, Kanadyjczycy i Francuzi, przywiezieni do małego lagru w jesieni 1943 roku. W dwie niedziele wolne od pracy kilku z nich przemycono przez bramę między obu lagrami za zezwoleniem odźwiernego – Cześka Ostańkowicza. Przy wspólnym stole dzielono się z nimi zawartością paczek przysłanych przez rodziny i rozmawiano. Tłumaczem był Bolek, który znał dobrze francuski i nieco gorzej angielski. W ten sposób więźniowie Polacy chcieli okazać solidarność i serce tym alianckim lotnikom, którzy walczyli o wyzwolenie Europy spod jarzma niewoli i – wbrew konwencji międzynarodowej – zamiast w obozie jenieckim, znaleźli się w kacecie. O tych przyjęciach dobrze wiedział blokowy Kurt. Nie powiedział ani słowa. Widać było, że się solidaryzuje. Niestety, po kilku tygodniach pobytu w lagrze alianccy lotnicy zostali rozstrzelani pod ścianą krematorium.

W okresie zatrudnienia w drużynie śmieciarzy Janek często dostawał paczki od rodziny. Po wojnie wielokrotnie podkreślał z całym naciskiem, że sprawa pomocy „paczkowej"o wiele lepiej

była zorganizowana w dużym obozie Buchenwaldu niż w KL Auschwitz. W Buchenwaldzie, jego zdaniem, nie było kradzieży paczek. Już na Poststelle (rodzaj lagrowego urzędu pocztowego) każdy otrzymujący paczkę był zobowiązany do oddania części nadesłanej żywności na rzecz tych więźniów w obozie, którzy paczek nie otrzymywali, na przykład na rzecz Rosjan, Włochów czy Hiszpanów. Oprócz tego, w blokach stały miednice, do których sztubowy zbierał dobrowolne datki żywieniowe przeznaczone dla tych kolegów z bloku, którzy paczek nie dostawali. Byli to na przykład więźniowie nie mający rodziny na wolności albo ci, których ukarano postszperą czyli zakazem korespondencji. To dzielenie się żywnością z paczek obrazowało koleżeństwo wśród więźniów Buchenwaldu, o które tak uparcie walczyła obozowa lewica. Janek nie znał przypadku, żeby ktoś z jego bloku wyłamał się z tego obowiązku. Ogólne potępienie spotykało tych więźniów, którzy dopuścili do zapleśnienia lub zepsucia się żywności przysyłanej w paczkach. Każdy zdawał sobie sprawę z tego, że wyłamywanie się od obowiązku dzielenia się z innymi mogłoby szybko doprowadzić egoistę do znalezienia się w transporcie do najgorszej komenderówki lagru. Więźniowie bloku nr 16 nie mieli w tym okresie swoich szafek. Paczka leżała pod stołem w stałym miejscu, tam, gdzie dany więzień siedział na ławie i spożywał swoje codzienne posiłki. Duży obóz Buchenwaldu różnił się od Oświęcimia jeszcze tym, że w okresie pobytu Janka urządzono tam ponad 20 publicznych występów artystycznych, więźniowie mieli do dyspozycji bibliotekę i mogli czytać dostarczaną do bloku gazetę („Thüringer Zeitung").

Jednym z większych osiągnięć organizacji życia w Buchenwaldzie była możliwość oddania własnej bielizny czy ręcznika do prania i otrzymania tych samych rzeczy z powrotem. Należało tylko naszyć mały kawałek tkaniny z numerem bloku i numerem więźnia. Dawało to häftlingom poczucie posiadania czegoś własnego, osobistego. Stawarz nie widział w tym okresie w Buchenwaldzie prominentów ani zdecydowanych muzułmanów. Nie widywało się takich „pajacowatych", „wysztywnionych",

wyprasowanych spodni i idealnie dopasowanych do figury kurtek, fantazyjnych czapek, kołyszącego, „marynarskiego" chodu, pełnych pogardy dla zwyczajnego häftlinga spojrzeń „udzielnego księcia" czy traktowania muzułmanów jak insekty. Nie spotykało się także charakterystycznych dla Auschwitz i innych lagrów „giełd handlowych". Za chleb lub papierosy otrzymane w paczce, w Buchenwaldzie można było zamówić portrecik robiony z fotografii oraz przedmioty wykonywane przez rzemieślników o złotych rękach, na przykład zapalniczkę, cygarniczkę, szachy czy papierośnicę z wygrawerowanym trójkątem i numerem więźniarskim.

Podobnie jak w innych obozach, także w Buchenwaldzie władze zorganizowały dla więźniów – aryjczyków Puff (burdel). Przyjmowało tam około dziesięciu więźniarek, które „praktykę zawodową" zdobywały przeważnie jeszcze przed aresztowaniem. Głównymi klientami byli więźniowie z zielonymi lub czarnymi winklami, ausgefressene czyli dobrze odżywieni i nie wyeksploatowani ciężką pracą. Ogromna większość więźniów politycznych ignorowała Puff. Niemniej jednak, Stawarz przypomina sobie takie przypadki, kiedy więźniowie z czerwonymi winklami pożyczali odpłatnie marynarki od czarnowinklowców, a tym samym – ich numery i posługując się takim „szyldem" korzystali z usług mieszkanek Puffu. Przez ten kamuflaż chcieli uniknąć drwin ze strony innych kolegów.

Z burdelem w Buchenwaldzie wiąże się pewne wydarzenie, które głęboko utkwiło Jankowi w pamięci. Wszystkim w obozie było wiadomo, że od czasu do czasu jakiemuś cugangowi udaje się – mimo ścisłej rewizji – przeszmuglować do lagru złoty pierścionek, zegarek bądź jakieś inne kosztowności. Wymienione potem na chleb czy zupę, przechodziły z rąk do rąk. Rządzący aktualnie w Buchenwaldzie więźniowie polityczni zdawali sobie sprawę z tego, że złoto, kosztowności i pieniądze w obozie to źródło wszelkiego zła; że rodzą one przekupstwo, zazdrość, intrygi, donosy, nie mówiąc o innych ujemnych wpływach na życie więźniów. W niedługim czasie od założenia Puffu stało się

powszechnie znaną tajemnicą, że mieszkanki tego przybytku wzbogaciły się na swoich wielbicielach – przeważnie tych z zielonymi i czarnymi winklami, i dysponują dużą ilością wszelkiego rodzaju kosztowności. Postanowiono zadziałać. W porozumieniu z dowództwem obozu, Lagerältester Reschke oraz dobrani przez niego lagerschutze (policja obozowa) zrobili w Puffie niespodziewaną rewizję. Efektem jej była miednica pełna obrączek, pierścionków, kolczyków, broszek, złotych monet, zegarków i innych kosztowności. Janek widział, jak starszy obozu niesie to w kierunku Blockführerstuby. Kiedy mi to opowiadał, zrozumiałem, dlaczego nasz transport, który przyjechał z Auschwitz do Buchenwaldu w połowie sierpnia 1944 roku, był tak szczegółowo rewidowany, a ukrytych skarbów szukano wszędzie tam, gdzie nagi człowiek mógłby je schować. Nie żałowano nam przy tym szturchańców i epitetów w rodzaju '*Auschwitzer Banditen*'.

Mimo wielu cech wyróżniających Buchenwald wśród innych lagrów, co było zresztą konsekwencją opanowania władzy wśród häftlingów przez więźniów politycznych, pozostał ten obóz w dalszym ciągu hitlerowskim obozem koncentracyjnym. Toteż dwa razy był Stawarz świadkiem kary chłosty wykonywanej publicznie na tzw. koźle. Nie była to jednak normalnie stosowana kara – „dwadzieścia pięć na dupę". Była to „verschärfte Strafe" czyli kara zaostrzona, bicie na gołe ciało. Ukarany więzień wsuwał nogi i ręce w otwory przytrzymujące, kładł się na koźle, a dwóch rosłych esesmanów biło na zmianę bykowcami. Kozioł był ustawiony na specjalnie w tym celu usypanej stercie żwiru, aby egzekucja była widoczna z daleka, z każdego miejsca na placu apelowym. Widzieli wtedy więźniowie, jak ciało katowanego powoli puchnie, zwiększa swoją objętość, a równocześnie zmienia kolor z ciemno krwistego na fioletowy, a potem na czarno-fioletowy. Wywierało to na patrzących wstrząsające wrażenie.

Nie należy zapominać także o tym, że diametralnie różne były warunki bytowania w dużym i małym lagrze Buchenwaldu. Powodowały one to, że każdy więzień – mieszkaniec małego lagru

marzył o przeniesieniu na stałe do bloków dużego obozu. Obojętne, czy byłyby to parterowe bloki drewniane, w których w okresie pobytu Janka mieszkało po 350 więźniów a nawet czasem więcej, czy jednopiętrowe bloki murowane, w których przebywało po 650 więźniów. Bloki te miały bieżącą wodę, skanalizowane ubikacje, dostateczne oświetlenie, stoły do spożywania posiłków, oddzielne pomieszczenia przeznaczone do spędzania czasu po pracy oraz dostosowaną do tych warunków optymalną organizację codziennego życia wprowadzoną przez „czerwone" kierownictwo więźniarskie. W przeciwieństwie do tego, piętnaście bloków małego lagru przypominało normalne stajnie bez okien, bez bieżącej wody i ubikacji. Były w nich jedynie wielopiętrowe drewniane prycze rozlokowane przy ścianach. Więźniowie myli się na dworze, tam też były wykopane latryny, których zapach roznosił się daleko. Ze względu na to, że w okresie 1943-1945 większość więźniów z bloków małego lagru przebywała w nich tylko okresowo czekając na transport do jednego ze 136 podobozów czy komenderówek, trudno było utrzymać w tych blokach higienę i czystość. Były tam różne insekty. Mały lagier stanowił wylęgarnię chorób, a wśród nich także zakaźnych, takich jak durchfall, gruźlica czy tyfus. Stąd też, bardzo niechętnie zapuszczali się tu lagrowi esesmani. Rozbudowa przemysłu zbrojeniowego i zakładanie nowych komenderówek przy fabrykach spowodowały, że w drugiej połowie 1944 roku miesięcznie przebywało w małym lagrze przeciętnie po 10 tysięcy cugangów zwożonych ze wszystkich hitlerowskich kacetów. Zmusiło to władze Buchenwaldu do ustawienia obok małego lagru dwóch dużych celtów (namiotów), w których cugangi spędzali noce na ziemi, często bez koców. Biorąc to wszystko pod uwagę trudno się dziwić, że władze poleciły zbudować między obozami dużym i małym płot z drutu kolczastego i przechodzenie z jednego lagru do drugiego mogło się odbywać tylko za specjalnymi przepustkami, które sprawdzali więźniarscy odźwierni – portierzy. Więźniowie z małego lagru nie chodzili na apele na główny plac apelowy Buchenwaldu. Liczono ich wprost przy blokach, a ilość

dodawano do tej, którą stanowili więźniowie z dużego obozu. Biorąc pod uwagę wszystkie te aspekty można stwierdzić, że tzw. mały obóz buchenwaldzki pod względem warunków nie odbiegał od innych kacetów III Rzeszy.

Dzień 18 sierpnia 1944 roku dobrze zapadł Jankowi w pamięci. Akurat niedawno otrzymał z domu paczkę. Były w niej dwa rodzaje kaszy, jaglana i gryczana. Rodzice dobrze wiedzieli, że zawsze mu one smakowały. Sam nie miał czasu ani możliwości bawić się w gotowanie, ale miał przyjaciela. Był to Zbyszek Fuchs, urzędnik z Krakowa, pracujący w obozie jako elektryk. W tym czasie zatrudniony był w krematorium. Tam ognia nie brakowało, toteż Zbyszek gotował kaszę i jeszcze ciepłą przynosił do bloku koło godziny 12 w południe i tu ją razem zjadali. Właśnie w tym dniu Zbyszek podzielił się z Jankiem szokującą wiadomością, że w czasie ostatniej nocy, niedługo po północy, został zastrzelony w krematorium przywódca niemieckich komunistów Ernst Thälmann, po czym jego ciało natychmiast spalono. Zdaniem Zbyszka była to bardzo ważna wiadomość, której bałby się komukolwiek innemu powtórzyć, bo mogła ona mieć wpływ na życie więźniów w lagrze. Uważał, że lepiej będzie zachować tajemnicę w tej sprawie. Stawarz należał już wtedy do buchenwaldzkiej „wojskówki". Był w niej także jego serdeczny przyjaciel Zygmunt Dębiński, wychowanek Korpusu Kadetów z Chełmna, oficer wojska polskiego. Janek postanowił przekazać Zygmuntowi tę wiadomość – on najlepiej będzie wiedział, w jaki sposób może być ona wykorzystana, szczególnie przez władze MKO, bo pod tym skrótem znany był Międzynarodowy Komitet Obozowy. Janek pobiegł natychmiast do Bauleitungu (kierownictwa budowy) gdzie pracował Dębiński i przekazał mu tę istotną wiadomość.

Stawarz pracował wtedy w komandzie lagrowym. On i jego śmieciarze mogli się poruszać po całym terenie ograniczonym łańcuchem straży zwanym dużą postenkettą. Obszar ten obejmował oba lagry – duży i mały, rewir, „Gustloff Werke", „Mi-Bau", DAW oraz tereny zajmowane przez komendanturę, koszary

esesmanów i osiedle dowództwa. Możliwość poruszania się po dużym terenie lagrowym pozwalała spostrzegawczemu Jankowi na obserwację grup więźniarskich, które się wtedy w Buchenwaldzie wyróżniały. Były wśród nich takie jak: grupa Badaczy Pisma Świętego zwanych z niemiecka bibelforscherami, Rosjan – „wojennoplennych", czarnowinklowców z literą „U", homoseksualistów oraz S-vauerów.

Jeżeli chodzi o bibelforscherów, spostrzeżenia Janka potwierdzały to, co mówiono o tej grupie więźniów. Zauważył ich uczciwość, pracowitość, wzajemną pomoc i odporność na wszelkie zakusy władz, mające na celu złamanie ich zdecydowanie negatywnego stosunku do służby w wojsku. Równocześnie stwierdzał jednak, że większość z nich trzymała się z dala od innych więźniów, jakby chciała się od nich separować.

W kilku blokach dużego lagru przebywali jeńcy radzieccy, których zwano 'wojennoplennymi'. Pozostali oni przy życiu z dużych transportów przysyłanych do lagru w poprzednich latach. Większość z nich wymordowano strzałami w tył głowy w pferdestall, budynku przeznaczonym na stajnię końską. Zamordowano w nim około 8500 jeńców. Ci, którzy pozostali przy życiu do 1944 roku, trzymali się dość dobrze. Janek odnosił wrażenie, że byli dobrze zorganizowani i bardzo solidarni.

W tym okresie przebywała w Buchenwaldzie pewna ilość więźniów z czarnymi winklami z literą „U". Byli to przeważnie ludzie przywiezieni na przymusowe roboty do Rzeszy ze wschodu, którzy za te czy inne przewinienia wobec Niemców zostali osadzeni w obozie. Większość tych więźniów nie wykazała się w czasie pobytu w lagrze niczym pozytywnym.

Odrębną grupę tworzyli w obozie homoseksualiści zwani tu potocznie „pedałami". Można by ich nieformalnie podzielić na dwie grupy: oficjalnych i nieoficjalnych. Oznakowani różowymi winklami homoseksualiści oficjalni siedzieli w lagrach za popęd płciowy do swojej płci, który karano wtedy zamknięciem w obozie koncentracyjnym. Chyba wszyscy pochodzili z Niemiec. Także tu w obozie dobierali się parami. Ich poruszanie się, reakcje i sposób

bycia były przez innych więźniów wytykane i wyśmiewane. Istnieli także w obozie homoseksualiści nieoficjalni, nie noszący różowych winkli i ci ukrywali się ze swoimi skłonnościami. Typowych pipli, znanych dobrze z innych kacetów, w Buchenwaldzie raczej nie było. W każdym razie nie było ich oficjalnie. Stawarz zapamiętał taki przypadek, gdy jeden z młodszych wiekiem więźniów, który na tej drodze chciał poprawić swój byt w lagrze, został w krótkim czasie wysłany do jednej z najgorszych komenderówek.

Janek widywał wtedy w lagrze trzy grupy więźniów z zielonymi winklami. Jedną z nich stanowili Niemcy noszący zielone winkle bez żadnej litery. To z ich kręgów wywodzili się ci, którzy dawniej, w latach 1939-1941, rządzili lagrami i w szczególny sposób wysługiwali się wszelkiego stopnia esesmanom odznaczając się nienawiścią i bandyckim postępowaniem wobec więźniów politycznych. Część z nich padła ofiarą walki z więźniami politycznymi o władzę w obozie, część wysłano do podobozów i komenderówek, a pozostali przycichli i podporządkowali się władzy „czerwonych". Drugą grupę stanowili zielonowinklowcy innych narodowości, którzy na winklach mieli literę oznaczającą kraj pochodzenia. Było ich w Buchenwaldzie niewielu. Trzecia grupa „zielonych" była najbardziej charakterystyczna. Byli to Niemcy noszący zielone winkle z namalowaną na nich literą „S". Mówiono, że litera ta oznacza słowo „Schwerverbrecher", w skrócie S-vauer (ciężki przestępca). Było ich około dwustu na jednym z bloków. W pewnym sensie byli oni wyizolowani ze społeczności więźniarskiej. Odbijało się to już w ich ubiorze, który w pewnych szczegółach różnił się od ubioru więźnia dłużej przebywającego w Buchenwaldzie. Większość zasiedziałych buchenwaldczyków nie nosiła wtedy pasiaków. Nosili oni ubrania „cywilne", najprawdopodobniej odebrane cugangom przed komorami gazowymi w Birkenau. Ubrania te miały różniące się kolorystycznie łaty naszyte w miejscu wyciętych uprzednio dziur albo pasy malowane lakierem w odpowiednim kolorze. Noszono

normalne obuwie a nie drewniaki, a czapki były podobne do tych, noszonych w innych lagrach. Natomiast odzieniem S-vauerów były pasiaki, na nogach mieli drewniane holendry – dłubanki, a na głowach furażerki o dwóch podniesionych końcach, takie, jakie noszono w ciężkich więzieniach. Ubiór tego typu miał utrudniać im ucieczkę z lagru. Więźniowie ci byli zatrudnieni tylko w „Steinbruchu" (kamieniołomie). Nie było im tam lekko. Na dodatek, codziennie po zakończeniu pracy musieli przynosić z kamieniołomu do małego lagru kamienie, których używano tam do brukowania dróg. Najciekawsze jest to, że więźniowie innych narodowości zatrudnieni w tym okresie w kamieniołomie, żadnych kamieni nie musieli do lagru przynosić. Janek zapamiętał wychudzone twarze przestępców z literą „S", tatuaże, które obficie pokrywały ich ciało i ten ciężki miarowy stukot drewnianych dłubanek w marszu po twardej nawierzchni lagrowej drogi. Pasiaki i dłubanki ciężkich przestępców niemieckich oraz ówczesne odzienie „wojennoplennych" przypominały Jankowi własne perypetie z lagrowym ubraniem na początku pobytu w Buchenwaldzie. Tylko ci koledzy, którzy wyjeżdżali na komenderówki, zatrzymali czyste, oświęcimskie pasiaki. Pozostającym w Buchenwaldzie polecono zdać ubrania do magazynu odzieżowego. Ubrano ich wtedy w stare, zużyte drelichy po wymordowanych jeńcach radzieckich. Nie wyglądali w nich najlepiej i z wisielczym humorem wyśmiewali jeden drugiego. Podobni byli do łachmaniarzy, ponieważ drelichy przedstawiały obraz nędzy i rozpaczy. Nietęgo czuł się niski, szczupły Janek w zbyt obszernej bluzie jenieckiej, na której nie brakowało łat i plam. Z utęsknieniem czekał na pierwsze paczki. Za żywność i papierosy można było otrzymać lepsze ubranie. Dostał je w końcu. Starczyło także na wymianę oświęcimskich drewniaków na normalne buty. Poczuł się wtedy raźniej. Zmieniając potem kolejne komanda z „Eisenbahnbau" na „żwirownię" w Erfurcie, a następnie awansując w komandzie lagrowym na „szybra" Reszkego w drużynie śmieciarzy, był już „przyzwoicie ubrany".

Bombardowanie Buchenwaldu

W dniu 24 sierpnia 1944 roku rozszalało się nad Buchenwaldem piekło. Więźniowie byli dotychczas przyzwyczajeni, że punktualnie w południe i koło północy przelatywały nad górą Ettersberg alianckie eskadry zmierzające gdzieś na wschód dla zbombardowania zakładów przemysłowych w okolicach Lipska czy Chemnitz. Ciągle w tym czasie dzwoniły szyby w oknach wszystkich bloków. Ale właśnie w tym dniu po godzinie dwunastej nad obozem pojawił się najpierw pojedynczy samolot, który wypuścił ze zbiorników biały dym i oznaczył nim krąg nad lagrami dużym i małym. Za kilka minut nadleciały eskadry i zbombardowały nieobjęte kręgiem dymu zakłady przemysłowe wybudowane tuż przy buchenwaldzkim obozie od strony Weimaru. Były to „Gustloff Werke", w których produkowano karabiny i „Mitteldeutsche Bauwerke", zwane w skrócie „Mi-Bau", wytwarzające części do pocisków sterowanych i rakiet V-1 i V-2. Więźniowie przebywający na kwarantannie w małym obozie oraz ci z nocnej zmiany „Gustloffa" i „Mi-Bau" zerwani ze snu hukiem bomb, a także zatrudnieni w komandach lagrowych cieszyli się jak dzieci. 'Nareszcie dobrali się im do skóry, nareszcie dają im w kość, tym buchenwaldzkim panom życia i śmierci...' Z olbrzymią satysfakcją patrzyli śmieciarze, jak dwaj zastępcy komendanta lagru Oberführera Hermana Pistera kryją się pod daszkiem przy ścianie bunkra od strony placu apelowego. Ci dwaj wielcy Lagerführerzy Buchenwaldu, Max Schobert i Erich Gust, chcieli być wtedy jak najmniejsi. Jednak więźniowie, których wtedy cieszył nieskrywany strach ich ciemiężycieli, zapomnieli w swej radości o tym, że tam w przyobozowych halach fabrycznych giną ich koledzy i przyjaciele. Samoloty nadleciały kilkoma falami. Najpierw zrzuciły bomby burzące, potem – zapalające bomby fosforowe. Wielkie hale zakładów zostały praktycznie zupełnie zniszczone. Oprócz tego, bomby spadły także na garaże jednostki

wojskowej, koszary garnizonu SS i osiedle mieszkalne dowództwa lagru. Nie ominęły także obozu przeznaczonego dla specjalnych więźniów (Isolierungslager „Fichtenhain"), który od obozu więźniarskiego oddzielony był koszarami garnizonu SS. W czasie bombardowania został zniszczony oddział polityczny (Politische Abteilung), a w nim akta personalne więźniów. Na właściwy teren obozu spadły tylko dwie bomby fosforowe i to na drewniane baraki DAW czyli „Deutsche Ausrűstungswerke" (Niemieckie Zakłady Zbrojeniowe), położone najbliżej zabudowań komendantury i stacji kolejowej Buchenwald, przy budynkach „Gustloff Werke".

W czasie tego nalotu zginęło w zakładach produkcyjnych około 320 więźniów, a ciężko i lekko rannych było około 1450. Wśród nich było wielu Polaków. W koszarach SS i w parku samochodowym zginęło około 80 esesmanów, a kilkuset było rannych. W osiedlu mieszkalnym dowództwa zginęło także wiele osób, między innymi cała rodzina Obersturmführera Maxa Schoberta, który był wówczas pierwszym Lagerführerem obozu. W obozie dla więźniów specjalnych zginęli wtedy, jak mówiono, księżniczka Mafalda Heska, córka włoskiego króla Emanuela oraz socjaldemokrata niemiecki Rudolf Breitscheid – jeden z przywódców SPD. Niedługo po nalocie hitlerowcy wykorzystali śmierć Breitscheida. W gazetach ukazały się wiadomości komentujące bombardowanie Buchenwaldu, podające informację, że wśród więźniów, którzy podczas tego nalotu zginęli, znajdowali się dwaj posłowie do Reichstagu, Breitscheid i Thälmann. Zdaniem Janka Stawarza nie było możliwe, aby komuniści niemieccy siedzący w lagrze od jego założenia, zajmujący w nim wiele najważniejszych funkcji i mający dużo różnych możliwości, nie wiedzieli, że w obozie dla więźniów specjalnych zwanym Gajem Świerkowym (Fichtenhain) znajduje się ich przywódca Ernst Thälmann. Przeciwnie, wiedzieli oni dobrze, że sześć dni przed nalotem, w dniu 18 sierpnia zastrzelono go w bunkrze, a ciało spalono w krematorium – tak, jak to kilka dni wcześniej powiedział Jankowi pracujący w krematorium Zbyszek Fuchs.

W czasie bombardowania zakładów przemysłowych Buchenwaldu ucierpiał także od pożaru dezynfektorni „Dąb Goethego" rosnący w pobliżu DAW niedaleko bloku nr 34, między budynkami kuchni i pralni. Właściwie w tym okresie drzewo już nie rosło, tylko usychało. Na temat tego dębu krążyły w obozie dwie legendy. Pierwsza, związana z jego nazwą, mówiła, że w cieniu jego liści miał przed stu laty odpoczywać i pisać swoje wiersze największy niemiecki poeta Johann Wolfgang Goethe, zatrzymujący się tam w czasie wycieczek do Weimaru. Druga legenda głosiła, że z chwilą gdy dąb ten „umrze", zginą także Niemcy. Nie bacząc na legendy ani na tradycje, esesmani w pierwszych latach istnienia obozu wieszali więźniów na jednej z gałęzi tego drzewa. Mieli do dyspozycji gotową, naturalną szubienicę wewnątrz lagru. W ostatnich latach proces usychania drzewa był już daleko posunięty. Być może pomagali w tym wieloletni więźniowie Buchenwaldu licząc na to, że „śmierć drzewa" przyspieszy ich uwolnienie, zgodnie z tym, co przewidywała druga legenda. W każdym bądź razie, w roku 1943 zieleniła się jeszcze tylko ta gałąź, na której niegdyś wieszano więźniów, a na wiosnę 1944 roku był na niej już tylko jeden, ostatni liść. Podczas nalotu płomienie palącej się dezynfektorni osmaliły drzewo. W końcu już tylko poczerniałe kikuty sterczały w niebo; suche wprawdzie, ale nie pozbawione swoistego majestatu. Teraz, gdy dąb już „umarł na dobre", wśród więźniów znających legendę zapanowała radość: wolność była zapewniona. Potem, z drzewa tego dębu lagrowi artyści rzeźbiarze wykonywali płaskorzeźby Goethego. Taka rzeźba kosztowała w lagrze bochenek chleba.

Po bombardowaniu, gdy odleciały już samoloty, w obozie zapanował chaos. Jak najszybciej trzeba było gasić pożary i ratować rannych. Janka i jego podwładnych zapędził Reschke do zwożenia rannych do rewiru, a zabitych do krematorium. Pracowali jak maszyny; tam i z powrotem, tam i z powrotem. Przy bramie byli wprawdzie dyżurni esesmani, ale nie usiłowali nawet sprawdzać ratowników. Chaos wykorzystała organizacja

więźniarska. W czasie jednej tury śmieciarze przewieźli pod rannymi części aparatu radiowego, które na polecenie Reschkego oddali w rewirze.

W czasie nalotu na Buchenwald bomby burzące trafiły także w osiedle zamieszkane przez rodziny oficerów należących do kierownictwa lagru. Osiedle to stanowiły drewniane wille zbudowane przez więźniów na podmurówce z obrobionego kamienia, w stylu przypominającym gotyk. Każda z nich miała ogród i garaż. W pobliżu znajdowały się schrony przeciwlotnicze. Jedna z bomb burzących trafiła w czasie nalotu dokładnie w schron, w którym ukryła się cała rodzina Lagerführera Maxa Schoberta; jego żona, kilkoro dzieci, służąca i esesman-ordynans. Był to bombowy „Volltreffer" (celne trafienie). Do drużyny śmieciarzy Stawarza dodano dziesięciu Rosjan z małego lagru i kazano im przeszukać i posortować gruz celem odnalezienia szczątków rodziny Lagerführera. Miał on zamiar uczcić pamięć swej rodziny uroczystym pogrzebem w Weimarze. No cóż, polecenie jest poleceniem, rozkaz – rozkazem. Janek przyprowadził dziesięciu Rosjan z małego lagru i przystąpili do pracy. Smród był okropny; kończył się gorący sierpień 1944 roku. Część ludzi Stawarza sortowała gruz, a szczątki pozostałe po rodzinie Lagerführera składała na kupkę. Największą znalezioną wtedy częścią zwłok była ręka ordynansa. Podczas tej pracy niektórzy więźniowie myszkowali po najbliższej okolicy. Odnaleźli oni okienko do piwnicy zburzonej przez bomby willi. Nie było żadnego problemu z zejściem przez to okienko do piwnicy. Znaleźli tam nieocenione dla więźnia skarby: gromadzone skrzętnie zimowe zapasy w weckach, konserwy, a nawet francuski szampan. Więźniowie zjadali to i wypijali na miejscu przez kilka dni. Nie mogli nic wnosić do lagru ze względu na grożące niebezpieczeństwo: byli na bramie rewidowani. Ale zgodnie z napisem „Jedem das seine" mieli w żołądkach to, co się im należało za to straszne sortowanie gruzu, przeprowadzane w zaduchu rozkładających się na upale resztek ciał. Od czasu do czasu przychodził Lagerführer Schobert. Patrzył na rosnącą kupkę

kostek, rozmawiał z więźniami, dawał im papierosy i odchodził. Widać było po nim, że jest załamany i że nie stroni od kieliszka. Bywał często pijany i trudno się było temu dziwić. Janka irytowało to, że niektórzy więźniowie łamanym językiem niemieckim po faryzejsku wyrażali Schobertowi współczucie, a po jego odejściu przeklinali jego i jego rodzinę. A przecież był to mimo wszystko człowiek; w tym momencie bardzo chyba nieszczęśliwy.

Płynął czas. Niemcy cofali się na wschodzie i na zachodzie, ale w lagrach czuli się pewnie. Nie dawali po sobie poznać, że ich frontowa sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Transporty więźniów przychodziły z innych obozów i odchodziły do podobozów i komenderówek Buchenwaldu. Szczególnie dużo transportów szło do „Dory". Tam czekała na więźniów praca w tunelach skalnych przy produkcji tajnej broni Hitlera, V-1 i V-2. Niektórzy Niemcy jeszcze wierzyli w tę broń. Ufali, że ocali ona Trzecią Rzeszę. W międzyczasie wyjechał na komenderówkę do Hechtu towarzysz Janka z „Kiesgrube Erfurt", Czesiek Ostańkowicz. Stawarz w tym okresie miał już dość narażania się na bramie jako „szyber". Stale coś „organizowali" na polecenie Reschkego i za każdym razem, kiedy wjeżdżali do obozu przez bramę z napisem „Jedem das seine", Janek spoglądał na mur bunkra po lewej stronie bramy. Myślał wtedy, czy ten napis w jakiś sposób i jego tam kiedyś nie skieruje. Przecież przy tego typu procederze niebezpieczeństwo stale istniało. A tu równocześnie koniec wojny zdawał się być bardzo blisko. Alianci doszli już do zachodnich granic Rzeszy. Z Buchenwaldu wysyłano w tym czasie dużo transportów. Janek postanowił, że nie będzie robił żadnych starań o pozostanie w obozie, jeśli jego numer znajdzie się na liście transportowej.

KL Ohrdruf – kryptonim „S III"

20 listopada 1944 roku wybrano numer Janka Stawarza na transport. Składał się on tylko z Rosjan i Polaków i został oznaczony kryptonimem „Ru-Po", skrótem powstałym od słów Russen – Polen. Było ich około tysiąca. Wraz z Jankiem wyjechali tym transportem Wacek Malinowski, Bolek Trombala, Włodek Hoffman, Adam Piec, Władek Ociepko-Poznański, Wacław Komorek, Zbigniew Jamroz, Stefan Frąckiewicz i inni. Załadowani do pociągu towarowego ruszyli w kierunku na zachód od Weimaru. Dowieziono ich do Ohrdrufu, miasteczka położonego na północnych stokach Thűringer Wald (Lasu Turyńskiego). Ze stacji pomaszerowali do niedawno utworzonego obozu, który w nomenklaturze SS znany był pod kryptonimem „S III". Były to tereny poligonu wojskowego. Kilkanaście obozowych baraków stało na stoku wzgórza, otoczone drutem kolczastym i wieżyczkami strażników. Przy bramie wejściowej znajdował się murowany budynek przeznaczony dla esesmańskiej załogi.

W tym miejscu przerwałem Jankowi opisywanie obozu. Nawiązując do kryptonimu obozu „S III" przypomniałem, że kilka lat po wojnie w sprawozdaniu z procesu buchenwaldzkiego w Dachau (1947) można było znaleźć treść zeznań Arbeitseinsatzfűhrera (kierownika przydziału pracy) Buchenwaldu, Hauptsturmfűhrera Alberta Schwarza. Przed Amerykańskim Trybunałem Wojskowym złożył on oświadczenie, którego tematem były przedsięwzięcia organizacyjne podjęte w związku z budową tajnej kwatery Hitlera w Ohrdruf. Przedsięwzięcie to oznakowane było właśnie kryptonimem „S III". Kryptonim ten odnosił się zarówno do obozu, jak i do planów budowy tajnej, prawdopodobnie już wtedy ostatniej kwatery Hitlera koło Ohrdruf. Na marginesie należy dodać, że Schwarz, jeden z esesmanów najbardziej znienawidzonych przez więźniów Buchenwaldu, został w procesie w Dachau skazany na karę śmierci. Janek, kontynuując swoją opowieść o obozie Ohrdruf

powiedział, że teraz rozumie, dlaczego esesmani i wszelkiego rodzaju nadzorcy tak bardzo ich tam gonili do roboty i dlaczego z Buchenwaldu i z innych obozów przysłano aż tyle transportów więźniów, mimo że na miejscu nie było warunków do ich pomieszczenia ani wyżywienia. Wtedy człowiek się nie liczył. Tym bardziej, nie liczyli się '*Leute in Zebraanzüge*' czyli ludzie w pasiakach. Liczył się tylko cel – kwatera Führera.

Obóz, w którym znalazł się Janek i jego koledzy, stanowił pierwszy element kompleksu obozów Ohrdrufu czyli obozów „S III". Nosił on potem nazwę „Nordlager" (obóz północny). Z początkiem grudnia utworzono dla dalszych transportów „Südlager" (obóz południowy). Zorganizowano go na terenie koszar SS, w których kilka budynków przeznaczono na pomieszczenia dla häftlingów. Zakres prac, które wykonywali więźniowie obu lagrów Ohrdrufu, obejmował budowę nowej trasy kolejowej łączącej te tereny z główną linią kolejową przebiegającą między miastami Suhl i Arnstadt oraz budowę tunelu. W nim miała być zlokalizowana główna kwatera Führera i naczelnego dowództwa sił zbrojnych Trzeciej Rzeszy.

Po przybyciu do lagru Janek otrzymał nowy numer: 106007. Zdziwił się bardzo. Ohrdruf był przecież podobozem Buchenwaldu i powinny w nim obowiązywać numery obozu macierzystego. Dlaczego tu było inaczej? Może to było związane z tajemnicą wojskową i z tym kryptonimem „S III"... Nikt nie mógł mu wtedy tego wyjaśnić. Ale nie było to dla niego najważniejsze. Koniec wojny był blisko, zdawał się być w zasięgu ręki. Liczyła się wtedy każda przeżyta doba. Trzeba było przetrzymać, a Janek zdawał sobie sprawę, że nie będzie to łatwe. Domyślał się, że na skutek cofania się Niemców pod ciosami armii radzieckiej jego kontakt z domem w dalekim Krakowie niedługo się urwie. Toteż jak największego skarbu pilnował kilku zwiniętych liści tytoniowych zwanych w Krakowie nie wiadomo dlaczego „bakunem". Przysłano je w ostatniej paczce z domu. Pilnował i oszczędzał. Przecież tytoń czy papierosy były zawsze

najważniejszymi elementami handlu wymiennego w lagrze. Czasem ważniejszymi niż chleb.

Niezbyt fortunnie rozpoczął się dla Stawarza pobyt w nowym obozie. Pognano ich od razu do ciężkiej pracy przy drążeniu tunelu. Pracował przy obsłudze świdra pneumatycznego drążącego otwory strzelnicze w skale, a potem wywoził urobek na zewnątrz tunelu. Popychał wózki z tym urobkiem po szynach wąskotorowych. Wszyscy zatrudnieni tam więźniowie pokryci byli skalnym pyłem. Wyglądali jak młynarze. Wszędzie mieli pełno tego pyłu: na pasiakach, w ustach, w nosie, w oczach, a także i w płucach. Zmordowani wracali wieczorem do bloków w obozie północnym. W obozie tym, podobnie zresztą jak i w utworzonym nieco później obozie południowym, wszystkie ważniejsze stanowiska zajęli Niemcy z zielonymi winklami. Korzystając z ogólnego rozgardiaszu powodowanego przez ciągle przybywające transporty kradli, bili i panoszyli się jak za dawnych „dobrych czasów".

Funkcję Lagerältestera pełnił wtedy znany dobrze na Majdanku zawodowy przestępca Fritz Lipinsky, otoczony przez zielonych lagerschutzów. Ich główna kwatera znajdowała się w obozie południowym. Stosunki te nie podobały się więźniom politycznym przyzwyczajonym w Buchenwaldzie do porządku i sprawiedliwości przy podziale jedzenia. Rozpoczęła się cicha walka z zielonymi o władzę. Nasiliła się ona szczególnie wtedy, gdy z Buchenwaldu przyjechali następnym transportem dobrze znani Wacław Czarnecki, Aleksander Cichocki, Henryk Rowiński, Adam Nowosławski i Marcin Owczarz. W Buchenwaldzie mieli oni wysokie funkcje i dobrze wiedzieli, jak należy podchodzić do esesmańskiego kierownictwa obozu. Oparli się na Polakach, buchenwaldczykach, których w obozie północnym było wielu. Objęli początkowo niższe funkcje. Byli sztubowymi na niektórych blokach, ale przecież nie o to chodziło. Sytuacja ogólna w obozie nie była łatwa. W listopadzie i grudniu 1944 oraz w styczniu 1945 przekazano do Ohrdrufu około dwudziestu transportów więźniów różnych narodowości. W transportach tych było ponad 19 tysięcy

ludzi. Przybywali z Buchenwaldu, a także przez Buchenwald z Sachsenhausen, Stutthof, Auschwitz, Natzweiler, Płaszowa i z Dachau. Przeważali Rosjanie i Polacy. Nazwę ich transportów określanych jako „Ru-Po" przenieśli niektórzy więźniowie na nazwę całego obozu Ohrdruf. Jednak w jego lagrach były także inne narodowości, przede wszystkim Niemcy – przeważnie z zielonymi winklami – oraz Żydzi z różnych krajów, wśród nich polscy i węgierscy. Opanowanie takiej ilości cugangów w zakresie zakwaterowania, wyżywienia i zatrudnienia, organizacyjnie nie było sprawą łatwą. Podkreślić należy również fakt, że zima na przełomie lat 1944/45 była bardzo ostra. Mróz w styczniu dochodził do -25°C. Toteż ludzie marzli i zamarzali na długo trwających apelach i w nieopalanych blokach. Nie było dostatecznej ilości koców, więźniów zżerały wszy, powszechnie brakowało wody do picia i mycia, nie mówiąc już o kąpieli. W ciągu kilku miesięcy istnienia obozu jeden raz zorganizowano kąpiel i odwszanie. Nie zmieniano bielizny ani ubrań. Ludzie chorowali na tyfus, durchfall (biegunkę), różę i różne choroby wewnętrzne. Dużo było urazów fizycznych spowodowanych biciem i ciężką pracą przy drążeniu tuneli. Powodem okaleczeń były spadające kamienie oraz wózki transportujące kamienny urobek. Wielu więźniów stawało się tam inwalidami po wypadkach przy pracy. Dochodziło do tego głodowe wyżywienie, które przy wielogodzinnej, ciężkiej pracy szybko prowadziło do muzułmanienia objawiającego się utratą wszelkich sił witalnych. Toteż w stosunkowo krótkim, bo kilkumiesięcznym okresie istnienia, obóz „S III" zyskał sobie miano najstraszniejszego, najkrwawszego podobozu Buchenwaldu, przewyższając pod tym względem tragiczną sławę „Dory" z pierwszego okresu jej istnienia.

Na początku stycznia 1945 roku założono w miejscowości Crawinkel położonej na południowy wschód od Ohrdrufu podobóz podległy obozowi „S III". Mieścił się on na terenach byłego obozu Hitlerjugend. Więźniowie Crawinkel drążyli tunele z drugiej strony gór, pracowali w kamieniołomach oraz przy obróbce

kamienia. Nie było tam baraków mieszkalnych. Mieszkali w betonowych bunkrach, bez ogrzewania. Dawniej służyły one za magazyny broni i amunicji. Więźniowie budzili się rano okryci szronem. Obozy Ohrdrufu (Nordlager, Südlager i Crawinkel) były wtedy typowymi fabrykami muzułmanów. Eksploatacja fizyczna i psychiczna ludzi następowała tam bardzo szybko. Na tych terenach nie zbudowano komór gazowych, stąd też wycieńczonych do ostatka więźniów zaczęto odsyłać do Buchenwaldu. Tu, starym buchenwaldczykom, którzy przecież niejedno przeżyli i widzieli, dosłownie odbierało mowę na widok tych obszarpanych ludzkich szkieletów. Niektórzy z przywiezionych zapomnieli nie tylko swoje numery, ale także i nazwiska. Do Buchenwaldu skierowano w grudniu 1944 i w styczniu 1945 trzy takie transporty. Ilość zmarłych dochodziła wśród nich do 20 procent. Potem transporty inwalidów i muzułmanów z Ohrdrufu i Crawinkel kierowano bezpośrednio do Bergen-Belsen.

Pozostali w „S III" więźniowie dalej musieli budować ostatnią kwaterę Hitlera w Turyńskim Lesie. Takie były warunki w tych obozach w okresie, gdy znalazła się tam piątka Polaków reprezentująca buchenwaldzką lewicę (Czarnecki, Cichocki, Rowiński, Nowosławski i Owczarz). Wiadomo było, że kilku więźniów politycznych niewiele może wpłynąć na kompleksową poprawę stosunków w tych obozach. Niemniej jednak, w oparciu o innych więźniów z czerwonymi winklami, przeważnie Polaków, postanowili wywalczyć poprawę. Walczyli o to, żeby ustało w obozie bicie i rozkradanie żywności oraz żeby sprawiedliwie rozdzielano jedzenie na bloki. Tego nauczył ich Buchenwald.

Wiedzieli także, jak należy podchodzić do lagrowej władzy w osobach Arbeitsdienstführera Kőlma i Lagerführera Stiewitza. Tak! Tego samego Unterscharführera Fritza Stiewitza, którego niektórzy starsi oświęcimiacy pamiętali jeszcze z Auschwitz. Tego, który był tam najpierw zastępcą osławionego Rapportführera Palitzscha, a potem Rapportführerem. Tego, który w czasie istnienia w Auschwitz obozu radzieckich jeńców wojennych był w nim równocześnie Raportführerem

i Arbeitsdienstführerem. Tego samego Stiewitza, który na zmianę z Palitzschem rozstrzeliwał pod czarnym ekranem tak więźniów, jak i cywilów skazanych przez sądy. Teraz tutaj, w „S III", objął przy końcu stycznia 1945 roku stanowisko Lagerführera i praktycznie wraz z Arbeitsdienstführerem Kőlmem kierowali obozami Ohrdrufu. Obaj, Kőlm i Stiewitz, zdawali sobie dobrze sprawę z tego, jaki bałagan panuje w kancelarii więziennej, w ewidencjach cugangów (nowoprzybyłych), abgangów (odchodzących), żywych i zmarłych. Wiedzieli, że ci Polacy to fachowcy, ponieważ niektórzy już w Buchenwaldzie pracowali w schreibstubie. Jednocześnie ich awans mógł wpłynąć na poprawę organizacji życia w obozie, na skrócenie apeli, na poprawę organizacji pracy w komandach, a także na tak pożądany przez władzę wzrost wydajności. W związku z tym kilkunastu więźniów politycznych różnych narodowości awansowało wtedy na stanowiska w kancelarii obozu, na schreiberów blokowych i do Lagerschutzu. Jest całkowicie zrozumiałe, że przejęcie niektórych funkcji przez „czerwone winkle" nie mogło w tych warunkach wpłynąć zdecydowanie na poprawę sytuacji ogólnej. Ale tam, gdzie byli oni we władzach blokowych, ustały kradzieże i bicie, a jedzenie dzielono sprawiedliwie.

Niedługo pracował Stawarz w tunelu. W miarę wzrostu liczby więźniów powiększano komando kartoflarzy. Zatrudniony w kuchni Wacek Malinowski ściągnął do obierania kartofli Bolka Trombalę i Janka. I znowu, jak w Auschwitz, jego ruchliwe usposobienie buntowało się przeciw nudnej, siedzącej pracy. Ale tu, w kartoflarni Nordlagru, zawsze było coś więcej do jedzenia, a paczki przestały już z GG dochodzić. Trzeba było siedzieć spokojnie i czekać na okazję otrzymania lepszej pracy. W tym okresie Janek przeziębił się i dostał gorączki. O pójściu do rewiru nie było mowy, bo go nie było. Przez kilka dni leżał przykryty workami na kupie kartofli, a Wacek Malinowski kurował go gorącymi „ziółkami". Zdrowy organizm tym razem sam się obronił. Pod koniec stycznia więźniowie Nordlagru byli świadkami powieszenia dwóch więźniów Rosjan. Podobno

Lageräl tester Fritz Lipinsky oskarżył ich o działalność wywrotową. Skazano ich na śmierć przez powieszenie. Wyrok wykonano po wieczornym apelu, a katem był jakiś esesman w randze Unterscharfűhrera. Jeden z więźniów nie zawisł od razu na szubienicy, bo zerwał się sznur. Skazaniec ani przez chwilę nie wierzył w to, że władze – korzystając ze zwyczajowego prawa – darują mu życie. Kopnął więc esesmana i krzyknął 'Niech żyje wolność i Związek Radziecki!' Esesman poprawił stryczek i spełnił swoje katowskie zadanie do końca.

W bloku Stawarza przesiadywali często jego koledzy z Buchenwaldu, Bolek Trombala, Wacek Czarnecki, Wacek Malinowski, Adam Piec i inni. Przychodzili na papierosa z pociętych liści tytoniowych i żeby pogadać o aktualnych sprawach. Czarnecki informował ich wtedy o przebiegu zmagań z „zielonymi". Mówił o tym, że władzę ogólną dla wszystkich obozów Ohrdrufu stanowią obok SS także przedstawiciele Wehrmachtu. Zastępcą komendanta SS-Hauptsturmfűhrera Breuninga był kapitan Schmidt. Było to związane z przeznaczeniem obiektów wykonywanych przez więźniarską załogę Nordlagru, Südlagru i Crawinkel. Przedziwne rzeczy działy się z ewidencją więźniów i kartoteką. Pierwotnie usiłowano stworzyć na miejscu nową kartotekę, stąd więźniowie przybywający pierwszymi transportami – jak Janek Stawarz – otrzymali nowe numery. Okazało się jednak, że ze względu na ilość transportów przybywających do Ohrdrufu oraz na brak odpowiednich sił fachowych powstał przy tym taki bałagan, że w końcu władze obozów tylko w przybliżeniu orientowały się w stanie zatrudnionych tam więźniów.

Kiedy Bolek Trombala awansował w bloku na sztubowego, ściągnął do siebie Janka na funkcję blokowego szajsmajstra, odpowiedzialnego za wynoszenie z bloku kubłów z nieczystościami. W Nordlagrze nie było kanalizacji. W ubikacjach stały kubły zrobione z obciętych beczek, które specjalne komando „Scheisträger" (tragarzy odchodów) wywoziło poza lagier, na tereny poligonu. Przez dłuższy czas pracował Janek

w tym cuchnącym zawodzie. Zaczęto już wtedy mówić w lagrze o ewakuacji i możliwości wykończenia więźniów przez SS. Stawarz analizował możliwość ukrycia się w dole z fekaliami i tam doczekania wyzwolenia. Ale w końcu przestał o tym myśleć. Wyobrażał sobie, jak wyjdzie z takiego dołu na powitanie oswobodzicieli.

W czasie tego obijania się po bloku jako szajsmajster, zetknął się Janek z krakowskim krawcem Władkiem Felusiem, który niedawno przyjechał do Nordlagru z KL Auschwitz po krótkim przystanku w Buchenwaldzie. Do Auschwitz wywieziono go później niż Janka. Miał tam numer 57325. Pracował na Poststelle (poczcie). Był dobrym krawcem i od czasu do czasu zatrudniano go do poprawek lub do szycia esesmańskich mundurów. Jego fachowość wykorzystywali także koledzy w Nordlagrze. Szył wszystko i naprawiał, co było potrzebne. Starał się być dla wszystkich użyteczny, byle tylko utrzymać się przy pracy wewnątrz bloku, a nie iść na komando do tunelu. Tak więc Władek, podobnie jak Stawarz, „udawał", że pracuje w bloku. Godzinami gadali o Krakowie. Feluś mieszkał w Podgórzu przy ul. Krasickiego 22 i – jak to się mówi – „kibicował na zabój" piłkarskiej drużynie „Garbarni" z Ludwinowa. Przez cały czas wspominał z rozrzewnieniem swojego czternastoletniego syna Zbyszka i powtarzał, że chłopak ma talent w nogach, że kiedyś będzie podporą ulubionej drużyny ojca. Jako argument podawał wydarzenie, które miało miejsce przed wojną na drewnianej trybunie „Garbarni". Siedzieli tam razem z synem, mimo że nad stadionem akurat przechodziła burza z piorunami. Taki był z niego zacięty kibic. I oto w pewnej chwili piorun strzelił w trybunę, blisko miejsca, na którym siedzieli obaj Felusiowie. Zginęli wtedy dwaj chłopcy sprzedający wodę sodową. Butelki z wodą nosili w drucianych koszyczkach. Kilka osób uległo poparzeniu, między innymi stary Feluś. Tylko Zbyszek był nietknięty. To był zdaniem ojca znak, że za ileś tam lat syn będzie filarem ulubionej drużyny. Przepowiednia ta sprawdziła się po wojnie, niestety ojciec tego nie doczekał.

W obozach Ohrdrufu wielu więźniów chorowało, a przecież nie było tam szpitala ani lekarzy z prawdziwego zdarzenia. Mimo wywożenia muzułmanów do obozu Bergen-Belsen stale rosła liczba chorych i ozdrowieńców będących na „szonungu" (okres ochronny, okres powrotu do zdrowia). W związku z tym władze przekwalifikowały kilka bloków w Nordlagrze na bloki rewirowe i „szonungowe" dla tych, którzy rokowali szybki powrót do zdrowia, jednocześnie „oczyszczano" z chorych obóz południowy i podobóz Crawinkel, przenosząc ich do obozu północnego. Dla części „szonungowców" przeznaczono także nowo zbudowany Zeltlager (obóz namiotowy). Sterta trupów w trupiarni Nordlagru stale jednak rosła. Gdy już nie było w niej miejsca, układano je obok budynku. Kilkakrotnie widział Janek koło tych trupów „dentystę" w białym kitlu wyrywającego zmarłym złote zęby. Okazało się potem, że niektóre trupy miały powycinane niektóre narządy wewnętrzne bądź mięśnie z nóg, co wyraźnie wskazywało, że muzułmaniejący chorzy dopuszczali się nekrofagii (jedzenia ciał zmarłych). W związku z tym polecono ustawić przy trupiarni specjalnego policjanta obozowego do pilnowania zwłok.

Nadszedł marzec 1945 roku, zaczęto mówić o spodziewanej ofensywie Amerykanów. Jeszcze niedawno ciała zmarłych wynoszono i zakopywano na poligonie, a teraz nakazano, aby je odkopać i spalić na stosach razem z ciałami leżącymi obok kostnicy. Wszyscy funkcyjni oraz zatrudnieni w komandach lagrowych i na blokach musieli znosić materiały palne, takie jak futryny okienne, drzwi, deski z baraków, stoły, ławy, deski z prycz i łóżek, które miały podsycać ogień. Pijany Stiewitz przez cały czas poganiał pracujących okrzykami '*Los! Los!*', '*Im Laufschritt!*' (Biegiem!). Ale biegający funkcyjni słyszeli z ust Lagerführera także znamienne słowa '*Alles Scheisse*' (wszystko gówno) i znowu '*Los! Los!*'

Mimo pośpiechu nie udało się dokończyć spalania trupów. W ciepłych promieniach wiosennego słońca ciała zaczęły się rozkładać i wydzielać mdły, duszący odór.

Właśnie wtedy ruszyła ofensywa wojsk amerykańskich na Turyngię. Czołgi 3. Armii generała Pattona należącej do 12. Grupy Armii dowodzonej przez generała Omara Bradleya przekroczyły rzekę Werrę obok Eisenach i parły na wschód w kierunku na Gotha, Erfurt i Weimar. 'Oby zboczyli na Ohrdruf' – modlili się więźniowie. Zagrożenie musiało być duże, bo zaprzestano spalania trupów znajdujących się w zaawansowanym stanie rozkładu. Były to dni 3 i 4 kwietnia 1945 roku. Zaczęto pieszą ewakuację do macierzystego Buchenwaldu. W dużych kolumnach wychodzili więźniowie z obozów Ohrdrufu. Ale jeszcze przed opuszczeniem Nordlagru przez ostatnią kolumnę, Unterscharführer Stiewitz, który od 31 stycznia był Lagerführerem obozu, polecił wyprowadzić na plac apelowy wszystkich chorych i tam ich rozstrzelano. Było ich około 375. Wieczorem 4 kwietnia wyszła z Nordlagru ostatnia kolumna, a w niej Janek i jego koledzy. Więźniowie obozu południowego, obozu namiotowego oraz Crawinkel także opuszczali swoje lagry. Wszyscy zmierzali w kierunku Buchenwaldu.

Amerykanie w Nordlagrze

W czasie, gdy więźniowie obozów Ohdrufu znajdowali się już w drodze do Buchenwaldu, czołgi generała Pattona osiągnęły Ohrdruf, a w nim Nordlager. Był dzień 5 kwietnia 1945 roku. Niestety, Amerykanie nie zastali w obozie żywych więźniów. Pozostali tu tylko ich martwi koledzy. Ci, których ciała wygrzebano z ziemi poligonu i nie zdążono spalić, ci którzy zmarli w ostatnim okresie i ci – zastrzeleni przez esesmanów bezpośrednio przed opuszczeniem Nordlagru, na rozkaz i przy aktywnym udziale Stiewitza. Ohrdruf był pierwszym obozem koncentracyjnym, który w czasie tej ofensywy napotkała na swej drodze armia amerykańska.

Ocenę tego, co zastali Amerykanie w Nordlagrze, zostawmy generałowi Omarowi Bradleyowi. Był on dowódcą 12. Grupy Armii, przełożonym gen. Pattona. Po wojnie opublikował

wspomnienia „A Soldiers Story" (Żołnierska epopeja). Opisuje tam między innymi pobyt w Ohrdruf. Był tam wraz z głównodowodzącym wszystkimi siłami aliantów na zachodzie, generałem Eisenhowerem. Oglądali Nordlager w obecności generała Georga Pattona. Generał Bradley napisał w swoich wspomnieniach: „Przed kilku dniami trzecia armia zdobyła Ohrdruf – pierwszy obóz śmierci hitlerowców, na jaki natrafiliśmy i Georg (Patton) nalegał, abyśmy go obejrzeli. Nigdy nie uwierzycie, jak potwornie nieludzcy potrafią być Niemcy, póki sami nie zobaczycie tego zapowietrzonego miejsca. Trupi zapach zaparł nam oddech, jeszcze zanim przeszliśmy bramę obozu. Do płytkich rowów powrzucano ponad 3200 nagich, wychudłych ciał. Inne leżały po prostu na ulicach – gdzie kto padł. Na żółtej skórze obciągającej wystające kości roiło się od wszy. Wartownik wskazał nam zakrzepłą, grubą, czarną skorupę, krew w miejscach, gdzie umierający z głodu więźniowie wyrywali trupom wnętrzności, by je zjadać. Twarz Eisenhowera zmieniła się w białą maskę. Patton odszedł do jakiegoś kąta i zwymiotował. Byłem wstrząśnięty, nie mogłem wydobyć z siebie słowa. Śmierć została tutaj splugawiona tak, że widok ten ogłuszył nas i sparaliżował. W ciągu następnego tygodnia mielimy zdobyć podobne do tego obozy. Wkrótce już koszmar Buchenwaldu, Erli, Belsen, Dachau wstrząsnęły światem, który wyobrażał sobie, że jest zahartowany na okropności wojny".

Na innej stronie tych samych wspomnień gen. Bradley mówi o dalszym ciągu poprzedniego wydarzenia. Dzieje się to w kasynie kwatery generała Pattona: „Ike (Eisenhower) był jeszcze blady po wizycie w Ohrdruf. Georg (Patton) nalał mu wina. 'Nie mogę zrozumieć mentalności Niemców, że mogli zrobić coś podobnego' – odezwał się Ike. Nasi żołnierze nigdy w życiu nie potrafiliby tak okaleczyć ciał, jak to zrobili Niemcy. 'Nie wszyscy szkopy mogą to strawić' – objaśnił mnie zastępca szefa sztabu Pattona. 'W jednym z miast zmusiliśmy ludność do przedefilowania przez obóz, żeby to zobaczyli. Burmistrz z żoną wrócili do domu i przecięli sobie żyły.' 'To jest pocieszające' –

wolno powiedział Ike. 'To by wskazywało, że w niektórych z nich żyją jeszcze jakieś ludzkie uczucia'."

Podobno tymi samobójcami byli burmistrz miasta Ohrdruf i jego żona. Ocenę tego, co najwyżsi dowódcy amerykańscy widzieli w Nordlagrze można znaleźć także w książce gen. Dwighta D. Eisenhowera „Krucjata w Europie", której przekład wydano u nas w roku 1959. Na stronie 538 czytamy: „Tego samego dnia zobaczyłem po raz pierwszy obóz śmierci. Znajdował się on w pobliżu miasteczka Gotha. Nigdy nie potrafię opisać wrażenia, jakie zrobiło na mnie to pierwsze osobiste zetknięcie się z nie podlegającym wątpliwości świadectwem hitlerowskiego okrucieństwa i bezlitosnego lekceważenia godności ludzkiej. Do tej pory słyszałem o tym jedynie ogólnikowo lub z drugorzędnych źródeł. Nigdy w życiu nie przeżyłem tak wielkiego wstrząsu. Zwiedziłem każdy zakątek i zaułek obozu, ponieważ uważałem, że obowiązkiem moim jest móc złożyć świadectwo o tym wszystkim na podstawie własnych obserwacji, w razie gdyby kiedykolwiek w kraju powstało przekonanie, że „opowiadania o brutalności hitlerowców są po prostu propagandowym wymysłem". Niektórzy spośród zwiedzającej grupy nie byli w stanie wytrzymać tej męki do końca. Ja osobiście nie tylko wytrzymałem, lecz co więcej, tego samego wieczoru, po powrocie do kwatery Pattona, wysłałem do Londynu i Waszyngtonu meldunek domagający się, aby oba rządy natychmiast wysłały do Niemiec grupę dziennikarzy i poważne delegacje obu parlamentów. Byłem zdania, że opinie publiczne Ameryki i Anglii powinny natychmiast otrzymać także dowody, które nie pozostawią miejsca na cyniczne powątpiewania."

W taki sposób Amerykanie – generał Bradley i późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych generał Eisenhower przedstawili w swych wspomnieniach drugi obok „Dory" najbardziej krwawy podobóz Buchenwaldu Ohrdruf, ukryty pod kryptonimem „S III". Należałoby jeszcze wyjaśnić, co gen. Bradley miał na myśli mówiąc o koszmarze w Erli. Koszmar obozów Buchenwaldu, Belsen i Dachau nie wymaga wyjaśniania. Jest ogólnie znany. Natomiast Erla to była nazwa zakładu pracy („Erla Werke")

w miejscowości Thekla w okręgu Leipzig. W zakładach tych zatrudniano więźniów z komenderówki Buchenwaldu noszącej kryptonim „Emil", założonej w kwietniu 1943 roku. W dniu 11 kwietnia 1945 roku, jak podaje „Dziennik Buchenwaldzki", było tam zatrudnionych 1464 więźniów. Esesmani zamknęli w jednym z baraków 320 więźniów, następnie oblali barak benzyną, podpalili i opuścili obóz. Uratowało się 70 więźniów.

Pierwsza ewakuacja – tragiczna w skutkach ucieczka

Kilkanaście godzin przed zajęciem miasteczka Ohrdruf przez Amerykanów, wieczorem 4 kwietnia kończyła się ewakuacja obozów „S III". Jedną z ostatnich grup, po rozstrzelaniu chorych w Nordlagrze, tworzyli funkcyjni oraz więźniowie zatrudnieni wewnątrz obozu, w komandach lagrowych. Był w tej grupie Janek i jego najbliżsi koledzy: Bolek Trombala, Wacek Malinowski, Władek Feluś – krawiec z Krakowa i Marian – zawodowy podchorąży z Lublina. Tak jak do Stawarza w Buchenwaldzie przywarł przydomek „Kadet", tak w Nordlagrze o lubliniaku wszyscy mówili „Marian-Podchorąży", nie używając jego nazwiska. Był to wysoki blondyn liczący około 26 lat, funkcyjny w bloku, ogólnie lubiany. Wymieniona piątka trzymała się razem. Z bliższych znajomych Janka byli tam także Wacek Czarnecki i Adam Piec. Piesza trasa ewakuacji, omijając miasta, wiodła na wschód w kierunku na Arnstadt, potem skręcała na południowy wschód w stronę miejscowości Stadtilm, a następnie w okolice Remda w okręgu Rudolstadt. Kolumna maszerowała najpierw przez poligon, potem przez tereny leśne. Otaczali ją dość ściśle uzbrojeni w karabiny i pistolety maszynowe esesmani pod wodzą Rotenführera. Maszerujących pilnowano dobrze. Zdarzyło się jednak, że nagle ktoś wskoczył w ciemniejące poszycie leśne. Poszła za nim seria z pistoletu maszynowego, ale nikt nie usiłował gonić zbiega. W miarę upływu czasu kolumna się rozciągnęła, bo

słabsi więźniowie nie mogli nadążyć. Z jednej z początkowych piątek przesunął się do piątki Janka Adam Piec pochodzący spod Bochni, który miał w lagrze opinię dużego cwaniaka. Po cichu powiedział Jankowi, że oni tam na przedzie „ugadali" esesmana i będą z nim wiać. Jeśli chce uciekać z nimi, to niech ostrożnie przesunie się do przodu i doszlusuje do pierwszych piątek kolumny. Janek nie zastanawiał się długo: odmówił. Nie chciał opuszczać swoich kolegów. Adam poprosił go, żeby w takim razie maksymalnie opóźniali marsz i odszedł do przodu. Po chwili kilka pierwszych piątek zaczęło przyspieszać kroku i coraz bardziej odrywać się od reszty. Rotenführer krzyczał coś za nimi, ale bez skutku. Tamci zniknęli w ciemności. Może dowódcę konwoju uspokoiła myśl, że przecież z tamtymi więźniami był jeden z jego ludzi. A tymczasem rozciągnięta kolumna pozostałych szła leśnymi traktami. Przez całą noc słychać było huk ostrzału artyleryjskiego i widać było błyski. Szli prawie do świtu. Na dużym pastwisku tuż obok wsi Sundremda kolumnę zatrzymano zarządzając krótki postój. Esesmani otoczyli grupę postenkettą (łańcuchem straży). Było dość chłodno. Więźniowie rozpalili ogniska, czerpali wodę z pobliskiej studni. Wypoczywali przed dalszym marszem. Po godzinnym odpoczynku, gdy zaczynało się rozwidniać, padła komenda *'Aufstehen!'* Więźniowie powoli zaczęli podnosić się z ziemi i gasić ogniska. Esesmani zeszli z postenketty, zrobił się ruch, było lekkie zamieszanie.

W tym momencie Bolek Trombala dał hasło: 'Wiejemy!' Niedaleko stały jakieś domy i budynki gospodarskie. Bolek biegł pierwszy, za nim podchorążak z Lublina, potem Władek Feluś, a na końcu Janek. Wacka Malinowskiego akurat przy tym nie było. Biegli przez podwórze najbliższego domu. Na nieszczęście, zobaczył ich wtedy przez okno jakiś mężczyzna. Za moment ze strzelbą w ręce wybiegł przed dom, strzałami i krzykiem alarmując esesmańską eskortę. Uciekający biegli dalej. Teren wznosił się lekko pod górę, a kilkaset metrów przed nimi widać było zbawczy brzeg lasu. Zaalarmowani esesmani podbiegli bliżej, padły pierwsze strzały. Biegnący na końcu Janek natychmiast

zareagował tak, jak go uczono za kadeckich czasów: po usłyszeniu strzałów padł na ziemię i zaczął odczołgiwać się w bok. Przywarł do ziemi w jakimś zagłębieniu. Nie ruszał się. Czekał. Widział, że koledzy biegną dalej. Padły następne strzały, uciekinierzy zatrzymali się i podnieśli ręce do góry. Powoli zaczęli schodzić w kierunku kolumny. Janek nie opuszczał swojej kryjówki. Po chwili zobaczył, że gdzieś z boku, od strony lasu wychodzi kilku niedorostków z Hitlerjugend. Prowadzili schwytanego więźnia. Natychmiast dołączono go do trzech kolegów. Stanęli i w tym momencie rozegrała się tragedia. Rotenführer zastrzelił Bolka Trombalę. Janek widział ze swej kryjówki, że kobiety ze wsi tłumaczą coś dowódcy konwoju, gestykulują i pokazują coś rękami. Domyślał się, nie wiadomo czy słusznie, że wstawiają się za pozostałymi uciekinierami. Prawdopodobnie obawiały się, że nacierający Amerykanie znajdą trupy więźniów i mogą pociągnąć miejscową ludność do odpowiedzialności. Ale Rotenführer był nieubłagany. Za chwilę esesmani zastrzelili pozostałych trzech więźniów. Liczba zgadzała się im: cywil ze strzelbą widział czterech i zastrzelili czterech.

Przerażony, trzęsący się ze strachu Stawarz, pod wrażeniem wypadków przesuwających się jak w kalejdoskopie przestał na chwilę oddychać. Poczuł znamienne dla niego silne parcie na pęcherz i suchość w gardle. Serce waliło jak szalone. Jeszcze mocniej przywarł do ziemi. Chciał, żeby go lepiej ukryła. Śmierć była tak blisko, że dosłownie czuł jej obecność. Zaczął się trząść jak w febrze. Wkrótce ostry rozkaz Rotenführera poderwał kolumnę. Rozpoczął się dalszy marsz w kierunku Buchenwaldu. Janek pozostawał w dalszym ciągu bez ruchu i dopiero gdy ostatnie szeregi transportu zniknęły mu z pola widzenia, poczuł, że jest mokry od potu i usłyszał głuchy łomot własnego serca. Jeszcze nie mógł się uspokoić. Tam poniżej leżeli jego martwi koledzy, z którymi rozmawiał jeszcze kilkanaście minut wcześniej. W międzyczasie rozwidniło się całkowicie, a Stawarz bał się poruszyć. Bał się opuścić miejsce, w którym leżał. Łatwo mógłby go ktoś zauważyć i donieść. Na razie cudem uniknął śmierci; tej

śmierci, która nie oszczędziła trzech jego kolegów i tego czwartego, nieznajomego więźnia. Nie wiedział, co ma dalej robić. Bał się mieszkańców tej wsi i bał się patroli Hitlerjugend. Leżał i czekał, co przyniesie los. Nagle zobaczył, że od strony Ohrdruf zbliża się następna rozwleczona kolumna ewakuacyjna. Wśród więźniów było dużo muzułmanów. Ledwo wlekli nogę za nogą. Postów było stosunkowo niewielu. Nie zastanawiając się, zaczął Stawarz chyłkiem schodzić w kierunku kolumny. Aby jak najdalej od domu, z którego wyszedł ten rudy ze strzelbą. Ostrożnie podkradł się w pobliże kolumny. Poczekał na moment, aż między esesmanami powstanie większa luka i doszlusował do kolumny przytrzymując w rękach spodnie. Pozorował w ten sposób, że się przed chwilą wypróżniał. Udało się. Był mokry ze zdenerwowania. Bał się rozmawiać z więźniami, żeby przypadkiem nie wyszła na jaw jego ucieczka. Na szczęście w grupie tej nie spotkał znajomych, więc nie musiał wyjaśniać, skąd się w niej znalazł.

Nie wiedział jeszcze wtedy, że w tym samym czasie i w tym samym kierunku ewakuowano podobóz Crawinkel i że równocześnie przez Ohrdruf przechodziła ewakuowana z zachodu kolumna więźniów z kopalni soli potasowej w Dorndorfie. Konwojenci tej grupy zatrzymali się przy zastrzelonych. Janek zbliżył się także. Przyszła mu wtedy do głowy myśl, że dobrze byłoby wiedzieć, gdzie zostaną pochowani zabici koledzy. Wiadomość ta może być kiedyś ważna dla ich rodzin. W związku z tym podszedł do jednego z esesmanów i łamaną niemczyzną zaczął mu tłumaczyć, że chyba lepiej byłoby zakopać trupy tych więźniów, bo nadchodzący Amerykanie mogą w odwecie spalić wieś. Esesman popatrzył na niego i po chwili namysłu powiedział 'Du hast Recht' (masz rację). Zatrzymał do pogrzebania zabitych pomysłodawcę Janka i jeszcze jednego więźnia. Mieli dogonić kolumnę po pochowaniu zastrzelonych. Z najbliższego domu wzięli łopaty, a tutejszy ksiądz wskazał im miejsce pochowku na przykościelnym cmentarzyku, tuż przy murze za bramą wejściową. Ze ściśniętym sercem przenosił Janek ciała kolegów na cmentarz. Wykopali tam płytki grób zbiorowy. Esesman trochę im pomagał,

ale specjalnie nie pilnował. Po drugiej stronie cmentarnego ogrodzenia zebrała się grupka ciekawskich. Nie byli to jednak miejscowi Niemcy. Byli to robotnicy wywiezieni w te okolice „na roboty". Między innymi Francuzi i kilka Polek. Przenosząc ciało Bolka Trombali Janek zobaczył, że w specjalnie doszytej od spodu kieszeni marynarki znajduje się plik listów z domu. Wyjął je i przerzucił ukradkiem na drugą stronę ogrodzenia. Ściszając głos poprosił obecnych, żeby po wojnie powiadomili rodzinę zabitego o miejscu jego pochowania. Listy podniósł i schował jakiś Francuz. Stawarz wymienił jeszcze imiona, nazwiska i przydomki trzech zastrzelonych. Czwartego nie znał. Po tym bardzo prowizorycznym pogrzebie cała trójka dość szybkim marszem dołączyła do wolno idącej kolumny więźniów.

Trasa marszu przebiegała teraz w kierunku północnym, obok miejscowości Bad Berka, Nohra, Hopfgarden i Weimar. Po drodze znalazł Janek dwukołowy wózek z dyszlem. Na ten wózek wsadził całkowicie wyczerpanego muzułmana. Miał nadzieję, że go dociągnie żywego do Buchenwaldu. Ale nie udało się. Na najbliższym postoju, chwiejącego się z osłabienia więźnia zastrzelił przy drogowym słupku jakiś esesman. Przez cały czas przelatywały nad kolumną ewakuacyjną alianckie samoloty, które ostrzeliwały wszystkie ruchome cele naziemne, szczególnie lokomotywy. Stawarz zapamiętał, że w jakiejś miejscowości widzieli pijane Niemki i słyszeli słowa '*Ende des Krieges*', *Alles kaputt*' (Koniec wojny. Wszystko stracone). Jednak z reguły napotykali zamknięte na głucho domy. Nikt nie wyszedł na drogę, nikt nie dał kawałeczka chleba, nie podał wody do picia. Im bliżej było Buchenwaldu, tym więcej trupów muzułmanów leżało na poboczach dróg. Nikt z miejscowych nie kwapił się do grzebania ich. Także i w tej kolumnie, jakikolwiek więzień osłabł i nie miał siły by iść dalej, natychmiast ginął od kuli lub kolby karabinu esesmańskiej obstawy. Wreszcie minęli Weimar i doszli do Buchenwaldu.

Było to chyba 5 kwietnia 1945 roku, wieczorem. Janek wrócił na swój dawny blok nr 16 w dużym lagrze. Wiele się tu

zmieniło przez te kilka miesięcy. W bloku zobaczył dużo nowych twarzy. Nie było znajomych. Poszedł ich szukać. Spotkał Zygmunta Dębińskiego z Bauleitungu. Miał on trochę suchego chleba przechowywanego na czarną godzinę. Chciał się nim z Jankiem podzielić. Ale ten odmówił – nie chciał Zygmunta objadać. Wreszcie pozostali koledzy dowiedzieli się o powrocie Stawarza. Teofil Witek wypytywał go szczegółowo, co widział w czasie marszu ewakuacyjnego. Janek opowiadał o ogólnym rozgardiaszu i bałaganie, o wykańczaniu muzułmanów przez eskortę, o spotkaniu Volkssturmu złożonego ze starych dziadków ledwo dźwigających pancerfausty i o tym, że po drodze nie spotkali żadnych oddziałów wojskowych. Opowiedział o wszystkim, co widział i słyszał. Witek poinformował go, że w lagrze panuje bardzo nerwowa atmosfera, że na wartownię przy bramie wezwano imiennie 46 więźniów, a wśród nich wielu ludzi znanych w obozie z działalności politycznej. Wywołani nie stawili się na wezwanie, ukryto ich w lagrze, a pocztą pantoflową rozpuszczono wiadomość, że każdemu donosicielowi i zdrajcy grozi natychmiastowa kara śmierci za wydanie ukrywających się kolegów.

Dużo jeszcze innych, mniej lub bardziej ważnych wiadomości usłyszał Janek po powrocie do macierzystego lagru. Atmosfera w obozie była bardzo niepewna. Może esesmani będą chcieli wykończyć więźniów przed przyjściem Amerykanów? A może będą ewakuować Buchenwald? Ale dokąd? Przecież pozostała im tylko jedna droga – na wschód. A raczej na południowy wschód, ponieważ drogę na południe w kierunku Norymbergi odcięli już Amerykanie zajmując Saalfeld.

KL Buchenwald – druga ewakuacja

Władze Buchenwaldu kontynuowały ewakuację obozu, w którym było wówczas około 47 tysięcy więźniów. Transporty wychodziły każdego dnia. Wszyscy więźniowie wiedzieli, co im

grozi w transporcie ze strony esesmańskiej obstawy. We wtorek 10 kwietnia po południu esesmani opróżnili kilkanaście bloków, między innymi polskie bloki 15, 16, 21 i 27 w dużym lagrze i sformowali dwa transporty ewakuacyjne. Były to ostatnie transporty, które wyszły z Buchenwaldu, a było w nich w sumie ponad 9 tysięcy więźniów. Pognano ich na stację w Weimarze. W obozie pozostało wtedy niewiele ponad 20 tysięcy więźniów. Ci mieli nazajutrz doczekać wyzwolenia. W drodze do Weimaru, oprócz Janka Stawarza znaleźli się jego koledzy: Janek Kiełb, Bogdan Marchwicki, Janek Olszyński i Rafał Żuławski z Krakowa, Władek Czajkowski, Edek Mastaj, Józek Walas i Władek Wójtowicz z Bochni, Tadek Podoba z Bielska, Edek Günthner z Katowic, Edmund Polak z Warszawy, Mietek Wolwowicz i Tomek Klus z Sanoka, Olek Pietracha, Antek Łopata, Kazek Sankowski i inni. Mieli oni za sobą po kilka lat spędzonych w Auschwitz, Buchenwaldzie i w ich podobozach. Na drogę dostali po jednym bochenku chleba na dwóch. Każdy miał swój płaszcz i koc, niektórzy mieli chlebaki. Pieszo przebyli 7 kilometrów dzielące Buchenwald od stacji w Weimarze, a tam załadowano ich do pociągu towarowego. Były w nim węglarki o wysokich burtach. Jechali na wschód, w kierunku na Gerę i Chemnitz. W każdym wagonie było około stu więźniów. Nie wiedzieli, dokąd jadą. W nocy transport został ostrzelany przez alianckich lotników. Po nalocie odpięto kilka wagonów, a żywych więźniów przeniesiono do pozostałych. W Chemnitz ewakuowani widzieli sterczące do nieba kikuty zbombardowanych domów. Miasto wyglądało potwornie... Jedna wielka kamienna pustynia... Więźniowie domyślali się, że miasto było jednym z celów alianckich eskadr, które przelatując nad górą Ettersberg w południe i o północy wprawiały w drgania szyby buchenwaldzkich bloków. W czasie dalszej jazdy pociąg stawał na różnych stacjach i stacyjkach, gdzie wypadały dłuższe lub krótsze postoje.

W końcu transport wjechał na tereny czeskie. Na stacji w Karlsbadzie Janek podsłuchał przypadkowo rozmowę dwóch

esesmanów. Rozmawiali o wiadomości podanej tego dnia rano przez radio: zmarł prezydent Stanów Zjednoczonych, Roosevelt. Był dzień 12 kwietnia 1945 roku. Rozmawiający esesmani cieszyli się, że teraz – po śmierci prezydenta USA – wojna szybko się skończy, ma się rozumieć, wygraną Niemiec. Tragiczna wiadomość tylko na krótko zmartwiła ewakuowanych, gdyż jeden z nich, lepiej zorientowany w sprawach polityki, wytłumaczył im, że w państwie demokratycznym nawet śmierć tak znaczącego w koalicji antyhitlerowskiej człowieka nie może wpłynąć na losy wojny.

Wreszcie pociąg ewakuacyjny dotarł do małej stacyjki Tachau, której nazwa przypominała pierwszy hitlerowski obóz koncentracyjny w Dachau. Stacja była położona opodal miasteczka o tej samej nazwie, oddalonego od dawnej granicy czesko-niemieckiej o kilka kilometrów. W Republice Czechosłowackiej nosiło ono nazwę Tachov. Transport wyładowano. Trupy zmarłych muzułmanów wyniesiono z wagonów i dołożono do zwłok pozostałych po poprzednich transportach. Stacja, oddalona nieco od miasteczka, sprawiała wrażenie opustoszałej. Byli tu tylko esesmani i sterty trupów.

Sformowano kolumnę marszową i ruszono na zachód. Lepiej zorientowani więźniowie mówili, że transport zdąża w kierunku obozu Flossenbürg, znanego ze sławnych kamieniołomów, którymi straszono więźniów w innych lagrach. Janek i jego koledzy trzymali się razem. Kolumna szła przez pola i las, osiedli ludzkich niewiele było po drodze. Ciągle słychać było wystrzały – to esesmani dobijali tych, którzy ustawali w marszu. Trupy zastrzelonych z poprzednich transportów leżały jeszcze na poboczach drogi. Niektóre miały kości czaszki zmiażdżone pod uderzeniami kolb esesmańskich karabinów. Wreszcie pod wieczór, po morderczym marszu pod górę, dotarli do bram lagru.

KL Flossenbűrg – trzecia ewakuacja

Było już ciemno. Więźniów nie pognano do bloków zbudowanych na tarasach góry, lecz poprowadzono ich do jakiegoś budynku. Przez szeregi przebiegł szmer: 'Pewnie to komora gazowa.' Więźniowie zwolnili kroku. Esesmani zaczęli tłuc kolbami. W końcu wszyscy weszli do budynku. Jak się okazało, była to hala fabryczna, a w niej jakieś stelaże i skrzydła samolotów, a na podłodze woda. I trupy. W tych warunkach przespali pierwszą noc we Flossenbűrgu. Rankiem przeniesiono ich do bloków obozu właściwego. Tam dostali pierwszą zupę i wtedy zupełnie niespodziewanie Janek zobaczył swego stryjecznego brata – Władka Stawarza. Tego samego Władka z Nowego Sącza, któremu pomógł w 1942 roku w Auschwitz. Krewniak był tu kucharzem. Przyniósł Jankowi chleb, papierosy i mydło. Obiecał, że o nim nie zapomni. Swoim najbliższym kolegom, Władkowi Czajkowskiemu i Edkowi Mastajowi, opowiedział Janek o tym, jak w Effektenkammer w Auschwitz spotkał nigdy dotychczas w życiu nie widzianego stryjecznego brata. Wspomógł go wtedy: dał mu skarpetki, chleb i „pelki" (Pellkartofeln – kartofle w łupinach). Potem Władek Stawarz zniknął z Auschwitz i znalazł się szczęśliwie tu, w tym obozie.

Również przypadkowo spotkał Janek we Flossenbűrgu innego znajomego – Gerharda Hejkę, absolwenta Korpusu Kadetów z Rawicza, który także był tu lagrowym kucharzem. Dał Jankowi paczkę papierosów i wspomógł jedzeniem. Otrzymane od kucharzy papierosy schował Stawarz na czarną godzinę. Wiedział już z doświadczenia, że w czasie ewakuacji mogą one stanowić doskonałą walutę wymienną. Pilnował tego skarbu jak oka w głowie. Z lagru nie wychodziły wtedy komanda do pracy. Panował ogólny bałagan. Chodziły pogłoski, że na Flossenbűrg kieruje się natarcie Amerykanów. Tymczasem z tego zapadłego kąta Górnego Palatynatu wychodziły transporty ewakuacyjne, a równocześnie przychodziły nowe z komenderówek lagru i jego

podobozów. Wszystkie pomieszczenia były przepełnione. Nie było już apeli. Więźniów spisywali po blokach Blockführerzy, ale o dokładności nie było mowy. Rewir był stale oblężony przez chorych, wyniszczonych przez wszystkie możliwe choroby. W dzień opróżniano bloki tylko po to, żeby wynieść na zewnątrz trupy tych, którzy zmarli w nocy. Wszyscy obawiali się wykończenia więźniów przez esesmanów.

Rozeszła się wtedy w lagrze porażająca wiadomość, pochodząca podobno z kancelarii obozowej. Dotyczyła ona telegramu Himmlera do komendanta obozu we Flossenbürgu, Kögela. Miał w nim Himmler pisać, że żaden żywy więzień nie powinien się dostać w ręce aliantów i że obóz musi być ewakuowany, gdyż uwolnieni więźniowie będą się mścić na ludności cywilnej. Nikt nie wiedział wtedy czy to prawda, ale na wszystkich padł strach. Janek i jego dwaj przyjaciele przestali palić i zaczęli oszczędzać posiadane papierosy z myślą o ewakuacji.

Nieoczekiwanie, w dniu 16 kwietnia zaraz po południu zobaczyli obraz, który mógł się tylko przyśnić. Zobaczyli białe flagi – oznakę poddania obozu. Mówiono w lagrze, że wojska amerykańskie nacierają, że są już o 60 km stąd, koło miejscowości Weiden. Więźniów opanowała szalona radość. Podobno komendant obozu Kögel miał przekazać nadzór nad lagrem policji, aby móc wziąć udział na czele esesmanów w walkach z Amerykanami. Utworzono straż porządkową. Weszli do niej więźniowie Niemcy. Niestety, radość trwała krótko – tylko kilka godzin. Wieczorem o osiemnastej białe flagi zdjęto. Prawdopodobnie oddziały amerykańskie zatrzymały się pod Weiden. Następnego dnia do oddziałów strażniczych wciągnięto niektórych więźniów Niemców. Ubrano ich w mundury SS. Widać było, że władzom w obozie brakowało ludzi do konwojowania kolumn ewakuacyjnych. Zaczęto palić papiery kancelarii i akta Politizche Abteilung (obozowego gestapo). Esesmani pili. Wszystko wskazywało, że zbliża się ewakuacja całego obozu. Więźniów ewakuowano partiami liczącymi po kilka tysięcy ludzi.

Do jednej z formowanych kolumn, liczącej około cztery i pół tysiąca więźniów, włączono Janka i jego kolegów. Stawarz nie pamiętał po wojnie, kto z nich wymyślił wtedy system organizowania się w trójki. Może stało się to samorzutnie? System okazał się bardzo skuteczny. Każda trójka trzymała się razem. Chodziło o to, żeby w chwili słabości jednego, dwaj pozostali mogli mu pomóc, żeby nie dopuścić do jego wyjścia poza maszerującą kolumnę i doprowadzić go do miejsca postoju, gdzie osłabiony mógł odpocząć i odzyskać siły potrzebne do dalszego marszu. Równocześnie, takie trójki podczas marszu utrzymywały ze sobą kontakt wzrokowy, tworząc zespół stanowiący pewną siłę, z którą musieli liczyć się inni. Już od wyjścia z Buchenwaldu Janek trzymał się razem z Władkiem Czajkowskim (nr KL Auschwitz 9239) i Edkiem Mastajem (nr KL Auschwitz 9210). Obaj pochodzili z Bochni. O ile Stawarz mógł sobie po wojnie przypomnieć, to takie trójki tworzyli także Janek Kiełb, były urzędnik pocztowy z Krakowa i garbarz z Auschwitz, z młodym Bogdanem Marchwickim, synem restauratora z Prokocimia i z Henkiem Zgudą, znanym Stawarzowi jeszcze z pamiętnej celi więzienia na Montelupich. Inną trójkę stanowili: Tadek Podoba z Bielska, Edek Gűnthner z Katowic i Rafał Żurawski z Krakowa, aresztowany z tym samym dniu, co Stawarz. Razem trzymali się Pietracha, Sankowski i Olszyński, następnie Józek Walas i Władek Wójtowicz z Antkiem Łopatą. Byli także jeszcze inni. Drugim celem trójkowego systemu była skuteczność obrony przed więźniami – „szakalami", którzy w sytuacjach skrajnych, jakich nie brakowało w czasie ewakuacji, potrafili bez żadnych skrupułów ukraść słabszemu resztki jedzenia lub rzeczy potrzebne w czasie marszu. A takich „szakali" – jak się potem okazało – nie brakowało. Każdy z kolegów miał płaszcz i koc zabrane jeszcze z Buchenwaldu, niektórzy mieli chlebaki lub proste, uszyte z pasiaka sakwy noszone pod pachą na taśmie przewieszonej przez przeciwne ramię. Przed wyjściem z Flossenbűrga otrzymali jako zaopatrzenie marszowe po pół litra żyta odmierzonego garnuszkiem. Stanowiło ono całe pożywienie na ewakuacyjny

marsz z nieznane. Mówiono, że celem końcowym wszystkich transportów z Flossenbürga jest obóz koncentracyjny w Dachau. W tym transporcie oprócz Polaków było dużo Rosjan, trochę Francuzów i Włochów, nieco Żydów, a także większa ilość więźniów z czarnym winklem z literą „U". Byli to z reguły ludzie wywiezieni na roboty do Niemiec, którzy dostali się do lagru za ucieczkę z robót lub za przewinienia popełnione u bauerów. Tego typu więźniowie byli także w Buchenwaldzie. Początkowo kolumna szła na południe. Marsz odbywał się w ciągu dnia, w nocy transport zatrzymywano i więźniowie mogli odpocząć.

Komendant konwoju bardzo popędzał kolumnę, w której był Stawarz. O szybkości marszu może świadczyć fakt, że kolumna dopędziła inną, która wyszła z obozu trzy godziny wcześniej. I tu, w czasie mijania tej stojącej na poboczu kolumny więźniów, starzy oświęcimiacy, ci z niskimi numerami, poznali Otto Kűssela w mundurze esesmana. Tego samego Otto, który pełniąc w KL Auschwitz funkcję Arbeitsdiensta (służba pracy) był dla Polaków jednym z najlepszych funkcyjnych. Należał do

Niemiec Otto Kűssel, więzień nr 2

trzydziestki osławionych, zielonych przestępców Palitzscha, którzy po przywiezieniu z Sachsenchausen utworzyli w Auschwitz trzon funkcyjnych i należeli do założycieli tego obozu. Nosili jego pierwsze numery od 1 do 30. Potem Otto uciekł z lagru. Po

pewnym czasie złapano go w Warszawie i ponownie osadzono w kacecie. We Flossenbűrgu ubrano go w mundur esesmana i kazano pilnować ewakuowanych, byłych kolegów. Wśród maszerujących rozległy się okrzyki 'Serwus Otto!', 'Jak ci się powodzi, Otto!' A on wzniesionymi do góry rękami witał i żegnał przechodzących dawnych kolegów z oświęcimskiego lagru. Maszerowali dość blisko więźniów mijanej kolumny. Janek zastanowił się przez moment, czy nie lepiej byłoby wskoczyć między nich i z nimi pozostać. Przecież to tylko jeden krok. Akurat zobaczył wśród stojących kolegę. Był to Józek Kropiński, znany w Buchenwaldzie kompozytor i skrzypek. Brał czynny udział w organizowanych w lagrze koncertach. Teraz trzymał swoje skrzypce w rękach. Nie chciał się rozstawać z ulubionym instrumentem nawet w tych warunkach – w czasie marszu ewakuacyjnego.

Stawarz nie zdecydował się na zmianę kolumny, żal mu było rozstawać się z przyjaciółmi Edkiem Mastajem i Władkiem Czajkowskim. Nie spotkał już więcej znajomych z transportu pilnowanego przez Otto Kűssela. Prawdopodobnie szli wolniej i zostali w drodze oswobodzeni przez Amerykanów.

Wśród konwojentów transportu Janka byli esesmani Niemcy, „czarni" z formacji Własowa, a oprócz nich także „zwyczajni" żołnierze w mundurach wojsk lotniczych i przeciwlotniczych. Armii niemieckiej brakowało samolotów i dział przeciwlotniczych, więc ci żołnierze musieli pilnować więźniów w transportach. Konwojenci ewakuowali się z Flossenbűrga wraz ze swymi bagażami. Wszystkie swoje plecaki wrzucili do wojskowego wozu taborowego starego typu, na wysokich, masywnych kołach. Do ciągnięcia zaprzęgli więźniów w charakterze zwierząt pociągowych. Nie żałowali im razów. Co pewien czas zmieniali tych przy dyszlach i przy kołach. Wszyscy koledzy Janka dokładali starań, aby uniknąć tego dodatkowego wysiłku, jakim było ciągnięcie i pchanie taborowego wozu po krętych i górzystych drogach Bőhmer Waldu (Czeskiego Lasu). Janek zapamiętał, że gdy konwój wchodził na bitą drogę, na wóz

taborowy wsiadali dwaj młodzi wojskowi z eskorty pilnującej bagażu. Jeden – szczupły blondyn, chyba pilot, a drugi – barczysty żołnierz z wojsk przeciwlotniczych. Ci nie żałowali batów „koniom" ubranym w pasiaki. Dopiero gdy kolumna weszła na polne drogi i bezdroża, wóz porzucono, a więźniów zmuszono do niesienia plecaków eskorty. I znowu trzeba się było pilnować i uważać, żeby uniknąć niesienia dodatkowego ciężaru.

Cała droga ewakuacyjna usiana była trupami. Każdy osłabiony więzień, który opóźniał pochód, ginął zastrzelony przez specjalny zespół konwojentów, którzy – idąc na końcu kolumny – mieli dwa zadania do spełnienia: zapobiegać nadmiernemu rozciągnięciu się konwoju oraz nie dopuścić do tego, aby jakiś żywy więzień został na drodze. Ich ofiarami byli przede wszystkim ludzie starzy, chorzy i zmuzułmaniali. Dopóki pozostawało jeszcze trochę sił, dopóki działał instynkt samozachowawczy, człowiek szedł. Potem się wlókł, noga za nogą. Podchodził konwojent, przewracał swoją ofiarę na ziemię, przykładał lufę karabinu do karku i dla niego było po sprawie. Czasem więzień nie miał już sił, przestawało mu zależeć na życiu, pragnął tylko odpocząć, pragnął tylko przestać cierpieć. Siadał w przydrożnym rowie i bezwiednie pochylał głowę. Umożliwiał przez to konwojentowi spełnienie katowskiej roli. Chciał cierpieć jak najkrócej. Już od nikogo nie mógł się spodziewać litości. Nie pragnął nic więcej, tylko jednego celnego strzału. Szczególnie wyróżniali się w tej katowskiej robocie niektórzy „czarni" z oddziału Własowa. Zabitych nie grzebano ani nie zbierano. Ot, wrzucano do przydrożnego rowu i koniec. Na noc kolumna zatrzymywała się na odpoczynek na łąkach lub leśnych polanach. Esesmani otaczali więźniów łańcuchem straży. W ramach tej postenketty wolno było poruszać się tylko czołganiem lub na kolanach, z trzymaniem głowy i korpusu w maksymalnym pochyleniu. W przeciwnym wypadku groziła kula. I takie przypadki się zdarzały.

Pierwszą czynnością w czasie zatrzymania się na takiej łące było uzyskanie wody do picia. W tym celu wykopywano,

z reguły rękami, dość głęboki dołek i potem go pogłębiano. W tym zagłębieniu zaczynała się zbierać woda podskórna. Taką pili. A jeśli było jej więcej, myli nią twarze i ręce, a nawet się golili. Pożywienie stanowiło żyto; było twarde i niesmaczne. Czasem kolumna przechodziła obok rozgrzebanych już na wiosnę kopców z burakami pastewnymi. Pozostałe w nich nadgniłe buraki także stanowiły pożywienie ewakuowanych. Zaczął się handel wymienny tymi burakami i żytem za papierosy. Skąd niektórzy mieli żyto na handel? Przecież każdy otrzymał przy wyjściu z Flossenbürga tylko pół litra tego ziarna. Po prostu stąd, że silniejsi więźniowie zabierali go słabszym, chorym lub zmarłym. Tworzyły się całe gangi złodziei. Trójka przyjaciół zsypała swoje żyto do jednego woreczka. Magazynierem był Władek Czajkowski, który niósł ten woreczek ukryty na piersi pod koszulą. Zadanie Janka i Edka polegało na obronie tego skarbu przed złodziejami. Najwięcej wśród tych ostatnich było czarnowinklowców.

W czasie tego marszu potrzeba stała się matką wynalazków. Ktoś pierwszy ugotował w czasie nocnego postoju w puszce po konserwie zupę złożoną z ziaren żyta, liści mlecza, szczawiu, korzeni pokrzyw i innych ziół. Zaczęło się polowanie na puszki. Znajdowano je w przydrożnych rowach, gdzie wyrzucali je po zjedzeniu konserw esesmani z poprzednich transportów. Wyrzucała je także własna eskorta. Zdobycie takiej puszki nie było łatwe, ponadto było bardzo ryzykowne. „Puszkowy myśliwy" ryzykował głową. W czasie marszu nie wolno było wychodzić z szeregów. Więzień, który opuszczał kolumnę i nie reagował na '*Halt!*' eskorty, dostawał kulę w plecy. Ale byli desperaci, którzy ryzykowali. Specjalistami w tym fachu byli więźniowie ze wschodu z czarnymi winklami – ci, którzy siedzieli w lagrach za ucieczki od bauerów czy z niemieckich fabryk. Chociaż opuszczenie kolumny i wskoczenie do przydrożnego rowu mogło być poczytane za chęć ucieczki, odważali się. Przecież za tę puszkę mogli dostać od innego więźnia papierosy, a głód nikotynowy przysłaniał rozsądek. Wielu z nich taki skok się udał,

a wielu pozostało w rowie na zawsze. Decydował wybór odpowiedniego momentu. Zależało to od miejsca, w którym znajdował się aktualnie najbliższy esesman. Skok w rów, pochwycenie puszki, wyskoczenie z powrotem na drogę i ukrycie się między maszerującymi więźniami musiało się odbyć tak szybko, żeby esesman nie zdążył podnieść karabinu, wymierzyć i pociągnąć za spust.

Oprócz puszek po konserwach, celem skoku w bok, dla którego ryzykowano życie, było drewno służące jako materiał opałowy. Często nie można go było znaleźć na łące lub pastwisku, otoczonym esesmańską postenkettą. Bez drewna nie było ogniska, za drewno można było także otrzymać upragnione papierosy.

Kolumna marszowa topniała. Coraz więcej więźniów pozostawało w przydrożnych rowach. Mijano leżące trupy – widoczny dowód, że szły tędy wcześniej inne transporty ewakuacyjne. Stawarz nie zapamiętał nazw początkowo napotykanych miejscowości. Zostały mu w pamięci tylko te późniejsze: Furth, Possing i Cham. Maszerowali na południowy wschód, a przecież mówiono, że idą do Dachau, które leżało na zachodzie, w pobliżu Monachium. Janek na zawsze zapamiętał dryblasa z artylerii przeciwlotniczej; tego, którego więźniowie niedawno ciągnęli na taborowym wozie. Szedł on teraz z boku kolumny z karabinem w rękach. Silny, dobrze odżywiony, wyżywał się na słabych, bezbronnych więźniach. Tylko patrzył, czy któryś z nich nie przystaje lub nie opuszcza kolumny. W pewnej chwili zobaczył, że jakiś więzień wyszedł na odległość jednego kroku z szeregu, żeby się wypróżnić. Widocznie bolał go brzuch. Jak drapieżny zwierz przyskoczył konwojent do więźnia. Przyłożył mu do głowy lufę karabinu i pociągnął za spust. A potem, nie bacząc na strzępy mózgu i rozwaloną czaszkę, roześmiał się całą gębą krzycząc: 'Ten się utopił *in eigener Scheisse*' (we własnym gównie). Skąd się bierze tyle nienawiści w człowieku...

W kolumnie ewakuacyjnej ktoś przekonał się, że o wiele lepiej smakuje i łatwiej daje się zjeść żyto wstępnie przypieczone

w ogniu. Niestety, z przygotowaniem takiego żyta wiązało się wiele trudności i kłopotów. Należało dysponować dwoma puszkami. Mniejsza służyła za pojemnik na opiekane żyto, większa – za piecyk do opiekania. Dno i ścianę boczną „piecyka" dziurawiono przy pomocy gwoździa lub zapinki od paska. Do niego wrzucano kawałki rozpalonego drewna i wstawiano mniejszą puszkę z żytem. Przez dziurki „piecyka" dochodziło powietrze, potrzebne do spalenia drewna i utrzymania żaru. Żyto mieszano od czasu do czasu, żeby zapewnić równomiernie opiekanie. Ze względu na to, że cały ten proceder odbywał się w czasie marszu, puszkę – „piecyk" zawieszano na drucie lub na własnym pasku. W czasie drogi wprawiano cały ten majdan w ruch wahadłowy, co znakomicie wpływało na dopływ powietrza i przyspieszenie procesu opiekania. Obstawa tego nie zabraniała. Puszki zawieszone na paskach czy na drucie przypominały nasze kaganki, które jako mali chłopcy rozpalaliśmy przed laty na krakowskich przedmieściach „na sobótki", w dzień św. Jana. Przypalone żyto miało smak kawy zbożowej. Smakowało lepiej niż żyto nieopiekane. Czy było bardziej pożywne, nie wiadomo. Nikt się nad tym nie zastanawiał. Wszystko odbywało się na zasadzie ludowego porzekadła „od biedy dziad jajecznicę zjadł". Spożywanie prażonego żyta powodowało jednak „pieczenie" w ustach i przełyku oraz pozostawiało czarny osad na wargach. Jedzący przypominał wtedy muzułmana z Auschwitz, kurującego swój durchfall węglem medycznym lub przypalanym na węgiel chlebem.

Po kilku dniach zmienił się kierunek marszu. Kolumna ewakuacyjna zdążała teraz w kierunku zachodnim, a więc celem był jednak obóz koncentracyjny w Dachau. Przez cały ten okres więźniowie nie otrzymywali nic do jedzenia. Jedzono żyto prażone i nie prażone, nadgniłe buraki pastewne, zioła i korzenie roślin, wiosenne bazie – kotki wierzbowe i gotowaną w nocy zupę z żyta, liści mlecza i szczawiu. Podstawą było jednak żyto. Stanowiło ono cel pragnień wszystkich złodziei. I to nie tylko jako pożywienie dla kradnącego, ale także jako artykuł wymienny, za który można

było kupić upragnione papierosy. Wokół roiło się od złodziei. Nie uznawano żadnych zasad, żadnych norm. Człowiek głodny, ale dysponujący jeszcze resztką sił fizycznych, kradł. Nie patrzył na to, że okrada takiego samego nędzarza, że okradany może umrzeć z głodu. Kradziono żyto muzułmanom, ludziom starym i tym wszystkim, którzy nie byli w stanie tego skarbu obronić. Zabierano je zabitym i umarłym. Tym już nie było ono potrzebne.

Zorganizowane bandy złodziei okradały także więźniów zdrowych, którzy nie trzymali się w większej gromadzie. Silniejsi i bardziej bezwzględni złodzieje mieli dość żyta, mieli także buraki i mogli nimi handlować. Walutą wymienną były papierosy. Ceny u „szakali" były następujące: jeden burak, w zależności od wielkości i stanu nadpsucia, kosztował od pół do całego papierosa, garść żyta – jednego papierosa, rozpalony kaganek – od jednego do półtora papierosa. Podobnie przedmiotem handlu były miniaturowe ogniska, przy których nie tylko można się było ogrzać ale także ugotować tę żytnią zupę. Takie ognisko, kupowane na własność kosztowało półtora papierosa, a za chwilowe ogrzanie się przy nim trzeba było zapłacić kilka „sztachnięć" czyli pociągnięć dymu z papierosa. Wszystkie te interesy handlowo-grzewcze były przeprowadzane w czasie nocnych postojów w pozycji przyziemnej, gdyż inaczej groziła kula. Oprócz dręczącego głodu dokuczały więźniom nocne przymrozki. W tym górzystym rejonie Bawarii noce bywały jeszcze bardzo zimne. Rano więźniowie budzili się „zmarznięci na kość". Wokół trawa była pokryta białym szronem.

Głodnemu i wyczerpanemu psychicznie Jankowi jego imaginacja nasuwała przed oczy różne obrazy i niecodzienne skojarzenia. W czasie jednej z takich nocy spędzanych przy ogniskach na dalekiej bawarskiej ziemi, leżał na wznak i patrzył na roziskrzone gwiazdami niebo. Wtedy jego nieco romantyczna wyobraźnia nasunęła mu na myśl skojarzenie całkowicie oderwane od jego aktualnych przeżyć. Wyobrażał sobie, że właśnie w taką noc przekradał się pan Skrzetuski z oblężonego Zbaraża, że widział podobne ogniska i skupionych przy nich ludzi. Może

nawet mowa tamtych ludzi nie bardzo różniła się od tej, słyszanej tutaj... Możliwe, że takie skojarzenia były pewnym rodzajem samoobrony psychiki młodego Polaka przed bezustannym zagrożeniem życia i tymi przerażającymi obrazami, które musiał codziennie oglądać. A po tych literackich reminiscencjach głodny krakowski kadet przykładał głowę do kępy bawarskiej trawy i zasypiał. Spał jednak czujnie, podobnie jak pozostali dwaj koledzy. Złodzieje grasowali w nocy, a resztek żyta należało pilnować bez przerwy. Również koców trzeba było bronić. Niektórzy więźniowie porzucali swoje koce, żeby się odciążyć w czasie marszu w ciepły wiosenny dzień. A w nocy, gdy spadała temperatura, rabowali koce śpiącym sąsiadom. Przed wydaniem rozkazu '*Hinlegen!*' (położyć się!) cała grupa kolegów z Buchenwaldu skupiała się w jednym miejscu. Po rozkazie kładli się na trawie tworząc swymi ciałami „gwiazdę". Ich głowy stykały się w centrum, a nogi znajdowały się na zewnątrz. Poszczególne trójki leżały wtedy obok siebie. Płaszcze zapinano, a koce przywiązywano do płaszczy. Z prawej strony przy każdym z odpoczywających leżał kij. Był pod ręką. Jeśli jakiś rabuś podczołgał się do śpiących i zaczynał ściągać koc, okradany budził się, alarmował kolegów, a kije po lagrowemu „szły w ruch". Nie patrzono, kogo bito i gdzie bito. Bito złodzieja. Bito go zresztą w bardzo niewygodnej pozycji, bo na pół leżąco. Było przecież po rozkazie '*hinlegen*'. Efekty takiego bicia nie były nadzwyczajne, ale wystarczająco skuteczne, by odstraszyć napastnika.

W końcu okradziono jednak Janka i jego dwóch przyjaciół. Była to bardzo chłodna noc. Janek i Edek odczołgali się na chwilę, żeby kupić za papierosy „ognisko" i przenieść je do miejsca ich odpoczynku. Resztkę żyta, która im jeszcze została, miał Władek. Trzymał ją, jak zwykle, w woreczku, na piersiach pod koszulą. Wtedy to rabusie, którzy prawdopodobnie czyhali na taką okazję, rzucili się na Władka, poturbowali go trochę i zabrali woreczek z żytem. Zanim wrócili koledzy, było już po wszystkim. Wprawdzie broniącemu woreczka Władkowi nic się nie stało, ale resztka pożywienia przepadła. Nawet napastnicy nie mieli żadnej

korzyści z tej kradzieży: pobili się o zdobycz, w czasie bójki woreczek rozerwano, żyto rozsypało się. Trudno byłoby je pozbierać po ciemku w bujnej trawie. Całe szczęście, że trójka przyjaciół miała jeszcze papierosy na zakup nowej porcji żyta.

Już od kilku dni z troską patrzyli Janek i Edek Mastaj na swego kolegę. Władek był z nich najsłabszy i z jego zdrowiem nie było najlepiej. Wychudzony i głodny, miewał od czasu do czasu gorączkę i słabł coraz bardziej. Często w czasie marszu brali go pod ręce i prowadzili. Najważniejszym było to, żeby dojść do następnego postoju i żeby kolega mógł odpocząć. Jedno było pewne: wiedzieli, że osłabionego Władka nie pozostawią na drodze, nie dopuszczą, żeby usiadł nad rowem i żeby go tam dosięgła esesmańska kula. W miarę upływu czasu ich obawy wzrastały. Czy wytrwają? Czy wszyscy trzej dojdą do celu? Czy przeżyją ten potworny marsz? Każdego dnia widzieli, jak ubywają kolejni koledzy z ich transportu. W takich chwilach niepewności i rozterki Janek patrzył na Edka Mastaja. Z jego energii i zaciętości czerpał siłę do dalszego wysiłku, do dalszej walki o przetrwanie. A odpoczynków w czasie dnia nie było. Konwojenci popędzali i popędzali, a głodni i wyczerpani do ostateczności więźniowie nie mogli zrozumieć jednego: gdy kolumna przechodziła od czasu do czasu przez jakąś wieś, osiedle czy miasteczko, wszędzie było pusto. Jakby i tu wszystkich żywych ktoś wymiótł. Okna i drzwi były zamknięte na głucho, słychać było tylko psy szczekające w obejściach. Nie było widać ludzi, nie było żadnych oznak współczucia czy litości. Czyżby wszystkich po drodze obowiązywał ten sam rozkaz?

Więźniowie słabli coraz bardziej, kolumna zaczęła się rozciągać. Wzmocniono zespół straży tylnej, która na bieżąco likwidowała osłabionych i usiłujących odpoczywać. Coraz częściej do uszu maszerujących dochodziły z tyłu odgłosy wystrzałów. Dopiero wieczorem na postoju więźniowie mogli stwierdzić, jak szybko maleje ich ilość w porównaniu ze stanem transportu w chwili wyruszenia z Flossenbürga.

Dla tych, którzy przeżyli szczęśliwie ubiegły dzień i mijającą noc, najgorsze były poranki. Każdego następnego dnia budzono śpiących komendą *'Aufstehen!'*(Wstawać!). Powoli podnosili się z ziemi, rozprostowywali zmarznięte nogi i ręce, wykonywali ruchy rozgrzewające. Po następnej komendzie ustawiali się w piątki, formowali kolumnę marszową i czekali. Czekali, aż „sępy" wykonają swoją robotę. W miejscu nocnego odpoczynku zawsze pozostawało kilkudziesięciu więźniów. Niektórzy z nich, ci szczęśliwsi, nie ruszali się już, nie dawali znaku życia. W nocy przyszła po nich cicha, lagrowa śmierć i żaden esesman nie był już dla nich straszny. Śmierć ta była cicha i chyba bezbolesna, bo żaden z leżących obok kolegów nic w nocy nie słyszał. A może to oni spali zbyt twardo..? Inni, którzy nie powstali na komendę *'Aufstehen'*, ruszali się jeszcze. Niektórzy usiłowali unosić głowy do góry, ale te opadały bezwładnie z powrotem. Wtedy to do akcji wkraczały „sępy". Byli to konwojenci, którzy przykładali lufę karabinu do głowy, jednym pociągnięciem spustu odbierając resztkę życia. Więźniowie przygotowani do wymarszu stali w ciszy. Nic im nie dawało zamykanie oczu, żeby nie patrzeć i nie widzieć. Przecież słyszeli te strzały. Musieli słyszeć. Jeden strzał – jedno życie. I jak natrętna mucha powracała każdemu z nich ta sama myśl: może to ja będę jutro leżał taki bezsilny, wyczerpany do ostateczności i będę czekał na kulę. Czy wytrzymam jeszcze dzień tego marszu? Jak długo to jeszcze potrwa? Czy jest sens dalej się męczyć? Te pytania powtarzali sobie już od kilku dni. Ale znowu musieli ruszać. I znowu szli. Ci, którzy nie byli w stanie przebyć następnego odcinka przewidzianego na dany dzień, ginęli w drodze. Ludzie ci zachowywali się dziwnie, całkiem niezrozumiale dla pozostałych. Chyba wiedzieli, że wyjście z szeregu i odpoczynek na skraju zielonego rowu to śmierć. Ale w nich chyba już całkowicie zanikł instynkt samozachowawczy. Ich wyczerpanie fizyczne i psychiczne przekroczyło już wszelkie granice. Chcieli jak najprędzej przestać cierpieć. Nie mieli już żadnej szansy, żadnej nadziei. Jedni siadali nad rowem i pochylali

głowy. Nawet tym ostatnim mimowolnym gestem ułatwiali konwojentom strzał lub rozbicie głowy kolbą. Inni opuszczali szeregi kolumny, wchodzili do przydrożnego rowu, wychodzili na jego drugą stronę i szli przed siebie w pola. Szli wolno, nie uciekali. Nie reagowali na głośne '*Halt!*' obstawy. Szli jakby ich coś z oddali wzywało. Robili jeszcze kilka kroków i padali twarzą w tę bawarską ziemię, skoszeni celnym strzałem konwojenta. Co wtedy myśleli? Dokąd szli? Co ich tak ciągnęło? Nie wiadomo. A pozostali maszerowali dalej. Wielu więźniów zaopatrzyło się wtedy w kije. Taki kij to była cenna rzecz. W czasie marszu można się było nim podpierać, a w nocy mógł służyć do obrony, a także jako opał na ognisko czy do prażenia żyta. W takich skrajnych warunkach uczył się człowiek doceniać i wykorzystywać wszystko.

Gdy transport szedł wśród bawarskich pagórków po drodze wijącej się zakolami, można było widzieć całą kolumnę. Nie szła już ona w zwartym szyku. Była porozbijana na mniejsze lub większe grupy, a w nich więźniowie podpierający się kijami, wlokący nogę za nogą, prowadzący osłabionych kolegów.

Wokół była wiosna. W górze błękit nieba i śpiew skowronków, a tu – na dole – od czasu do czasu huk wystrzału. To następny więzień odchodził na zawsze. I znowu nie wiadomo dlaczego, widok tej rozciągniętej kolumny więźniów poruszającej się wolno po krętych drogach Bawarii kojarzył się wyczerpanemu fizycznie i psychicznie Jankowi z treścią pewnego obrazu. Był to obraz Grottgera „Droga na Sybir", którego kopia wisiała w jednej z sal szkoły kadetów w Rawiczu. I tu, i tam wyczerpani do ostatka ludzie podpierający się kijami, pilnowani przez konwojentów, zdążają do określonego celu. Tylko tu wabi ich do odpoczynku zielona ruń wiosennej trawy, a tam bezkresna biel śniegu. Ale nie wolno spocząć. Trzeba iść dalej. I tu, i tam konsekwencje takie same. Zmącona wyczerpaniem i głodem wyobraźnia takie właśnie porównania podrzucała Jankowi w czasie tego marszu. Co dzień odpadali najsłabsi, co dzień opadali z sił pozostali. Jak długo jeszcze – myśleli. Kiedy wreszcie przyjdą Amerykanie? Gdyby

wiedzieli, jak bardzo są tu oczekiwani, na pewno by przyspieszyli. Wreszcie kolumna osiągnęła okolice Regensburga (Ratyzbony). Miasto płonęło, prawdopodobnie po bombardowaniu lub artyleryjskim ostrzale. Maszerującym w kolumnie więźniom wydawało się pewnego dnia, że chyba niewiele brakowało, żeby ich transport oswobodzili Amerykanie. Kanonada wskazywała, że byli już blisko.

Więźniowie nie orientowali się wtedy, że to dywizje pancerne 3. Armii generała Pattona, które po osiągnięciu linii Łaby zmieniły kierunek natarcia na południowy. Amerykanie weszli do Bawarii i właśnie tymi drogami obok Regensburga ich zagony pancerne parły na południowy wschód w kierunku Linzu w Austrii. Ale dowódca konwoju jeszcze raz wyprowadził swoich więźniów. Gdzieś za Regensburgiem w pobliżu mostu na Dunaju zalegli na odpoczynek. Tu, w rękach wygłodniałych więźniów znalazły się ślimaki, dużo szczawiu i liści mlecza. Nie brakowało drewna. Każda grupka natychmiast zaczęła gotować zupę ze ślimaków. W puszce trzech przyjaciół znalazło się dziewięć ślimaków. Do tego szczaw, mlecz, woda – i na ogień. Za chwilę już jedli zupę. Jedli wolno, jeden za drugim po kolei, łyżeczka po łyżeczce. Tak, aby każdemu przypadła jednakowa porcja. Pokrzepieni, ruszyli potem w dalszą drogę. Po pewnym czasie spotkali w drodze transport alianckich jeńców prowadzonych przez żołnierzy Wehrmachtu. Jeńcy zbuntowali się i odmówili dalszego marszu. Usiedli na trawie i nie chcieli dalej iść. Wyśmiewali swoich konwojentów, ale ci nie reagowali. Może im także był na rękę taki postój? Ale więźniowie kacetów musieli dalej maszerować. Niechby spróbowali się buntować...

W czasie następnego dnia natknęli się w polach na zakopcowane, półzgniłe buraki pastewne. Pokrycie kopców roznieśli w mgnieniu oka. Zabierali buraki i uciekali w bok. Esesmani strzelali. Znowu zostało na miejscu kilkadziesiąt trupów, a krew spływała na pozostałe buraki i rozrzuconą słomę pokrycia. Transport dalej topniał w zastraszającym tempie. Pomogły temu zgniłe buraki, które jedzono surowe, nieobrane, ubrudzone ziemią.

Jedzących wykańczał durchfall. Większość więźniów porzucała już płaszcze i koce. Nie dlatego, żeby już były dla nich zbędne. Po prostu nie mieli siły ich dźwigać. Janek i jego przyjaciele zostawili sobie jeden koc na trzech. Szli dalej, mjały następne noce i dni. Kolumna minęła najpierw miasto Landshut, a potem przeszła obok Freising. Nagle spotkało więźniów niespodziewane szczęście. Szli akurat jedną z dobrych dróg w okolicy Freising, gdy u czoła maszerującej kolumny zatrzymał się samochód Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Tam, w tym samochodzie, był skarb – chleb! Komendant konwoju musiał dać zezwolenie na rozdanie chleba. Przypadł jeden bochenek na trzech. Co za radość! Jakie szczęście! Po tylu dniach głodu nareszcie coś ludzkiego do jedzenia. I to chleb – świętość dla więźnia. Niektórzy rzucali się na swoje porcje jak głodne zwierzęta, nawet nie bardzo rozgryzając zębami. Żeby tylko jak najprędzej poczuć w żołądku sytość i żeby przypadkiem ktoś silniejszy nie zabrał. Janek i jego przyjaciele wiedzieli, że tak robić nie należy. Mimo wygłodzenia, mimo trudnej do opanowania chęci szybkiego napełnienia żołądka, jedli i żuli bardzo wolno. Wiedzieli już z wieloletniego doświadczenia lagrowego, że chleb żuty wolno i dokładnie daje organizmowi więcej. A zresztą, jaka to wielka przyjemność tak jeść i jeść pomalutku. Trochę ze swoich porcji zostawili na następny postój. Niósł tę resztkę „magazynier" Władek Czajkowski, a Edek z Jankiem ubezpieczali go z kijami w rękach. Wreszcie nadszedł dzień 27 kwietnia i transport ewakuacyjny z Flossenbűrga osiągnął obóz w Dachau. Z około 4500 häftlingów, którzy wyszli na ewakuację, przekroczyło bramę obozu niewiele ponad 500 więźniów. Byli kompletnie wycieńczeni marszem, głodem, huśtawką między życiem i śmiercią, między nadzieją i zwątpieniem. Janek zapamiętał tylko jeden przypadek udanej ucieczki. Dotyczył on Janusza Pokrzywnickiego. Pod takim nazwiskiem przebywał w obozie Jan Krzywicki. Droga transportu wiodła akurat zboczem góry. Było ono silnie zalesione i gęsto pokryte krzakami. Jednym skokiem znalazł się Janusz między drzewami i zniknął. Padły strzały obstawy. Nie goniono za nim,

ani go nie szukano. Nie było szans, żeby go znaleźć bez psa. Tak uciekł z transportu były absolwent Korpusu Kadetów z Rawicza, podporucznik piechoty Jan Krzywicki, późniejszy adiutant gen. Karola Świerczewskiego.

KL Dachau – *Arbeit macht frei* – po raz ostatni

Wyzwolenie

Wchodzącemu transportowi słaniających się więźniów przyglądali się przy bramie w Dachau dwaj Lagerführerzy – jeden z Flossenbürga, a drugi, dobrze znany Jankowi Max Schobert z Buchenwaldu. Przez moment zdawało się Stawarzowi, że Lagerführer go poznał. Ale może było to złudzenie. Schobert chyba wtedy nie przypuszczał, że nie miną nawet dwa miesiące, a będzie przesłuchiwany przez amerykańskiego prokuratora w więzieniu w Freising, a potem w sierpniu 1949 roku zostanie

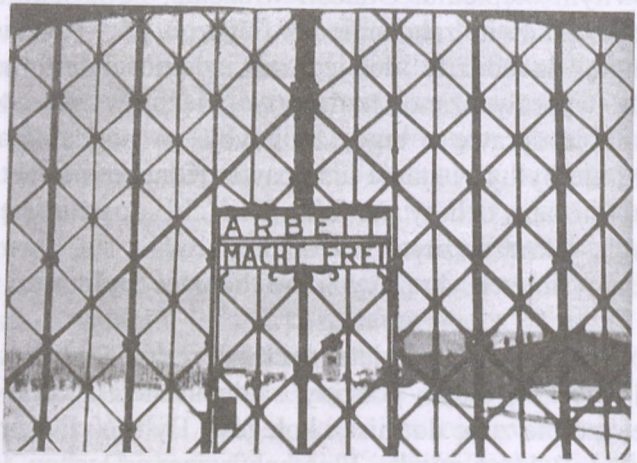

Fragment bramy obozowej KL Dachau z napisem „Arbeit macht frei" (z roku 1933)

skazany na karę śmierci przez Amerykański Trybunał Wojskowy w procesie buchenwaldzkim w Dachau. Na bramie wejściowej

zobaczył Janek taki sam napis, jaki był w Auschwitz. Zaczynał od „Arbeit macht frei" w 1942 roku daleko na wschodzie, a teraz kończył na zachodzie, za bramą w Dachau zaopatrzoną w ten sam slogan. Na placu apelowym padli na ziemię i pozostawali tak przez kilka godzin. Potem przydzielono ich na bloki. Powlekli się na przydzielone miejsca i położyli na kojach. Byli skrajnie wyczerpani. I wtedy spotkali się w tym lagrze po raz pierwszy z ludzkim odruchem. Sztubowy ich izby postarał się o ziółka do picia. Przyniósł kilka konwi tych ziółek. Czerpał je garnuszkami i podawał leżącym. A oni pili. Kolejno przechodziły pełne kubki z ręki do ręki w głąb sztuby. Pili i pili. Bardzo smakował im ten napar ugotowany z ziół uprawianych na plantacjach w Dachau. Smakowały te ziółka lepiej niż woda zbierana w dołkach, które wygrzebywali w podłożu bawarskich łąk. Ziółka podawane ręką dobrego człowieka, pastora ewangelickiego, który tu w Dachau był sztubowym. Te dni – 27, 28 i 29 kwietnia – przeszły Jankowi w całkowitym otępieniu. Odnosił wrażenie, że nastąpiło w jego organizmie całkowite załamanie tak fizyczne, jak i psychiczne. Jak przez mgłę dochodziły do jego świadomości informacje, że z Dachau wyprowadzano transporty więźniów na ewakuację. Zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby go pognali na kolejny transport, nie byłby w stanie ujść nawet jednego kilometra. Teraz nie miał sił ani ochoty na nic. Nie chciało mu się słuchać aktualnych, jakże ważnych wiadomości, ani tych prawdziwych, ani też zmyślonych, krążących po obozie. Było mu wszystko jedno...

Na całe życie zapamiętał tę chwilę z dnia 29 kwietnia. Było już pod wieczór, około godziny siedemnastej. Akurat rozlewał w swojej sztubie zupę do misek kolegów. Byli to ci, którzy razem z nim przeszli drogę między Flossenbürgiem a Dachau. Ustawieni w kolejce, podchodzili z miskami w rękach. Nagle rozległa się na zewnątrz jakaś wrzawa i do ich uszu doszły okrzyki: 'Amerykanie! Amerykanie!' Ani na nim, ani na pozostałych kolegach okrzyki te nie wywarły głębszego wrażenia. On dalej zanurzał chochlę w konwi, a oni dalej podstawiali swoje miski. Nie potrafili

zareagować normalnie, nie potrafili się cieszyć, nie dochodziło do ich świadomości to, że przyszło wyzwolenie. Nie wiadomo, dlaczego wiadomość o oswobodzeniu nie zrobiła na nich większego wrażenia. Tak, jakby w ciągu tych ostatnich dziesięciu dni wszystko się w nich wypaliło. Dopiero po dwudziestu minutach wyszli z bloku i udali się w kierunku głównej bramy. Tam tłum szalejących z radości więźniów wiwatował i wyciągał ręce do amerykańskich czołgistów. Ci stali obok swych maszyn uśmiechnięci i spokojnie żuli gumę. Więźniowie mówili, że niektórzy z nich znają słowiańskie języki. Janek i jego koledzy zobaczyli wtedy, jak kilku więźniów znęca się nad esesmanami, którzy nie zdążyli się schować ani uciec. Więźniowie bili ich i zanurzali im głowy w wodzie wypełniającej rów otaczający lagier. Także ten widok nie wyrwał byłych buchenwaldczyków z apatii. Nie byli zdolni do przeżywania radości, ani do tego, żeby się mścić. Janek odniósł wtedy wrażenie, że jego organizm nie jest w porządku. Kłuło go w płucach, czuł ból mięśnia sercowego, nawet wątroby. Dosłownie wszystko go bolało. Silnie pocił się w czasie ostatnich nocy. Czyżby gruźlica? Poszedł do rewiru – chciał, żeby go zbadał lekarz. Okazało się to zupełnie niemożliwe. Szpital otaczały setki chorych i muzułmanów. Janek powlókł się powoli do swoich. Obok rewiru widział dużo trupów, zwłoki leżały także poza blokami, a kostnice były przepełnione, bo krematorium nie nadążało już ze spalaniem. Zdawać by się mogło, że dla więźniów w Dachau minęło najgorsze, że jest już po wszystkim. Nadeszła jednak koszmarna noc z 29 na 30 kwietnia. Baterie artylerii amerykańskiej ustawione niedaleko za obozem rozpoczęły ogień. Pociski przelatywały ponad blokami. Ich cel był gdzieś na wschodzie. Nikt z więźniów nie miał pojęcia, co się dzieje. Czyżby hitlerowcy chcieli odbić Dachau? Huk był tak potworny, że drewniane bloki stanowiące jedyne pomieszczenia i osłonę häftlingów dosłownie „chodziły". W oknach dzwoniły szyby, a baraki trzęsły się, jakby miały się za chwilę rozpaść. To była okropna noc. Część więźniów spędziła ją leżąc na kojach, część leżała pod stołami lub wprost na podłodze. Pogłoski mówiły,

że Niemcy chcą odrzucić Amerykanów na zachód. Silniejsi więźniowie zaczęli opuszczać bloki i wędrować w kierunku stanowisk amerykańskich. Ale chorzy i słabi pozostawali na miejscu. Im było wszystko jedno. Nie mieli już sił. Wreszcie strzelanina ucichła, rozwidniało się. Nadszedł ostatni dzień kwietnia.

Do obozu znowu wjechali Amerykanie. Byli wśród nich oficerowie i żołnierze oraz kilku reporterów. Należeli do 7. Armii generała Patcha wchodzącej w skład 6. Grupy Armii gen. Deversa. To właśnie 7. Armia zdobyła 30 kwietnia Monachium, a tym samym zapewniła bezpieczeństwo więźniom wyzwolonym poprzedniego wieczoru w Dachau. Jeden z oficerów przemówił do zgromadzonych na placu. Sens jego przemówienia był mniej więcej taki, że powinni oni Bogu dziękować za to, że żyją. Artyleria amerykańska, której stanowiska znajdowały się tuż obok obozu, prowadziła przez całą noc ogień zaporowy, mający na celu powstrzymanie oddziałów dywizji SS „Wiking" zmierzających do odbicia tej okolicy z rąk Amerykanów. Równocześnie jednostki 7. Armii zdecydowanym uderzeniem uniemożliwiły tej elitarnej dywizji SS osiągnięcie zamierzonych celów i zdobyły Monachium. Obecnie, oswobodzeni więźniowie są już całkowicie bezpieczni. Przemawiający zaapelował jeszcze o spokój w obozie i o nieopuszczanie jego terenu ze względu na epidemię tyfusu i inne choroby. Zapewnił, że obóz otrzymywać będzie wystarczającą ilość żywności. A tymczasem amerykańscy dziennikarze weszli między bloki. Kilkadziesiąt minut wcześniej oglądali i fotografowali na bocznicy w Dachau ewakuacyjny „pociąg śmierci". Składał się on z około 40 wagonów. Pozostało w nich na zawsze 2000-2500 więźniów, zmarłych z głodu lub zastrzelonych przed przybyciem do Dachau. Teraz reporterzy fotografowali sterty trupów leżące poza blokami i wokół krematorium. Znajdowały się już w stadium zaawansowanego rozkładu. Patrzyli, jak umierali muzułmani wyniszczeni do ostateczności. Widzieli tysiące chorych na tyfus plamisty i inne lagrowe choroby. Ze zgrozą patrzyli, jak konali we własnych

ekskrementach wycieńczeni durchfalowcy. Wszystko to, co widzieli w Dachau, było – podobnie jak w innych lagrach – wynikiem bezsensownej, a jakże wstrząsającej tragedii obozów koncentracyjnych. Była nią ewakuacja więźniów w ostatniej fazie wojny; to pozbawione wszelkiej logiki, wszelkiego rozumnego uzasadnienia pędzenie tysięcy ludzi od obozu do obozu w głodzie, chorobach i udręczeniu. Jedynie po to, żeby żaden häftling nie dostał się żywy w ręce wroga. Jedynie dlatego, że taki był '*Befehl*' (rozkaz).

Wśród tych, którzy przy rozpoczęciu ognia zaporowego opuścili obóz, był znajomy Janka o nazwisku Szwed. Bał się powrotu esesmanów, a był zdrowy i głodny, dlatego wyszedł z obozu. Wrócił do lagru po trzech dniach. Przyniósł sobie parę butów, a kolegom przytargał na plecach worek kartofli i kilka główek kapusty. Opowiadał, że niedaleko poza obozem wszedł po drabinie przez okno do jakiejś zamkniętej willi. Nie interesowało go w niej ani złoto, ani kosztowności czy ubrania. Interesowało go tylko jedzenie: był głodny! Po chwili zszedł do piwnicy i tam znalazł zapasy. Zaczął jeść zawekowane mięso i popijać nalewkami. Wkrótce już nie był głodny, ale za to pijany jak bela i usnął w tej piwnicy. Po jakimś czasie się obudził i ponownie zabrał się do jedzenia i picia. Potem biegał do ubikacji, spał, jadł i znowu pił. Tak minęły trzy dni. Nie miał pojęcia o tym, co się dzieje na zewnątrz. Strzelaniny już nie słyszał. Było cicho. W końcu przypomniał sobie głodnych kolegów. Bał się zabierać zapasy gospodarnej Niemki, bo nie wiedział, jaka jest aktualna sytuacja w obozie. Przyniósł tylko te ziemniaki i kapustę. Po jakimś czasie wyrwał się z lagru sobie tylko znanym sposobem i wrócił jeszcze raz do tej willi. Nie było w niej już złota, kosztowności ani ubrań, nie mówiąc o zapasach jedzenia i nalewkach w piwnicy.

Tymczasem w obozie, po chwilowym rozprzężeniu, żołnierze amerykańscy zajęli stanowiska na wieżach strażniczych, a władze zabroniły byłym häftlingom opuszczania lagru. Najprawdopodobniej obawiano się rozwleczenia po okolicy

tyfusu, który szalał w obozie. Być może chodziło także o groźbę aktów zemsty i rozboju w stosunku do ludności cywilnej. Postanowiono poddać byłych häftlingów okresowej kwarantannie. Jest zupełnie zrozumiałe, że takie postawienie sprawy nie zdobyło uznania więźniów zdrowych. Inaczej wyobrażali sobie oni wolność, o której marzyli od lat. W lagrze zaczęły się tworzyć bloki narodowościowe. Przybrano je barwnymi godłami i flagami. Do obozu przyjechały ekipy sanitarne, których podstawowym wyposażeniem były setki puszek z białym proszkiem DDT. Nadzy więźniowie podchodzili rzędem do sanitariuszy, a ci nie żałowali tego środka insektobójczego. Podobnie wysypano nim wszystkie zakamarki bloków, łóżka i sienniki. Rezultaty były wspaniałe. Wyginęły wszystkie wszy, pchły i pluskwy, które przez tyle lat stanowiły zmorę i udrękę więźniów w kacetach. Wszyscy dostali zastrzyki przeciwtyfusowe. Niestety, ktoś podjął wtedy nieprzemyślaną decyzję. Mieszkańcom obozu wydano puszki zawierające tłustą konserwę wieprzową. Jedna puszka o ciężarze kilograma przypadła na dwóch byłych häftlingów. Wielu z nich zmarło wtedy w boleściach, ale innym to nie zaszkodziło. Jedzenia było w tym okresie niewiele i ludzie zdrowi bywali głodni. Janek i jego koledzy odczuwali w dalszym ciągu skutki wielodniowej głodówki i tej huśtawki między życiem a śmiercią przeżytej w drodze od Flossenbürga do Dachau. Byle jakie jedzenie powodowało u nich problemy z przewodem pokarmowym, toteż pracowicie opiekali kromeczki swego chleba w płomieniach ognisk palonych między blokami. Podobnie postępowali inni. Starym, wypróbowanym w lagrze sposobem starali się przyzwyczajać żołądki do normalnego trawienia. Długoletnie doświadczenie kazało im zrezygnować z tłustych esesmańskich konserw. Wiedzieli, jaki byłby skutek. W tym czasie z ich grona ubył Władek Czajkowski. Spotkał znajomego księdza, starego więźnia Dachau. Ten – widząc jego stan – zabrał go do rewiru, a następnie postarał się o wysłanie go na leczenie w szpitalu poza lagrem. Zdarzyło się potem, że ktoś znalazł w zapasach SS spirytus. Zaczęło się picie. Był to jednak alkohol skażony. Kilku

pijących zmarło, kilku innym groziła utrata wzroku i leczono ich w szpitalu. A obok rewiru rosła sterta trupów. Nie spalano ich już w krematorium. Okoliczni Niemcy ładowali je na furmanki i wywozili poza lagier. Tam grzebano je w zbiorowych mogiłach na nowych cmentarzach, obok zmarłych, których niedawno znaleziono w wagonach „pociągu śmierci". W międzyczasie były święta 1 i 3 maja. Święto Pracy obchodzili uroczyście byli więźniowie z lewicy. A potem nadszedł dzień 3 maja – święto Polaków, rocznica Wielkiej Konstytucji. Janek i jego przyjaciele nie brali udziału w tych świętach; byli jeszcze zbyt słabi, jeszcze nie potrafili się cieszyć jak zwyczajni, normalni ludzie. Zapamiętali tylko te różnobarwne flagi, wrzawę i śpiewy. Mówiono, że były jakieś przemówienia, że zabierał głos przedstawiciel amerykańskich władz wojskowych. W kaplicy obozowej Stawarz spotkał wtedy znajomego. Był to ksiądz Jan Wroński, którego Stawarz znał jeszcze z podwadowickiego gimnazjum ojców Palotynów. Wroński był tam fratrem, uczniem 7 czy 8 gimnazjalnej. Nosił już sutannę, ponieważ postanowił poświęcić się stanowi kapłańskiemu. Janek, uczeń niższej klasy tego gimnazjum, zapamiętał charakterystyczną, wysoką postać Wrońskiego i jego grube okulary krótkowidza na szczupłej twarzy. Bardzo się ucieszył z tego spotkania. Ksiądz Wroński pomógł mu wtedy. W obozie było jeszcze głodno, a zgromadzeni w jednym z bloków polscy księża otrzymywali już paczki z Watykanu przywożone czarnymi samochodami. Od księdza Wrońskiego dowiedział się Stawarz o tym, co działo się w Dachau w ostatnich dniach przed wyzwoleniem, kiedy ich transport kończył wędrówkę po drogach i bezdrożach Bawarii. W lagrze roiło się wtedy od różnych wiadomości. Tych prawdziwych i tych wymyślanych; jak to zwykle w obozie. Wszyscy się jednak bali. Wiadomo już było, że Dachau opuścili esesmani stanowiący dotychczasową załogę i że dozór nad lagrem przejęli żołnierze dywizji SS „Wiking". Nikt nie wiedział, jaki to miało cel, ale „pietra" mieli wszyscy. Być może dotychczasowa obstawa lagru musiała wyjść wraz z ewakuowanymi w charakterze konwojentów? Wypędzono wtedy

ponad 8 tysięcy więźniów. Podzielono ich na kolumny i pognano między innymi w kierunku Alp. Wywieziono także tak zwanych więźniów uprzywilejowanych, podobnych do tych, którzy zginęli w czasie bombardowania w Buchenwaldzie. Tu w Dachau byli przetrzymywani między innymi Maria, córka króla włoskiego Emanuela, kanclerz austriacki Schuschnig, biskup Monachium Neuhäusler, biskup Paryża Piquet i pastor Niemőller. Rozniosła się wiadomość o telegramie Himmlera do komendanta Dachau ostrzegającym, że żaden żywy więzień nie może się dostać w ręce wroga i nakazującym natychmiastową ewakuację lagru. Nie wiadomo, dlaczego z zebranych na placu apelowym w dniu 26 kwietnia więźniów wycofano z powrotem do bloków wszystkich Polaków, a pognano w transport Niemców, Rosjan i Żydów. Spodziewano się najgorszego ze strony SS. W lagrze pozostało jeszcze ponad 31 tysięcy więźniów. Wśród nich kilka tysięcy Polaków. Po obozie krążyły różne wieści. Jedna mówiła, że esesmani zbombardują lagier z samolotów, druga – że więźniowie zostaną wytruci trucizną podaną w obozowej zupie, a trzecia – że więźniowie zostaną wystrzelani na placu apelowym z karabinów maszynowych, a ukrywający się zostaną spaleni w drewnianych barakach przy pomocy miotaczy ognia. Wszystko po to, żeby ani jeden żywy więzień nie wpadł w ręce wroga. Mówiono, że niektórzy esesmani uciekali z lagru zabierając rzeczy z magazynów i depozyty więźniarskie. Uważano, że konieczne byłoby powiadomienie Amerykanów, że SS planuje wykończenie więźniów w Dachau w nocy 29/30 kwietnia. Sam Janek widział w tym dniu, jak wzmacniano posterunki na wieżach i jak jakiś Oberscharfűhrer objeżdżał obóz wkoło na motocyklu i sprawdzał czujność strażników. Dopiero ten wypad kilku czołgów amerykańskich 29 kwietnia o godzinie 17 uratował wszystkich. Ich załogi wybiły esesmanów na wieżyczkach, gdy usiłowali stawić opór. A potem ta straszna noc pełna błysków i huków artyleryjskiego ognia i ten nowy dzień, zwiastun bezpiecznej już wolności. Wroński mówił także, że esesmani wywieźli z Dachau wszystkie zapasy żywności i część odzieży z magazynów.

W obozie w dalszym ciągu nie było zbyt wiele do jedzenia, po prostu było głodno, a zdrowe już organizmy wymagały więcej pożywienia. Skończył się okres przewidzianej przez władze kwarantanny i zaczęto wywozić niektórych więźniów do ich krajów ojczystych. Pierwsi pojechali na zachód Francuzi, Belgowie, Holendrzy i Anglicy. Potem samochodami wywieziono Czechów, Włochów i Jugosłowian. Ci ostatni w przeważającej ilości byli partyzantami Tity i wyróżniali się gwiazdami przypiętymi na czapkach. Potem wyjechali Rosjanie, Grecy i duża część Żydów. Polacy pozostali. Transportu dla nich nie było. Dalej trzymali się razem Janek Kiełb, Bogdan Marchwicki, Edek Mastaj, Rafał Żuławski, Janek Olszyński, Edek Gűnthner, Tadek Podoba i inni. Zdarły się ich pasiaki, zniszczyła bielizna. Wtedy wydano im z magazynu esesmańskie sukienne mundury i filcowe buty. A było już lato, gorące lato w tym pamiętnym 1945 roku. W tym czasie dawni więźniowie zdobyli gdzieś po kilka lnianych prześcieradeł. Janek, który zdawał sobie sprawę z tego, że nie włoży na siebie esesmańskiego munduru, nawet gdyby ten idealnie pasował do jego figury, zaniósł swoje prześcieradła do krawca – polskiego Żyda, który w zamian za chleb uszył mu lnianą koszulę i białe letnie spodnie. Potem drugi Żyd, tym razem szewc, zrobił mu z esesmańskich butów filcowych zgrabne, lekkie „paski", przydatne do chodzenia w lecie. Znowu zapłacił chlebem. Całe szczęście, że miał dodatkową jego ilość od księdza Wrońskiego; w przeciwnym razie musiałby się solidnie przegłodzić. Niemniej jednak w swoim nowym białym ubraniu przypominał tenisistę, a gdyby miał białą czapkę, byłby z niego idealny sprzedawca lodów. Jeszcze później, w innych magazynach znaleźli koledzy krótkie esesmańskie kożuszki z kapturami oraz krem po goleniu w tubkach. Posmarowanie twarzy tym kremem i ten zapach skóry były dla byłych häftlingów pierwszym fizycznym odczuciem odzyskanej po latach wolności. Innym elementem tej wolności, wywołującym w sercach byłych więźniów nostalgiczne przeżycia, były dwie pieśni nadawane przez głośniki w blokach, śpiewane przez nich często i chętnie. Były to melodie i słowa „Czerwone

maki na Monte Cassino" i „Rozszumiały się wierzby płaczące". Jak niewiele tym Polakom trzeba było wtedy do szczęścia... Krem i piosenka. Podobnie jak w innych lagrach, także i tu w Dachau po wyzwoleniu, spotkał Janek kolegów – kadetów. Między innymi spotkał tu Jurka Jaworskiego i Władka Walendzika, którzy w 1939 roku kończyli z nim naukę w Korpusie Kadetów w Rawiczu. Walendzik, podobnie jak w gimnazjum, także i tu w Dachau przykładał się do nauki. Intensywnie i z dużym samozaparciem uczył się języka angielskiego. Potem wyjechał na zachód.

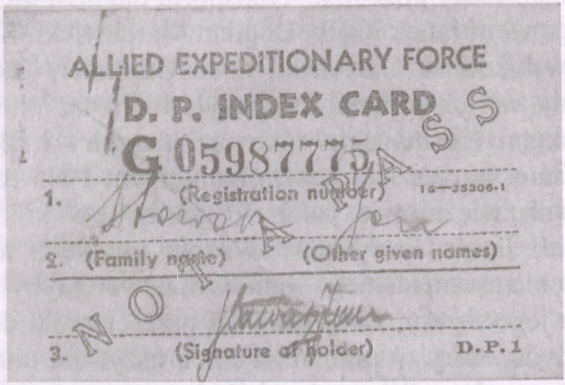
ALLIED EXPEDITIONARY FORCE
D. P. INDEX CARD
G 0598777
1. (Registration number)
2. (Family name) (Other given names)
3. (Signature of holder) D.P.1

Pierwszy „dowód osobisty" Stawarza po wyzwoleniu z KL Dachau

Polski Komitet Więźniów przeprowadził wtedy rejestrację wszystkich Polaków w Dachau. Było ich ponad 7500 osób. W czasie rejestracji deklarowali oni miejsce docelowe wyjazdu po opuszczeniu obozu. Olbrzymia większość chciała wracać do kraju. Około tysiąca postanowiło zostać na zachodzie. Należy podkreślić, że byli więźniowie znajdowali się wtedy pod presją różnych nacisków z wielu stron i podjęcie decyzji co do dalszych losów wcale nie było łatwe. Powrót do kraju na własną rękę nie był prosty ze względu na brak środków. Bywały również przypadki, że taka indywidualna podróż kończyła się tragicznie. Oficjalnych transportów do kraju jeszcze nie było. Niedługo potem wywieziono gdzieś polskich księży, a wśród nich wyjechał także

ksiądz Wroński. Wreszcie w pierwszych dniach czerwca zaczęto wywozić Polaków partiami. Celem było nowe miejsce pobytu – miejscowość Freimann. Amerykanie potrzebowali wtedy obozu w Dachau do innego celu. Mieli w nim przebywać wzięci do niewoli i wychwytywani w amerykańskiej strefie okupacyjnej esesmani. Wtedy to Janek Stawarz opuścił na zawsze ostatnie miejsce swej lagrowej gehenny – obóz, na bramie którego pozostał znienawidzony napis „Arbeit macht frei".

Freimann

Wojskowymi samochodami przewieziono byłych więźniów Dachau do Freimannu, miejscowości położonej około 4 kilometry na północny zachód od Monachium. Nowym pomieszczeniem były dla nich olbrzymie koszary dawnych formacji SS. Stanowiły je trzy wielopiętrowe bloki stykające się ze sobą pod kątem prostym, tworzące trzy skrzydła oznaczone literami A, B i C. Całość była otoczona wysokim murem. Wszystkie budynki oraz mur nosiły ślady intensywnego bombardowania oraz artyleryjskiego ostrzału. Szczególnie uszkodzone były dachy, co miało tylko tę dobrą stronę, że umożliwiało gotowanie posiłków na strychach. Były w tych koszarach izby, które miały wyburzone ściany z jednej strony. Straż przy bramie i wokół murów pełnili żołnierze amerykańscy. Dla przywiezionych tu z Dachau Polaków było to szokujące. Niby doczekali się końca wojny, niby uwolniono ich z obozu koncentracyjnego, a tu dalej muszą siedzieć pod strażą. Dla niektórych było to nie do zniesienia. Nie tak wyobrażali sobie prawdziwą wolność. Samowolne opuszczanie obozu było zabronione, a żołnierze mieli polecenie użycia broni w razie przechodzenia byłych więźniów przez dziury w rozwalonym murze i nie respektowania rozkazu zatrzymania się. Ilość otrzymywanego pożywienia znowu była niewystarczająca. Często dostawali na śniadanie tylko jedno jajko, a wyposzczone wieloletnim głodem organizmy domagały się zwiększonych racji żywnościowych. Janek spotkał tu ponownie księdza Wrońskiego

i w dalszym ciągu korzystał z jego pomocy. Okazało się, że ponad stu księży wywieziono wtedy z Dachau, a potem doszło jeszcze wielu duchownych tak z Dachau, jak i z innych miejscowości. We Freimannie było ich ponad pięciuset. W dalszym ciągu dostawali pomoc z Watykanu. Janek trzymał się razem ze swoimi kolegami z Buchenwaldu. Jego aktywne usposobienie buntowało się przeciw bezczynności, toteż bez chwili wahania zapisał się na organizowany w obozie kurs samochodowy. Jeździli na samochodach poniemieckich, wyremontowanych przez własnych mechaników. Stawarza nie pociągały apele nawołujące do udziału w tak zwanym „korpusie wartowniczym". Chętni do tej służby otrzymywali od Amerykanów mundury oraz broń i pod dowództwem polskich oficerów, byłych jeńców wojennych z niemieckich oflagów, pełnili służbę wartowniczą przy amerykańskich magazynach. Stawarz i jego koledzy stwierdzili, że nie odpowiada im tego rodzaju zatrudnienie. Uważali, że ujmą dla ich stopni wojskowych byłaby taka służba, niegodna honoru byłych więźniów politycznych. Dopiero gdy oficjalna delegacja z Freimannu powróciła z oflagu „Murnau" i przywiozła wiadomość o możliwości zaciągnięcia się do służby w wojsku polskim w Drugim Korpusie we Włoszech, niektórzy byli więźniowie zaczęli się zastanawiać. W efekcie, do Ankony wyjechało wtedy z Freimann kilkudziesięciu młodych ludzi, między innymi Bogdan Marchwicki, znajomy Janka z Prokocimia. Stawarz zapisał się wtedy na kurs języka angielskiego prowadzony przez jednego z księży. Co dwa dni pilnie słuchał wykładów, odbierał kolejne teksty odbijane na matrycach i intensywnie uczył się słówek. Nurtowała go stale myśl, co ma dalej z sobą zrobić. Nie było wtedy żadnych zbiorowych transportów do kraju. Mówił mu o tym Edmund Polak, pełniący aktualnie jakąś funkcję w więźniarskim samorządzie. Amerykanie nie przewidywali jeszcze wtedy oficjalnych transportów do Polski, tłumacząc się dużą ilością problemów z tym związanych oraz wojną prowadzoną jeszcze na Dalekim Wschodzie z Japonią. Pewnego dnia między byłymi więźniami kacetów we Freimannie rozniosła się

wiadomość, że będą ponownie przewiezieni do Dachau. Tym razem nie jako pilnowani „dipisi"[36], ale jako świadkowie. Mieli wśród wszystkich esesmanów zamkniętych aktualnie w tym obozie rozpoznać tych, którzy w czasie wojny należeli do dozoru w obozach koncentracyjnych i tam zapisali się w pamięci byłych więźniów ujemnie, ewentualnie dodatnio. Wszyscy byli ciekawi, w jaki sposób kierownictwo obozu przeprowadzi tego rodzaju konfrontację między kilku tysiącami esesmanów, a tak dużą ilością byłych więźniów. Zrobiono to w stosunkowo prosty sposób. Po zewnętrznej stronie obozu tuż poza drutami posadzono na ławach byłych więźniów. Przed nimi ustawiono termosy z kompotem, bo świeciło słońce i dzień był gorący. Z drugiej strony drutów, wewnątrz lagru, przechodzili wolnym krokiem esesmani, w odległości 8-10 metrów od siebie. Wielką frajdę odczuwali wtedy byli więźniowie. Oto tych panów życia i śmierci sprzed dwóch miesięcy widzą teraz tam, za drutami. Jacy oni byli w tej chwili mali, ci nadludzie. Gdzie się podziała ich buta i pewność siebie? Teraz ich los zależał od tego Żyda czy muzułmana, któremu udało się przeżyć. Na pewno idąc wzdłuż drutów żałowali, że nie ukatrupili ich do ostatniego na ewakuacyjnych drogach czy w lagrach... Żałowali, że oni – wierni do końca – nie wypełnili ostatniego rozkazu Himmlera, który mówił, że żaden häftling nie powinien dostać się żywy w ręce wroga. Parę kroków za przechodzącymi esesmanami stali żołnierze amerykańscy. W rękach trzymali pęki czerwonych i białych opasek. Byli więźniowie mieli do wyboru trzy decyzje, trzy możliwości. Esesman zły, dobry lub nieznany. Gdy esesmani przechodzili za drutami, siedzący na ławach nie mieli żadnych trudności z zakwalifikowaniem. Kwalifikowali zgodnie z życzeniem władz obozowych – gestem cezara znanym od czasów rzymskich igrzysk. Gdy przechodził esesman zły, wszystkie kciuki zaciśniętych dłoni skierowane były w dół. Gdy był to esesman, do którego więźniowie nie mieli zastrzeżeń, wszystkie kciuki były

[36] „dipis" (DP) – potoczny skrót od „displaced persons"; określenie osób, które w wyniku działań wojennych znalazły się poza własnym krajem.

uniesione w górę, a gdy przechodził nieznany, nie było ze strony więźniów żadnej reakcji. Tego typu decyzje umożliwiały Amerykanom wstępną segregację uwięzionych. Najbliżej stojący żołnierz wieszał na szyi „złego esesmana" wstążkę czerwoną, a na szyi tego, do którego więźniowie nie mieli zastrzeżeń, wstążkę białą. Potem odprowadzano ich do odpowiednich pomieszczeń. Najlepiej pamiętali „swoich" esesmanów byli więźniowie – Żydzi. Gdy przechodził esesman, który należał w lagrze do najgorszych bandytów, zrywał się na ławkach żydowskich krzyk i widać było gwałtowne ruchy rąk, których kciuki zwrócone były ku ziemi. Reakcje tych „sędziów" były bardzo spontaniczne, ale na pewno sprawiedliwe. Nie zapomnieli oni swych katów, których twarze i postacie były bardzo dokładnie zakodowane w ich umysłach. Czyż można się dziwić..? Potem, gdy już prowadzono śledztwo przeciw poszczególnym esesmanom, byłych więźniów wzywano w charakterze świadków tak na przesłuchania, jak i na rozprawy.

A tymczasem we Freimannie nic się nie zmieniło na lepsze. Dalej było głodno, siedzących w koszarach żywiono marnie. Było ich dużo, gdyż byłych więźniów z czasem wymieszano z tymi, których Niemcy wywieźli na roboty, a także z jeńcami ze stalagów czy oflagów. Nie wszyscy z nich wykazywali tyle odwagi i sprytu, żeby ukradkiem wychodzić przez dziury w murze na zewnątrz, a potem w nocy wracać tą samą drogą prowadząc na sznurze żywą owcę lub barana, przeważnie ukradzione okolicznym bauerom. Najpierw jeden z odważnych, po przejściu przez mur przeciągał przez dziurę sznur, a jego kolega trzymał w krzakach barana uwiązanego na końcu sznura. Na dany znak, gdy sznur się naprężał, ten drugi puszczał zwierzę, a ten pierwszy je wciągał do wewnątrz. Gdy baran narobił za dużo hałasu i obudził drzemiącego z reguły strażnika, ten strzelał. Jeśli zastrzelił barana, to przemycający go do koszar mieli jedną czynność z głowy: nie musieli już zwierzęcia zabijać. Mięso z baranów gotowali, piekli lub smażyli na żelaznych piecykach, których rury wypuszczane przez okno, odprowadzały dym na zewnątrz. Gotowali także w ogniskach rozpalanych na betonowych podłogach strychów.

Dachy były uszkodzone przez bomby i pociski, w związku z czym odprowadzanie dymu nie było problemem.

Niedostatek jedzenia, brak możliwości oficjalnego powrotu do kraju i przebywanie w koszarach pod strażą spowodowały w końcu wybuch zbiorowego buntu. Było zgromadzenie tłumu na dziedzińcu koszar, były okrzyki żądające repatriacji, był duży transparent, na którym widniał napis „Amerykański obóz koncentracyjny". Na dziedziniec wjechały samochody pancerne. Zdawało się, że konfrontacja będzie nieunikniona, bo niektórzy mieszkańcy koszar mieli broń. Ale w końcu komendant ośrodka i komitet mieszkańców doszli do porozumienia. Od tej chwili „freimanowcy" mogli opuszczać koszary w godzinach od 8 do 20. Wolno im było za odpowiednimi przepustkami poruszać się w promieniu kilku kilometrów wokół Freimannu. W obszarze tym znajdowało się Monachium i przeważnie właśnie tam wychodzili. Miasto było częściowo zniszczone od bomb, pocisków i pożarów. Zanim Janek wyruszył pierwszy raz do Monachium, musiał uprać swój biały niegdyś, lniany przyodziewek. Miał wprawdzie mydło od księdza Wrońskiego, ale musiał prać w rękach, nie dysponował wtedy tarką ani szczotką. W końcu jakoś wyprał, wysuszył i pożyczonym żelazkiem wyprasował swoje spodnie i koszulę. Mógł teraz zwiedzać Monachium. W mieście czuł się fatalnie, gdyż nie miał przysłowiowego grosza przy duszy. Akurat zobaczył, jak podobnie do niego ubrany lodziarz sprzedaje chętnym swój towar. Później, przez całe lata nie mógł Janek zapomnieć tego apetytu na lody, jaki wtedy czuł. Co by dał, żeby poczuć chłodny smak na języku i podniebieniu. Ale musiał tylko łykać ślinkę. Nie miał dosłownie ani jednego feniga. Czasem wchodził do ośrodka nad Izarą, gdzie spotykali się „wypędzeni" z całej Europy – ci, których po angielsku nazywano „displaced persons", a potocznie „dipisami". Myślał, że spotka tam znajomych. Ale nie znalazł. Coraz bardziej tęsknił za domem w Prokocimiu. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma żadnego praktycznego zawodu i w związku z tym nie ma czego szukać na zachodzie. Musiał czekać na oficjalny transport do kraju. Nie

chciał ryzykować podróży do Polski „na dziko", nie mając pieniędzy. Nie doczekał się takiego transportu we Freimannie. Doczekał się tylko wraz z kolegami wywiezienia do innego ośrodka, gdzie zbierano takich jak on wojennych rozbitków. Ośrodek ten nazywał się Wildflecken.

Wildflecken – obóz dla „dipisów"

Widocznie Amerykanie mieli już dość kłopotów z mieszkańcami koszar we Freimannie, bo po około dwóch miesiącach postanowili ich przenieść do nowego miejsca zamieszkania. Obiecano im tam więcej swobody. Zmontowano odpowiedni transport i załadowano Polaków wraz z dobytkiem na samochody. Przy kierownicach zajęli miejsca jeńcy wojenni z Wehrmachtu. Konwój prowadził jeep z trzema Amerykanami, a na końcu jechał drugi, w nim także trzech Amerykanów. Ruszono w kierunku północnym i dowieziono byłych mieszkańców Freimannu do nowego miejsca zamieszkania położonego w pobliżu południowo-zachodniego kąta Radzieckiej Strefy Okupacyjnej. Wywiezionym zdawało się, że przyjechali tam, gdzie przysłowiowy diabeł mówi dobranoc. Miejscowość nazywała się Wildflecken. Kończyła się tam linia kolejowa, a od niej do właściwego miejsca pobytu było jeszcze około siedmiu kilometrów. Po łagodnym stoku wyniosłości, na której widać było w oddali kilkadziesiąt murowanych, jednopiętrowych bloków, droga wznosiła się zakolami. Samochody transportowe powoli pokonywały wzniesienie, silniki pracowały na pełnych obrotach. Wokół były gęste lasy iglaste. Wreszcie konwój wjechał na brukowane granitową kostką drogi między blokami. Bloki te były niedawno niemieckimi koszarami. Okazało się, że niektóre z nich są już zasiedlone i mieszkają w nich przywiezieni wcześniej Polacy. Ośrodek nie był ogrodzony. Wznoszący się lekko teren przechodził nieco powyżej bloków w olbrzymi płaskowyż. Był to pusty, niezalesiony poligon, służący jeszcze do niedawna jako

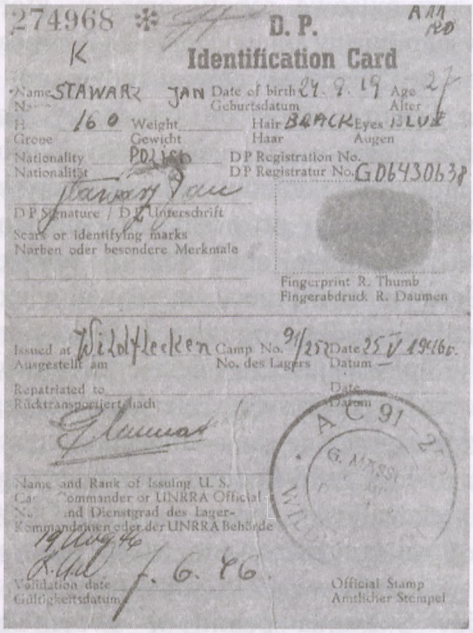

274968 D. P.

Identification Card

Name STAWARZ JAN Date of birth 24. 8. 19 Age 27
Name Geburtsdatum Alter
Height 160 Weight Hair BRACK Eyes BLUE
Grobe Gewicht Haar Augen
Nationality POLISH DP Registration No.
Nationalität DP Registratur No. GD6430638

Stawarz Jan
DP Signature / DP Unterschrift
Scars or identifying marks
Narben oder besondere Merkmale

Fingerprint R. Thumb
Fingerabdruck R. Daumen

Issued at Wildflecken Camp No. 91/252 Date 25 V 1946 r.
Ausgestellt am No. des Lagers Datum
Repatriated to Date
Rücktransportiert nach Datum

Name and Rank of Issuing U. S. Camp Commander or UNRRA Official
Name und Dienstgrad des Lager-Kommandanten oder der UNRRA Behörde
19 Aug 46

Validation date f. 6. 46
Gültigkeitsdatum

Official Stamp
Amtlicher Stempel

„Dowód osobisty" Stawarza z odciskiem kciuka wydany w Camp Wildflecken

teren ćwiczeń miejscowego garnizonu. Przybysze zaczęli się lokować w pomieszczeniach poszczególnych bloków. Niestety, brak ogrodzenia nie oznaczał, że mieszkańcom ośrodka wolno było opuszczać go o dowolnej porze dnia czy nocy. Okazało się, że było to zabronione, a nowe miejsce pobytu było pilnowane przez straż złożoną i tym razem z żołnierzy amerykańskich. Mieszkańcy ośrodka, a zwłaszcza byli więźniowie obozów koncentracyjnych, znowu poczuli się fatalnie. Przecież upłynęło już kilka miesięcy od wyzwolenia, a w Dachau były druty i straż na wieżach, mur i straż były we Freimannie, a tu w Wildflecken znowu straże i konieczność posiadania przepustki. 'Czy kiedyś doczekamy się mieszkania bez drutów, murów i straży?' – pytali jeden drugiego z wielkim rozgoryczeniem. Ale trzeba było żyć dalej, a życie wymagało w tym nowym miejscu pewnej organizacji. Oprócz byłych häftlingów znaleźli się tu Polacy

wywiezieni na przymusowe roboty oraz ci, którzy opuszczali dawne tereny wschodnie w obawie przed Ukraińcami. Niektórzy z nich wyjeżdżali do Niemiec z całymi rodzinami. Wielu ożeniło się na obczyźnie. Sporo było dzieci i młodzieży. Każdy blok miał swego gospodarza, któremu podlegało około dwustu ludzi. To on prowadził ewidencję mieszkańców, zgłaszał stany bloku w biurze ewidencji, pobierał suchy prowiant na śniadania i kolacje, rozdawał bloczki obiadowe oraz dbał o porządek w bloku. Pierwszymi blokowymi byli przeważnie dawni więźniowie, którzy już z lagrów znali ten rodzaj organizacji. Było wśród nich wielu inteligentów. Nie upłynął jeszcze miesiąc pobytu w Wildflecken, gdy Janek Stawarz przeżył swoje pierwsze rozczarowanie. Oto pewnego dnia zobaczył już na samochodach kilku swoich kolegów lagrowych. Byli między nimi Podoba, Gűnthner, Zguda, Żuławski i Sankowski. Wyjeżdżali transportem do kraju. Okazało się, że bez specjalnego rozgłosu zorganizowano wtedy pierwszy i – jak się potem okazało – jedyny w 1945 roku transport do Polski. Ci obozowi koledzy Stawarza pełnili w swoich blokach jakieś funkcje. Dowiedzieli się wcześniej o tym transporcie, zgłosili się na niego i teraz wyjeżdżali. Rozczarowany i trochę oburzony Janek, który o organizowanym transporcie nic nie wiedział, wrócił do swojego bloku.

W obozie, a raczej w tym małym polskim miasteczku w byłych koszarach Wildflecken panował już organizacyjny porządek. Każdy blok wybierał swojego radnego do Rady Miejskiej, a Rada wybierała ze swego grona prezydenta, wiceprezydenta i zarząd miejski. Prezydentem w Wildflecken został wybrany J. Rusinek. Już po wojnie Janek nie mógł sobie przypomnieć, czy był on byłym więźniem, czy nie. Zapamiętał go z tego, że chodził w płaszczu, który na plecach miał wszytą dobraną kolorystycznie łatę w kształcie okienka. Takie płaszcze cywilne noszono w ostatnim okresie w lagrach. Miały one na plecach wycięte kwadraty wielkości 10 na 10 centymetrów, załatane tkaniną o innym, różniącym się zdecydowanie kolorze. Takie płaszcze nosili jeszcze po wyzwoleniu byli więźniowie, ale

dopiero po artystycznym wszyciu odpowiedniej łaty. Podstawową cechą wybranego prezydenta było, jak to się potem okazało, zdecydowane poparcie dla rządu emigracyjnego w Londynie. Jego zastępcą wybrano byłego więźnia Dachau o nazwisku Thomas. Prezydentowi podlegały odpowiednie wydziały Rady Miejskiej, między innymi ewidencyjny, kwatermistrzowski, aprowizacyjny, kultury, a także obozowa policja pełniąca straż przy magazynach i w kuchniach. Na czele tej policji stał wtedy porucznik o nazwisku Dębiński. Ze względu na to, że wśród mieszkańców znajdowało się dużo dzieci, zorganizowano dla nich szkołę. Olbrzymią większość mieszkańców stanowili wierzący; dużo młodych zakładało nowe rodziny i przychodziły na świat dzieci. Na miejscu była kaplica, a ksiądz – dawny więzień z Dachau – odprawiał nabożeństwa, dawał śluby i chrzcił dzieci. Rozwijał się sport. Potrzebny sprzęt, jak piłki, rękawice bokserskie, stopery, dyski czy oszczepy dostarczyła UNRA. Była to „Administracja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy", utworzona jeszcze w 1943 roku przez cztery główne kraje alianckie. Do dyspozycji chętnych było boisko sportowe. Zorganizowano drużyny harcerskie, żeńską i męską. Powstała pół-wojskowa organizacja dla młodych kobiet. Janek zapamiętał, że nosiły one jednakowe berety. Założono teatr rewiowy kierowany przez pana Makowskiego pochodzącego z Warszawy. Teatr ten mógł się poszczycić udanymi rewiami i przedstawieniami. Przeprowadzono ewidencję wszystkich wojskowych oraz ich weryfikację, po której otrzymywali żołd. Organizowano kursy szycia dla kobiet i kursy samochodowe dla mężczyzn. W końcu miasteczko dochowało się własnych kierowców. Wydawano też miejscową gazetę. Jej redaktorem był Edmund Polak, poeta i pisarz, znany Jankowi jeszcze z Buchenwaldu, z drogi śmierci do Dachau, a potem z Freimannu. Jego pomocnikiem i zastępcą był także były więzień, Egers. Wszelkie spory między mieszkańcami bloku starał się załatwiać blokowy, ale był także w Wildflecken sąd składający się z sędziego i dwóch ławników. Jego członkami byli dawni więźniowie kacetów. Był nawet bunkier spełniający

rolę prowizorycznego aresztu. Do ujemnych stron życia należało tu pędzenie i picie bimbru. Pędzono go w piwnicach bloków. Surowcem była mąka, rzadziej cukier. Rolę pieniądza spełniały amerykańskie papierosy. Dostawali je na przydział wszyscy pracujący w miasteczku. Miało ono własną elektrownię, piekarnię, małą rzeźnię i wytwórnię wędlin oraz kuchnie.

Ze strony amerykańskich władz okupacyjnych obozem Wildflecken kierował dyrektor G. Masset. Na jego okrągłej pieczątce, oprócz nazwiska i stanowiska widniały litery AC 91-259, które najprawdopodobniej stanowiły numer ewidencyjny kierowanej przez niego jednostki. Mówiono, że Masset był francuskim Żydem. Zarzucano mu potem, że w czasie pełnienia przez niego funkcji dyrektora ginęły z paczek UNRY czekolada i papierosy, które następnie miano sprzedawać na czarnym rynku. Mówiono, że paczki UNRY były otwierane w specjalnym pomieszczeniu i dopiero po wybraniu z nich papierosów i czekolady pozostała zawartość dzielona była na bloki. Potwierdzeniem tego podejrzenia miał być fakt okradzenia dyrektorskiego magazynu z papierosów i czekolady przez nocnych złodziei. Śmiano się potem w miasteczku, że diabli mieli wtedy wspaniały ubaw, bo złodzieje okradli złodzieja. Drugim zarzutem stawianym dyrektorowi było to, że był przeciwnikiem powrotu Polaków do kraju, a zwolennikiem ich pozostania na zachodzie. Ciągle im radził, żeby spokojnie czekali na emigrację. Kierowana przez niego placówka UNRY rozdzieliła między mieszkańców używaną bieliznę, suknie, ubrania, płaszcze, kapelusze i cywilne obuwie. Rozdawano także przefarbowane mundury i buty wojskowe na gumowych wibramach. Toteż Jankowi Stawarzowi do jego białego, „lodziarskiego" stroju, do esesmańskiego munduru i kożuszka z kapturem doszły dalsze ciuchy.

Janek starał się być jak najbardziej użyteczny. Został wybrany delegatem do Rady Miejskiej ze swego bloku. Aktywnie zajmował się sportem i jego organizowaniem, brał czynny udział w pracach komisji socjalnej. W tej pracy społecznej znajdowała ujście jego ruchliwość i wrodzona niechęć do biernego czekania na

to, co przyniesie los. Często zastanawiał, co dalej robić. Po tym pierwszym transporcie do kraju, którym wyjechała część jego kolegów, nie było już następnych oficjalnych wyjazdów. Wracać „na dziko" nie chciał. Brakło mu na to i pieniędzy, i odwagi. Postanowił czekać, chociaż to, co widział w Wildflecken, nie napawało optymizmem.

W obozie narastał problem, który zdaniem samego generała Eisenhowera był – oprócz obozów koncentracyjnych – kolejnym zagadnieniem wywołującym już po wyzwoleniu najwięcej kontrowersji: problem „dipisów". Byli to obywatele głównie z krajów Europy Wschodniej, których hitlerowcy wywieźli do lagrów i na roboty przymusowe do Rzeszy lub krajów okupowanych. Po zakończeniu wojny pragnęli oni albo powrócić do swej ojczyzny, albo znaleźć sobie nowe miejsce osiedlenia na emigracji. Ze względu na to, że w olbrzymiej większości przypadków nie mogli tego zrealizować przy użyciu własnych środków, armie okupujące Niemcy organizowały dla nich obozy, dostarczały pożywienie, a w końcu organizowały transport. W szczególnie przykrym położeniu byli w tym czasie „dipisi" polscy. Składali się oni w przeważającej części z ludzi wywiezionych na przymusowe roboty. W czasie wojny zatrudniano ich przede wszystkim w przemyśle, górnictwie, rolnictwie i przy budowie dróg. Część „dipisów" stanowili byli więźniowie obozów koncentracyjnych i obozów jenieckich z terenu Rzeszy, a także warszawiacy wywiezieni po powstaniu. Niewielką grupę „dipisów" stanowili ci, którzy w czasie wycofywania się Niemców uciekali na zachód lub też znaleźli się na zachodzie już po ustaniu działań wojennych na terenie kraju. Z jednej strony na „dipisów" działała propaganda rządu londyńskiego strasząca wyjazdem „na białe niedźwiedzie" po powrocie do Polski, a z drugiej strony – wezwanie rządu z Warszawy do powrotu i do podjęcia trudu odbudowy zniszczonej ojczyzny. Wielu polskich „dipisów" nie wiedziało wtedy, co mają począć. Najmniej kłopotu z podjęciem decyzji mieli ci, którzy pozostawili w kraju rodziny, żony, dzieci i domy. Oni pragnęli jak

najprędzej powrócić. Drugą grupę chętnych do powrotu stanowili ludzie ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej, którzy całymi rodzinami wyjechali na roboty do Niemiec, bo tylko w tej decyzji widzieli ratunek dla życia. Wiek, rodzina, bariera językowa, brak konkretnego zawodu oprócz umiejętności pracy na roli, nie skłaniały tych ludzi do szukania szczęścia na emigracji. Raczej woleli wybrać powrót i osiedlenie na Ziemiach Odzyskanych. Ale sporo „dipisów", szczególnie młodych, którzy w czasie wojny i okupacji stracili w kraju rodziny i domy, decydowało się na emigrację. Nie mieli do kogo wracać. Podobnie nie mieli wyboru ci, którzy w czasie okupacji występowali przeciw organizacjom lewicowym i mogli być łatwo posądzeni o współpracę z okupantem. W sumie jednak około 85 procent optowało za powrotem do ojczyzny, a tylko około 15 procent za pozostaniem na emigracji. Jednak w tym okresie wszyscy mieszkańcy obozów byli niezadowoleni. Ci pierwsi dlatego, że wciąż odwlekano organizowanie transportów powrotnych do kraju, a drudzy dlatego, że nie robiono nic dla przyśpieszenia ich osiedlenia na emigracji i umożliwienia rozpoczęcia nowego życia. I jedni, i drudzy byli przeświadczeni o beznadziejności aktualnego położenia. Toteż niemało kłopotów przyczyniali opiekunom „dipisowskich obozów", tym bardziej, że byli przekonani o słuszności swoich postulatów. Dlatego też nie należy się dziwić stwierdzeniu gen. Eisenhowera, który w swej książce „Krucjata w Europie" pisze: „Ze wszystkich straszliwych wspomnień najstraszliwszym, jaki na zawsze zachowają amerykańscy uczestnicy wojny w Europie, pozostanie obraz „dipisów" oraz obozów śmierci stworzonych przez hitlerowców."

Wtedy to spotkał Janek Stawarz w Wildflecken starego znajomego, Adama Pieca. Tego samego Adama, który w czasie marszu śmierci z Ohrdruf do Buchenwaldu namawiał go do ucieczki i zwiał z transportu wraz z pierwszymi piątkami więźniów oraz konwojującym ich esesmanem. Opowiedział Jankowi, że ucieczka udała się znakomicie, że całą noc spędzili na poligonie, wypisali esesmanowi zaświadczenie o jego

pozytywnym zachowaniu się w czasie ewakuacji i pomocy udzielonej więźniom. Esesman uważał, że taki papier będzie stanowił dla niego najlepszy glejt do okazania Amerykanom i uniknięcie konsekwencji za przynależność do SS. Czy mu się to udało, nie wiadomo. Oni doczekali się rano przybycia Amerykanów. Niektórzy z uciekinierów objaśniali potem oswobodzicieli w Nordlagrze, w jakich warunkach wegetowali w obozach Ohrdrufu i pokazywali miejsca na ciałach zmarłych, z których wygłodzeni więźniowie wycinali swoje ostatnie pożywienie.

Adam niewiele robił sobie z postenketty żołnierzy amerykańskich i często opuszczał miasteczko polskich „dipisów" w Wildflecken. Zachęcony jego przykładem Janek postanowił ruszyć w podróż do angielskiej strefy okupacyjnej i dojechać w te okolice, gdzie stacjonowała dywizja pancerna generała Maczka. Ze stacji Wildflecken dojechał pociągiem do Frankfurtu nad Menem, a stąd ruszył na północ. Dojechał do miasta, w którym miał przesiadkę. Okazało się, że połączenie będzie dopiero w następnym dniu. Ruszył na miasto. Chciał się po nim rozejrzeć i ewentualnie poszukać noclegu. W drodze zobaczył mężczyznę jadącego na rowerze. Dysproporcja między ogromnym chłopem a niewielkim pojazdem była tak duża, że przyglądał mu się z zainteresowaniem. Rowerzysta zwolnił, bo i jemu nieduża postać Janka wydała się znajoma. Stanął i... rozpoznali się. Był to jeden z wychowanków Korpusu Kadetów w Rawiczu. Kończył naukę trzy lata przed Stawarzem, ale chłopisko było tak duże i zwaliste, że wszystkie roczniki dobrze go zapamiętały. Nazywał się Hincz. Okazało się, że w 1939 roku dostał się do niewoli i całą wojnę spędził w obozie jenieckim. Obecnie miał tu swoją kwaterę i zastanawiał się, co ma dalej robić. Na razie zaprosił Janka do siebie. Pojedli i popili – jak to Polacy. A następnego dnia Janek, zaopatrzony na drogę przez byłego kadeta Hincza, odjechał do miejsca stacjonowania pancerniaków generała Maczka. Po przybyciu na miejsce spotykał wszędzie młodych, opalonych chłopaków z napisami „Poland" na lewych rękawach zgrabnych,

angielskich hatteldresów i w czarnych pancerniackich beretach z białym orłem. Zaczął rozpytywać o byłych kadetów. Szybko znalazł znajomego. Był nim podporucznik Franciszek Wład z artylerii lekkiej, bratanek generała brygady Franciszka Włada, który w 1939 roku, będąc dowódcą 14. Dywizji Piechoty wchodzącej w skład Armii Poznań, poległ w bitwie nad Bzurą. Stryj był ojcem chrzestnym bratanka i dlatego przyszły kadet otrzymał na chrzcie jego imię. W czasie kampanii wrześniowej młody Wład w stopniu podchorążego dostał się do niemieckiej niewoli. Dwa razy uciekał z obozu jenieckiego w Prusach Wschodnich. Drugi raz – skutecznie. Wędrując przez całą Europę dostał się do Francji. W stopniu aspiranta brał udział w kampanii francuskiej i ponownie trafił tam w ręce Wehrmachtu. Ale znowu uciekł i przez Pireneje dostał się do Hiszpanii. Przesiedział w obozie w Miranda del Ebro, aż wreszcie po jego opuszczeniu dostał się drogą morską do Wielkiej Brytanii, a tam trafił do dywizji pancernej generała Maczka. Potem, po wylądowaniu w Normandii, wraz z dywizją walczącą w ramach II Korpusu Kanadyjskiego brał udział we wszystkich jej bitwach, aż w końcu znalazł się w północnej części Niemiec, stanowiącej angielską strefę okupacyjną, gdzie całkiem dobrze czuł się obecnie w roli okupanta. Podporucznik poznał Janka ze swoją narzeczoną. Stawarz przebywał u nich przez kilka dni. Prawdę mówiąc, nie czuł się dobrze w tym mieście. Odczucie to nie miało nic wspólnego z gościnnymi rodakami. Po prostu było mu trochę nieswojo. Wokół widział polskich oficerów, podoficerów a nawet zwyczajnych żołnierzy ubranych w dopasowane do figury eleganckie mundury, palących dobre, angielskie papierosy, nie liczących każdego grosza, spacerujących z roześmianymi polskimi dziewczętami. Czuł się nietęgo wśród tych rodaków w swoim przerabianym unrowskim ubranku i z kilkoma markami w kieszeni. Toteż niewiele się zastanawiając pożegnał znajomych i wrócił do miasteczka polskich „dipisów" w Wildflecken.

A tu nie działo się dobrze. Coraz bardziej wzrastało niezadowolenie mieszkańców. W postenkecie służbę wciąż pełnili

amerykańscy żołnierze. Wprawdzie niektórzy nic sobie z nich nie robili. Wychodzili i przychodzili, kiedy chcieli. Wracali objuczeni mięsem świń czy krów, kradzionych okolicznym bauerom. Zaczął kwitnąć handel. Przemycano całe beczki kiszonej kapusty. W większości mieszkań gotowano posiłki.

Przyszła wiosna 1946 roku. Niezadowolenie rosło. Nie tylko nie było transportów powrotnych do kraju, ale także nic nie robiono dla tych, którzy chcieli pozostać na zachodzie. Nie dopuszczano do kontaktów „dipisów" z oficerami Polskiej Misji Łącznikowej dla spraw repatriacji. Gdy pewnego dnia przyjechali oni samochodem z Frankfurtu nad Menem, agresywni przeciwnicy powrotu do kraju przewrócili ich pojazd i wzbronili wchodzenia na teren miasteczka. Niezadowolenie mieszkańców postanowił wykorzystać zarząd miejski i jego prezydent. Zaczęły się inspirowane odgórnie wystąpienia żądające przyspieszenia realizacji postulatów mieszkańców oraz zlikwidowania postenketty. To ostatnie żądanie zostało spełnione. Niemniej jednak niezadowolenie i opozycja w stosunku do prezydenta i zarządu miejskiego rosła. Nasiliła się ona szczególnie wtedy, gdy zaczęło się mówić, że miejscy „bonzowie" skupują złoto i dolary. Zaczęto zarzucać im wykorzystywanie stanowisk dla własnych interesów i bierność w kontaktach z amerykańskimi władzami obozu w sprawach repatriacji i emigracji. Wiosna działała szczególnie silnie zwłaszcza na mieszkańców pochodzących ze wsi, którzy jeszcze tak niedawno uprawiali własną ziemię. Na czele opozycji stanęło dwóch ludzi. Jednym z nich był dawny osadnik z Wołynia, podpierający się laską starszy już mężczyzna z sumiastym wąsem. Nazywał się Klichowski. Energicznie sekundował mu były wojskowy, sierżant Mieloch. Wspomagali ich także redaktorzy Edmund Polak i jego zastępca Egers. Dotychczasowe władze usiłowały się bronić wszelkimi sposobami. Doszło nawet do tego, że niektórym oponentom wybito szyby w mieszkaniach. Ale w końcu nastąpiła generalna rozprawa. Dotychczasowemu zarządcy zagrożono strajkiem pracowników tak ważnych zakładów miejskich jak elektrownia czy piekarnia.

Na kolejnym posiedzeniu miejskiej rady przegłosowano votum nieufności dla zarządu i prezydenta. Wtedy to prezydent i jego najbliżsi współpracownicy opuścili Wildflecken. Podobno wyjechali do Londynu.

Potem w miasteczku objęli władzę nowi ludzie. Na pierwszym zebraniu podjęto uchwałę, w której podkreślono, że mieszkańcy chcą sami decydować o swoim przyszłym losie i nikt nie ma prawa zabraniać im powrotu do kraju. Postanowiono równocześnie wysłać delegację do Przedstawicielstwa Polskiej Misji Repatriacyjnej we Frankfurcie nad Menem z prośbą o przyjazd jej oficera. Do składu pięcioosobowej delegacji został wybrany także Janek Stawarz. Oficerowie Misji przyjechali potem do Wildflecken i odpowiadali na pytania mieszkańców dotyczące warunków życia w kraju i możliwości osiedlania się na Ziemiach Zachodnich. Zaczęły się rozmowy z władzami amerykańskimi o przygotowanie transportów. Aktywny udział w sprawach repatriacji brał zastępca prezydenta, były więzień Buchenwaldu Ryszard Stankiewicz z Warszawy. Był znany w miasteczku z tego, że często zamieszczał swoje utwory poetyckie w miejscowej gazecie. Udzielał się w tej pracy także Janek Stawarz. Niemniej jednak ta ostatnia społeczna praca spowodowała, że wrócił do domu dopiero przy końcu 1946 roku. Pozostało mu z tego okresu zaświadczenie podpisane przez polskich oficerów łącznikowych Ordyńskiego, Karbowskiego i Martiniego informujące, że: „Stawarz Jan urodzony 24.IX.1919, zamieszkały w Krakowie ul. Piłsudskiego 77 w czasie pracy w Komitecie Repatriacyjnym wykazywał zapał i oddanie w sprawie repatriacji rodaków z Wildflecken."

W końcu i Janek wyruszył w drogę do kraju. Załadowani do pociągu towarowego, eskortowani przez żołnierzy amerykańskich, przejechali przez całą Czechosłowację do Dziedzic. Stąd, polskim pociągiem przyjechał Janek do Krakowa i do Prokocimia. Wraz z Jankiem wrócili wtedy między innymi Zygmunt Ziembicki, Edek Mastaj i Edmund Polak.

Nareszcie w domu - koszmar jednak wróci

Mogłoby się wydawać, że wraz z zakończeniem wojny i powrotem Janka do rodzinnego domu w Prokocimiu skończyły się jego przejmujące przeżycia... Ale nie... Życie jest bardziej skomplikowane i nie brakuje w nim niecodziennych i niespodziewanych przypadków i sytuacji. Otóż, począwszy od dnia wyzwolenia Buchenwaldu, to jest od 11 kwietnia 1945 roku, rozgrywała się równolegle akcja związana z osobą i nazwiskiem Stawarza, w której nie tylko nie brał on bezpośredniego udziału, ale także przez ponad dwadzieścia lat nie miał o niej najmniejszego pojęcia. Właśnie następnego dnia po wyjeździe Janka w transporcie ewakuacyjnym do Flossenbűrga dwadzieścia jeden tysięcy wolnych już więźniów Buchenwaldu witało żołnierzy amerykańskich z 3. Armii generała Pattona.

Gdy tylko ustały w okolicy działania wojenne, grupka obozowych kolegów Bolka Trombali postanowiła odszukać miejscowość, w której podczas marszu ewakuacyjnego z Ohrdrufu miała miejsce niefortunna ucieczka czterech więźniów i ich zastrzelenie. Odnaleźli w końcu tę niewielką wioskę. Nazywała się Sundremda, leżała obok miejscowości Remda na południe od Weimaru. Koledzy Bolka nie zetknęli się z Jankiem w czasie tych kilku dni między jego powrotem do Buchenwaldu a transportem ewakuacyjnym do Flossenbűrga. Byli przekonani, że wśród zabitych znajdował się również Stawarz, ponieważ słyszeli, że padł przy pierwszych strzałach esesmanów z konwoju. Zaczęli szukać grobu. Pytali mieszkańców. Wskazano im zbiorową mogiłę czterech zastrzelonych, położoną tuż za wejściem na niewielki, przykościelny cmentarzyk, obok niewysokiego muru ogrodzenia. Przy udziale żołnierzy amerykańskich i miejscowych władz załatwili kilka spraw. Przede wszystkim ukarano rudego mieszkańca wioski, który strzałami swojej strzelby i krzykiem zaalarmował esesmańską eskortę. Został on za to bez specjalnych ceregieli powieszony. Był podobno głównym nazistą w tej

miejscowości. Następnie polecono wydobycie zwłok więźniów z płytkiego grobu przy ogrodzeniu i przeniesienie ich w trumnach do nowego grobu w centralnej części cmentarza. Na koniec wyegzekwowano wykonanie odpowiedniego nagrobka, na którym miały być wyryte nazwiska ofiar i okoliczności ich śmierci. W związku z tym wystąpiły pewne komplikacje. Byli więźniowie Buchenwaldu pamiętali jedynie imię i nazwisko Bolka Trombali, który był dobrze znany w obozie. Pamiętali nazwisko Stawarza, ale nie mogli sobie przypomnieć jego imienia. Wiedzieli, że nosił on w lagrze przydomek „Kadet" i w związku z powyższym kazali napisać „Stawarz – Kadet". Nie przypuszczali nawet, że naprawdę zabitym więźniem był Władysław Feluś, a Stawarz żyje i przebywa w Dachau wyzwolonym przez czołgi 7. Armii USA. Pamiętali imię i przydomek „Podchorąży" kolegi Mariana pochodzącego z Lublina lub jego okolic, ale nie pamiętali nazwiska. Polecili napisać „Marian Podchorąży". Nie znali ani imienia, ani nazwiska więźnia przyprowadzonego przez wyrostków z Hitlerjugend, w związku z czym kazali napisać „Nieznany". Był to ten, którego śmierć prawdopodobnie uratowała życie Jankowi Stawarzowi. W centralnej części nagrobka polecili umieścić tekst w języku polskim opisujący okoliczności śmierci pochowanych tu kolegów. Pod nim miało się znajdować tłumaczenie w języku niemieckim. Całość tej sprawy, a w szczególności dopilnowanie wykonania nagrobka przekazali Polakom, którzy – wywiezieni w te okolice na przymusowe roboty – nie wyjechali jeszcze do kraju. To oni ustalili polski tekst napisu na nagrobku i przekazali go niemieckiemu kamieniarzowi. Niestety, tekst ten okazał się niezbyt poprawny językowo. Miał następujące brzmienie: „Tu leżą 4 Polskie Obywatele z obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, którzy zostali w Sundremda od gestapowców zastrzeleni, przy udziale miejscowej ludności." Pod spodem umieszczono tekst w języku niemieckim. Po bokach wyryto informacje o ofiarach: po jednej stronie widniały napisy „Trombala Bolesław", a pod nim „Stawarz Kadet'", po drugiej stronie miały być słowa „Marian Podchorąży" oraz „Nieznany",

ale może na skutek tego, że słowo „podchorąży" nie było wyraźnie napisane, wykuwający napis niemiecki rzemieślnik zrobił z tego „Podschrazy".

I w ten sposób Janek Stawarz, który w tym czasie przebywał w Dachau, został „za życia pogrzebany" przez umieszczenie nazwiska i przydomka „Kadet" na płycie nagrobnej w Sundremda. W rzeczywistości pogrzebano tam Władysława Felusia z Krakowa, zastrzelonego przez esesmanów podczas tej tragicznej ucieczki. Właśnie on nie był znany kolegom Bolka Trombali, ponieważ po przywiezieniu z Auschwitz w grudniu 1944 roku przebywał bardzo krótko w małym obozie w Buchenwaldzie, a potem w składzie jednego z transportów „Ru-Po" znalazł się w Nordlagrze. O sprawie pomnika nie wiedział Janek Stawarz nic, tak przez cały czas pobytu w amerykańskiej strefie okupacyjnej, jak i przez ponad dwadzieścia lat po powrocie do rodzinnego domu w Prokocimiu.

W międzyczasie jeden z kolegów Bolka, Stanisław Smoter ze Skrzydlnej zwany w Buchenwaldzie „Teściem", wracając po wojnie do domu odnalazł w Krakowie siostrę Trombali, panią Izabelę Piątkowską. Mieszkała ona przy ul. św. Stanisława 6, opodal kościoła na Skałce. Powiadomił ją wtedy o śmierci jej brata w czasie ewakuacji więźniów obozu Ohrdruf. Nie umiał bliżej określić miejscowości, w której zginął i został pogrzebany Bolek. Uważał, że coś więcej mógłby o tym powiedzieć przyjaciel Bolka, kolega Stawarz z Prokocimia, zwany w obozie „Kadetem". Smoter znał całą sprawę jedynie z opowieści innych więźniów. Powiedział jeszcze, że do bliskich kolegów zabitego należeli także Edek Gűnthner i Tadek Podoba. Pożegnał się i pojechał do domu, do Skrzydlnej.

Zgodnie z tą wskazówką, siostra Bolka postanowiła odszukać Stawarza i dowiedzieć się czegoś o miejscu i okolicznościach śmierci swego brata. Zdobyła adres Janka i poszła do Prokocimia na ulicę Bieżanowską 77. Tak nazywano teraz dawną ulicę Piłsudskiego. W domu był stary Stawarz. Spytany, czy rodzina ma jakieś wiadomości od syna odpowiedział,

że nic o nim nie wie, syn dotychczas nie wrócił do domu, ani też nie dał znaku życia. Jak wiemy, przebywał on wtedy w obozie „dipisów" we Freimannie. Pani Izabela pomyślała, że może i Janek już nie żyje. Nie chciała jednak martwić starego człowieka, pożegnała go i odeszła.

Przy końcu 1946 roku Janek wrócił do rodzinnego domu. Początkowo zamieszkał u ojca w Prokocimiu. Zaraz po powrocie, gdy minęły pierwsze chwile radosnego powitania tak długo nie widzianego syna, dostało się Jankowi od ojca. Za te karabiny i amunicję ukryte pod deskami poddasza rodzinnego domu. Ojciec znalazł je tam zupełnie przypadkowo. Wystraszył się okropnie. Nie zastanawiając się wiele, późnym wieczorem wyniósł ten niebezpieczny ładunek z domu i zatopił w położonym opodal stawie. Zrugał za to bardzo lekkomyślnego, jak się wtedy wyraził, jedynaka. Janek nie miał nic na swoją obronę, spuścił głowę i w duchu przyznał ojcu rację.

Po powrocie do domu Janek dowiedział się, że w obozach zginęli były kierownik pociągu Piwowarczyk oraz jego żona Krystyna. Ich dzieci przeżyły wojnę. Młodzi Piwowarczykowie nie mieszkali już przy ul. Krótkiej 6 – wyjechali z Krakowa. Z lagrów wrócili Dzikowski i Frankiewicz. Iliński podobno przeżył, ale do Krakowa nie wrócił. Janek dowiedział się także o śmierci swego wychowawcy z korpusu Kadetów w Rawiczu, kapitana Roberta Herolda, który zmarł w niemieckim oflagu.

W 1948 roku odwiedził Stawarz swego przyjaciela z Auschwitz i Buchenwaldu Janka Kiełba, tego samego Janka, z którym pracował w oświęcimskiej garbarni. Tam, w garbarni, z jednej strony Stawarza oczyszczał skóry Janek Kiełb, a z drugiej pułkownik Dziama, którego pod koniec 1943 roku rozstrzelano wraz z kapitanem Paolone-Lisowskim pod czarną ścianą śmierci. Janek Kiełb przed wojną był urzędnikiem pocztowym. W hitlerowskich lagrach był bliskim towarzyszem Stawarza, razem jechali w transporcie do Buchenwaldu, razem byli na kwarantannie w małym lagrze, a potem w bloku 44 i 16 w dużym obozie. Wspólnie ewakuowano ich pociągiem z Buchenwaldu do

Tachau, szli razem do Flossenbürga, a potem do Dachau. Energiczny i rozsądny Janek Kiełb cieszył się dużym uznaniem wśród kolegów w bloku 16. Teraz, po powrocie do domu, urlopowany przez Ministra Poczt i Telegrafów pełnił funkcję sekretarza w Polskim Związku Byłych Więźniów Politycznych w Krakowie. Związek ten miał swoją siedzibę w salach „Florianki" przy ul. Basztowej. W czasie odwiedzin Stawarza wspominali swoje lagrowe przeżycia i omawiali aktualną sytuację.

Właśnie w trakcie tej rozmowy do biura weszła petentka, która chciała otrzymać zaświadczenie związane z zaginięciem męża w hitlerowskich lagrach. Miała jego listy obozowe i kartkę z Polskiego Czerwonego Krzyża. Stawarz przysłuchiwał się tej rozmowie. Gdy padło nazwisko Feluś, Janek poderwał się z krzesła. Wziął do ręki list oświęcimski, a potem odczytał dane z kartki PCK. Był już pewien: obok niego stała pani Genowefa Felusiowa, żona Władka zabitego w Sundremda. Zgadzał się numer 57325 z Oświęcimia, zgadzały się dane z kartki PCK, na której w oparciu o zapisy z księgi Rentgena w Auschwitz i książki Poststelle w Buchenwaldzie widniały informacje, że Władysława Felusia przywieziono w dniu 16 grudnia 1944 roku do tego lagru i że otrzymał tam numer 4886. Janek domyślał się, że był to numer po jakimś zmarłym więźniu. Treść kartki kończyła informacja, że więźnia wysłano potem do jednej z komenderówek Buchenwaldu. Dalsze losy Władka Felusia znał dobrze Janek. Poruszony nieoczekiwanym spotkaniem opowiedział wszystko żonie kolegi, starając się jednak unikać drastycznych opisów. Niestety, niewiele mógł jej powiedzieć o miejscowości, w której zginął i został pochowany Władek. Po prostu zapomniał nazwę tej wsi. Pamiętał jedynie, że droga transportu ewakuacyjnego przebiegała obok miejscowości Stadtilm. Zbyt wiele kosztowało go tamto przeżycie. Po prostu nie zapamiętał tej nazwy. Obiecał żonie kolegi, że przy nadarzającej się okazji postara się odszukać grób jej męża w Radzieckiej Strefie Okupacyjnej. Jak wiadomo, Amerykanie wycofali się w lecie 1945 roku z Turyngii na ustaloną w Jałcie

granicę stref okupacyjnych. Na opuszczone tereny weszły wojska radzieckie.

Niewiele czasu upłynęło od spotkania z panią Felusiową we „Floriance". W roku 1949, w wyniku zjednoczenia jedenastu organizacji kombatanckich, które działały od zakończenia wojny, powstał Związek Bojowników o Wolność i Demokrację. Do ZBOWID-u włączono także Polski Związek Byłych Więźniów Politycznych. Wielu byłych więźniów nie wstąpiło początkowo do nowej organizacji kombatanckiej. Dotyczyło to w szczególności tych, którzy w czasie wojny byli aktywnie zaangażowani w ZWZ i w AK. Potem wstąpienie do ZBOWID-u stało się koniecznością, ze względu na obronę interesów byłych więźniów w zakresie odszkodowań, ochrony zdrowia oraz uzyskania odznaczeń państwowych. Po dawnym związku pozostały jedynie noszone w klapach odznaki z literami PZBWP, z czerwonym winklem i literą „P" na tle biało-niebieskiego fragmentu więźniarskiego pasiaka. Dopiero kilkanaście lat później, już w ramach nowej organizacji kombatanckiej, powstały kluby środowiskowe zrzeszające więźniów z tego samego obozu np. Oświęcimia, Majdanka, Buchenwaldu-Dory, Sachsenhausen czy Mauthausen-Gusen.

Jeszcze pod koniec 1948 roku przeniósł się Stawarz na pewien okres do Wrocławia. Pracował tam w Centrali Handlowej Przemysłu Chemicznego jako kierownik Działu Zbytu. Spotykał się tam często z Andrzejem Węglińskim, Arturem Karpikiem, Zbigniewem Jamrozem, Janem Majkiem i Adamem Piecem – tym samym, który uciekł w czasie marszu z Ohrdrufu do Buchenwaldu, a potem po wojnie przebywał okresowo w obozie „dipisów" w Wildflecken. W roku 1950 Janek wrócił do Krakowa i od października rozpoczął pracę w Przedsiębiorstwie Robót Kolejowych przy ulicy Worcella. Był tam kierownikiem sekcji planowania w dziale zaopatrzenia. Nie mieszkał już w Prokocimiu; odnajmował pokój przy ul. Anczyca 1 na Zwierzyńcu. W roku 1956 zmarł jego ojciec. Potem, w czasie okazyjnej podróży do NRD, odnalazł Janek miejscowość Stadtilm i przeszukał jej bliskie

okolice. Starał się odnaleźć grób zastrzelonych kolegów. Niestety nie udało mu się to. Nikt z pytanych mieszkańców nie umiał udzielić informacji naprowadzających na ślad.

Stawarz w dalszym ciągu pracował w Przedsiębiorstwie Robót Kolejowych (PRK-9). Zżył się tu ze swymi współpracownikami i ze środowiskiem. Jego skłonność do angażowania się w pracy społecznej, wykazywana już w obozie w Wildflecken, znalazła także odbicie w nowym miejscu pracy. W roku 1953 zorganizował koło sportowe „Kolejarz" przy PRK-9, gdzie przez trzy lata pełnił funkcję przewodniczącego. Odznaczono go za to srebrną odznaką Zrzeszenia Sportowego „Kolejarz". Od roku 1957 pełnił społecznie najpierw funkcję przewodniczącego Rady Zakładowej Zarządu, a potem całego Przedsiębiorstwa Robót Kolejowych nr 9. Jednocześnie był członkiem Prezydium Rady Robotniczej. Oprócz tego wchodził w skład Zarządu Okręgowego Związku Zawodowego Kolejarzy w Krakowie, a także w skład Plenum Zarządu Głównego ZZK w Warszawie. Jego czynne usposobienie realizowało się wtedy w pracy społecznej. W tym okresie zamieszkał przy ul. Wileńskiej 9/109.

Od czasu do czasu Janek spotykał dawnych kolegów. Byli wśród nich ci, którzy przeżyli wybiórkę w pamiętnej celi nr 55 na Montelupich i ci, z którymi los zetknął go w hitlerowskich kacetach. Różnie potoczyły się ich losy. Jerzy Panek, absolwent krakowskiego gimnazjum i były junak z 13. Hufca Pracy znad Narwi, studiował po wojnie u profesorów Eibischa i Pronaszki. Został malarzem i grafikiem, znanym ze swoich drzeworytów. Zdzisław Maciejasz ukończył studia techniczne i został profesorem Akademii Górniczo-Hutniczej. W międzyczasie dwaj koledzy z Prokocimia, Mietek Rewilak i Józek Zlatnik, z którymi wyprawa na studia do Lwowa omal nie skończyła się tragicznie w celach więzienia ustrzyckiego Kripo, zrealizowali swoje młodzieńcze zamiary: ukończyli studia, obaj zostali lekarzami, a w czasie wojny brali aktywny udział w akowskiej partyzantce. Z obozów wrócili do Prokocimia: Bolek Grausberg, Lucjan

Żemojtel, Józef Babicki, Józef Krzemień, Józef Kwieciński, Bogdan Marchwicki i Tadek Chmura. Pobyt w obozach i przeżycia wojenne nadszarpnęły zdrowie wielu kolegów. Zmarli: Antoni Skoda, Józef Orłowski i mgr praw Andrzej Weigel. Z kolegów, którzy byli w czerwcu 1942 w celi numer 55 na Montelupich, przeżyli: Heniek Zguda mieszkający w Holandii; Jurek Gaj, który po wojnie pracował najpierw w Polskim Radio w Krakowie, a potem wraz z dyrektorem Nardellim, także buchenwaldczykiem, przeniósł się do Szczecina; Rafał Żuławski, który ukończył studia rolnicze oraz Tadek Węgrzyn, absolwent chemii na UJ, przez wiele lat dyrektor „Miraculum", znanej krakowskiej fabryki kosmetyków. Właśnie on podczas bombardowania Buchenwaldu pracował na pierwszej zmianie w „Gustloff Werke" i wraz z kolegą Sefanem Boratyńskim cudem uniknął śmierci od bomb burzących oraz poparzeń od bomb fosforowych.

W międzyczasie dotarły do Janka dwie informacje związane pośrednio bądź bezpośrednio z korpusami kadeckimi. Tematy te raczej nie były przedmiotem oficjalnych rozmów między rodakami, zwłaszcza w trudnym okresie stalinowskim. Pierwszy z nich był związany z powołaniem Korpusu Kadetów im. gen. Karola Świerczewskiego, zwanego także Korpusem gen. Waltera. Istniał on w latach 1945-1956, a jego celem było przygotowywanie kadr oficerskich dla Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. KBW była formacją powołaną do umacniania władzy komunistycznej w Polsce. Janek, podobnie jak jego koledzy kadeci II Rzeczpospolitej, dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że oni nie mają nic wspólnego z kadetami gen. Waltera. Władze komunistyczne uważały przedwojenne korpusy kadeckie za szkoły elitarne przygotowujące kadry dla armii sanacyjnej, które wychowywały młodych ludzi w nienawiści do wszystkiego, co ich zdaniem było postępowe, głównie do Związku Radzieckiego. Ten zaś stanowił dla ówczesnych władz kraju podstawowy wzorzec do naśladowania.

Druga informacja, również związana tematycznie z kadetami, dotyczyła działającej w latach 1942-1948 na terenie Środkowego Wschodu, a potem w Anglii, Junackiej Szkoły Kadetów, którą uważano za kontynuatorkę korpusów kadeckich II Rzeczpospolitej. Stawarz dowiedział się o istnieniu tej szkoły dopiero po wojnie. Powstanie Junackiej Szkoły Kadetów związane było z ewolucją stosunków między polskim rządem na Zachodzie a Związkiem Radzieckim. Po podpisaniu paktu przez generała Władysława Sikorskiego i ambasadora Związku Radzieckiego w Londynie Iwana Majskiego oraz po zawarciu umowy polsko-radzieckiej zaczęto organizować Armię Polską w ZSRR. W miejscach koncentracji – obok tysięcy żołnierzy – pojawiła się także duża ilość dzieci i młodzieży. W oparciu o rozkaz generała Andersa z 12 września 1941 roku sformowano z nich oddziały junackie. Ewakuowano je potem ze Związku Radzieckiego przez Krasnowodzk do Iranu, stamtąd przez Irak do Palestyny. Opiekę nad nimi przejęło wojsko polskie. Jego dowódca na Środkowym Wschodzie, generał dywizji Józef Zając powołał do życia 27 czerwca 1942 Dowództwo Szkół Junackich. W zakresie jego zadań znalazła się organizacja systemu szkół wojskowych dla polskich dzieci znajdujących się w tym rejonie. Powstało wtedy kilkanaście szkół wojskowych różnych typów, tak podstawowych jak i średnich. Między innymi zorganizowano wtedy Junacką Szkołę Kadetów stacjonującą w Palestynie w obozie wojskowym w Barbarze. W latach 1942-1947 opiekę nad tą szkołą sprawowała 3. Dywizja Strzelców Karpackich. Uczyło się w niej ogółem około dwóch tysięcy chłopców, z których ponad 950 otrzymało świadectwa ukończenia gimnazjum, a 360 – świadectwa dojrzałości. Obóz szkolny w Barbarze był często wizytowany przez wysoko postawione osoby z kręgów polskich i alianckich. 28 czerwca 1943 roku był tu także, tuż przed swoją tragiczną śmiercią w Gibraltarze, generał Sikorski (zginął 4 lipca). Elewi tej szkoły zasilili potem szeregi 2. Korpusu. Niektórzy z nich brali udział w bitwie pod Monte Cassino, a także w walkach na całym Półwyspie Apenińskim.

Dwa lata po wojnie, w sierpniu 1947 roku przeniesiono Junacką Szkołę Kadetów z palestyńskiej Barbary do Anglii, gdzie ostateczne zakończenie działalności szkoły nastąpiło w lutym 1948 roku po ostatnim egzaminie dojrzałości.

Te dwie związane z tematyką kadecką informacje przypomniały Jankowi lata wczesnej młodości spędzone w korpusach Lwowa i Rawicza. Natomiast najbliższa przyszłość przyniesie szokującą informację, która w drastyczny sposób przypomni mu tragiczne wydarzenia z ewakuacji z Ohrdrufu. Wieś Sundremda, na terenie której rozegrała się tamta tragedia, leżała teraz w granicach Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Koszmar wraca po 20 latach

Właśnie wtedy, po upływie ponad dwudziestu lat od zakończenia wojny, siostra Bolka Trombali, pani Izabela Piątkowska otrzymała z Francji list. Był rok 1966. List był napisany w języku francuskim. Pisała Polka mieszkająca pod Paryżem, Zofia Samborska. Wywieziona w czasie wojny do Niemiec na roboty, wyszła za mąż za Francuza o nazwisku Gailard – tego, który podczas prowizorycznego pogrzebu czwórki zastrzelonych w czasie ewakuacji z Ohrdrufu do Buchenwaldu podniósł i schował listy Bolka Trombali, przerzucone przez Janka ponad cmentarnym ogrodzeniem. W liście z Francji była podana nazwa miejscowości, w której został pogrzebany Bolek. Nie było żadnych dokładniejszych danych. Pani Izabela wysłała wtedy list do NRD z prośbą o informację. W odpowiedzi przekazano bliższe dane. W oparciu o nie, wiosną 1967 roku Piątkowska wyjechała do Sundremda, okręg Rudolstadt w Turyngii. Z Erfurtu dojechała autobusem do Remdy, a stamtąd udała się pieszo do Sundremda. W końcu zobaczyła w oddali wieżę kościoła. Przyśpieszyła kroku i za chwilę weszła do wsi. Po drodze nie spotkała nikogo, jedynie od czasu do czasu uchylały się firanki w oknach. Widocznie nie często bywali tu obcy ludzie. Doszła do cmentarnego ogrodzenia.

Nie znalazła grobu przy murze. Dopiero w głębi cmentarza zobaczyła nagrobek, a na nim nazwisko brata. Była u celu. Uklękła przy grobie i pomodliła się za rozstrzelanych. Zapaliła cztery świece – każdemu po jednej. Zmówiła 'wieczne odpoczywanie'. Stwierdziła, że grób i jego otoczenie są dość dobrze utrzymane, że ktoś dba o mogiłę zabitych. Na cmentarz przyszło kilku mieszkańców wioski. Padły pytania i odpowiedzi. Miejscowy sołtys – kobieta – poprosiła panią Izabelę do swojego domu. Wtedy to pani Piątkowska dowiedziała się o losach brata i jego kolegów, o powieszeniu gorliwego hitlerowca, który dawał się wszystkim we znaki, o zbudowaniu nagrobka z pierwotnym napisem i jego późniejszej zmianie. Ludność miejscowa nie poczuwała się do winy, obciążała nią tego rudego nazistę, który poniósł już za to zasłużoną karę. Dlatego wymieniono płytę nagrobka opuszczając zakończenie napisu mówiące o współudziale miejscowej ludności. Pod skróconym tekstem polskim widnieją tam obecnie następujące słowa w języku niemieckim:

Hier Liegen 4 polnische
Staatsangehörige aus
Den K.Z. Buchenwald, die
Von der SS in Sundremda
Erschossen wurden

co w tłumaczeniu na język polski oznacza:

„Tu spoczywają 4 polscy obywatele z obozu koncentracyjnego Buchenwald, którzy zostali rozstrzelani przez SS w Sundremda".

Siostra Bolka nie wypowiadała na ten temat swojego zdania. Żałowała tylko, że przy zmianie napisu nie poprawiono tekstu w języku polskim, a także przydomku „Podchorąży". Widocznie podczas wymiany płyt nie było tam żadnego Polaka. Pani sołtys uzupełniła swoje wyjaśnienia jeszcze tym, że opiekę nad grobem sprawuje młodzież zrzeszona w miejscowej organizacji FDJ. Chciano wtedy zwracać Piątkowskiej koszty

związane z przyjazdem do Sundremda, ale nie skorzystała z uprzejmości miejscowych władz. Pozostała tu jeszcze przez dwa dni. Chodziła na cmentarz, świeciła świece i modliła się za dusze brata i jego kolegów. Także za duszę Janka Stawarza, którego nazwisko i przydomek były wyryte na płycie.

Po powrocie do kraju Izabela Piątkowska postanowiła zawiadomić o wszystkim rodzinę Stawarza w domu przy ul. Bieżanowskiej. Była tam już przecież w 1945 roku po zakończeniu działań wojennych. Po kilku dniach poszła do Prokocimia. Trochę nieswojo czuła się w roli zwiastuna złej wiadomości. Liczyła na to, że czas zaleczył już rany i uważała, że lepiej będzie gdy rodzina dowie się, gdzie jest pogrzebany syn i brat. Ojciec Janka już wtedy nie żył. Na podwórzu rozpoczęła pani Piątkowska rozmowę z siostrzeńcem Janka, kilkunastoletnim Witkiem Pawełkiem. Na pytanie, czy rodzina wie już coś o Janku, usłyszała odpowiedź, która wprawiła ją w osłupienie. Tak, wiemy – odpowiedział chłopiec, wujek już od dawna nie mieszka w Prokocimiu, obecnie mieszka przy ul. Wileńskiej 9, a pracuje w PRK na Bogatki. Cud, że pani Izabela nie zemdlała po usłyszeniu tej odpowiedzi. Chciała poinformować rodzinę o znalezionym grobie, o nagrobku z wyrytym napisem, a tu „zastrzelony Stawarz kadet" żyje w Krakowie. Poprosiła wtedy tylko o szklankę wody i wróciła do domu na ulicę św. Stanisława. Cała ta sprawa wydawała jej się tak zaskakująca, że nie wiedziała, co robić dalej. Za radą swego syna Adama postanowiła odszukać Janka Stawarza na Wileńskiej. Udali się tam, ale nie zastali go w domu. Nazajutrz młody Piątkowski zadzwonił do biura Przedsiębiorstwa Robót Kolejowych i umówił się ze Stawarzem na spotkanie w mieszkaniu swej matki. Tu przekonali się oboje, że Janek Stawarz rzeczywiście żyje i że to nie jego zwłoki leżą na cmentarzu w Sundremda. Padły obustronne pytania i wyjaśnienia. Ona mówiła o liście z Francji, o swej podróży do NRD, o znalezionym grobie, o powieszeniu hitlerowca i o pierwotnym oraz aktualnym napisie na nagrobku. On opowiedział o Bolku w Buchenwaldzie i w Ohrdruf, o marszu śmierci, ucieczce i zastrzeleniu czterech więźniów. Dalej o tym, że

pod płytą nagrobną w Sundremda leży krakowianin, którego nazwiska aktualnie sobie nie przypomina. To nazwisko tego kolegi winno się na niej znajdować, zamiast napisu „Stawarz – Kadet". Pani Izabela nie mogła opanować łez napływających jej do oczu, gdy wspominała brata. Był najmłodszy z rodzeństwa składającego się z czterech braci i dwóch sióstr. Pochodzili z Zaolzia, spod Karwiny. Ona go wychowała. Zastępowała mu zmarłą matkę. Przed wojną Bolek ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim. W czasie okupacji pracował w niemieckim hotelu jako portier. Na polecenie władz tajnej organizacji prowadził inwigilację przebywających tam gości, szczególnie tych umundurowanych. W dniu 31 maja 1942 roku wtargnęło do ich mieszkania gestapo. Przeprowadzono ścisłą rewizję, która trwała całą noc, ale nie znaleziono nic kompromitującego. Szukali wtedy Bolka i jakiegoś drugiego człowieka, który miał się u niego ukrywać. Po kilku dniach pani Piątkowska otrzymała wiadomość, że brata aresztowano na ulicy i że siedzi na Montelupich. Z więzienia napisał „Bedarfschein" – zapotrzebowanie na bieliznę, mydło i drobiazgi toaletowe. Po trzech miesiącach wywieziono go do KL Auschwitz. Tam otrzymał numer 39242. Z Auschwitz przysyłał listy dość często i regularnie. Siostra posyłała mu paczki, których odbiór stale potwierdzał. W pierwszej połowie 1943 roku korespondencja się urwała, od Bolka przestały przychodzić listy. Wreszcie nadszedł pierwszy list z Buchenwaldu. Bolek miał tam numer 11194. Znowu dosyć regularnie pisał do domu, a ona wysyłała mu paczki. Aż wreszcie pod koniec 1944 roku przestały przychodzić listy. Podobnie urwała się korespondencja z mężem pani Izabeli, Bolesławem Piątkowskim, który jako oficer Wojska Polskiego spędził całą okupację w niemieckiej niewoli, w obozie w Murnau. Po wojnie pierwszą wiadomość o śmierci Bolka przyniósł jego kolega Smoter ze Skrzydlnej, a potwierdził ją ten list z Francji, otrzymany dopiero 20 lat po wyzwoleniu. To on umożliwił rozpoczęcie poszukiwań grobu brata. Żegnając się ze Stawarzem pani Piątkowska spytała, czy nie ma jej tego za złe, że tam w Sundremda paliła mu świece i modliła się za spokój jego

duszy. Była przecież przekonana, że to jego zwłoki spoczywają pod kamiennym nagrobkiem na przykościelnym cmentarzu. Po wyjściu Piątkowskich Janek niezbyt dobrze czuł się w roli pogrzebanego za życia. Wyrzucał sobie, że nie zapamiętał nazwiska kolegi, z którego żoną rozmawiał we „Floriance" niedługo po powrocie do kraju. Postanowił, że musi sobie przypomnieć to nazwisko i odszukać rodzinę zabitego.

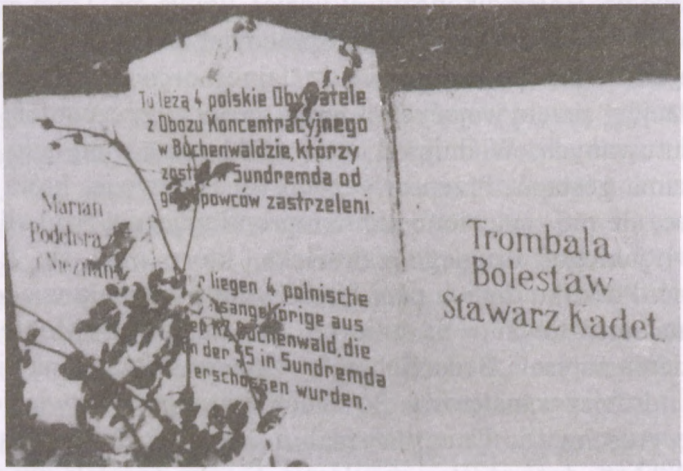

Płyta nagrobna na cmentarzu we wsi Sundremda, okręg Rudolstadt w Turyngii, upamiętniająca w dwóch językach zastrzelenie czterech Polaków z KL Buchenwald

Niedługo potem, w maju 1967 roku, w „Gazecie Krakowskiej" ukazał się artykuł zatytułowany „Kto zna rodziny pomordowanych? List z NRD." Było w nim zdjęcie nagrobka w Sundremda, a pod nim list o następującej treści:

„Zwracam się do redakcji o opublikowanie w gazecie załączonego zdjęcia pomnika poległych śmiercią bohaterów polskich żołnierzy i oficerów zamordowanych przez hitlerowców w czasie ostatniej wojny. Groby te znajdują się na terenie NRD w Sundremda G821, Weisbach, poczta Weisen, pow. Rudolstadt, woj. Gera. Wspomnianymi grobami opiekuje się osobiście burmistrz tego miasteczka. On też prosi uprzejmie

o skontaktowanie się z nim, w celu wyjaśnienia pocztą albo na miejscu członkom rodzin poległych, w jaki sposób zostali oni zamordowani przez hitlerowców. Dlatego prosimy o publikację zdjęcia w gazecie, w celu znalezienia rodzin poległych, gdyż wiemy, że rodziny te przypuszczalnie zamieszkują teren miasta Krakowa. Wszelkie pisma prosimy kierować na adres Peter Berhold 65 Gera. DDR. Blumestrasse 1. (Podpis) Peter Berthold. Z socjalistycznym pozdrowieniem dla całej Gazety i Czytelników."

Obok treści listu umieszczono następujący apel do rodaków: „Zwracamy się do naszych czytelników o pomoc w odszukaniu rodzin pomordowanych. Podajemy tekst wyryty na pomniku, którego zdjęcie powyżej zamieszczamy: 'Tu leżą 4 Polscy Obywatele z Obozu Koncentracyjnego w Buchenwaldzie, którzy zostali w Sundremda od gestapowców zastrzeleni.' Nazwiska Marian Podchsrazy i Nieznany, Bolesław Trombala i Stawarz Kadet. Ktokolwiek z naszych czytelników mógłby o pomordowanych lub ich rodzinach udzielić informacji, proszony jest o skontaktowanie się z naszą redakcją".

Treść apelu redakcji „Gazety Krakowskiej" jeszcze bardziej zmobilizowała Janka do odszukania rodziny tego kolegi z Krakowa, z którym przebywał przez kilka miesięcy w Nordlagrze i który wraz z trzema pozostałymi zginął tak tragicznie podczas ucieczki. W żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. Pamiętał tylko, że brzmiało ono jak imię i to zdrobniałe. Wreszcie przypomniał sobie, co ten kolega opowiadał o piorunie, który trafił w trybunę „Garbarni" i o synu, który był piłkarskim talentem. Stawarz pomyślał sobie, że jako syn wiernego kibica „Garbarni" człowiek ten powinien w niej grać. Postanowił wykorzystać ten ślad. Gdy pewnego dnia rozmowa między kolegami w biurze PRK zeszła na tematy piłkarskie, Stawarz opowiedział o nurtującym go problemie i o tym, że nazwisko, którego nie może sobie przypomnieć, to coś w rodzaju Bartusia lub Franusia. Wtedy jeden z doskonale obeznanych

z krakowską piłką kolegów – Stefan Sztuka – spytał: 'Czy przypadkiem nie chodzi o Felusia?'

Zagadka została rozwiązana... Teraz należało odnaleźć syna zmarłego kolegi. Janek nie znalazł adresu w książce telefonicznej ani w Urzędzie Dzielnicowym. Postanowił więc zadzwonić do zarządu klubu. I znów było po kłopocie: Zbigniew Feluś, syn obozowego kolegi Władka Felusia, był aktualnie trenerem „Garbarni".

Umówiony telefonicznie przyjechał do PRK. Znowu nastąpiła nieco chaotyczna wymiana informacji i wiadomości. Janek opowiadał o pobycie w Ohrdruf, o marszu śmierci w kierunku Buchenwaldu, o ucieczce i zastrzeleniu uciekinierów. Przypomniał ojcowską miłość Władka do swego „chłopaka", wiarę w piłkarski talent syna i nigdy niezachwianą wierność umiłowanej drużynie. Potem Zbigniew Feluś wspominał ojca. W czerwcu 1942 roku miał czternaście lat. Mieszkali w Podgórzu przy ul. Krasickiego 26. W tę samą noc aresztowano także Ludwika Tylka, jego żonę oraz Bolesława Grzybowskiego, mieszkających również na Krasickiego. Ojciec Zbyszka przebywał w więzieniu około sześciu tygodni. Wywieziony do Auschwitz otrzymał tam numer 57325. Ponieważ był bardzo dobrym krawcem, zdarzało mu się przerabiać lub dopasowywać mundury dla lagrowych nadzorców. Pracował w dobrym komandzie, bo na „Poststelle" (obozowa poczta). Wspominając ojca, syn podkreślał jego odwagę. Pomimo surowego zakazu przysłał on rodzinie swój portret zrobiony przez jakiegoś obozowego artystę: wizerunek połowy postaci, w pasiaku i lagrowej czapce, a na piersi trójkąt z literą P i numerem 57325. Przysłał także portret swej żony, matki Zbyszka, malowany przez tego samego artystę według przysłanej z Krakowa fotografii. Gdyby ta przesyłka wpadła w ręce gestapo, skutki byłyby zapewne dla wszystkich tragiczne. Z Auschwitz wywieziono ojca w grudniu 1944 roku do Buchenwaldu, a potem do jakiejś komenderówki. O tym dowiedziała się rodzina dopiero w 1948 roku, w czasie wizyty w biurze Związku Byłych Więźniów Politycznych. Była to ta wizyta we „Floriance", kiedy Janek

przypadkowo spotkał się z matką Zbyszka. Zbyszek pamiętał ojca szczególnie ze wspólnych wypraw na mecze „Garbarni". Utkwił mu w pamięci zwłaszcza ten dzień, kiedy siedzieli w czasie burzy na trybunie. Był to chyba I-ligowy mecz z łódzkim zespołem „Union Touring". Pamiętał, że bardzo się wtedy bał. Był przerażony, bo piorun zabił dwóch chłopców roznoszących wodę sodową oraz lekko poparzył ojca, który akurat opierał się o słup podpierający trybunę. A ojciec, niewiele przejmując się sobą, martwił się tylko, czy synowi nie stało się coś złego. Zgodnie z marzeniem ojca, Zbyszek już od 1946 był zawodnikiem „Garbarni". Od 1949 roku był podporą pierwszej drużyny, od 1963 roku instruktorem, a potem trenerem. Już od czterdziestu dwóch lat był wierny swemu klubowi, podobnie jak wierny był mu jego ojciec.

Spotkanie Stawarza ze Zbigniewem Felusiem odbyło się już po ukazaniu się w „Gazecie Krakowskiej" listu z NRD. Dlatego Janek napisał dla syna swego przyjaciela zaświadczenie o następującej treści:

„W związku z umieszczonym listem z NRD w Gazecie Krakowskiej Nr 126 z 1967 roku p.t. „Kto zna rodziny pomordowanych" zaświadczam, jako współuczestnik nieudanej ucieczki grupy więźniów z Buchenwaldu, a tym samym jako naoczny świadek dokonanego mordu przez SS, że w grobie na terenie NRD w Sundremda 6821 spoczywają między innymi zwłoki zastrzelonego, znanego mi osobiście ob. Władysława Felusia, ojca Zbigniewa Felusia. Zaświadczenie niniejsze sporządziłem celem przedłożenia go przez wyżej wymienionego Redakcji Gazety Krakowskiej, dla umożliwienia wyjazdu syna zamordowanego kolegi do Sundremda w NRD na grób ojca."

Autentyczność podpisu Stawarza pod tym zaświadczeniem potwierdziła sekcja kadr Przedsiębiorstwa Robót Kolejowych Nr 9 w Krakowie. Niedługo potem sam Janek wyjechał do Sundremda. Chciał się pomodlić nad grobem trzech kolegów oraz tego czwartego, którego śmierci najprawdopodobniej zawdzięczał własne życie. Trochę się bał, jak przeżyje jeszcze raz to wszystko

– tę fatalną ucieczkę, wspomnienie alarmu wszczętego przez rudego nazistę, te strzały konwojentów, to przylgnięcie całym ciałem do matki ziemi i ten porażający strach po zastrzeleniu kolegów. A potem ten prowizoryczny pogrzeb i wyjęcie listów z kieszeni Bolka Trombali; tych listów, które trafiły najpierw do Francji, a potem dopiero do rodziny Bolka.

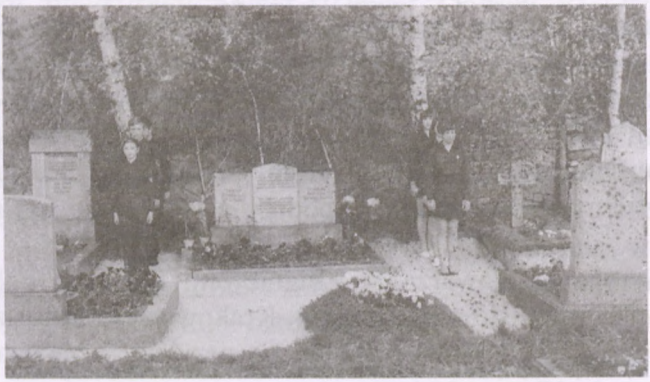

Miejscowa młodzież pełni wartę honorową przy grobie czterech Polaków zastrzelonych w Sundremda w roku 1945

Janek jechał zgodnie ze wskazówkami pani Izabeli Piątkowskiej. Podobnie jak ona, najpierw zobaczył wieżę kościelną w kotlinie i tak samo jak ona widział uchylające się w oknach firanki, kiedy przechodził przez wieś. Znalazł cmentarz koło kościoła, a na nim grób i nagrobek. Na nagrobku było jego nazwisko i ten znany z Buchenwaldu przydomek „Kadet". Chwilę stał w zadumie. Potem zapalił świece, przyklęknął i odmówił modlitwę za zmarłych. Następnie z twarzą ukrytą w dłoniach zaczął sobie jeszcze raz przypominać całe wydarzenie. Zastanawiał się nad tym całym splotem następujących kolejno zdarzeń, które miały taki tragiczny koniec. Przecież moment rozpoczęcia ucieczki był dobrze wybrany. Panowało duże zamieszanie, a esesmani zeszli z postenketty. Ich spostrzegawczość i zdolność reagowania po tym całonocnym

marszu i czuwaniu, nad ranem były na pewno osłabione. I tylko ten wybór trasy ucieczki, zresztą zupełnie przypadkowy, akurat obok domu najznaczniejszego nazisty w tej miejscowości. A potem to automatyczne „padnij" i odczołganie się w bok okazało się w efekcie lepsze niż dalsza ucieczka. Przecież gdyby kolegom udało się dobiec do lasu i ukryć się w nim, to prawdopodobnie tylko jego szczątki spoczywałyby dzisiaj w tej ziemi. I w końcu, ten niesamowity w swej dramaturgii przypadek, który sprawił, że akurat w tym momencie pojawiła się grupka wyrostków z Hitlerjugend ze schwytanym więźniem. To dzięki niemu dowódca konwoju dostał z powrotem „komplet" uciekinierów. Czy były to tylko przypadki, czy przeznaczenie na zasadzie powiedzenia – „co komu przeznaczono, to go i tak nie minie"... Kto mógłby dać odpowiedź na to pytanie... Stawarz był przekonany, że widocznie taka była wola Opatrzności i dlatego przeżył. On sam nie przyczynił się na pewno do tragedii kolegów. Ocalał dzięki trudnemu do wytłumaczenia zbiegowi okoliczności i żyje. A dziś stoi tu nad własną mogiłą. Trudno kogokolwiek winić za tę pomyłkę. Przecież wielu ludzi widziało, jak upadł na ziemię po pierwszych strzałach. Skąd mogli wiedzieć, że udało mu się przeżyć? A w tej mogile znajdują się szczątki Władka Felusia i jego nazwisko powinno figurować na nagrobnej płycie. Janek postanowił zapytać miejscowe władze o możliwość zmiany napisu na tablicy. Za chwilę przyszła na cmentarz przewodnicząca miejscowej Rady Narodowej. Po wstępnych wyjaśnieniach poprosiła Stawarza do swego domu. Janek opowiedział jej w skrócie swoje przeżycia w Sundremda sprzed dwudziestu lat. Kobieta powtórzyła znaną mu już z relacji Izabeli Piątkowskiej wersję o powieszeniu nazisty i zmianie napisu na tablicy nagrobka. Pozostali mieszkańcy wsi nie byli winni. Przecież sam Stawarz leżąc tam w górze odniósł wrażenie, że mieszkanki wsi wstawiały się za więźniami u dowódcy konwoju. Po tych wyjaśnieniach Janek zapytał, czy w związku z tym faktem, że on żyje, nie można by zmienić napisu na nagrobku. Usłyszał wtedy odpowiedź, że od zakończenia wojny minęło ponad dwadzieścia lat i w związku

z tym nie przewiduje się żadnych zmian, bo to i tak nic nie da i niczego praktycznie nie zmieni. Zresztą, trzeba byłoby wymienić całą płytę. W związku z takim postawieniem sprawy Janek przestał nalegać i tak pozostało. Także i jemu proponowano zwrot kosztów przejazdu, ale odmówił. Wrócił do domu w Krakowie.

Na apel ogłoszony w „Gazecie Krakowskiej" zgłosiły się do redakcji rodziny pomordowanych: Trombali i Felusia, a także Janek Stawarz. Przeprowadzono z nimi wywiady. Efektem tych wywiadów były potem artykuły prasowe redaktora Malinowskiego. Jeden z nich ukazał się 6 sierpnia 1968 roku w „Gazecie Krakowskiej" pod tytułem „Trzy opowieści, których drogi wiodą do Sundremdy", a drugi w organie ZBOWiD-u „Za Wolność i Lud" nr 1-15 X 1968 pod tytułem „Odnaleziony ślad". W artykułach tych, w oparciu o informacje Izabeli Piątkowskiej, Zbigniewa Felusia oraz Jana Stawarza przedstawiono losy zabitych, których nagrobek stoi na małym, przykościelnym cmentarzu w Sundremda.

Pomnik w Sundremda

Po ukazaniu się w gazetach artykułów redaktora Malinowskiego życie dopisało dalszy ciąg tej historii. W 1969 roku przy budowie trzech hut szkła i fabryki porcelany w Ilmenau na południu Niemieckiej Republiki Demokratycznej pracowały polskie ekipy budowlane. Otrzymywały one regularnie polską prasę. Kiedy budowlańcy przeczytali artykuły o tragicznych wydarzeniach w Sundremda, wzbudziło to ich wielkie zainteresowanie.

Część załóg budowlanych stanowili krakowianie, pracownicy Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego Huty im. Lenina, a nadzór organizacyjny nad pracami na budowach należał do przedsiębiorstwa „Generalne Realizatorstwo Inwestycji Przemysłowych" zwanego w skrócie GRIP. Dla tych krakusów wyjazd do wsi Sundremda położonej około 30 km na północny

wschód od Ilmenau nie był żadnym problemem. Zobaczyli tam nagrobek czterech zamordowanych Polaków, rozmawiali z miejscowymi ludźmi. Potem z inspiracji pracowników Biura Budowy „Budimex": Mieczysława Mazura, Stanisława Nowaka oraz Romana Rumińskiego i Stanisława Zalewskiego

Obelisk wzniesiony w Sundremda z inicjatywy polskich załóg budowlanych z Ilmenau, odsłonięty w roku 1971

postanowiono uczcić pomordowanych i upamiętnić miejsce ich śmierci przez wybudowanie w Sundremda pomnika. Wymienieni projektodawcy utworzyli komitet budowy. Do swojego grona

zaprosili inż. Jerzego Topolskiego pełniącego w Ilmenau funkcję głównego dyspozytora na budowie z ramienia krakowskiego GRIP. Zaproszenie podyktowane było między innymi tym, że inż. Topolski miał za sobą oprócz wykształcenia politechnicznego także studia na architekturze. Zwrócono się do niego z propozycją opracowania projektu pomnika z dostępnych na miejscu materiałów oraz wybrania dla niego lokalizacji w Sundremda. Sprawę tę uzgodniono uprzednio z lokalnymi władzami. Inżynier Topolski przyjął propozycję. Podkreślić należy, że wszystkie prace dokumentacyjne, wykonawcze jak i nadzór, realizowane były w czynie społecznym. Budową tego pomnika chcieli polscy budowlani z Ilmenau oddać cześć wszystkim Polakom pomordowanym w czasie wojny, a przez lokalizację w Sundremda szczególnie uczcić czterech więźniów obozu Buchenwald, spoczywających na miejscowym cmentarzu. Opracowanie projektu trwało krótko, bo do końca 1970 roku. Umożliwiło to przyjęcie terminu odsłonięcia pomnika na dzień 9 maja 1971 roku.

Projektant zaproponował pomnik z betonu w formie pionowo ustawionego graniastosłupa przypominającego obelisk, spoczywającego na fundamencie wykonanym w postaci czterech poziomych bloków, z których każdy miał symbolizować nagrobek jednego z zamordowanych więźniów. Na frontowej ścianie obelisku miały być cztery rowki, odwzorowane z metalowej formy. W ten sposób wzdłuż ściany otrzymano pięć pasów, które odwoływały się do więźniarskiego pasiaka uzupełnionego w swej górnej części odwzorowanym w betonie trójkątem z literą P, symbolizującym Polaka – więźnia obozu koncentracyjnego. Od połowy obelisku w dół, na długości stanowiącej około ¼ wysokości, przewidziano występ betonowy, który wywierając wrażenie obejmy ściskającej obelisk z czterech stron, miał symbolizować ucisk i niewolę więźniów w obozach koncentracyjnych. Na przedniej ścianie obejmy projektant przewidział umieszczenie tablicy wykonanej z brązu, z dwujęzycznym napisem. Oto jego treść w języku polskim:

Cześć
Pamięci Polaków
Pomordowanych
W latach 1939 – 1945

A pod nim w języku niemieckim:

Zum Ehrenden
Gedanken der, in den
Jahren 1939-1945
Ermordeten Polen

Między napisami przewidziano fragment gałązki wawrzynu. Projekt ten został przyjęty do wykonania.

Lokalizację pomnika także zaproponował inżynier Topolski. W czasie pobytu w Sundremda obszedł kilkakrotnie całą okolicę i wybrał miejsce na zboczu wzgórza, u stóp którego znajdowała się łąka, na której z początkiem kwietnia 1945 roku odpoczywał transport więźniów ewakuowanych z Ohrdrufu do Buchenwaldu. Przed ostatecznym ustaleniem miejsca pod budowę pomnika projektodawca ustawiał na zboczu wzgórza swoją córkę Dorotę, aby w ten sposób ułatwić sobie wybór możliwie najlepszego wariantu.

Do robót porządkowych i przygotowawczych dowożono na 2-3 godziny dziennie budowlanych po pracy w Ilmenau. Pracowali oni pod kierunkiem Mieczysława Ignaczaka. Pomagała miejscowa młodzież. Fundament i cztery bloki symbolizujące cztery groby wykonano w Sundremda z niegładzonego, surowego betonu. Między nimi pozostawiono otwór o przekroju kwadratu. W ten otwór wpuszczono przy pomocy dźwigu betonowy obelisk wykonany w odpowiedniej formie metalowej w Ilmenau.

Wiele zaangażowania w załatwianiu spraw bieżących związanych z budową pomnika wykazali przedstawiciele miejscowych władz z Sundremda i Rudolstadt. Uroczystość odsłonięcia pomnika odbyła się w 9 maja 1971 roku i była jednym z akcentów polskich obchodów Dnia Zwycięstwa w NRD.

Wcześniej do pani Izabeli Piątkowskiej, Zbigniewa Felusia i Janka Stawarza wysłano oficjalną delegację z Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego Huty im. Lenina, z zaproszeniem do wzięcia udziału w uroczystości. Pech chciał, że Stawarz był akurat w okresie rekonwalescencji po złamaniu nogi i nie mógł wyjechać do NRD. Na uroczystość odsłonięcia pojechali pani Piątkowska z mężem i siostrzenicą oraz Zbigniew Feluś. Janek Stawarz napisał wtedy list do Komitetu Budowy Pomnika, w którym usprawiedliwiał swą nieobecność, a równocześnie wyrażał podziękowanie za trud włożony w budowę pomnika. Pisał między innymi:

„Wydaje mi się słusznym podkreślenie, że wzniesiony przez Was pomnik dla upamiętnienia w Sundremda 4 więźniów obozu Buchenwald stanowić będzie jednocześnie symbol tysięcy bezimiennych więźniów tego obozu, poległych wiosną 1945 roku z rąk bestialskich esesmanów na drogach swej ewakuacyjnej męki i poniewierki. Niech mi zatem wolno będzie jako współuczestnikowi tragicznej ucieczki i najbliższemu przyjacielowi poległych w Sundremda złożyć wyrazy serdecznego podziękowania za tak cenną inicjatywę i wkład społecznej pracy całej Waszej Załodze".

List Janka Stawarza został potem odczytany w czasie akademii. Samo odsłonięcie pomnika miało bardzo uroczysty charakter. Licznie reprezentowane były załogi budowlanych z Ilmenau oraz Krakowa i Nowej Huty. Pomnik odsłonił wiceprzewodniczący Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa generał Edward Szpitel, zastępca Szefa Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego. Obecni byli: Radca Ambasady PRL w NRD, minister pełnomocny Kazimierz Szewczyk oraz przedstawiciele władz społecznych i politycznych. Gospodarzy reprezentowali przedstawiciele władz miejscowych i okręgowych. Zaproszono także dowództwo radzieckiego garnizonu oraz Narodowej Armii Ludowej NRD. Przedstawiciele obu tych armii pełnili wartę honorową podczas uroczystości. Kiedy grano Mazurek Dąbrowskiego, w oczach wielu obecnych

tam Polaków widać było łzy wzruszenia. Wyrazy wdzięczności dla wszystkich, którzy przyczynili się do budowy pomnika skierowali pani Piątkowska oraz Zbigniew Feluś. Ten ostatni żałował bardzo, że wraz z nim nie wzięli udziału w uroczystości i nie zobaczyli grobu ojca i dziadka jego żona oraz syn Marek i córka Danusia.

Kamila Stawarz – żona Janka

Wracając do naszego bohatera, w międzyczasie w jego życiu zaszły ważne zmiany. Ożenił się z panią Kamilą Szmyd, magistrem ekonomii i zamieszkali przy ul. Mazowieckiej 13. W czasie okazyjnej podróży po NRD Janek postanowił pokazać swojej żonie wieś Sundremda i Buchenwald. Trochę nieswojo czuła się pani Kamila patrząc na nazwisko swego męża na nagrobnej płycie. Dziękowała Bogu, że jest cały i zdrowy – że żyje. Pomodlili się nad grobem kolegów Janka i wrócili do Remdy. Stamtąd pojechali do Weimaru i weszli na górę Ettersberg. Tam, w Buchenwaldzie, Janek pokazał żonie fundamenty pozostałe po blokach 44 i 16, w których spędził 15 miesięcy swego życia w latach 1943-1944.

Udział Janka Stawarza w pracach społecznych

Klub Buchenwald-Dora

Rozwój wydarzeń, jakie nastąpiły po otrzymaniu przez panią Izabelę Piątkowską listu z Francji zmobilizował Janka Stawarza do częstszych spotkań z lagrowymi kolegami. W czasie jednego z takich „kawiarnianych posiedzeń" doszli do wniosku wraz z Zygmuntem Oliwą-Orskim, Piotrem Filipowiczem, Aleksandrem Leją i Rafałem Żuławskim, że celowym byłoby reaktywowanie zamarłej od kilku lat działalności środowiskowego klubu byłych buchenwaldczyków. Niemało mieszkało ich wtedy w Krakowie i w województwie krakowskim. Każdy zobowiązał się do powiadomienia kolegów i znajomych – byłych więźniów Buchenwaldu o terminie planowanego zebrania organizacyjnego. Na przewodniczącego klubu przewidzieli kolegę Stefana Dziwlika, znanego działacza partyjnego w mieście. W czasie pobytu w Buchenwaldzie był on zatrudniony w „Arbeitsstatistik" (obozowym biurze zatrudnienia). Pracował tam razem z Wacławem Czarneckim i Henrykiem Rowińskim, późniejszymi więźniami Nordlagru w Ohrdruf, walczącymi o poprawę warunków w tym obozie. Zebranie organizacyjne, w którym wzięło udział kilkunastu byłych buchenwaldczyków, odbyło się pod koniec 1966 roku. Wybrano zarząd klubu. W jego skład weszli: przewodniczący – Stefan Dziwlik, zastępca – Janek Stawarz, skarbnik – Zygmunt Orski oraz sekretarz – Aleksander Leja. Cotygodniowe spotkania początkowo odbywały się w świetlicy Poczty Głównej w Krakowie, następnie w świetlicy Przedsiębiorstwa „Prasa-Książka-Ruch" przy ul. 1 Maja. To nowe miejsce zebrań zawdzięczali bardzo aktywnemu koledze, Marianowi Gawlickiemu. Ze względu na nadmiar zajęć w pracy

politycznej i społecznej przewodniczący klubu nie był w stanie poświęcać mu zbyt wiele czasu. W związku z tym, całością spraw organizacyjnych zajmował się jego zastępca, Janek Stawarz. Z biegiem czasu na zebrania zaczęło przychodzić coraz więcej kolegów.

Szybko okazało się, że podobnie jak i w innych klubach środowiskowych grupujących byłych więźniów Auschwitz, Majdanka, Gross Rosen, Mauthausen-Gusen, Sachsenhausen czy Ravensbrűck, większość tych więźniów najlepiej czuje się we własnym gronie. Tu, w klubie, rzadko pojawiały się kłopoty ze znalezieniem wspólnego języka, tu nie liczyło się aktualnie zajmowane stanowisko, wykształcenie czy przynależność do takiej czy innej grupy społecznej. Tu można było swobodnie porozmawiać używając często dawnych, obozowych wyrażeń,

Jan Stawarz z ulubioną fajeczką w towarzystwie kolegów z klubu Buchenwald-Dora

nie stroniąc od wisielczego, lagrowego humoru. Tu wszyscy byli kolegami. Tu można było spotkać się z przyjacielem czy znajomym i powspominać te czy inne chwile z lagrowego życia. Ten powrót w rozmowach do wspólnych przeżyć obozowych i wspominanie kolegów, którzy nie przeżyli, najsilniej łączyły

byłych häftlingów. Można zaryzykować stwierdzenie, że niektórzy z więźniów, szczególnie samotni, lepiej czuli się w klubie niż w domu. Poza tym, wielu z nich to byli ludzie chorzy, potrzebujący na bieżąco leków i wymagający opieki lekarskiej. A tej, nie odmawiali kolegom byli więźniowie – lekarze. Zarząd klubu zapoczątkował opracowanie kartoteki. Wydawano co kwartał „Biuletyn Informacyjny", w którym omawiano aktualne sprawy klubu, a także wiadomości związane z potrzebami członków, jak np. problem zaświadczeń z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z Arolsen w RFN. Informowano o nowych książkach o tematyce obozowej. Prowadzono listę dobrowolnych składek członkowskich na cele klubu. Jeśli chodzi o dodatkowe zbiórki pieniędzy na potrzeby bieżące klubu, należy wspomnieć nieżyjącego już Janka Wacia, który na zebraniach zbierał datki do własnej czapki.

W latach siedemdziesiątych pracę w klubie rozpoczął doktor medycyny Wiktor Krzyżanowski, który początkowo pełnił w zarządzie funkcję przewodniczącego komisji socjalnej. W roku 1972 Stawarz zaczął niedomagać na zdrowiu i w związku z tym zrezygnował z pracy w zarządzie. Ponieważ w tym samym czasie kolega Dziwlik zrezygnował z funkcji przewodniczącego, na wniosek ustępującego zarządu wybrano przewodniczącym dr Krzyżanowskiego. Początkowo pracował on z pozostałą częścią starego zarządu, a potem doszli do niego nowi koledzy, między innymi nieżyjący już Mieczysław Albin, stary oświęcimiak, który w marcu 1943 roku – podobnie jak Janek Stawarz i pozostali – przyjechał transportem do Buchenwaldu. Jako przewodniczący Komisji Organizacyjnej, aktywnie uczestniczył w organizowaniu w latach 1973-1979 kilku wycieczek byłych więźniów do Buchenwaldu z okazji rocznicy wyzwolenia obozu.

Klub, który początkowo nosił nazwę „Klub Buchenwald", rozszerzył potem swój zakres działania i obecnie nosi nazwę „Klub Buchenwald-Dora". Objął swą działalnością także więźniów „Dory", pierwotnie największego z podobozów Buchenwaldu, który pod koniec 1944 roku został samodzielnym

obozem koncentracyjnym „KL Mittelbau". Klub liczył wtedy około dwustu członków i podopiecznych. Opracowanie dokładnej kartoteki wszystkich członków to zasługa bardzo energicznego i operatywnego sekretarza, kolegi Stanisława Proroka, który wraz z Gerardem Czaplińskim prowadził w tym trudnym okresie działalność socjalną.

Pomoc lekarską dla członków klubu organizuje od lat na bieżąco dr Krzyżanowski, któremu w początkowym okresie pomagali koledzy Tadeusz Śliwiński i Jerzy Molik. W pracach zarządu brali lub biorą nadal aktywny udział koledzy Marian Gawlicki, Kazimierz Denker, Stanisław Juszczyk, Tadeusz Przybyłowicz i Józef Białek. Na uznanie zasługiwała praca kolegi Jerzego Dutkiewicza, który załatwiał dla kolegów sprawy wczasów i sanatoriów. Początkowo zebrania klubu odbywały się w stołówce szpitalnej przy ul. Kopernika 7, potem w lokalu Związku Inwalidów Wojennych przy Placu Biskupim, a w końcu w pomieszczeniu Towarzystwa Opieki nad Majdankiem przy ul. Świerczewskiego 5.

Na przełomie lat 1986/87 członkowie ufundowali sztandar dla klubu. Kilku z nich brało czynny udział w pracach komisji do spraw budowy na Cmentarzu Rakowickim pomnika upamiętniającego więźniów pomordowanych w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych. Tu należy przede wszystkim podkreślić wkład pracy i inwencję kolegi Zbigniewa Nowakowskiego, który był zastępcą przewodniczącego komisji, nieżyjącego już dziś Augusta Gołębiowskiego. Udział w pracach tej komisji brali także inni członkowie „Klubu Buchenwald-Dora": Kazimierz Szostak, Wiktor Krzyżanowski i Józef Białek, a z innych klubów Bogusław Maliszewski i nieżyjący już Jerzy Sobczak.

W tym bardzo krótkim opisie działalności klubów środowiskowych byłych więźniów w Krakowie nie można przy okazji nie wspomnieć osoby, zaangażowania i wkładu pracy doktora Stanisława Kłodzińskiego, długoletniego więźnia KL Auschwitz. Jego pomoc i działalność w pełni doceniają byli

więźniowie nie tylko z terenu Krakowa i najbliższych miejscowości. Jego „klub" dla byłych więźniów, urządzony w prywatnym mieszkaniu przy ul. Kremerowskiej 3, znany był w całym kraju. Należy mieć nadzieję, że w przyszłości zostanie odpowiednio docenione i przedstawione tak, jak na to zasługuje społeczne zaangażowanie, poświęcenie i wielkie serce tego skromnego lekarza, który zdobył sobie szacunek i wdzięczność kolegów, byłych więźniów hitlerowskich kacetów. Podobnie godna najwyższego uznania jest działalność doktora Wiktora Krzyżanowskiego w „Klubie Buchenwald-Dora" a także dr Heleny Ślizowskiej i jej zespołu w przychodni dla byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Oby tacy ludzie na kamieniu się rodzili.

Pamięci poległych mieszkańców Prokocimia

Janek był już od dawna na emeryturze. Jako były mieszkaniec Prokocimia należał do osiedlowego koła ZBOWiD podległego zarządowi w Podgórzu. W czasie rozmów z kolegami uświadomił sobie, jak wielu mieszkańców rodzinnego przedmieścia straciło życie w obozach koncentracyjnych w czasie wojny. Szczególnie tragiczne w skutkach były aresztowania w dniach 10 i 24 czerwca 1942 roku. Z aresztowanych w tym jednym tylko miesiącu, w obozach zginęły 32 osoby, a z aresztowanych w innych okresach nie wróciło do domów około 20 mieszkańców Prokocimia. Na jednym z zebrań koła w 1976 roku Janek postawił wniosek, żeby uczcić pamięć poległych i pomordowanych mieszkańców Prokocimia przez wybudowanie pomnika. Wniosek Janka podjęli inni koledzy, a w szczególności przewodniczący koła Mieczysław Konieczny i sekretarz, inż. Józef Tarnawa, dobrze znany pracownikom „Kabla". Jeden z inżynierów opracował projekt pomnika i wykonał jego makietę. Ktoś zaproponował, aby wykorzystać kamień pozostały po budowie fundamentów kościoła w Prokocimiu.

29 maja 1977 roku: uroczystość odsłonięcia przed Szkołą Podstawową nr 61 pomnika ku czci mieszkańców Prokocimia poległych i pomordowanych w latach 1939-1945

Wybrano komisję weryfikacyjną, która miała ustalić nazwiska poległych i zamordowanych w obozach. Jej przewodniczącym został Janek Stawarz, a sekretarzem kolega Józef Kołek. Janek zabrał się aktywnie do zbiórki funduszy na ten cel, nie omieszkał przy tym wykorzystać swoich lagrowych znajomości. Dzięki staraniom dyrektora Jaglarza z Urzędu Finansowego Miasta Krakowa, także byłego kadeta, otrzymano odpowiedni kamień z kamieniołomu ze Strzegomia. W dniu 29 maja 1977 roku odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika ku czci obywateli Prokocimia poległych na wszystkich frontach i w obozach zagłady w czasie II wojny światowej. Pomnik zlokalizowany jest obok Szkoły Podstawowej nr 61 przy ul. Popławskiego 15. W górnej części pomnika projektant przewidział następujący fragment z utworu Władysława Broniewskiego:

„To oni wolą nieugiętą uczyli nas jak żyć,
Jak bić się, jak gardzić życiem, kochać życie
Ażeby syn i wnuk pamiętali"

Pod tym napisem widnieją słowa:

oraz ich nazwiska i imiona w dwóch kolumnach. W ten sposób uczcił Prokocim swoich mieszkańców, którzy byli ofiarami drugiej wojny światowej. Wśród osób wymienionych na pomniku znajdują się między innymi Józef Michalec, Edward Kwaśny i Mieczysław Pietras, którzy zmarli w KL Auschwitz oraz Jan Zaremba rozstrzelany na Montelupich.

Nie sposób nie wspomnieć tu o rodzinie Kwiecińskich. Ojciec Tadeusz Kwieciński, który był właścicielem restauracji i sklepu spożywczego w Prokocimiu, miał pięciu synów – Teofila, Antoniego, Stefana, Józefa i najmłodszego – Janka, który w chwili aresztowania miał piętnaście lat. Teofil na przełomie sierpnia i września 1939 roku był wraz ze Stawarzem w 13. Junackim Hufcu Pracy w Nowogrodzie nad Narwią, a potem pod Zdołbunowem. Podobnie jak Janek uciekł wtedy z niewoli, jednak przy przekraczaniu Sanu wpadł w ręce Niemców i cały okres wojny spędził w obozie jenieckim. Po oswobodzeniu w roku 1945 wyjechał do USA i osiadł tam na stałe. Pozostali czterej bracia zostali aresztowani przez gestapo w pamiętnym czerwcu 1942 roku. Po kilkunastu dniach zwolniono z więzienia na Montelupich najmłodszego Janka, a trzech starszych braci wywieziono do KL Auschwitz. Dwóch z nich, Antoniego i Stefana, widział Stawarz w dniu 29 sierpnia 1942 roku na podworcu między blokami 20 i 21. Zwolniony przedwcześnie z tyfusowego bloku nr 20 i zatrudniony w kartoflarni, pozorował wtedy jakąś pracę na schodach baraku między blokami 25 i 26, i stamtąd obserwował załadunek chorych i ozdrowieńców. Obaj Kwiecińscy, którzy byli wtedy rekonwalescentami po przebytym tyfusie, czekali na transport samochodowy do Birkenau. Oficjalnie mówiono więźniom, że jadą do „bloków szonungowych" (bloków rekonwalescencji). Ale była to tylko perfidia SS. W ramach „radykalnej walki z epidemią tyfusu" wszyscy chorzy

i ozdrowieńcy z bloku 20, którzy przetrzymali chorobę, zostali w Birkenau zagazowani. W tym okresie nie było tam jeszcze słynnych „wysoko wydajnych" komór gazowych. Wszystkich tych więźniów w ilości około 750 uśmiercono wtedy w prowizorycznej komorze gazowej, której rolę spełniał odpowiednio przystosowany wiejski domek. „Oczyszczenie" bloku nr 20 z potencjalnych żywicieli wszy tyfusowych było podobno zrealizowane na polecenie lekarza garnizonowego SS, który w ten barbarzyński sposób chciał zwalczyć epidemię tyfusu w obozie. Zginął wtedy także mój kolega z organizacji płaszowskiej Fredek Ułan, rekonwalescent po świeżo przebytym tyfusie. Widział go na podwórzu między blokami 20 i 21 dr Stefan Budziaszek, który potem przez swego ojca, maszynistę kolejowego z Oświęcimia, powiadomił rodzinę Fredka w Płaszowie o jego śmierci. Imiona i nazwiska obu braci Kwiecińskich, zagazowanych wtedy w Birkenau, znajdują się na pomniku. Trzeci z nich – Józef – przeżył lagry. Jako brotauflader (ładowacz chleba) wspomagał w obozie znajomych z Prokocimia. Po wojnie wrócił do rodzinnego domu.

Lista nazwisk na tablicy pomnika w Prokocimiu często przypominała się Jankowi Stawarzowi. Były tego dwie przyczyny. Po pierwsze, na liście znajdowało się nazwisko jego najlepszego kolegi z ostatnich lat pobytu w Korpusie Kadetów w Rawiczu. Był to Zbyszek Wojakowski, z którym Janek siedział w tej samej ławce, razem powtarzali jedną klasę, razem zdawali maturę w 1939 roku. W czasie wojny Niemcy zabrali rodzinie Zbyszka mieszkanie w Krakowie i wtedy Wojakowscy przenieśli się do Prokocimia. W pierwszym okresie okupacji należał Zbyszek do tajnej organizacji SZP (Służba Zwycięstwu Polski), potem do ZWZ i AK. Miał pseudonimy „Hieronim" i „Przewodzic". Brał czynny udział w akcji „Wachlarz" na terenach wschodnich, a potem w działaniach organizowanych przez krakowski „Kedyw". Nieszczęśliwy finał jednej z akcji spowodował, że wpadł w ręce gestapo i w dniu 28 października 1943 roku został rozstrzelany w Krakowie. Zbigniew Wojakowski nie był zasiedziałym od lat

mieszkańcem Prokocimia tak jak pozostali i z tego powodu niektórzy członkowie komisji weryfikacyjnej zastanawiali się, czy należy umieścić jego nazwisko na tablicy. Przeważyło logiczne zdanie większości oraz przewodniczącego, że wprawdzie Wojakowski niedługo mieszkał w Prokocimiu, ale do chwili śmierci był tam zameldowany i w związku z tym należy go traktować jak pozostałych mieszkańców.

Druga sprawa dotyczyła nazwiska (a raczej jego braku na tablicy) podporucznika Antoniego Jeziorskiego. Janek nigdy nie mógł sobie darować niedopatrzenia w pracy komisji weryfikacyjnej i nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że przy mrówczej pracy wieloosobowej komisji i przy tak drobiazgowej analizie nazwisk mieszkańców Prokocimia, którzy w czasie wojny stracili życie, pominięto nazwisko Jeziorskiego. Był on synem konduktora kolejowego. W Prokocimiu mieszkał u Pietrasów. Przed wojną był oficerem zawodowym, podporucznikiem 4. Pułku Piechoty Legionowej w Kielcach. Zginął w 1939 roku w czasie obrony Modlina. Został odznaczony przez gen. Thomme Krzyżem Walecznych. Przeoczenie to było tym bardziej przykre dla Stawarza, że podporucznik Jeziorski był absolwentem KK 3 Rawicz z roku 1936.

Wniosek prokocimskiego ZBOWiD-u odrzucony przez władze dzielnicy

W czasach PRL istniał w dziejach Krakowa okres, w którym miasto dzieliło się administracyjnie na cztery duże dzielnice. Były to Śródmieście, Krowodrza, Zwierzyniec i Podgórze. Do dzielnicy Podgórze należały wszystkie części miasta położone na prawym brzegu Wisły od Tyńca po Bieżanów, w tym także Prokocim. Dzielnicowa Rada Narodowa miała swoją siedzibę w Rynku Podgórskim. Właśnie do przewodniczącego Rady Podgórza zwrócił się Zarząd Osiedlowego Koła ZBOWiD-u w Prokocimiu z pismem dnia 28 listopada 1976 roku, w którym –

w oparciu o uchwałę podjętą na otwartym zebraniu członków koła z udziałem mieszkańców Prokocimia – wnioskował o zmianę nazwy ulicy Prostej na ulicę Lotników Prokocimia (chodziło o lotników z okresu 1939-1945).

Wniosek uzasadniono następująco: udział obywateli Prokocimia w II wojnie światowej określają nie tylko straty osobowe poniesione w tej wojnie, które przedstawia tablica na „Pomniku Chwały" stojącym przed szkołą podstawową przy zbiegu ulicy Prostej i Popławskiego. Udział ten, to także pełna chwały droga synów prokocimskich kolejarzy, którzy tu w Prokocimiu rodzili się, mieszkali, uczyli się i wychowywali. Tu kształtowała się ich patriotyczna postawa, nakazująca dotrzeć przez Bałkany i Francję do Polskich Dywizjonów Lotniczych w Wielkiej Brytanii i wziąć czynny udział w powietrznych walkach z niemiecką Luftwaffe.

W piśmie wymieniono imiona i nazwiska, stopnie wojskowe, adresy w Prokocimiu i pochodzenie następujących lotników:

- sierż. pil. Bujak Adam, Prokocim ul. Bieżanowska 54, syn ślusarza PKP
- kpt. pil. Chałupa Stanisław, Prokocim ul. Solarzy 9, syn kierownika pociągu
- kpt. pil. Gorzula Mieczysław, Prokocim ul. A. Libery 11, syn konduktora PKP
- mjr pil. Janus Stefan, Prokocim ul. Snycerska 25, syn konduktora PKP
- por. pil. Habela Adam, Prokocim ul. Popławskiego 7, syn maszynisty PKP
- mjr pil. obserwator Król Stanisław, Prokocim ul. Darasza 5, syn urzędnika PKP
- por. pil. Grzech Jan, Prokocim ul. Solarzy 4, syn palacza PKP
- plut. pil. Korepta Jan, Prokocim ul. Kumali 6,syn kotlarza PKP
- por. pil. Stępień Józef, Prokocim ul. Prosta 15, syn stolarza PKP
- podoficer mech. Szebor Kazimierz, Prokocim ul. Legionów, syn ślusarza PKP

- kpt. pil. Żurek Stanisław, Prokocim ul. A. Libery 10, syn kierownika pociągu.

W uzasadnieniu wniosku o zmianę ulicy przedstawiono sukcesy bojowe wymienionych lotników. W treści pisma do Rady Dzielnicowej znalazło się także retoryczne pytanie: Czy istnieje u nas druga tak mała miejscowość, która mogłaby się poszczycić w roku 1940 tak dużym udziałem swych synów w decydującej bitwie sprzymierzonych o Wielką Brytanię?

Wypada tu przypomnieć, że do 1941 roku Prokocim był niezależną podkrakowską gminą. Wniosek o zmianę nazwy ulicy z Prostej na Lotników Prokocimia opracował Janek Stawarz, a jego uzasadnienie oparł na dostępnej w kraju literaturze i relacjach samych lotników. Kopie wniosku otrzymali: Zarząd Okręgu ZBOWiD-u w Krakowie, Komitet Dzielnicowy PZPR „Podgórze" i Zarząd Oddziału ZBOWiD-u w Podgórzu.

Wniosek ten nie uzyskał zgody władz dzielnicy. Można się jedynie domyślać powodów: nie był to kierunek działalności preferowany przez ówczesne władze polityczne. Natomiast samą ideę uczczenia „Prokocimskich Lotników" podjęli i zrealizowali po upływie 25 lat członkowie powstałego w roku 1989 Towarzystwa Przyjaciół Prokocimia.

Kadeckie spotkania

Podobnie jak większość starszych ludzi, często wracał Janek myślami do niezapomnianych chwil młodości, do okresu między 14 a 20 rokiem życia. Był to okres nauki w szkole średniej. Wspominał „górne, chmurne" lata spędzone w korpusach kadeckich we Lwowie i w Rawiczu. Był świadomy faktu, że powoływanie się na naukę i wychowanie w korpusach nie było w pewnym okresie naszych powojennych dziejów mile widziane. Uważano wtedy, że ludzie wywodzący się z kręgów kadeckich byli wychowywani w duchu nacjonalistycznym i są zdecydowanie negatywnie ustosunkowani do ruchu lewicowego. Zarzut ten był

może tylko częściowo słuszny. Zdaniem Janka na najwyższą ocenę zasługiwało patriotyczne wychowanie młodych ludzi w korpusach. Zaowocowało ono w najcięższym dla naszego bytu państwowego okresie, w latach 1939-1945. W czasie drugiej wojny światowej kadeci II Rzeczypospolitej nie żałowali trudu i krwi. Byli na wszystkich frontach walki, byli w konspiracji i partyzantce, byli w Powstaniu Warszawskim; walczyli na ziemi, na wodzie, pod wodą i w powietrzu. Niemało okupiło swój patriotyzm kalectwem lub śmiercią w czasie walk o wolność ojczyzny. Niemało okupiło go męką i cierpieniami w lagrach wszelkiego rodzaju. A potem, po wojnie, wielu wzięło aktywny udział w odbudowie zniszczonego kraju. Nie brakowało wśród nich także ludzi o poglądach lewicowych. Przykładem był przecież przyjaciel Janka z Buchenwaldu Teofil Witek, jeden z najbardziej aktywnych członków nielegalnej polskiej lewicy lagrowej. Po wojnie byli wśród nich członkowie partii i wielu działaczy społecznych. Niemniej jednak do środowiska kadetów przylgnęła opinia reakcjonistów. Toteż jako anegdotę powtarzano w ich kręgach powiedzenie jednego z „panów władzy", który wydawał opinię byłemu kadetowi, synowi praczki. Opinia ta miała brzmieć następująco: „To, że wymieniony jest synem praczki to prawda, ale przecież była ona praczką w Korpusie Kadetów". Tego typu myślenie spowodowało, że dopiero w latach 1975-1977 dawni kadeci z Rawicza odważyli się zorganizować trzy swoje nieoficjalne, doroczne spotkania. Ich organizatorami byli najbardziej energiczni koledzy. Pierwsze z nich odbyło się w 1975 roku, a zorganizował je w schronisku w Zwardoniu koło Żywca kolega Witold Olechowski, absolwent KK Rawicz z 1938 roku. Aktywnie pomagał mu wtedy jego syn. Do Zwardonia przyjechało na to spotkanie około 45 byłych kadetów. W roku następnym organizatorem spotkania był wychowanek KK Rawicz Jerzy Kozłowski, syn wychowawcy z tego korpusu. Do Zakopanego, gdzie odbyło się to spotkanie, przyjechało wtedy około 50 kolegów, którzy przyjemnie spędzili czas przy góralskim ognisku. Trzecie spotkanie odbyło się w Mosinie koło Poznania.

Zorganizował je kolega mgr Stefan Mika, absolwent KK Rawicz z 1938 roku. Na to spotkanie przyjechało około 70 kolegów, a z Krakowa wzięli w nim udział między innymi Janek Stawarz, artysta malarz Wiktor Pawlikowski oraz mgr chemii Edward Błaż. Wiktora Pawlikowskiego Janek znał jeszcze z Rawicza. W roku 1939 ukończył on trzeci rok nauki w Korpusie. W czasie okupacji mieszkał w niskim, parterowym domku przy ul. Kącik w Podgórzu, gdzie kilkakrotnie odwiedzał go Stawarz. Janek kompletował wtedy swój zbiór kwartalników kadeckich i uzupełniał go numerami, którymi dysponował Pawlikowski. Na spotkaniu w Mosinie trzymali się razem, mieszkali w jednym pokoju. Było to pierwsze kadeckie spotkanie, w którym brał udział Janek. Z domu zabrał wiele fotografii z okresu pobytu w Korpusie w Rawiczu, a także pieczołowicie kompletowane i przechowywane egzemplarze przedwojennych kadeckich kwartalników, takich jak lwowskie „Orlęta" i „Zew kadecki" z Rawicza. Z wielkim zainteresowaniem oglądali je koledzy w Mosinie. W ramach programu zwiedzano wtedy pobliskie atrakcje, między innymi Kurnik i Rogalin ze słynnymi dębami.

Krakowianie biorący udział w spotkaniu w Mosinie, po licznych rozmowach z innymi uczestnikami i po tym, co tam zobaczyli doszli do przekonania, że spotkania te – nieoficjalne zresztą – mają czysto towarzyski charakter i sprowadzają się jedynie do tego, żeby spotkać się w gronie kolegów, pogadać o „starych Polakach", odszukać znajomych i przyjaciół z młodości, a przy okazji odświeżyć gardła, powspominać, pośpiewać, pośmiać się i popłakać. Zresztą, wielu byłych kadetów nie brało udziału w spotkaniach, mimo, że o nich wiedzieli. Może bali się jeszcze, a może nie chcieli ryzykować swych „stołków"? Krakowscy kadeci, choć bardzo ochoczo brali udział w mosińskich nocnych biesiadach, zainspirowani przez Janka Stawarza w czasie jednej z takich „nocnych Polaków rozmów" doszli do pewnych wniosków ogólnych. Stwierdzili, że następne spotkanie kolegów kadetów powinno się odbyć w Rawiczu w roku 1979, w czterdziestą rocznicę wybuchu II Wojny Światowej. Program

tego spotkania powinien mieć charakter jak najbardziej oficjalny i w związku z tym powinien uzyskać akceptację władz miejskich Rawicza i władz wojewódzkich w Lesznie. O ile to tylko będzie możliwe, spotkanie powinno mieć charakter zjazdu i obejmować nie tylko wychowanków KK Rawicz, ale także kolegów ze wszystkich międzywojennych korpusów polskich, przy czym możliwość wzięcia udziału powinni mieć także byli kadeci mieszkający za granicą. Wychowanków i wychowawców, którzy polegli w czasie wojny, należy uczcić pamiątkową tablicą wmurowaną w ścianę budynku byłych koszar kadeckich w Rawiczu.

Jak widać, program był bardzo obszerny, ale zdaniem inicjatorów – możliwy do zrealizowania. Po tych ustaleniach krakowscy kadeci wrócili do domu.

Jeszcze w kwietniu 1979 roku odezwały się dolegliwości zdrowotne Janka. Znalazł się wtedy na oddziale urologicznym szpitala im. Gabriela Narutowicza w Krakowie. Przeleżał tam osiem dni i podleczony wrócił do domu. Natychmiast spotkał się z Wiktorem Pawlikowskim. Realizując postanowienia ustalone w Mosinie, przystąpili do pracy. Nieocenionym współpracownikiem w tym tandemie okazał się Wiktor. Jego pomysłowością, energią i zmysłem organizacyjnym oraz pracowitością można by swobodnie obdzielić kilku ludzi. To on był duszą zespołu. Jak przypadło na krakowskiego plastyka, nosił piękną artystyczną brodę, a swoją wrodzoną energię dopingował przez cały ten okres dymem „Ekstra mocnych", a od czasu do czasu także krajowym „absyntem" z niebieską kartką, tyle że bez aromatycznych ziół. Dzieląc się po koleżeńsku kosztami benzyny obaj kilkakrotnie przemierzyli samochodem Wiktora drogę między Krakowem a Rawiczem. Przypuszczali, że mogą wystąpić pewne trudności z umieszczeniem pamiątkowej tablicy na ścianie dawnych kadeckich koszar, które aktualnie były budynkiem szpitalnym. Na wszelki wypadek, gdyby to zamierzenie nie miało szans realizacji, załatwili sprawę z proboszczem miejscowego kościoła, który wyraził zgodę na umieszczenie pamiątkowej

Wiktor Pawlikowski (z prawej) z przewodniczącym komitetu organizacyjnego doc. Walerianem Sobisiakiem przed budynkiem dawnych koszar; z lewej strony – reporter

tablicy na ścianie świątyni. A w Rawiczu, słynnym w całym kraju z ciężkiego więzienia, rozpoczęli rozmowy z Naczelnikiem Miasta i Gminy Zdzisławem Maćkowiakiem oraz Waldemarem Pałaszem – przewodniczącym Miejsko-Gminnego Komitetu Frontu Jedności Narodu. W czasie tych rozmów okazało się, że obie strony mogą być dla siebie wzajemnie użyteczne. Rawiczanie planowali odbudowę Pomnika Żołnierza zniszczonego przez hitlerowców w 1939 roku. Mieli na to pieniądze, lecz nie mieli odpowiedniego projektodawcy i wykonawcy. Pawlikowski wykorzystał wtedy swoje znajomości z profesorem Antonim Hajdeckim z Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, który w oparciu o dostarczone przez Wiktora materiały podjął się rekonstrukcji pomnika. Pomnik ten, odlany z brązu, został potem ustawiony w miejscu przedwojennego kamiennego Pomnika Żołnierza i ponownie ozdobił planty w Rawiczu. Odsłonił go wojewoda leszczyński po 25 latach od zakończenia wojny, w czasie uroczystości obchodzonych z okazji „Dnia Wojska Polskiego". Równocześnie Pawlikowski pomógł wtedy w zorganizowaniu pleneru

Tablica pamiątkowa odsłonięta podczas Pierwszego Światowego Zjazdu Kadetów II RP w roku 1979 umieszczona na byłym budynku szkolnym KK 3 Rawicz (aktualnie rawicki szpital)

krakowskich plastyków „Rawicz 80", którego pokłosiem była wystawa obrazów historycznych w tym mieście. Władze miejskie Rawicza zaakceptowały wstępnie zjazd byłych kadetów II Rzeczypospolitej i odsłonięcie pamiątkowej tablicy. Niemniej jednak należało uzyskać akceptację władz wyższych. Dzięki osobistej interwencji Przewodniczącego Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, ministra Janusza Wieczorka wszystkie trudności zostały przezwyciężone. Władze wojewódzkie wydały oficjalne zezwolenie na zjazd i odsłonięcie tablicy. Obu byłym kadetom z Krakowa spadł kamień z serca. Księdzu proboszczowi pewnie też. Wiktor pojechał z Jankiem do Rawicza. Tu ukonstytuował się komitet organizacyjny zjazdu. W jego skład weszli: prof. dr hab. Stefan Bączyk, inż. Tadeusz Chrzanowski,

I zjazd w Rawiczu. Wśród kadetów VI kompanii z 1939 roku stoją: drugi od lewej Jerzy Wiśniewski, trzeci od lewej – Jan Stawarz. Siedzą ich żony: druga od lewej Maria Wiśniewska, pierwsza od prawej – Kamila Stawarz

inż. Józef Jasiński, inż. Jan Kołakowski, mgr Zbigniew Laskowski, dr Wacław Małaj, płk. Zygmunt Marciniecki, mgr Stefan Mika, Teodor Nawrot, artysta malarz Wiktor Pawlikowski, doc. dr hab. Walerian Sobisiak, Jan Stawarz, Bogdan Wiese i mgr Tadeusz Wojcicki. Wszyscy członkowie Komitetu Organizacyjnego byli wychowankami Korpusów Kadeckich. Przewodniczącym wybrano doc. Waleriana Sobisiaka, a sekretarzem mgr Stefana Mikę. Komitet zwrócił się z apelem do społeczeństwa, a zwłaszcza do byłych kadetów, o nadsyłanie datków przeznaczonych na koszty tablicy. W krótkim czasie dzięki ofiarności społeczeństwa zebrano ponad 300 tys. złotych. Sprawę wykonania tablicy powierzono Pawlikowskiemu i Stawarzowi. Początkowo wystąpiły kłopoty związane z tekstem napisu, który miał być umieszczony na tablicy. Ze względu na to, że tego tekstu nie dostarczył w terminie człowiek, który się do tego zobowiązał, Janek zmuszony był sam ustalić treść napisu. Oto on:

"Wychowankom, Wychowawcom, Dowódcom Korpusów Kadetów, którzy swoje życie oddali za ukochaną Polskę – Koledzy."

Nad napisem widnieją słowa „Rawicz 1 IX 1979". Odlew gipsowy tablicy obejmujący emblematy czterech kadeckich korpusów, orła piastowskiego i pozostałe fragmenty wykonał projektodawca całości, Wiktor Pawlikowski. Jankowi na dobre pozostał w pamięci widok mieszkania Wiktora: całe tonęło wtedy w gipsowym pyle. Tego pyłu nie brakło nawet w piórkach skrzydełek ulubionego przez artystę kanarka, który – obciążony gipsem – nie był w stanie jak dawniej latać swobodnie po całym pokoju. Entuzjasta Wiktor pracował jak maszyna. Wreszcie skończył tablicę wraz z emblematami czterech korpusów: KK 1 ze Lwowa, KK 2 z Chełmna, KK 3 z Rawicza i JSK – Junackiej Szkoły Kadetów na Środkowym Wschodzie. Wzór emblematu kadeckiego z JSK przywiózł Wiktor z jednego ze swych zagranicznych wojaży. Wyjeżdżał często, nawet za ocean. W Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych brał udział w wernisażach swoich obrazów, których tematy stanowiły bardzo często zabytki sztuki ludowej i architektury sakralnej.

Na wykonawcę tablicy w brązie przewidziano Instytut Odlewnictwa w Krakowie. I znowu wystąpiły trudności z przyjęciem specyficznego zamówienia. Ponownie pomogły znajomości. Pomógł były kadet, działacz ZBOWiD-u i Związku Inwalidów Wojennych mgr Stanisław Gaczoł, znany z wojennego pseudonimu „Nawara". Spowodował on interwencję w tej sprawie przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych w Krakowie Antoniego Białkowskiego. I znowu było po kłopocie. Tablicę odlano z brązu w czerwcu 1979 roku w przyspieszonym tempie, ponieważ w lipcu Instytut Odlewnictwa przechodził okres postoju remontowego. Dwaj byli kadeci odebrali gotową tablicę, owinęli ją pieczołowicie w starą kołdrę amerykańską ofiarowaną na ten cel przez Janka, po czym umieszczono ją w specjalnie wykonanym opakowaniu z desek, które spełniało równocześnie rolę nosidła. Umożliwiło to bezpieczny transport tablicy.

Załadowaną do „pikapa", zawiózł Wiktor do Rawicza. I znowu spadł im ciężar z serca. Była już druga połowa lata 1979 roku. W końcowej fazie przygotowań do zjazdu Stawarz nie mógł brać udziału w pracach Komitetu Organizacyjnego. Był już wtedy poważnie chory.[37] Miał 60 lat. Przykuty do łóżka dość ciężką chorobą marzył tylko o jednym – żeby lekarze mogli go postawić na nogi przed trzecią dekadą sierpnia, na którą przewidziany był termin zjazdu. Gdy nadszedł czas wyjazdu, Janek był jeszcze bardzo osłabiony, ale jakoś zwlókł się łóżka i 24 sierpnia przybył wraz z żoną pociągiem do Rawicza. Z Krakowa przyjechali także jego koledzy i przyjaciele kadeci: Edward Błaż, Józef Gajkowski, Jurek Wiśniewski z żoną i córką oraz Staszek Murzyn z żoną i synem. W nieodległej przyszłości znajomość tych dwojga młodych zaowocować miała ich ślubem w Krakowie. W czasie rawickich uroczystości panie trzymały się razem, ponieważ ich mężowie – byli kadeci – znaleźli się wreszcie po latach w swoim żywiole...

W skład Komitetu Honorowego Zjazdu wchodzili: Jerzy Wawrzyniecki – przewodniczący ZBOWiD-u w Lesznie, Zbigniew Gorzelańczyk – przewodniczący Miejsko-Gminnej Rady Narodowej Rawicza, Waldemar Maćkowiak – Naczelnik Miasta i Gminy, Czesław Michalski, przedstawiciel grona wychowawców kadeckich – podporucznik rezerwy Józef Jopp oraz najstarszy wychowanek Korpusu Kadetów z Łobzowa, powstaniec śląski, major rezerwy Bolesław Górnik. Zjazd przewidziano na dwa dni: 25 i 26 sierpnia. Program Zjazdu odbywającego się w byłej strzelnicy obejmował – oprócz odsłonięcia tablicy – także kilka referatów poświęconych roli kadetów w kulturze kraju oraz ich udziału w wojnie. Referaty te wygłoszono w ramach sesji popularno-naukowej. Najważniejszym punktem programu było odsłonięcie tablicy pamiątkowej na gmachu szkolnym byłego korpusu. Oprócz byłych kadetów i ich rodzin obecnych było wielu mieszkańców miasta. Odsłonięcia tablicy dokonał profesor

[37] Był to początek choroby gruczołu krokowego. W przypadku Janka Stawarza miała ona dłuższe okresy cofania się, a potem nawrotów.

Stanisław Sokołowski, najstarszy z żyjących jeszcze wychowawców z KK Rawicz. Asystę stanowili dwaj byli kadeci – najstarszy i najmłodszy wiekiem. Tym najstarszym był major rezerwy Bolesław Górnik w mundurze powstańca śląskiego. Do Rawicza przyjechała z nim orkiestra górnicza w galowych mundurach, która w czasie odsłaniania tablicy zaczęła grać „Warszawiankę". Melodię podchwycili obecni. Wszystkich ogarnęło wzruszenie, wielu ocierało łzy. Miasto przeżywało swój wielki dzień.

Dla Janka, który na chwilę zapomniał o wszystkich swoich dolegliwościach, najważniejsze były spotkania z kolegami i znajomymi. Spotkał wtedy między innymi Wojtka Orłowskiego z KK Rawicz, wycałował go z dubeltówki i spytał: 'Wojtek, gdzie podziałeś Gienka?' Chodziło o Gienka Iglewskiego, z którym Wojtek tworzył w korpusie nierozłączną parę. Wtedy usłyszał z boku głos Gienka: 'Jestem tu, nie zginąłem. Żyję'. Obaj nierozłączni przyjaciele przyjechali do Rawicza po likwidacji korpusu w Chełmnie na Pomorzu. Wojnę spędzili w Warszawie. Jak większość młodych, zaangażowani byli w konspiracji, potem brali udział w powstaniu. Po jego upadku wywieziono ich do obozu jenieckiego w Niemczech i tam doczekali wyzwolenia. Już w pierwszym dniu wolności spotkali znajomego kadeta. Był to poznaniak, Janusz Watrzon, który dowodził jednostką czołgów w dywizji generała Maczka. Bez specjalnych ceregieli przyjął obu kolegów do oddziału, umundurował i wraz z jego podkomendnymi pełnili służbę w angielskiej strefie okupacyjnej. Potem wrócili do kraju i zamieszkali w Sopocie.

Szczególnym przeżyciem były dla Janka spotkania z byłymi kadetami, z którymi zetknął się w czasie pobytu w obozach koncentracyjnych. Spotkał Zbyszka Goszczyńskiego, absolwenta korpusu z Rawicza, z którym los zetknął go w 1942 roku w Oświęcimiu. Aktualnie mieszkał on w Kwidzynie, gdzie pracował jako lekarz. Ogromną radość sprawiło Jankowi spotkanie z byłym współtowarzyszem niedoli z komanda „Kiesgrube Erfurt", Cześkiem Ostańkowiczem. Na zjazd przyjechał z żoną

z Wrocławia. Czesiek ukończył Korpus Kadetów w Chełmnie w 1935 roku. Potem przez pewien czas był zawodowym oficerem, porucznikiem piechoty. Następnie wystąpił z wojska i zajął się dziennikarstwem sportowym. Jako dziennikarz przejechał kawał świata. We wrześniu 1939 roku bronił Warszawy w pułku Legii Akademickiej. W czasie okupacji brał udział w konspiracji, wpadł w ręce gestapo i trafił do KL Auschwitz, gdzie oznaczono go numerem 8232. W marcu 1943 roku wysłano go do Buchenwaldu tym samym transportem, co Janka. Tam dał się poznać jako znakomity organizator, gawędziarz i konferansjer występów artystycznych, a także organizator i sędzia zawodów sportowych. Wspaniały narrator, globtroter: wszędzie był, wszystko widział. Koledzy zawsze wiedzieli, kiedy Czesiek w swych opowiadaniach fantazjuje czy koloryzuje. Zaczynał się wtedy lekko zacinać. Kiedy komando kursowało pociągiem między Weimarem a Erfurtem, Janek wysłuchał wielu jego barwnych opowieści. Potem Ostańkowicz był odźwiernym przy bramie łączącej mały lagier z dużym i często zatrzymywał tam przechodzących kolegów, żeby z nimi pogadać o aktualnych lagrowych sprawach. Po wojnie Stawarz był głęboko przekonany, że przekazywane wtedy przez Cześka rewelacje były zmyślonymi przez niego historiami rozgłaszanymi specjalnie po to, aby podtrzymać kolegów na duchu. Pod koniec 1944 roku wysłano go na komenderówkę noszącą kryptonim „Hecht", położoną tuż obok wsi Holzen, opodal miasteczka Eschershausen w okręgu Holzminden. Była to jedna z lepszych komenderówek Buchenwaldu. Przebywał tam od października 1944 do marca 1945. Z Polaków, którzy byli z nim w „Hecht" wspominał między innymi Zenona Różańskiego, mgr farmacji Stefana Homme i Jana Chlebowskiego. Potem wywieziono go do Bergen-Belsen i tam doczekał uwolnienia przez wojska angielskie w dniu 15 kwietnia 1945 roku. Po powrocie do kraju parał się dziennikarstwem sportowym. Był także działaczem i sędzią szermierczym. Dużo pisał, między innymi wspomnienia obozowe. Wydał książki:

„Sprawy zwykłych ludzi", „Ziemia parująca cyklonem", „Straszna Góra Ettersberg" (o Buchenwaldzie).

W rawickim zjeździe brali także udział kadeci z zagranicy. Przyjechali z krajów zachodniej Europy, kilku było ze Stanów Zjednoczonych, a nawet z Argentyny i Australii. Ich przyjazd na tę uroczystość stanowi dowód, jak głęboko tkwią w człowieku przeżycia z młodości. Na ręce organizatorów przysłano wiele depesz i telegramów. Przysłali je między innymi: znany lotnik z okresu II wojny światowej płk. Stanisław Urbanowicz, który w 1930 roku ukończył Korpus Kadetów w Chełmnie oraz Jan Krzywicki znany w Buchenwaldzie pod nazwiskiem Janusz Pokrzywnicki, absolwent KK Rawicz, który był wtedy na placówce dyplomatycznej w jednym z państw Afryki Środkowej. Na uznanie zasługuje dobra organizacja zjazdu ze strony władz miasta. Uczestnicy byli dowożeni autokarami do miejsc, w których odbywały się poszczególne imprezy objęte programem uroczystości. Cisi bohaterowie, inspiratorzy tego zjazdu a równocześnie ludzie od tzw. czarnej roboty, czyli Wiktor Pawlikowski i Janek Stawarz odczuwali wewnętrzne zadowolenie i satysfakcję. Wiele radości przysporzyło Jankowi jeszcze jedno wydarzenie. Mianowicie, z okazji zjazdu kadetów zorganizowano w Muzeum Ziemi Rawickiej wystawę poświęconą korpusom kadeckim. W ramach tej wystawy prezentowano między innymi obrazy i rysunki profesora Heimratha, który w rawickim korpusie uczył posługiwania się ołówkiem, pędzlem i farbami. Prace te wystawiał syn nieżyjącego już profesora. Wśród tych prac był także ołówkowy portret Janka. Na prośbę Pawlikowskiego młody Heimrath podarował Jankowi ten rysunek ojca.

Podczas pobytu w Rawiczu Janek i jego żona poznali panią Bożenę Raus kierującą Muzeum Ziemi Rawickiej. Wydzielono tam odrębne pomieszczenie na „Kadecką Izbę Pamięci". Pani Raus pisywała artykuły między innymi o tematyce kadeckiej do lokalnej „Gazety Rawickiej". Później Janek Stawarz przekazał „Kadeckiej Izbie Pamięci" dużo osobistych pamiątek. Były to między innymi: pas kadecki, odznaka KK 3 z 1925 roku, odznaka strzelecka,

odznaka POS, świadectwo szkolne z roku 1934, korespondencja i zdjęcia z KL Auschwitz i Buchenwald, modlitewnik żołnierza wydany w Warszawie w 1934 roku, fotokopia „Katechizmu Kadeckiego" wydanego u Michała Grölla (Biblioteka na Marywilu) oraz kilka tableau absolwentów rawickiego korpusu z różnych roczników.

W międzyczasie zmarła pani Izabela Piątkowska, siostra Bolka Trombali, a także jej mąż, Bolesław Piątkowski. Ich syn Adam, z zawodu lekarz oraz wnuczka Beata – również lekarz, odszukali w roku 1980 grób wuja w Sundremda. Widzieli nagrobek na cmentarzu oraz pomnik postawiony przez budowlanych z Krakowa. W czasie rozmów z mieszkańcami stwierdzili, że ci niewiele pamiętają o wydarzeniach z czasów wojny i że powoli wszystko zmierza ku zapomnieniu.

Za wszystkie informacje związane z wyjaśnianiem udziału poszczególnych osób w tragicznych wydarzeniach w Sundremda należy wyrazić podziękowanie członkom rodziny Bolka Trombali oraz panu Zbigniewowi Felusiowi, którego ojca pochowano anonimowo w obcej ziemi, a za informacje związane z budową pomnika wzniesionego ku czci pomordowanych w tej miejscowości – inżynierowi Jerzemu Topolskiemu.

Podstawowe dzieło Janka Stawarza – noty biograficzne kadetów II RP

W tym okresie Janek Stawarz przeszedł na emeryturę jako inwalida wojenny I grupy. Niedawne spotkanie z kolegami kadetami w Rawiczu oraz przejście na emeryturę zmobilizowały go do przyspieszenia realizacji ambitnego zadania, które sobie postawił jeszcze przed kilku laty. Zainspirowany wdzięcznością wobec wychowawców i kolegów z kadeckich korpusów, zaczął kilka lat wcześniej spisywać dzieje kolegów, koncentrując się przede wszystkim na ich przeżyciach frontowych i okupacyjnych. Zdawał sobie sprawę z trudności, które wystąpią podczas realizacji

tego zadania, głównie z powodu olbrzymiej liczby absolwentów i słuchaczy korpusów, gdyż liczba kadetów, którzy otrzymali świadectwa dojrzałości we wszystkich korpusach w okresie 1919 – 1939 oraz liczba elewów, którzy w 1939 roku pobierali

Jan Stawarz z żoną Kamilą w Wadowicach przed domem rodzinnym Jana Pawła II

jeszcze naukę, sięgała kilku tysięcy. Poza tym, nie było możliwości dotarcia do dokładniejszych źródeł informacji o losach wielu kadetów, stąd zawartość biografii w większości przypadków z konieczności musiała się ograniczać do krótkich not biograficznych. Ponieważ praca ta była żmudna i posuwała się powoli, Janek uznał, że zadanie to przerasta siły i możliwości jednego człowieka i dobrał sobie do pomocy dwóch byłych kadetów, absolwentów z korpusu lwowskiego.

Jednym z nich był absolwent KK 1 z roku 1939, porucznik Józef Nowicki. Drugim był major Tadeusz Rutkowski, absolwent KK 1 z roku 1933, który po kampanii wrześniowej trafił do obozu NKWD w Republice Komi. Potem, wraz z II Korpusem Polskim przeszedł całą kampanię włoską. Odznaczony Krzyżem Walecznych i Krzyżem Orderu Virtuti Militari, wrócił do kraju. W trójkę spotykali się od czasu do czasu w domu Stawarza i omawiali wyniki swych poszukiwań. Głównym organizatorem pracy pozostawał Janek, a podstawowymi dokumentami, na których opierała się praca zespołu, były opracowane przez Stawarza: „Spis absolwentów Korpusów Kadetów II RP" (obejmujący korpusy Lwowa, Modlina, Chełmna i Rawicza) oraz „Imienny wykaz kadetów poległych i zamordowanych w czasie II wojny światowej". Stawarz korzystał także z „Biuletynów Informacyjnych" wydawanych przez Związek Lwowskich Kadetów Marszałka Józefa Piłsudskiego mający swoją siedzibę w Londynie. Potem dysponował opracowaniem warszawskiego wydawnictwa „Alfa" z roku 1989, noszącym tytuł „Katyń – Lista ofiar i zaginionych jeńców obozów Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk". Niezależnie od tych opracowań, źródłem dalszych informacji dla zespołu było obfite piśmiennictwo obozowe zawierające nazwiska ofiar hitlerowskich obozów koncentracyjnych i oflagów oraz ludzi związanych z szeroko pojmowanym ruchem oporu w kraju i za granicą. Podobnie ważnym źródłem informacji były rozmowy z wychowankami korpusów, którzy przeżyli wojnę a także z osobami, które miały możliwość bezpośredniego zetknięcia się z absolwentami i byłymi elewami korpusów kadeckich. W oparciu o wszystkie te możliwości udało się zespołowi opracować około 1200 not biograficznych byłych kadetów II RP.

Jak to już wspomniano, pracą zespołu kierował najmłodszy stopniem, kapral podchorąży Janek Stawarz. Niemniej jednak wszyscy trzej umówili się po żołniersku, że gdy któryś z nich odejdzie w międzyczasie na wieczną wartę, to pozostali dwaj będą kontynuować pracę aż do końca. Mieli nadzieję, że będzie ona

w przyszłości wykorzystana w jakiejś dużej pracy monograficznej omawiającej całościowo historię szkół kadeckich i losy jej uczniów.

Równolegle z intensyfikacją prac nad notami biograficznymi kolegów kadetów Janek spotykał się od czasu do czasu ze mną, jako przyszłym autorem jego wojennych wspomnień. Kiedy przeczytał maszynopis moich wspomnień noszących tytuł „Powrót niepożądany" (ukazały się w druku w 1986 roku), zdecydował, że powinien przyspieszyć relacjonowanie swoich wojennych przeżyć. Ponieważ odczuwał zdecydowaną niechęć do pisania o sobie, opowiadał mi swoje okupacyjne przygody, a ja robiłem z tego notatki. Dotychczas spotykaliśmy się od czasu do czasu w klubie „Buchenwald-Dora" oraz na zebraniach Komisji Historycznej Związku Inwalidów Wojennych. Potem spotkania nasze odbywały się w mieszkaniu Stawarzów na Mazowieckiej albo w moim, w Podgórzu przy Matecznym. Ponownie muszę podkreślić wspaniałą pamięć mego rozmówcy do nazwisk i szczegółów związanych z przeżyciami jego kolegów z kadeckich korpusów i hitlerowskich kacetów. Nie wiem, czy pozytywny wpływ na sprawność umysłową Janka miało wtedy pykanie przez niego małej fajeczki nabitej wonną wirginią? Już od dawna przestał palić papierosy, niestety w całym pokoju unosił się intensywny zapach spalanej wirginii. Na szczęście fajeczka Janka dość często gasła. Kolega musiał ją wtedy opróżniać przez wystukiwanie popiołu i resztek tytoniu, potem czyścił wnętrze i nabijał nową porcję wirginii. Następnie zapalał i pykanie zaczynało się od nowa...

Opracowanie wspomnień poruszało się raźno naprzód i w połowie 1987 roku Janek otrzymał kopię maszynopisu. Podczas jednego z moich pobytów na Mazowieckiej pokazał mi swoje odznaczenia. Były to w kolejności otrzymania:

- Brązowy Krzyż Zasługi – nadany Uchwałą Rady Państwa 22 lipca 1955 roku
- Medal Zwycięstwa i Wolności 1945 – nadany Uchwałą Rady Państwa 29 marca 1973 roku

- Odznaka Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej – nadana przez Wojewódzki Komitet Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa dnia 5 kwietnia 1977 roku
- Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski – nadany Uchwałą Rady Państwa 14 września 1977 roku
- Medal za Udział w Wojnie Obronnej 1939 – nadany Uchwałą Rady Państwa 31 marca 1982 roku
- Krzyż Kampanii Wrześniowej 1939 nadany w Londynie przez Min. Spr. Woj. 15 sierpnia 1985 roku
- Krzyż Oświęcimski – nadany Uchwałą Rady Państwa z dnia 15 stycznia 1986 roku.

Nadszedł rok 1988. Nieoczekiwanie zmarł najmłodszy członek zespołu opracowującego noty biograficzne byłych kadetów, porucznik Józef Nowicki. Zgodnie z przyrzeczeniem pozostali kontynuowali pracę. Jednak także Stawarz w tym roku znowu poczuł się gorzej. Przewieziony na oddział Kliniki Urologicznej Akademii Medycznej przy ul. Grzegórzeckiej, został tam poddany operacji prostaty. Niedługo leżał w szpitalu. Jak tylko poczuł się nieco lepiej, zaraz wrócił do domu na Mazowiecką. Pamiętał dobrze, że tego roku przypada 70. rocznica oswobodzenia Krakowa z rąk Austriaków. Nie zapominał o tym, że takie okrągłe rocznice zawsze były głęboko przeżywane w rodzinnym domu Stawarzów i budziły wspomnienia. Sam napisał w tym roku kilka artykułów o udziale stryja Antoniego Stawarza w oswobodzeniu Krakowa. Ukazały się w kilku miejscowych czasopismach.

Te wydarzenia sprzed lat zachowały się też na trwałe w pamięci jego matki staruszki, która miała wtedy około 90 lat. Jednak nie doczekała okrągłej, siedemdziesiątej rocznicy odzyskania wolności, zmarła w 1988 roku. Janek znalazł w rodzinnych papierach pisemną relację matki, datowaną 3 grudnia 1978 roku. 82-letnia wówczas Aniela Stawarzowa tak wspominała tamte dni:

„Jako bratowa Antka Stawarza, to znałam go dobrze, bo przychodził do nas do Prokocimia, w którym po wyjściu za mąż za

jego brata Stefana zamieszkałam od lutego 1918 roku. (Pamiętam, że wtedy chodzili kolędnicy po domach). Mieszkaliśmy w domu kupca Pitucha, przy obecnej ulicy Bieżanowskiej i od tego czasu pamiętam, że wieczorami do Stefka przychodziło dużo mężczyzn i radzili.

Pamiętam Józka Badziocha, Pietrka Dudka, Staszka Magierę, Solarza, braci Kowalików i dwóch akademików mieszkających u Kalembowej, którzy potem jak Polska powstała, to grali w nocy na trąbce pobudkę oraz innych, których nazwisk sobie nie przypominam.

Antek też od czasu do czasu przychodził i kazał Stefanowi wtedy przyprowadzać Józka Badziocha, z którym coś konferowali. Dokładnie nie wiem, co tam radzili, bo ja w tym czasie siedziałam w pokoju, a oni w kuchni, ale czasem Stefan – mąż coś mi powiedział, że chodzi tu o wypędzenie Austriaków.

Pewnego wieczora wpadł do nas Antek i kazał zawołać ojcu Józka Badziocha i oznajmił, że dzisiaj w nocy powstanie Polska, a rano wszystkim chłopom kazał z bronią być w Podgórzu. Jeszcze Antek z Prokocimia nie wyjechał dorożką od Zagóla, jak chłopy zaczęli krzyczeć na Prokocimiu: „Polska powstała", strzelali na wiwat, a akademicy grali pobudkę. Ludzie powylatywali w nocy z domów i pytali, co się dzieje?

Zaraz też rozbroili posterunek żandarmerii austriackiej, a kiedy Stefan wpadł do restauracji Bączka i oznajmił, że Polska powstaje, to żandarm Bytner, który tam był, chciał do niego strzelać, ale się uląkł postawy innych tam uczestników.

Kilka dni przed tym Antek wpadł do nas i pożyczył ode mnie ileś tam ryńskich[38] na kupno wstążek i orzełków na kokardki i powiedział, że jak Polska powstanie, to mi te pieniądze wróci, ale nie wrócili mi tych pieniędzy, które otrzymałam w wianie na kupno mebli. Panie robiły kokardki, ale po pieniądze to go do

[38] Można się domyślać, że w tym momencie pamięć zawiodła panią Anielę Stawarzową. W roku 1918 obowiązującą walutą w Austrii, a więc i w Galicji były korony i halerze a nie „ryńskie", które na początku XX wieku wycofano z obiegu.

mnie przysłały. Mąż mój też poszedł z nimi do Podgórza, ale kazałam mu na siebie uważać, bo był żonaty i była już Stefa, inni byli kawalerzy.

Był deszczowy dzień i wziął ze sobą parasol i zniszczył go, bo walił nim w obraz Franciszka Józefa, jak go wynieśli, chyba z odwachu. Wrócił ze złamanym parasolem, ale zadowolony."

Tak wspominała prokocimska gospodyni oswobodzenie Krakowa przed 60 laty.

W roku 1989 upływało dziesięć lat po pierwszym Światowym Zjeździe Kadetów w Rawiczu. W związku z tym zaplanowano na sierpień tego roku drugi Światowy Zjazd Kadetów, także w Rawiczu. Z Krakowa pojechali wtedy między innymi Jerzy Wiśniewski[39], Janek Stawarz, Edward Błaż i Tadeusz Rutkowski. W drogę wybrali się samochodem Jurka Wiśniewskiego, który nie omieszkał zapoznać kolegów z zaletami swego wnuczka. Kilka lat po pierwszym rawickim zjeździe przyszedł on na świat w nowej kadeckiej rodzinie.

Dopiero w Rawiczu mogli krakowianie stwierdzić, ilu kolegów kadetów pożegnało się z tym światem. Z najbliższych znajomych i kolegów Janka nie żył już Czesiek Ostańkowicz. Ze środowiska krakowskiego odeszli Wiktor Pawlikowski i Staszek Murzyn. Jeszcze przed odjazdem z Rawicza Janek spotkał się z panią dyrektor Bożeną Raus z tamtejszego muzeum i przekazał do „Kadeckiej Izby Pamięci" dużo osobistych pamiątek, między innymi także swój życiorys.

W kilka miesięcy po drugim zjeździe Janek znowu poczuł się gorzej i po raz drugi znalazł się w Klinice Urologii, gdzie ponownie był operowany. Znowu poczuł się o wiele lepiej i wrócił do domu. Poprawa była tak znaczna, że w lutym następnego roku wybrał się z żoną na dłuższy wypoczynek do Żegiestowa. Czas mijał. Stawarz miał już 71 lat.

---

[39] Jerzy Wiśniewski, przyjaciel Janka z VI Kompanii KK 2 Rawicz, zdawał z nim maturę w 1939 roku. W latach 1940-1945 żołnierz ZWZ-AK (ps. „Delfin") w obwodzie Jasło. Po wojnie, w latach 1945-1946 w Oficerskiej Szkole Artylerii w Toruniu. Kapitan WP, mgr nauk ekonomicznych.

Właśnie ten upływający czas spowodował, że Janek zaczął się zastanawiać nad ważnymi w jego życiu wydarzeniami. Szukał odpowiedzi na bardzo istotne pytanie: jak to się stało i czemu zawdzięczał, że mimo tylu niebezpiecznych wydarzeń przeżył kacety... Jego zdaniem na takie pytanie nie ma jednoznacznej, stereotypowej odpowiedzi. Przyczyn mogło być kilka. Jeśli chodzi o te dwie najbardziej groźne sytuacje, tak w czasie wybiórki na rozstrzelanie w więzieniu na Montelupich jak i w czasie ucieczki w Sundremda, Stawarz uważał, że ocalał dzięki opiece Opatrzności, którą ktoś może nazwać szczęściem. Nie uważał, że takie było jego przeznaczenie, nie wierzył w nie. Lagry przeżył,

Tadeusz Chmura – więzień KL Auschwitz nr 5633 – odbitka z oryginału wykonanego w obozie, wysłanego potajemnie przez kolejarzy do rodziców w Prokocimiu. Pomagał Jankowi w obozie.

ponieważ był młody, zdrowy i odporny psychicznie, a wychowanie w Korpusie Kadetów pozwoliło mu przystosować się do trudnych warunków lagrowych. Nauczyło go być

koleżeńskim, cenić kolegów i wzajemnie na nich liczyć. Wiele zawdzięczał pomocy kolegów kadetów.

Najbardziej podkreślał pomoc Tadka Chmury w KL Auschwitz. To on pomógł mu przeżyć najtrudniejszy okres pierwszych tygodni w lagrze, pomógł mu się „ustawić" i przystosować. Zresztą Tadek Chmura nie tylko jemu pomagał. Z wdzięcznością wspominają go także inni koledzy. Tadek przeżył lagry, ukończył po wojnie Akademię Handlową w Krakowie i aż do emerytury pełnił funkcję zastępcy dyrektora w Przedsiębiorstwie Geologicznym.

Zygmunt Ślęzak – nr KL Auschwitz 5812 – także wspomagał Janka w obozie

Niestety, nie przeżył lagrów inny jego przyjaciel, podgórzanin Zygmunt Ślęzak, sanitariusz z KL Auschwitz, pod którego lampami wygrzewał Stawarz swój reumatyzm. Wywieziony w roku 1944 do obozu w Neuengamme pod Hamburgiem, przetrwał w nim do początku 1945 roku. Zginął w końcowej fazie wojny na jednym ze zbombardowanych statków w Zatoce Lubeckiej. I taki tragiczny wydźwięk miały wspomnienia Stawarza z lat młodości.

Już po powrocie z Żegiestowa, wiosną 1990 roku, Janek udał się na badania kontrolne do kliniki przy Grzegórzeckiej.

Otrzymał tam kolejną partię leków i kontynuował kurację. Niestety w lecie tego roku stan jego zdrowia znacznie się pogorszył. Poinformowani o tym przez panią Kamilę krewni i znajomi męża wystarali się o przyjęcie go do szpitala zakonu Bonifratrów przy ulicy Trynitarskiej. Odwiedzali go tam żona i koledzy kadeci. Stwierdzali nawet okresową poprawę. Niestety, trwała ona krótko i dnia 3 lipca 1990 roku Jan Stawarz zmarł.

W „Dzienniku Polskim" ukazał się nekrolog następującej treści:

Z głębokim żalem i bólem zawiadamiamy, że 3 lipca 1990 roku w wieku 71 lat zmarł ś.p. Jan Stawarz najdroższy Mąż, Brat i Wujek, długoletni, emerytowany pracownik PRK – nr 9 Kraków, wychowanek Korpusu Kadetów nr 2 w Rawiczu, uczestnik Wojny Obronnej 1939, Ruchu Oporu ZWZ, więzień Montelupich, obozów koncentracyjnych – Oświęcim, Buchenwald, Dachau, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Zasługi, Krzyżem Oświęcimskim, Krzyżem Kampanii Wrześniowej oraz wieloma innymi odznaczeniami.

Nabożeństwo żałobne i odprowadzenie Zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku odbędą się w poniedziałek 9 lipca o godz. 12.30 na cmentarzu Rakowickim.

Żona, Siostra i Rodzina
Prosimy o nieskładanie kondolencji

W pogrzebie brali udział najbliżsi członkowie rodziny, koledzy kadeci, koledzy – byli więźniowie hitlerowskich obozów koncentracyjnych, akowcy i inwalidzi wojenni z klubowymi sztandarami. Były także pożegnalne przemówienia. Między innymi żegnał Janka Stawarza dr Wiktor Krzyżanowski w imieniu byłych więźniów politycznych.

Pochowano Janka Stawarza na krakowskich Rakowicach. Tego prokocimskiego kadeta, dla którego drogowskazem w życiu była dewiza sprecyzowana niegdyś przez księcia Adama Czartoryskiego dla wychowanków Szkoły Rycerskiej zwanej

Korpusem Kadetów, założonej przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego: „Pamiętaj, żeś miał honor być kadetem."

Kadeci Drugiej Rzeczypospolitej uważali, że tradycja korpusów kadeckich naszego kraju posiada historyczną ciągłość od okresu Oświecenia, kiedy to pierwszym komendantem szkoły kadetów był właśnie książę Adam Czartoryski.[40] Wypada tu przypomnieć, że do pierwszych wychowanków tej szkoły należeli między innymi: Tadeusz Kościuszko, Julian Ursyn Niemcewicz, gen. Karol Kniaziewicz, gen. Józef Sowiński, gen. Jakub Jasiński, Stanisław Fiszer – adiutant Tadeusza Kościuszki i gen. płk. Michał Sokolnicki.

[40] *Księga Pamięci Kadetów II Rzeczypospolitej*, s. 37-38.

Epilog

W epilogu wspomnień o Janku Stawarzu poruszone będą dwa zagadnienia. Pierwsze związane jest z dalszymi losami not biograficznych kadetów II RP opracowanych przez zespół Stawarza, natomiast drugie przypomina działania następnego zespołu prokocimskich entuzjastów, którzy podjęli i praktycznie zrealizowali dawny projekt uczczenia bohaterskich lotników pochodzących z tej miejscowości – tych prokocimskich lotników, którzy brali udział w drugiej wojnie światowej, zwłaszcza w bitwie o Anglię.

Kadeckie noty biograficzne

Efekty współpracy trójki krakowskich kadetów: Stawarza, Rutkowskiego i Nowickiego oraz ich indywidualny wkład pracy, znany był dobrze przewodniczącemu lokalnego Związku Kadetów II Rzeczypospolitej, Zenonowi Malikowi. Ilość opracowanych przez zespół not biograficznych oceniał na 1200. Zdawał sobie sprawę, że po śmierci Józefa Nowickiego w 1988 roku oraz głównego animatora tej pracy, kol. Janka Stawarza w roku 1990, major Rutkowski, najstarszy z tej trójki, nie będzie w stanie kontynuować zadania. Żałował jedynie, że kol. Stawarz nie podał indywidualnych źródeł informacji dla poszczególnych not biograficznych, tylko podał je zbiorczo. Nie miał zastrzeżeń co do decyzji pani Kamili Stawarz i kolegi Rutkowskiego, którzy postanowili przekazać zbiór opracowanych not poznańskiemu Klubowi Kadetów. Klub ten słynął w kraju z tego, że wykazywał największą aktywność w popularyzowaniu życiorysów i wspomnień byłych kadetów. Obszerne materiały gromadzone przez Stawarza przejął wtedy od Kamili Stawarz dr Henryk Kopczyk z Poznania. Przekazanie odbyło się w obecności przyjaciela Janka, kol. Jerzego Wiśniewskiego, z którym zdawał

maturę w Rawiczu w 1939 roku. Podczas przekazywania ustalono, że każdorazowo przy wydawaniu drukiem tych materiałów nazwisko Janka będzie na nich podane jako nazwisko głównego twórcy, a pani Kamila otrzyma jeden egzemplarz.

Pierwsze opracowanie noszące tytuł „Kadeckie życiorysy i wspomnienia" (część pierwsza) wydał w roku 1990 Poznański Klub Kadetów II RP. Zamieszczono w nim między innymi sześć not biograficznych z opracowania Janka Stawarza. W egzemplarzu, który otrzymała pani Kamila Stawarz, znajduje się dedykacja wpisana w styczniu 1991, podpisana przez członków zarządu poznańskiego klubu:

„Wielce Szanownej Pani Stawarzowej w imię pamięci jej męża ś.p. Janka, naszego serdecznego przyjaciela i kolegi z czasów kadeckich, opracowanie niniejsze ma zaszczyt przekazać Poznański Klub Kadetów II RP."

Nieco później sporządzono sprawozdanie z działalności Poznańskiego Klubu Kadetów II RP za okres 20 grudnia 1988 – 19 grudnia 1991. Można w nim znaleźć między innymi następującą informację:

„Dotychczas wydano pierwszą część „Kadeckich Życiorysów i Wspomnień". Obecnie w przygotowaniu jest część druga. Jednocześnie wspomnieć tu należy o bardzo wartościowych materiałach dotyczących omawianego tematu, otrzymanych od pani Stawarzowej z Krakowa, wdowy po ś.p. Janku, naszym koledze, który w źródłowe opracowanie życiorysów wielu b. kadetów włożył dużo pracy i starań. Wdzięczni za to jego dzieło winniśmy możliwie maksymalnie wykorzystać owoce tej pracy, wydając całościowo, jako część trzecią „Kadeckich Życiorysów i Wspomnień" poświęconą dedykacyjnie naszemu koledze, b. kadetowi KK 2 w Rawiczu w 1939, ś.p. Jankowi Stawarzowi."

Takie były plany Poznańskiego Klubu Kadetów. Dlaczego ich nie zrealizowano? Oto wyjaśnienie: w roku 1989 nastąpiły w Polsce przemiany polityczne i powstały warunki do nieskrępowanej działalności różnych organizacji. Byli kadeci

utworzyli wtedy Związek Kadetów II Rzeczypospolitej Polskiej, który po opracowaniu statutu został 11 stycznia 1991 roku zarejestrowany w sądzie wojewódzkim w Warszawie. Powołanie do życia tej organizacji umożliwiło w praktyce realizację projektu pierwszego prezesa, kpt. Jerzego Wodzyńskiego, dotyczącego opracowania „Księgi Pamięci Kadetów II RP". Jej opracowanie i przygotowanie do druku trwało kilka lat. Księga ukazała się dopiero w roku 2001 drukiem Oficyny Wydawniczej „Rytm" w Warszawie. Zawiera ona między innymi około dwa tysiące not biograficznych pochodzących z różnych źródeł. Częściowo wykorzystano w niej także plon wieloletniej pracy Janka Stawarza. Jego nazwisko wymieniono w podziękowaniu. Niestety, nie ma tam nazwisk jego współpracowników, kolegów Nowickiego i Rutkowskiego. Na stronie 348 tej książki znajduje się nota biograficzna Janka Stawarza. Oto jej treść:

STAWARZ Jan KK 2 rm 39

Kpr. pchor., ur. 24.09.1919, Prokocim. W kampanii wrześniowej brał udział w obronie odcinka Łomża – Nowogród w ramach 33. pp (schrony bojowe wybudowane i obsadzone przez JHP). Ewakuowany pod Zdołbunów, gdzie 18.09. dostał się do niewoli sowieckiej, z której uciekł. Od jesieni 1939 w konspiracji (Komenda Obrońców Polski w Krakowie, następnie ZWZ do 1942). Przy próbie przekroczenia granicy aresztowany przez milicję sowiecką w Sanoku i przekazany Niemcom. W czerwcu 1942 ponownie aresztowany przez Gestapo i ponownie osadzony w więzieniu na Montelupich, a następnie wywieziony do KL Auschwitz, Buchenwald i Ohrdruf. Po ucieczce ponownie w Buchenwaldzie. Końcowym etapem było Dachau, gdzie został oswobodzony 28.04.1945 przez armię amerykańską. W grudniu 1946 powrócił do Krakowa. Rozpoczął studia w Akademii Handlowej, których ze względu na chorobę nie był w stanie ukończyć. Pracował od 1949 do 1981, po czym przeszedł na emeryturę jako inwalida wojenny I gr. Zm. w styczniu 1987. Pozostawił po sobie obszerne materiały, na podstawie których

została opracowana część not biograficznych do niniejszej *Księgi Pamięci*."

Niestety, w tekście tej noty – jak zauważyła jego żona – znalazło się kilka nieścisłości. Między innymi dotyczyły daty śmierci męża, który zmarł 3 lipca 1990 roku. Natomiast jego pierwsze aresztowanie (z dwoma kolegami z Prokocimia) miało miejsce w Ustrzykach Dolnych a nie w Sanoku. Aresztowała go miejscowa policja ukraińska (a nie sowiecka milicja) i przekazała w ręce niemieckiej policji Kripo. Był to przecież okres, kiedy armia niemiecka, po napadzie na ZSRR, zajęła w 1941 roku Lwów i Kijów. Należy więc mieć nadzieję, że te nieścisłości zostaną sprostowane w aneksie, którego zapowiedź znajduje się w Księdze Pamięci.

Prokocimskim lotnikom

Jak już wspomniano w tym opracowaniu, zgłoszony w 1976 roku wniosek mieszkańców Prokocimia o uczczenie bohaterskich lotników z tej miejscowości przez zmianę nazwy ulicy Prostej nie został przez lokalne władze komunistyczne pozytywnie załatwiony. Pomysł uczczenia lotników podjęła i zrealizowała w całkowicie inny sposób w roku 2002, a więc w dwanaście lat po śmierci Jana Stawarza, grupa mieszkańców skupiona w Towarzystwie Przyjaciół Prokocimia noszącym imię Erazma i Anny Jerzmanowskich.

Stowarzyszenie powstało pod koniec życia Stawarza, w roku 1989, z inspiracji dziennikarza Kazimierza Zabielskiego. Wokół niego skupiła się grupa społeczników: mgr inż. Rajmund Boroń, Jerzy Furmanek – fotografik, ksiądz kanonik Stanisław Górecki i mgr inż. Włodzimierz Rożnowski. Grupa ta opracowała statut stowarzyszenia i zgłosiła formalny wniosek o jego rejestrację w Wydziale Społeczno-Administracyjnym Urzędu Miasta Krakowa. Towarzystwo wpisano do rejestru 31 marca 1989 roku. Pierwsze walne zebranie członków – założycieli odbyło się

13 kwietnia. Brali w nim udział: Tadeusz Augustyn, Andrzej Bogunia Paczyński, Rajmund Boroń, Stanisława Czop, Mieczysław Czop, Leszek Dziedzic, Jerzy Furmanek, Andrzej Giza, ksiądz kanonik Stanisław Górecki, Róża Grochal, Ryszard Hubicki, Edward Jaglarz, Antoni Kielar, Stanisław Kielar, Leszek Król, Tadeusz Kruk, Angelika Lasiewicz, Andrzej Leśkiewicz, Krystyna Roniker, Włodzimierz Rożnowski, Jan Stalmach, Jan Wojciechowski i Kazimierz Zabielski.

Do statutowych celów stowarzyszenia należało: wzbogacanie i upowszechnianie wiedzy o historii Prokocimia i jego zasłużonych mieszkańcach, podejmowanie działań zmierzających do organizowania rozwoju inicjatyw lokalnych w zakresie potrzeb społecznych, charytatywnych, kultury, nauki i oświaty, ratowanie obiektów i przedmiotów zabytkowych ze szczególnym uwzględnieniem pamięci Erazma i Anny Jerzmanowskich. Wybrano pierwszy zarząd towarzystwa, które w krótkim czasie zgromadziło ponad stu członków.

Celem uzyskania osobowości prawnej wystąpiono o rejestrację do Wydziału Cywilnego Sądu Wojewódzkiego w Krakowie. W oparciu o dokumentację prawną, dnia 25 lipca 1989 roku sąd ten wpisał Towarzystwo Przyjaciół Prokocimia im. Erazma i Anny Jerzmanowskich do Rejestru Sądowego pod nr 105. Uzyskanie osobowości prawnej dało towarzystwu możliwość prowadzenia działalności dochodowej o charakterze niezarobkowym. Wprawdzie eliminowało możliwości uzyskiwania dochodów przez jego członków, jednak samo towarzystwo będące podmiotem prawnym otrzymało możliwość przyjmowania darowizn i dotacji państwowych z przeznaczeniem na cele statutowe.

Właśnie w roku 2000 powstał w towarzystwie zespół pod kierownictwem Andrzeja Chytkowskiego, który podjął się realizacji pomysłu uczczenia bohaterskich lotników z Prokocimia walczących w czasie II wojny światowej w kraju i na Zachodzie. Stwierdzono, że było ich osiemnastu. Stanowiło to zaskakująco wysoką liczbę lotników w stosunku do ludności kolejarskiego

osiedla, liczącego przed wojną 8 tysięcy mieszkańców. Ten stosunkowo rzadki przypadek tłumaczono głównie patriotycznym wychowaniem młodzieży w kolejarskich rodzinach. Ich rodzice czy bliscy krewni, biorący czynny udział w odzyskaniu przez kraj niepodległości w 1918 roku, stanowili najlepsze wzory. Patriotyczne wychowanie młodych chłopców uzupełniali potem nauczyciele w szkołach, a organizowane wtedy w wojsku formacje lotnicze dawały adeptom szkół lotniczych możliwość opanowania nowego zawodu, nobilitującego w życiu społecznym.[41]

Wspomniany zespół członków TPP, wykorzystując 80. rocznicę powstania polskiego lotnictwa zdecydował się uczcić bohaterskich lotników z Prokocimia postawieniem pomnika. Pod jego lokalizację przewidziano skwer przy zbiegu ulic Na Wrzosach i Górników, w pobliżu Parku Jerzmanowskiego. Obelisk mógł być tam z daleka dobrze widoczny.

Ogłoszono konkurs na projekt pomnika. Wygrał go mgr inż. Janusz M. Ludwig. Obelisk o wysokości 3.5 m, ustawiony na postumencie o wym. 2.4 x 1.0 x 0.5 ma kształt paraboli przedstawiającej tor wzlatującego ostro w górę samolotu. Tor zakończony jest krzyżem. W krzywiznę toru wbudowano przestrzelony fragment aluminiowego śmigła polskiego samolotu. Na bocznej stronie pomnika umieszczono tablicę pamiątkową. Jej część centralną zajmuje emblemat polskich lotników, nad nim widnieją słowa: W HOŁDZIE LOTNIKOM Z PROKOCIMIA. Natomiast pod emblematem umieszczono motto z przemówienia Prymasa Tysiąclecia, ks. kard. Stefana Wyszyńskiego:

Drugim obowiązkiem człowieka po Miłości Boga
Jest obowiązek Miłości Swojej Ojczyzny.

[41] Niestety, zdarzała się przed wojną wśród młodych adeptów lotnictwa skłonność do popisywania się brawurą i do lekceważenia niebezpieczeństwa. Tak zginął w 1938 roku zahaczając sterem kierunku o komin jednego z domów przy ulicy Marszałka Piłsudskiego (późniejsza Bieżanowska) 23-letni kapral pilot Mieczysław Janus. W tym czasie znane były także próby przelotów pod mostami na Wiśle w Krakowie. Rok wcześniej śmiercią pilota zginął brat Mieczysława Janusa, Roman, kiedy jego maszyna uległa awarii nad Liszkami.

Pomnik wykonała Firma Remontowo-Budowlana Czesława Boczonia, a tablicę na nim firma kamieniarska „Wesołowski". Nadzór inwestorski sprawował mgr inż. Janusz Ludwig.

W związku ze zbliżającym się terminem odsłonięcia pomnika, do Komitetu Honorowego na tę uroczystość zostali zaproszeni:

Prezydent Miasta Krakowa – prof. Andrzej Gołaś, Przewodniczący Rady Miasta Krakowa – Stanisław Handzlik, ppłk pilot, uczestnik II wojny światowej – Stanisław Chałupa, Przewodniczący Rady Dzielnicy XII – Jacek Pollak, Proboszcz Parafii MBDR – ks. kan. Florian Kosek, przeor kaplicy MBDR w Parku – o. Jan Emil Biernat, Prezes Podgórskiej Spółdzielni Inwalidów „Ochrona Mienia" – Sławomir Zębol, Prezes Zakładów „Animeks" – Ryszard Lubelski, Prezes Związku Kombatantów RP i BWP Okręgu Krakowskiego – kpt. Józef Kopczyński i zastępca Małopolskiego Komendanta Wojewódzkiego Policji, inspektor Stanisław Molik.

Wśród członków Towarzystwa Przyjaciół Prokocimia najbardziej zaangażowanych w załatwianiu spraw formalnych związanych z lokalizacją, konkursem, budową pomnika, zbieraniem funduszy na ten cel, dozorem w czasie budowy i w końcu z samą uroczystością odsłonięcia i poświęcenia, należy wymienić: Prezesa TPP inż. Romana Rozlachowskiego, jego zastępcę a równocześnie Przewodniczącego Związku Kombatantów RP i BWP Kraków-Prokocim Jana Banasia, radną dzielnicy XII i radną Miasta Krakowa mgr Grażynę Fijałkowską oraz członków Komitetu Organizacyjnego samej uroczystości z jego przewodniczącym Andrzejem Chytkowskim na czele. Natomiast w grupie sponsorów znaleźli się: Rada Miasta Dzielnicy XII z jej przewodniczącym Jackiem Pollakiem, oo. Augustianie z o. Janem Emilem Biernatem, PSI „Ochrona Mienia" z prezesem Sławomirem Zębolem, Zakłady Pierzarskie „Animeks" z prezesem Ryszardem Lubelskim, Związek Kombatantów RP i BWP

„Podgórze", Związek Kombatantów RP i BWP „Prokocim" oraz cały szereg osób prywatnych. Między innymi byli to: Bożena i Jacek Banasiowie, Władysław Bobek, Józef Chmaj, Jarosław Chodorowski, Maria Czekaj, Natalia Danek, Jan Gorzula, Henryk Kempf, Włodzimierz Olszański, Barbara Rzepik-Kowalska, Zygmunt Włodarczyk oraz Stefania i Tadeusz Wójcikowie.

Organizatorzy podziękowali tak wymienionym, jak i firmom i osobom prywatnym, które nieodpłatnym wkładem pracy i materiałów przyczyniły się do uczczenia prokocimskich lotników. Były to PSI „Ochrona Mienia", „Metalplast", C. Boczoń, Z. Włodarczyk, K. Balog, E. Batko, E. Proski oraz K. Tymińska.

Uroczystości związane z odsłonięciem pomnika odbyły się w sobotę, 25 maja 2002 roku. Ich program obejmował uroczystą mszę świętą o godz. 10 w kościele parafialnym p.w. Matki Bożej Dobrej Rady w intencji lotników z Prokocimia oraz uroczystości pod pomnikiem przy ulicy Na Wrzosach 57 o godz. 10.30.

Po mszy uformował się pochód, w którym udział wzięli przedstawiciele władz miasta i dzielnicy, organizacji kombatanckich, wojska polskiego z orkiestrą, policji, harcerstwa oraz mieszkańców Prokocimia i dzielnic sąsiednich.

Przybyłych pod pomnik powitał prezes TPP inż. Roman Rozlachowski. Następnie odbyło się uroczyste odsłonięcie i poświęcenie pomnika. Władze miasta Krakowa reprezentowali dwaj zastępcy prezydenta miasta Krzysztof Adamski i Paweł Zorski, a władze dzielnicy XII – przewodniczący rady Jacek Pollak. Wmurowania metalowej tuby zawierającej akt erekcyjny pomnika lotników oraz inne okolicznościowe dokumenty dokonał wiceprezydent miasta Krzysztof Adamczyk w asyście ppłk pilota Stanisława Chałupy, uczestnika drugiej wojny światowej oraz kpt. Józefa Kopczyńskiego, prezesa Związku Kombatantów Okręgu Krakowskiego. Natomiast wiceprezydent Zorski w asyście podpułkownika pilota Czesława Kurczyna oraz przewodniczącego Komisji Organizacyjnej z ramienia TPP Andrzeja Chytkowskiego dokonał odsłonięcia pomnika przez zerwanie wstęgi.

Pomnik lotników z Prokocimia. Obok Jan Banaś, członek komitetu budowy

Należy jeszcze przypomnieć, że lotników polskich oprócz ppłk. S. Chałupy reprezentowali na uroczystości Stefan Kamiński i Józef Zubrzycki. Honorową wartę przy pomniku zaciągnęli żołnierze, a orkiestra odegrała hymn państwowy. Po poświęceniu pomnika przez ks. kan. Floriana Koska i ojca Jana Biernata, okolicznościowe przemówienia wygłosili wiceprezydent Zorski, Andrzej Chytkowski, kpt. Kopczyński i reprezentant lotników. Punktualnie o godzinie dwunastej pilotowany przez dyrektora Aeroklubu Krakowskiego Janusza Czechowskiego samolot „Wilga" zatoczył honorową rundę nad pomnikiem i uczestnikami uroczystości.

Po złożeniu przez liczne delegacje wiązanek kwiatów odbyła się przed pomnikiem defilada oddziału wojska i orkiestry. Na tym zakończono część oficjalną uroczystości.

W ten sposób, w 25 lat od chwili, gdy zrodził się pomysł uczczenia prokocimskich lotników, niedawno powstałe Towarzystwo Przyjaciół Prokocimia dokonało tego w bardziej spektakularnej formie.

Chwała mu za to.

Nie dożył tej chwili zmarły dwanaście lat wcześniej Jan Stawarz, jeden z głównych projektodawców uczczenia prokocimskich lotników w roku 1976. Ten Stawarz – Kadet z Prokocimia, który do końca swoich dni pamiętał, że:

„Miał honor być kadetem."

Podgórska Biblioteka Publiczna w Krakowie
FILIA
2

Spis treści

Słowo wstępne 5
Od autora 7

PATRIOTYCZNE WZORY W RODZINIE STAWARZÓW 10

Ojciec – Stefan Stawarz 11
Stryj – Antoni Stawarz 13
Dwa najważniejsze dni w życiu porucznika Stawarza 20
Dzień przewrotu 25
Zbiórka na Rynku Podgórskim i wymarsz na Kraków 29
Trasa pochodu prowadzonego przez ppor. Śnigowskiego 30
Trasa pochodu prowadzonego przez ppor. Pustelnika 33
Dalsze działania por. Stawarza po opanowaniu koszar 35
Stryj – Stanisław Stawarz 43

NAUKA I WYCHOWANIE JANKA STAWARZA 50

Wojna i okupacja 57
Fatalne lato 1942 65

AUSCHWITZ – *ARBEIT MACHT FREI* – PO RAZ PIERWSZY 74

Kwarantanna 75
W garbarni 79
W rewirze 82
W kartoflarni 86
Selekcja 105

UCIECZKI PROKOCIMSKICH WIĘŹNIÓW Z KL AUSCHWITZ 110

Nieudana ucieczka w roku 1942 110
Udana ucieczka dwóch przyjaciół w 1943 roku 113
Udana ucieczka w roku 1944 118
Udana ucieczka z transportu ewakuacyjnego w roku 1945 121

KL BUCHENWALD – *JEDEM DAS SEINE* 125

Budowa torowiska Weimar – Buchenwald 130
Żwirownia Erfurt 135
„Szyber Reschkego" 141
Bombardowanie Buchenwaldu 159

KL OHRDRUF – KRYPTONIM „S III" 164

Amerykanie w Nordlagrze 173

PIERWSZA EWAKUACJA – TRAGICZNA W SKUTKACH UCIECZKA 176
KL BUCHENWALD – DRUGA EWAKUACJA 181
KL FLOSSENBÜRG – TRZECIA EWAKUACJA 184

KL DACHAU – *ARBEIT MACHT FREI* – PO RAZ OSTATNI 201

WYZWOLENIE 201
FREIMANN 211
WILDFLECKEN – OBÓZ DLA „DIPISÓW" 216

NARESZCIE W DOMU - KOSZMAR JEDNAK WRÓCI 227

KOSZMAR WRACA PO 20 LATACH 236
POMNIK W SUNDREMDA 246

UDZIAŁ JANKA STAWARZA W PRACACH SPOŁECZNYCH 252

KLUB BUCHENWALD-DORA 252
PAMIĘCI POLEGŁYCH MIESZKAŃCÓW PROKOCIMIA 256
WNIOSEK PROKOCIMSKIEGO ZBOWiD-U ODRZUCONY PRZEZ WŁADZE DZIELNICY 260
KADECKIE SPOTKANIA 262
PODSTAWOWE DZIEŁO JANKA STAWARZA – NOTY BIOGRAFICZNE KADETÓW II RP 274

EPILOG 285

KADECKIE NOTY BIOGRAFICZNE 285
PROKOCIMSKIM LOTNIKOM 288

Biblioteka Kraków
6000125965

Mieczysła
absolwent chemii UJ; aresztowany przez gestapo w połowie 1942 roku i osadzony w więzieniu na ul. Montelupich w Krakowie; lata 1943-1945 spędził w obozach Auschwitz 1, Buna, Buchenwald-Dora i Bergen-Belsen. Z inspiracji swego przyjaciela, Janka Stawarza – także byłego więźnia z Montelupich oraz kilku hitlerowskich obozów koncentracyjnych – podjął się opisania niezwykłych dziejów jego życia. Propozycję męża poparła także żona, Kamila Stawarz. Sam Janek nie zamierzał podjąć tego tematu z różnych powodów, a głównym był ten, że poświęcił się opracowaniu not biograficznych byłych absolwentów i elewów Korpusów Kadeckich II Rzeczypospolitej (w sumie sporządził ich około 1200). Zadanie to traktował bardzo poważnie i poświęcał mu każdą wolną chwilę.

Nawiązując do przeżyć Janka w lagrach należy podkreślić solidarność i wzajemną pomoc w środowisku więźniów – prokocimian oraz byłych kadetów. Podczas pobytu w obozach Stawarz zawsze starał się ich odszukać i w tym celu sprawdzał transporty *cugangów* (nowo przybyłych). W miarę możliwości wspomagał byłych kadetów obozową żywnością, papierosami oraz różnymi przedmiotami przydatnymi w lagrze. W efekcie przywarł do niego przydomek „Kadet", i to przywarł do tego stopnia, że – gdy w 1945 roku stawiano w niemieckiej miejscowości Sundremda nagrobek czterem więźniom zastrzelonym przez hitlerowców – napisano, że leży tam „STAWARZ Kadet", a nie Jan Stawarz… On sam dowiedział się o istnieniu tego nagrobka wiele lat po wojnie…

ISBN 83-920955-4-5